

**Jonathan Kellerman**

**Test krwi**

*(Blood Test)*

*Przełożyli Ewa i Dariusz Wojtczakowie*

*Jak zawsze Faye, Jesse'owi i Rachel,  
I serdecznej Ilanie*

Siedziałem w sali rozpraw i obserwowałem, z jaką miną Richard Moody przyjmuje od sędzi złe wieści.

Moody włożył na tę okazję poliestrowy czekoladowy garnitur, kanarkowo-żółtą koszulę, wąski krawat i kowbojskie buty ze skóry jaszczurki. Skrzywił się, zagryzł wargę i wbił wzrok w sędzię, ta jednak zmierzyła go twardym spojrzeniem, więc w końcu spuścił oczy i zaczął się wpatrywać w swoje dłonie. Zauważyłem, że stojący z tyłu sali strażnik czujnie go obserwuje. Po moim ostrzeżeniu przez całe popołudnie starał się nie dopuszczać do siebie Moodych, a przed wejściem na salę nawet skrupulatnie zrewidował Richarda.

Sędzią była Diane Severe, zadziwiająco dziewczęca jak na pięćdziesięciolatkę, o szaro-blond włosach i wyrazistej życzliwej twarzy. Zawsze mówiła spokojnie i niezwykle rzeczowo. Nigdy nie uczestniczyłem w jej rozprawach, lecz doskonale znałem jej reputację. Zanim rozpoczęła studia prawnicze, pracowała w opiece społecznej, a teraz – po dziesięciu latach praktyki w sądzie dla nieletnich i sześciu w sądzie rodzinnym – należała do nielicznych sędziów, którzy naprawdę rozumieli dzieci.

– Panie Moody – odezwała się – proszę bardzo uważnie wysłuchać tego, co mam panu do powiedzenia.

Oskarżony przybrał agresywną postawę, garbiąc się i mrużąc oczy jak barowy ochroniarz. Kiedy jego prawnik szturchnął go, rozluźnił się i zmusił do uśmiechu.

– Wysłuchałam zeznań doktora Daschoffa i doktora Delaware'a. Obaj są wybitnymi specjalistami w dziedzinie psychologii i często występowali jako eksperci w tym sądzie. Rozmawiałam też na osobności z pańskimi dziećmi, obserwowałam pańskie zachowanie dzisiejszego popołudnia i wysłuchałam pana zarzutów wobec eks-mażonki. Podobno namawia pan własne dzieci do ucieczki od matki, twierdząc, że zamierza je pan ocalić... – zamilkła na chwilę i pochyliła się do przodu. – Podsumowując, muszę stwierdzić, że cierpi pan na poważne problemy emocjonalne, panie Moody.

Uwagi sędzi nie umknął uśmieszek wyższości, który zniknął z twarzy Moody'ego równie szybko, jak się pojawił.

– Dziwi mnie, że uważa pan zaistniałą sytuację za zabawną, panie Moody, ponieważ ja określiłabym ją raczej mianem tragicznej.

– Wysoki Sądzie... – wtrącił prawnik oskarżonego.

Sędzia uciszyła adwokata machnięciem ręki ze złotym piórem.

– Nie teraz, panie Durkin. Nie mam ochoty na kolejne gierki słowne. To jest końcowy werdykt i pragnę, by pański klient wysłuchał go z należytą uwagą.

Znów spojrzała na Moody'ego.

– Być może pańskim problemom zdrowotnym da się zaradzić. Wierzę, że tak jest. Nie mam jednakże wątpliwości, że niezbędna jest psychoterapia... Potrzebuje pan pomocy psychiatrycznej, prawdopodobnie wspomaganej lekami. Przyda się ona dla dobra pana i pańskich dzieci. Mam nadzieję, że okaże się skuteczna. Na razie zabraniam panu kontaktów z dziećmi, do czasu, aż psychiatrzy stwierdzą, że nie stanowi pan już zagrożenia dla innych. Kiedy przestanie pan grozić ludziom śmiercią i szantażować ich własnym samobójstwem, porozmawiamy ponownie. Musi pan zaakceptować rozwód i zacząć wspierać panią Moody w wychowaniu waszych dzieci. Pańskie słowo, panie Moody, na razie mi nie wystarczy... Na wniosek sądu doktor Delaware ustali harmonogram pańskich spotkań z dziećmi. Wizyty będą się odbywały w obecności wyznaczonego kuratora.

Moody wykonał nagły ruch do przodu. Strażnik natychmiast zareagował i w okamgnieniu stanął u jego boku. Widząc to, Moody skrzywił się i opadł na swoje miejsce. Po jego policzkach spłynęły łzy. Durkin wyjął chusteczkę, podał mu ją i zgłosił sprzeciw wobec naruszenia prywatności jego klienta.

– Może się pan odwołać od mojej decyzji, panie Durkin – oświadczyła spokojnie sędzia.

– Wysoki Sądzie... – odezwał się Moody niskim głosem, w którym czuć było wielkie napięcie.

– O co chodzi, panie Moody?

– Pani nie rozumie... – Załamał ręce. – Te dzieci to całe moje życie.

Przez moment sądziłem, że sędzia go skarci, ale ona tylko przyjrzała mu się ze współczuciem.

– Proszę mi wierzyć, że doskonale pana rozumiem. Wiem, że kocha pan dzieci. Niestety, może pan być dla nich dobrym ojcem tylko wtedy, gdy uporządkuje pan własne życie. Chcę, by w pełni dotarła do pana konkluzja ekspertyzy psychiatrycznej: nie może pan obarczać dzieci odpowiedzialnością za swoje problemy. Dziecko nie zniesie takiego ciężaru. Syn i córka nie mogą wychowywać pana, panie Moody! To pan jest człowiekiem dorosłym, nie one. Przy obecnym stanie umysłu nie może pan brać czynnego udziału w ich opiece. Potrzebuje pan pomocy.

Moody chciał coś powiedzieć, lecz zrezygnował. Pokręcił głową i oddał adwokatowi chusteczkę, wyraźnie usiłując zachować resztki godności.

Podczas następnego kwadransa ustalano podział majątku Moodych. Nie miałem ochoty słuchać szczegółów na temat ich skromnego mienia i wyszedłbym, lecz Mai Worthy prosił, żebym z nim porozmawiał po rozprawie.

Po odczytaniu ostatnich ustaleń sędzia Severe zdjęła okulary i zakończyła sprawę. Popatrzyła w moją stronę i się uśmiechnęła.

– Poproszę pana na moment do mojego pokoju, doktorze Delaware.

Odwzajemniłem uśmiech i skinąłem głową. Chwilę później wstaliśmy i sędzia wyszła z sali rozpraw.

Durkin wyprowadzał Moody'ego pod czujnym okiem strażnika.

Przy drugim stoliku Mai usiłował podnieść na duchu Darlene Moody. Poklepał ją po pulchnym ramieniu, po czym zebrał dokumenty i spakował je do jednej ze swoich dwóch walizeczek. Mai był człowiekiem bardzo sumiennym, toteż podczas gdy inni prawnicy przychodzili na rozprawę jedynie z podręczną aktówką, on zabierał ze sobą wszędzie tony dokumentów w walizkach, które przywoził na chromowanym wózku bagażowym.

Eks-żona Richarda Moody'ego popatrzyła na niego skonsternowana z rozpromienioną twarzą i skinęła głową. Miała dziś na sobie jasnoniebieską letnią sukienkę przyozdobioną mnóstwem falbanek. Strój taki pasowałby kobiecie o co najmniej dziesięć lat młodszej. Czy aby Darlene nie pomyliła świeżo odzyskanej wolności z powrotem do lat niewinnego panieństwa?

Jej prawnik ubrał się w typowy dla adwokatów z Beverly Hills włoski garnitur, jedwabną koszulę, krawat oraz mokasyny z cielęcej skóry z frędzelkami. Miał starannie przycięte i ułożone kręcone włosy, brodę przystrzyżoną tuż przy skórze, zadbane lśniące paznokcie, idealne zęby i opaleniznę z Malibu. Na mój widok mrugnął porozumiewawczo i pomachał ręką. Następnie znów poklepał swoją klientkę po plecach, ujął ją za rękę i odprowadził do drzwi.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedział po powrocie i zajął się pakowaniem pozostałych na stole papierzysek.

– Nie było lekko – oceniłem.

– Takie sprawy nigdy nie bywają łatwe ani zabawne – odparł z nutką triumfu w głosie.

– Ale wygrałeś.

Na moment przestał szeleścić papierami.

– Tak. No cóż, na tym polega moja praca. Walczę. – Poruszył nadgarstkiem i zerknął na cienką złotą bransoletkę. – Nie powiem, żeby zmartwiło mnie pokonanie takiego frajera jak Moody.

– Sądziś, że pogodzi się z przegraną? Tak po prostu? Mai wzruszył ramionami – Jeśli się nie pogodzi, wyprowadzimy przeciwko niemu ciężką artylerię.

Tak, tak... za dwieście dolarów na godzinę. Ułożył walizy na wózku bagażowym.

– Widzisz, Alex, nie było łatwo, ale przecież nie mieliśmy do czynienia z jakimś wyrafinowanym przestępstwem. W takiej sprawie nawet bym nie śmiał do ciebie zadzwonić, mam od tego swoich ludzi. Dobrze postąpiłem, nieprawdaż?

– Tak, byliśmy po właściwej stronie.

– Otóż to. Jeszcze raz ci dziękuję. Pozdrowienia dla sędzi.

– Jak myślisz, czego ode mnie chce? – spytałem.

Uśmiechnął się i w charakterystyczny dla siebie sposób poklepał mnie po plecach.

– Może jej się podobasz. A i ona nieźle się prezentuje, co? Jest samotna, wiesz o tym?

– Stara panna?

– Nie, do diabła! Jest rozwiedziona. Prowadziłem jej sprawę.

Gabinet sędzi z mahoniową boazerią pachniał kwiatami. Severe siedziała za rzeźbionym drewnianym biurkiem o szklanym blacie. Na biurku stał kryształowy wazon z gladiolami. Na ścianie za sędzią wisiało kilkanaście fotografii dwóch nastolatków. Obaj chłopcy mieli jasne włosy. Preżyli się dumnie w strojach futbolistów, nurków i w garniturkach.

– Moja nieznośna parka – wyjaśniła, podążając za moim wzrokiem. – Jeden studiuje w Stanford, drugi sprzedaje fajerwerki w Arrowhead. Nigdy nie wiadomo, co z dziecka wyrośnie, prawda, doktorze?

– Zgadza się.

– Niech pan usiądzie. – Wskazała aksamitną sofę. – Proszę wybaczyć, jeśli potraktowałam pana podczas rozprawy trochę szorstko.

– Nic się nie stało.

– Chciałam po prostu wiedzieć, czy przywiązanie pana Moody’ego do kobiecych ciuszków ma związek ze stanem jego umysłu.

– Moim zdaniem upodobanie do noszenia damskiej bielizny naprawdę nie ma wiele wspólnego z opieką nad dziećmi.

Roześmiała się.

– Trafiają mi się eksperci psychologiczni dwojakiego rodzaju. Nadęte, przemądrzałe autorytety, uważające własne zdanie na każdy temat za święte i niepodważalne... oraz osoby takie jak pan, które nie wygłaszają jednoznacznych opinii, póki nie są one wsparte dokładnymi badaniami.

Wzruszyłem ramionami.

– Rzeczywiście, jestem dokładny.

– Otóż to. Może trochę wina? – Otworzyła drzwiczki kredensu, którego rzeźbienia harmonizowały z kształtem biurka, i wyjęła butelkę oraz dwa kieliszki na wysokich nóżkach.

– Z przyjemnością, Wysoki Sądzie.

– W tym pokoju możemy sobie mówić po imieniu. Jestem Diane. Mogę cię nazywać Alexandrem?

– Wystarczy Alex.

Nalała do kieliszków czerwonego wina.

– Doskonały cabernet, który piję po zakończeniu szczególnie paskudnych spraw. Prawdziwie pokrzepiający trunk.

Wziąłem podany kieliszek.

– Za sprawiedliwość – wzniosła toast Diane.

Wypiliśmy po łyku. Wino było dobre, więc pochwaliłem je głośno.

Popijaliśmy w milczeniu. Sędzia skończyła wino przede mną i odstawiła kieliszek.

– Chcę porozmawiać z tobą o Moodych. Sprawa jest już załatwiona, lecz nie mogę przestać myśleć o tych biednych dzieciach. Czytałam twój raport i zauważyłam, że masz doskonały kontakt z tą rodziną.

– Potrzebowałem trochę czasu, żeby w końcu się przede mną otworzyli.

– Powiedz mi, Alex, czy dzieci zapomną?

– Zadaję sobie to samo pytanie. Wszystko zależy od postawy obojga rodziców. Muszą się dogadać.

Diane zabębniła palcami o brzeg kieliszka.

– Sądzisz, że Richard zabije Darlene?

Jej pytanie mną wstrząsnęło.

– Nie mów tylko, że nie przemknęła ci przez głowę taka myśl... Przecież sam prosiłeś strażnika, żeby miał na niego oko.

– Po prostu chciałem uniknąć nieprzyjemnych scen – odrzekłem. – Ale, hm... tak, sądzę, że jest zdolny do morderstwa. To człowiek nieobliczalny i ogromnie przygnębiony. Wiem, że podczas depresji bywał niebezpieczny. Tak, może próbować zemścić się na byłej żonie.

– A w dodatku nosi kobiece majtki.

Roześmiałem się.

– Istotnie, zdarza mu się to.

– Jeszcze wina?

– Chętnie.

Dolała, odstawiła butelkę i objęła palcami nóżkę swojego kieliszka. Miałem przed sobą nieco surową, lecz atrakcyjną pięćdziesięciolatkę, która w żaden sposób nie starała się ukryć wieku.

– Prawdziwa ofiara losu z tego Moody’ego. I być może potencjalny zabójca.

– Jeśli wpadnie w morderczy nastrój, eks-żona z pewnością stanie się celem. Ona i jej przyjaciel Conley.

– No cóż – mruknęła, przesuwając koniuszkiem języka po wargach – trzeba podchodzić filozoficznie do takich spraw. Jeśli Richard zabije Darlene, motyw będzie oczywisty, ponieważ jego zdaniem ona pieprzy się z niewłaściwym facetem. Miejmy tylko nadzieję, że ten wariat nie wybierze sobie na ofiarę kogoś całkowicie niewinnego... na przykład mnie albo ciebie.

Żartowała czy mówiła poważnie?

– Często myślę o takich sytuacjach – ciągnęła. – Boję się, że nagle jakiś stuknięty frajer uzna mnie za główną przyczynę swoich problemów. Ofiary losu nigdy nie potrafią wziąć odpowiedzialności za swoje gówniane spieprzone życie. Ty nigdy nie miewasz takich obaw?

– Właściwie nie. Kiedy pracowałem w zawodzie, większość moich pacjentów stanowili sympatyczni młodzi ludzie z dobrych rodzin... Bywali zagubieni, ale nie mieli morderczych skłonności. Teraz, od dwóch lat, jestem na emeryturze.

– Wiem. Czytając twój życiorys, dostrzegłam tę lukę. Tyle artykułów, wykłady, szpital, prywatna praktyka... a później pustka. Odszedłeś z pracy po sprawie La Casa de Los Niños czy jeszcze przed nią?

Nie byłem zaskoczony, że wie o tym. Chociaż sprawa zakończyła się już ponad rok temu, pisały o niej wszystkie gazety na pierwszych stronach. Nagłówki były krzykliwe, więc ludzie to

zapamiętali. Sam również nie mogłem o niej zapomnieć z powodu pękniętej szczęki, która bolała mnie, ilekroć wzrastała wilgotność powietrza.

– Pół roku przed nią. A potem, sama rozumiesz... Nie miałem ochoty wracać.

– Rola bohatera nie jest zabawna?

– Nawet nie wiem, co to słowo znaczy.

– Nie wierzę. – Popatrzyła mi w oczy, po czym wygładziła brzeg togi. – A teraz pracujesz dla sądu.

– Czasami. Współpracuję tylko z prawnikami, którym ufam, co znacznie zawężyło pole zainteresowań... Co jakiś czas o psychologiczną konsultację proszą mnie też bezpośrednio sędziowie.

– Którzy?

– George Landre i Ralph Siegel.

– Przyzwoici faceci. Z George'em studiowałam. Potrzebujesz dodatkowej pracy?

– Nie szukam jej. Ale jeśli ktoś mnie poprosi, nie odmawiam. Zawsze mogę znaleźć sobie coś innego do roboty.

– Bogata młodzież, co?

– Nie, nie zamierzam na razie wracać do dawnego trybu życia. Na szczęście poczyniłem kiedyś kilka dobrych inwestycji, które stale przynoszą mi przyzwoite pieniądze. Jeśli nie wpadnę w szpony hazardu, przez jakiś czas jeszcze z nich pożyję.

Uśmiechnęła się.

– Jeśli chcesz mieć więcej sądowych konsultacji, chętnie zareklamuję cię w środowisku. Znani psychologowie mają terminy zajęte na cztery miesiące z góry, stale więc poszukujemy ludzi, którzy potrafią wysnuwać odpowiednie wnioski z faktów i przekazać je językiem zrozumiałym dla sędziego. Twój raport był wręcz doskonały.

– Dzięki. Jeśli przyślesz mi akta, nie odmówię.

Skończyła drugi kieliszek.

– Bardzo dobry trunek, prawda? Pochodzi z maleńkiej winnicy w Napa. Winnica działa od trzech lat i nadal przynosi straty, ale wypuściła kilka partii bardzo dobrego czerwonego wina.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Wyjęła z kieszeni togi paczkę papierosów Virginia Slims i zapalniczkę. Zapaliła, zaciągając się głęboko dymem i patrząc na ścianę ozdobioną dyplomami i świadectwami.

– Ludzie naprawdę potrafią spieprzyć sobie życie. Jak jasnooka panna Moody. Miła wiejska dziewczyna przeprowadziła się do Los Angeles, żeby zakosztować uroków wielkiego miasta, tu podjęła pracę jako kontrolerka w Safeway i zakochała się w macho, który lubi nosić koronkowe majteczki... Zapomniałam, kim jest z zawodu nasz drogi Richard... Robotnikiem budowlanym?

– Ciesłą. Pracuje w Aurora Studios.

– Zgadza się, teraz sobie przypominam. Stawia tam dekoracje. Facet jest oczywistą ofiarą losu, lecz kobieta odkrywa ten fakt dopiero po dwunastu latach. Kiedy wyswobodziła się z



mażeńskich więzów, kogo złapała na haczyk? Klon poprzedniej ciamajdy...

– Conley jest przynajmniej zdrowy na umyśle.

– Może i tak. Ale przyjrzyj się im obu. Bliźniaki. Tę kobietę po prostu pociągają tego typu mężczyźni. Kto wie, może Moody na początku również był czarusem. Za kilka lat Conley na pewno się zmieni. Jak wszyscy frajerzy.

Odwróciła się i popatrzyła mi w oczy. Jej nozdrza rozszerzyły się, a ręka z papierosem niemal niezauważalnie zadrżała. Pewnie pod wpływem alkoholu lub emocji. A może z jednego i drugiego powodu równocześnie.

– Widzisz, Alex, też trafiłam na podobnego dupka i wyplątanie się z tego związku zajęło mi trochę czasu. Na szczęście nie powtórzyłam cholernego błędu przy pierwszej lepszej okazji. Gdy się nad tym wszystkim zastanawiam, zadaję sobie pytanie, czy kobiety kiedykolwiek zmadrzeją.

– Podejrzewam, że Mai Worthy nieprędko będzie zmuszony sprzedać swego bentleya – mruknąłem.

– Też tak myślę. Mai to zręczny chłopak. Przeprowadził mój rozwód, wiedziałeś o tym?

Udałem, że nie mam pojęcia.

– Z tego powodu prawdopodobnie nie powinnam prowadzić sprawy Darlene i Richarda, lecz kogo dziś obchodzi konflikt interesów. Moody to szalony facet, który zmarnował swoim dzieciom życie, i sądzę, że wydałam wyrok najlepszy z możliwych. Czy istnieje szansa, że rozpocznie terapię?

– Bardzo w to wątpię. Wcale nie uważa się za chorego.

– Oczywiście, że nie. Na tym właśnie polega szaleństwo. Wariat nie dopuszcza do siebie myśli o chorobie. Przyjmijmy, że Moody nie zabije ekszony... Wiesz, co się zdarzy, prawda?

– Kolejne rozprawy sądowe.

– Otóż to. Durkin co kilka tygodni będzie tu wracał, próbując obalić mój wyrok, a tymczasem Moody będzie nękać Jasnooką. Jeśli sytuacja taka przeciągnie się wystarczająco długo, trwale odbije się to na psychice dzieci.

Pełnym gracji krokiem wróciła do biurka, wyjęła z torebki puderniczkę i upudrowała nos.

– I tak bez końca. Biednej kobiecie, stale ciąganej po sądach, pozostaną tylko łzy i rozpacz. Niestety, nie będzie miała wyboru. – Rysy jej twarzy stwardniały. – Tyle że mnie ta sprawa nie powinna obchodzić, bo za dwa tygodnie idę na wcześniejszą emeryturę. Dobrze ulokowałam trochę grosza. I mam jednego wielkiego pożeracza pieniędzy, którym się muszę zająć. Winnicę w Napa. – Uśmiechnęła się. – Za rok o tej porze będę kosztować we własnej piwniczce nowy rocznik. Jeśli znajdziesz się w pobliżu, koniecznie mnie odwiedź.

– Dzięki, możesz być pewna, że to zrobię.

Odwróciła głowę i ze wzrokiem wbitym w dyplomy spytała:

– Masz przyjaciółkę, Alex?

– Tak. Jest teraz w Japonii.

– Tęsknisz za nią?

– Ogromnie.

– No, wyobrażam sobie. Wszyscy porządni faceci są już zajęci. – Wstała, co miało oznaczać zakończenie spotkania. – Cieszę się, że cię poznałam.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Diane. Powodzenia z winnicą. Twój trunek był naprawdę znakomity.

– Z każdym rokiem będzie lepszy. Mam do tego nosa.

Mocno uściśnęła szczupłą dłonią moją rękę.

Mój seville tak się nagrzał na odkrytym parkingu, że oparzyłem sobie palce, dotykając klamki. Obecność tego człowieka wyczułem, zanim podszedł. Odwróciłem się, by stawić mu czoło.

– Przepraszam, doktorze. – Stał, patrząc zmrużonymi oczyma pod słońce. Jego czoło lśniło od potu, a pod pachami kanarkowa koszula przybrała musztardowy odcień.

– Nie mogę teraz rozmawiać, panie Moody.

– Tylko sekundkę, doktorze. Niech mi pan coś wytłumaczy. Chcę pojąć główne punkty orzeczenia. Chodzi mi jedynie o chwilę rozmowy, rozumie pan? – mówił pospiesznie, połykając sylaby. Kołysał się przy tym na obcasach, zerkając na boki. Na przemian uśmiechał się, krzywił i kiwał głową. Drapał się też co chwila po grdyce lub szczypał nos. Cała symfonia nieskoordynowanych ruchów. Nigdy nie widziałem go tak pobudzonego, ale czytałem raport Larry’ego Daschoffa i doskonale wiedziałem, co się dzieje.

– Przepraszam. Nie teraz.

Rozejrzałem się po parkingu. Niestety, byliśmy zupełnie sami. Tył sądowego budynku wychodził na cichą boczną uliczkę w zaniedbanej okolicy. Poza nami dwoma dostrzegałem tylko jedną żywą istotę – wychudłego kundla, który kręcił się po zapuszczonym trawniku.

– Och, spokojnie, doktorze. Proszę mi wyjaśnić mój problem w dwóch słowach. Skoncentrujmy się na głównych faktach i miejmy całą sprawę za sobą – mówił coraz szybciej i coraz bardziej niezrozumiale.

Odwróciłem się od niego, lecz w tym momencie na moim nadgarstku zacisnęła się jego silna smagła dłoń.

– Proszę mnie puścić, panie Moody – mruknąłem z wymuszonym spokojem.

Uśmiechnął się.

– Hej, doktoru, chcę tylko pogadać. Omówić swoją sprawę.

– Nie mam nic wspólnego z pańską sprawą i nic nie mogę dla pana zrobić. Proszę puścić moją rękę.

Wzmocnił uścisk, choć na jego obliczu nie pojawiły się żadne oznaki emocji. Miał pociągłą opaloną twarz, z krzywym po złamaniu bokserkim nosem, z ustami o wąskich wargach i wielką szczęką zniekształconą od wieloletniego żucia tytoniu lub mocnego zaciskania zębów.

Schowałem do kieszeni kluczyki od samochodu i spróbowałem oderwać jego palce od

mojego nadgarstka, jednak Moody okazał się niezwykle silny. Owa nadzwyczajna siła pasowała do mojej koncepcji na jego temat. Odniosłem wrażenie, że przyspawał sobie rękę do mojej. Tak, tak, Richard Moody zaczynał sprawiać mi ból.

Oszacowałem własne szanse. Byliśmy tego samego wzrostu i mniej więcej równej wagi. Lata noszenia ciężkich przedmiotów na budowie zapewne wzmocniły jego mięśnie, lecz ja dzięki treningom karate znałem kilka niezłych ciosów na taką okazję. Mógłbym mu przydepnąć stopę, powalić kopnięciem w goleń i odjechać, gdy będzie się skręcał z bólu na betonie... Natychmiast przestałem o tym myśleć, bo zrobiło mi się wstyd. Przecież walka z kimś takim to absurd. Ten facet był niezrównoważony, więc powinienem go uspokoić, a nie dodatkowo podjudzać. Opuściłem wolną rękę.

– W porządku, wysłucham pana. Najpierw jednak proszę mnie puścić, bo nie mogę się skoncentrować na pana słowach.

Zastanawiał się przez sekundę, a potem szeroko się do mnie uśmiechnął. Miał brzydkie zaniedbane zęby. Dlaczego nie zauważyłem tego podczas badania? Wtedy jednak Moody był w zupełnie innym nastroju – pośepny, prawie nic nie mówił, nie otwierał więc ust.

W końcu puścił mój nadgarstek. Rękaw, za który mnie trzymał, był brudny i lepki od jego potu.

– Zatem słucham.

– Dobra, dobra. – Po każdym słowie kiwał głową niczym kukła. – Chcę tylko z panem porozmawiać, doktorze, przekonać pana, że miałem pewne plany. Zapewniam pana, mogę udowodnić, iż moja żona owinęła sobie pana wokół małego palca tak samo jak mnie. W jej domu źle się dzieje. Moje dzieci twierdzą, że tamten facet usiłuje je wychowywać po swojemu, a ona niczego mu nie zabrania, na wszystko się zgadza. Jest niby taki kulturalny, miły, dobrze wychowany, a moje dzieciaki wiecznie muszą po nim sprzątać. Facet nie jest normalny. Potrafi tylko rozkazywać wszystkim wokół. Wie pan, dlaczego się śmieję, doktoru? Bo tylko śmiech chroni mnie przed płaczem. Tak, tak, śmieję się, aby nie płakać. Tęsknię za moimi dziećmi i żal mi ich. Chłopak i dziewczynka. Mój dzieciak mówił, że oni śpią w jednym łóżku i że facet udaje tatusia. Chce być panem domu, który ja zbudowałem własnymi rękoma.

Wyciągnął przed siebie dziesięć posiniaczonych paluchów. Dostrzegłem wielki sygnet z turkusem, a na palcach serdecznych obu dłoni srebrne pierścionki; jeden w kształcie skorpiona, drugi – zwiniętego węża.

– Rozumie pan, doktorze? Łapie pan, o czym mówię? Te dzieciaki są dla mnie całym życiem, uniosę ten ciężar, tak, tak, uniosę go sam... Nikogo nie potrzebuję... To właśnie powtarzałem sędzinie, tej suce w czerni. Poradzę sobie. Zabiorę swoje dzieciaki, zabiorę je stąd. Są przecież częścią mnie. I jej. Pamiętam, jak się z nią kochałem, gdy jeszcze była przyzwoitą kobietą... Znowu mogłaby się taka stać... Rozumie pan, chcę ją przekonać, przemówić jej do rozumu, wyjaśnić jej. Niestety, nie uda mi się, póki kręci się koło niej ten Conley. Nie, nie, nie ma mowy, nie uda mi się. W żaden sposób. A to moje dzieci, moje życie.

Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. Skorzystałem z chwili ciszy.

– Na zawsze pozostanie pan ich ojcem – oświadczyłem. Starłem się przemawiać uspokajającym tonem, a równocześnie nie traktować go protekcjonalnie. – Nikt nie zdoła panu tego odebrać.

– Zgadza się. Sto procent racji. Teraz pójdzie pan tam i powie to tej suce w czerni, dobrze? Niech pan jej wytłumaczy. Niech pan powie, że muszę odzyskać dzieci.

– Nie mogę tak postąpić.

Wydał wargi niczym odmawiający deseru chłopczyk.

– Zrobi pan to. Teraz!

– Nie mogę. Żyje pan ostatnio w wielkim stresie, panie Moody. W obecnym stanie nie jest pan gotów do opieki nad dziećmi. Cierpi pan na zaburzenia osobowości... na zaburzenia maniakalno-depresyjne... i potrzebuje pan natychmiastowej pomocy...

– Potrafię sam sobie poradzić... mam plany. Kupię przyczepę albo łódź i zabiorę moje dzieci z tego wszawego miasta, z tych kłębow smogu. Zabiorę je na wieś. Będziemy łowić pstragi, polować na króliki, nauczę je, jak przetrwać. Hank Junior mawia, że chłopak ze wsi zawsze przetrwa, i taka właśnie jest prawda. Nauczę moje dzieci sprzątać po sobie, będą jadły dobre zdrowe śniadania. Zabiorę je od szumowin typu Conleya i Darlene, póki moja dawna żona nie uporządkuje swojego życia. Kto wie, kiedy jej się to uda, skoro jest po jego stronie, skoro rżnie się na ich oczach... Hańba!

– Niech pan spróbuje się uspokoić.

– Tak, tak, widzi pan? Już się uspokajam. – Głęboko zaczerpnął powietrza i wypuścił je głośno. Wyczułem smród jego oddechu. Strzelił palcami i srebrne pierścionki zaiskrzyły w słońcu. – Jestem rozluźniony, czysty i gotów do działania. Jestem ojcem, wejdę tam i powiem jej to.

– Nie uda się panu załatwić tej sprawy w ten sposób.

– Niby dlaczego? – warknął i złapał mnie za poły marynarki.

– Proszę mnie puścić, panie Moody. Nie pogadamy, jeśli ciągle będzie mnie pan szarpał.

Jego palce powoli się rozluźniły. Usiłowałem się od niego odsunąć, ale za plecami miałem już samochód. Przywarł do mnie tak blisko, że moglibyśmy razem tańczyć.

– Niech pan jej powie. Spieprzyłeś sprawę, więc to napraw, doktorku!

W jego głosie wyraźnie pojawiła się groźba. Wiedziałem, że rozdrażniony szaleniec jest zdolny do wszystkiego. Szczególnie paranoidalny schizofrenik. Uzmysłowiłem sobie, że w tej sytuacji nie wystarczy siła perswazji.

– Panie Moody... Richardzie... naprawdę potrzebuje pan pomocy. Nic dla pana nie zrobię, póki nie rozpocznie pan terapii.

Prychnął, opluwając mnie kropelkami śliny, po czym podniósł nogę, chcąc uderzyć mnie kolanem, jak czyni się to podczas ulicznych bijatyk. Odpowiednio wcześniej odkryłem jego zamiar i zrobiłem unik.

Nie spodziewał się, że spudłuje. Stracił równowagę i potknął się. Przytrzymałem go za łokieć i walnąłem biodrem. Wylądował na plecach, lecz już chwilę później stał na nogach. Zaatakował mnie, machając rękami jak cepami. Poczekałem na właściwy moment, po czym niemal równocześnie zrobiłem unik i uderzyłem go w brzuch wystarczająco mocno, by stracił oddech. Odsunąłem się i pozwoliłem mu cierpieć w samotności.

– Bardzo pana proszę, Richardzie, niech się pan uspokoi i opamięta.

W odpowiedzi wycharczał przekleństwo, pociągnął nosem, po czym podstępnie złapał mnie za nogi. Wczepił się palcami w mankiet moich spodni i poczułem, że zaraz upadnę. Należało uciekać, niestety jednak Moody stał między mną i samochodem.

Nie mogłem także odwrócić się plecami do przeciwnika, który był bardzo silny i nadzwyczaj szybki.

Kiedy się zastanawiałem nad sytuacją, Moody podniósł się i zaszarżował w moim kierunku. Wykrzykiwał przy tym jakieś bzdury. Żał mi się go zrobiło i na chwilę straciłem czujność, dlatego też zdołał trafić mnie pięścią w ramię. Poczułem ból, lecz mimo oszołomienia dostrzegłem następny cios szaleńca – solidny lewy hak wymierzony był w moją zesztukowaną szczękę. Instynkt samozachowawczy zwyciężył nad litością, dzięki czemu wyśliznąłem się Moody'emu, chwyciłem go za ramię i rzuciłem brutalnie na maskę samochodu. Zanim zdołał się pozbierać, wykręciłem mu rękę do tyłu, omal jej nie łamiąc. Musiał odczuwać okropny ból, lecz nie wpłynęło to na zmianę jego zachowania. Tak to jest z wariatami – zalewa ich adrenalina i ból staje się mało znaczącą drobnostką.

Z całych sił kopnąłem nieszczęśnika w tyłek. Moody potknął się i zrobił parę chwiejnych kroków przed siebie. Korzystając z okazji, wyciągnąłem kluczyki i rzuciłem się do seville'a. Po chwili odjechałem.

Tuż przed skrętem w ulicę dostrzegłem przelotnie jego odbicie we wstecznym lusterku. Siedział na asfalcie. Trzymał się za głowę, kołysząc się rytmicznie w tył i w przód. Byłem pewien, że płakał.

Duży czarno-złoty karp *koi* pierwszy wypłynął na powierzchnię, inne ryby podążyły za jego przykładem i w ciągu kilku sekund cała czternastka wystawiała z wody wąsate pyski i pożerała kuleczki chleba, gdy tylko je rzucałem. Klęknąłem przy wielkiej wygładzonej skale porośniętej pnącym jałowcem oraz lawendowymi różanecznikami i przytrzymałem trzy kulki w palcach tuż pod powierzchnią wody. Duży samiec dostrzegł przysmak. Zawahał się, lecz łakomstwo zwyciężyło i zbliżył się do mojej ręki. Zatrzymał się kilka centymetrów od niej i popatrzył na mnie.

W promieniach zachodzącego słońca metalicznie błyszcząły złote łuski, wyraźnie kontrastujące z aksamitnie czarnymi pasami na rybim grzbiecie. Prawdziwie wspaniały *kinkitsuri*.

Nagle duży samiec wystrzelił w górę i wyrwał mi z palców jedzenie. Wziąłem nowe kuleczki. Do karpia przyłączył się czerwono-biały *kohaku*, potem *ohgon* o ciele w kolorze platyny, upstrzonym plamkami w odcieniu jasnej poświaty księżycowej. Wkrótce wszystkie skubały moje palce. Ryby miały pyski tak delikatne jak dziecięce buzie.

Staw był prezentem od Robin, która wymyśliła go dla mnie podczas przykrych miesięcy leczenia pogruchothanej szczęki. Zaproponowała jego budowę, gdyż szukała czegoś, co zajmie mnie w okresie wymuszonej bezczynności, a wiedziała o moim zamiłowaniu do orientalnej fauny i flory.

Początkowo uważałem jej projekt za niewykonalny. Mój dom należy do typu dziwacznych budowli charakterystycznych dla południowej Kalifornii, uczepiony pod nieprawdopodobnym kątem stoku góry. Z trzech stron rozciąga się stąd niezwykły widok, ale wokół znajduje się bardzo niewiele wolnej przestrzeni. Nie widziałem miejsca na staw.

Robin jednakże skonsultowała swój pomysł z grupką zaprzyjaźnionych rzemieślników i wybrała odpowiedniego fachowca. Mieszkał w Oxnard i zwano go Zamglonym Cliftonem, mówił bowiem niewyraźnie i stale wyglądał na dziwnie zamroczonego. Przywiózł on betoniarkę, deski na szalunek i w kilka tygodni stworzył piękny, pełen meandrów, naturalnie wyglądający staw, który obudował skałami. Dzięki temu woda nie spływała po pochyłym terenie.

Po zakończeniu budowy miejsce Zamglonego Cliftona zajął jakiś starszy Azjata, który ozdobił dzieło genialnego poprzednika trawą *zen*, jałowcami, japońskimi klonami, liliami o długich łodygach, różanecznikami i bambusami. Odpowiednio umiejscowione głązy nadawały się do medytacji, a połączenie śnieżnobiałego żwiru stwarzały atmosferę spokoju. Nim upłynął tydzień, ogród wyglądał na kilkusetletni.

Coraz częściej stawałem na półpiętrze mojego domu i patrzyłem z góry na staw. Śledziłem wzrokiem wyryte w żwirze przez wiatr formy, obserwowałem karpie – leniwe, przywodzące na

myśl klejnoty. Mogłem też w każdej chwili zejść do ogrodu, usiąść nad brzegiem stawu, karmić ryby i przyglądać się kręgom rozchodzącym się po powierzchni wody.

Przesiadywanie nad stawem stało się dla mnie rytuałem: codziennie wieczorem przed zachodem słońca rzucałem karpom kuleczki jedzenia, co za każdym razem potwierdzało teorię Pawłowa, uczyłem się przeganiać ze swojego umysłu przykre wspomnienia związane ze śmiercią, fałszem i zdradą.

W ten sam sposób wsłuchiwałem się teraz w szum wodospadu i starałem się odsunąć od siebie obraz poniżonego przeze mnie Richarda Moody'ego.

Niebo ściemniało i ryby – zazwyczaj barwne niczym pawie – najpierw poszarzały, a później wtopiły się w czerń wody. Siedziałem w ciemnościach, nieco spięty, mimo woli zadowolony z pognębnienia wroga.

Pierwszy raz telefon zadzwonił w środku kolacji i zignorowałem go. Kiedy dwadzieścia minut później zadzwonił znowu, podniosłem słuchawkę.

– Doktor Delaware? Mówi Kathy z centrali telefonicznej. Zarejestrowałam pilny telefon do pana. Dzwoniłam przed kilkoma minutami, ale nikt nie odbierał.

– Kto to był, Kathy?

– Pan Moody. Prosił o telefon. Twierdził, że sprawa jest bardzo ważna.

– Cholera!

– Czy coś się stało?

– Nic, nic, Kathy. Proszę podać mi numer.

Gdy już mi go podyktowała, spytałem ją, czy głos Moody'ego nie brzmiał jakoś dziwnie.

– Ten pan był rzeczywiście trochę zdenerwowany. Żeby zapisać wiadomość, musiałam go poprosić, aby mówił wolniej.

– Dobrze. Dzięki za informację.

– Był jeszcze jeden telefon. Po południu. Przekazać panu?

– Tak, tak, oczywiście. Kto dzwonił?

– Doktor... Proszę mnie poprawić, jeśli nie przeczytam właściwie jego nazwiska. Doktor Melendrez... nie, nie Melendez-Lynch. Pisze się z myślnikiem.

Z nazwiskiem tym wiązały się różne moje wspomnienia...

– Podał swój numer – wyrecytowała kilka liczb, które utworzyły numer biura Raoula Melendeza-Lyncha w Zachodnim Szpitalu Pediatrycznym. – Powiedział, że będzie pod nim do dwudziestej trzeciej.

Nie miałem co do tego wątpliwości. Raoul był największym znanym mi pracoholikiem wśród lekarzy. Jego volvo widywałem na parkingu niezależnie od tego, jak wcześnie przyjeżdżałem do szpitala albo jak późno go opuszczałem.

– Czy to wszystko?

– Tak, doktorze. Życzę przyjemnego wieczoru i dzięki za ciasteczka. Razem z koleżanką

spalaszowałyśmy je w godzinę.

– Cieszę się, że wam smakowały. – Wspomniane przez nią pudełko ciastek ważyło prawie dwa i pół kilograma! – Niezłe do pojadania w pracy, prawda?

– Zgadza się. – Zachichotała.

Zanim zdecydowałem się zadzwonić do Moody'ego, wypilem coorsa. Nie miałem ochoty wystłuchiwać tyrad szaleńca, ale pomyślałem, że może przez telefon będzie spokojniejszy, bardziej otwarty na propozycję kuracji. Choć było to raczej mało prawdopodobne, nadal pozostałem optymistycznym terapeutą, który wierzył w rzeczy nierealne. Pod wpływem wspomnienia popołudniowego starcia z nieszczęślikiem na parkingu poczułem się jak palant, chociaż wiedziałem, że nie mogłem uniknąć bijatyki.

Przemyślałem sobie całą sprawę i w końcu zadzwoniłem do Moody'ego, ponieważ uznałem, że jestem to winien jego dzieciom.

Numer, który dostałem, należał do niespokojnej okolicy, Sun Valley, telefon zaś odebrał nocny portier motelu Bedabye. Jeśli Moody chciał wpaść w jeszcze większą depresję, znalazł sobie idealne miejsce.

– Z panem Moodym poproszę.

– Chwileczkę.

Przez chwilę słyszałem brzęki i trzaski.

– Tak.

– Panie Moody, mówi doktor Delaware.

– Witam, doktorze. Och, nie wiem, co we mnie wstąpiło... Chciałem pana bardzo serdecznie przeprosić za moje zachowanie. Mam nadzieję, że nie zrobiłem panu krzywdy.

– Nie, nie, nic mi nie jest. A jak pan się czuje?

– Ach, doskonale, po prostu doskonale. Mam wielkie plany, na pewno niedługo się pozbieram. Już wszystko pojmuję. Widzę sens tego, co mówiliście państwo na mój temat...

– To dobrze. Cieszę się, że pan rozumie.

– Och, tak, tak. Pojmuję już to wszystko, chociaż przemyślenie zabrało mi trochę czasu. Gdy za pierwszym razem użyłem pilarki tarczowej, majster powiedział mi... A byłem wówczas zaledwie dzieciakiem i dopiero uczyłem się fachu... Więc powiedział: „Richardzie, nie spiesz się, myśl, co robisz, skoncentruj się... W przeciwnym razie maszyna utnie ci rękę”. Pokazał mi lewą dłoń z kikutem zamiast kciuka i dodał: „Richardzie, niech nauka przyjdzie ci mniej boleśnie niż mnie”. – Roześmiał się ochryple i odchrząknął. – Czasami myślę, że uczę się z trudem, wie pan? Na przykład źle potraktowałem Darlene. Trzeba jej było wystłuchiwać, zanim się zadała z tą szumowiną.

Gdy wspomniał o Conleyu, podniósł głos, więc spróbowałem zmienić temat.

– Ważne, że rozumie pan swoje błędy. Jest pan jeszcze młodym człowiekiem, Richardzie. Ma pan przed sobą przyszłość.

– No, nie wiem. Podobno człowiek ma tyle lat, na ile się czuje, a ja się czuję na



dziewięćdziesiąt.

– Najgorszy jest okres przed wyrokiem. Teraz będzie lepiej.

– Prawnik mówił mi to samo... Niestety, nie czuję tego. Czuję się paskudnie, wie pan, gówno pierwsza klasa.

Umilkł, ja zaś nic na to nie odrzekłem.

– Tak czy owak, dziękuję, że mnie pan wysłuchał. Może pan teraz porozmawiać z sędzią i powiedzieć jej, że jestem zdrowy i mogę widywać swoje dzieci, na przykład zabierać je raz w tygodniu na ryby.

Cóż za optymizm!

– Richardzie, cieszę się, że panuje pan nad sytuacją, ale nie jest pan jeszcze gotów do opieki nad dziećmi.

– Dlaczego?!

– Potrzebuje pan kogoś, kto pomoże panu zapanować nad swoimi nastrojami. Istnieją skuteczne leki. I będzie pan mógł stale rozmawiać z lekarzem o swoich kłopotach, tak jak teraz ze mną.

– Doprawdy? – Prychnął drwiąco. – Jeśli trafię na podobne panu dupki, przeklętych gnojzków goniących tylko za forszą, gadanie z nimi na nic mi się nie zda! Mówię panu, że poradzę sobie sam ze swoimi problemami, i niech mi pan nie wciska kitu! Kim pan niby jest, żeby mi rozkazywać, kiedy mam widywać własne dzieci?!

– Nasza rozmowa donikąd nie prowadzi...

– Sto procent racji, dumny konowale. Niech pan mnie posłucha i radzę się skupić, bo nie będę dwa razy powtarzał. Jeśli zabronicie mi spotkań z moimi dziećmi, tak jak mi się to należy... niektórzy z was gorzko tego pożałują...

Słuchałem chwilę różnych epitetów pod moim adresem, po czym odłożyłem słuchawkę. Miałem dość.

Odkryłem, że jego słowa dotknęły mnie do żywego.

W cichej kuchni słyszałem wyraźnie bicie mojego oszalałego serca, żołądek zaś zalały mi mdłości. Zastanowiłem się, czy nie zatraciłem swoich umiejętności – niezbędnej każdemu terapeutycie zdolności do dystansu wobec ludzi chorych i cierpiących, odporności na emocjonalne gradobicie...

Zajrzałem do notesu. Raoul Melendez-Lynch. Prawdopodobnie chciał mnie poprosić o wykład dla stażystów na temat psychologicznych aspektów chronicznych chorób albo behawioralnych metod panowania nad bólem. Zwykły akademicki wykład, podczas którego mógłbym się ukryć za slajdami, kasetami wideo i ponownie odgrywać profesora.

W tej chwili owa perspektywa wydała mi się szczególnie atrakcyjna. Wykręciłem numer.

Telefon odebrała młoda kobieta. Głos miała nieco zdyszany.

– Laboratorium onkologiczne.

– Poproszę z doktorem Melendezem-Lynchem.

– Nie ma go w tej chwili.

– Mówi doktor Delaware. Oddzwaniam na jego prośbę.

– Przebywa chyba gdzieś na terenie szpitala – odparła roztargnionym głosem.

– Mogłaby mnie pani połączyć z centralą?

– Nie jestem pewna, jak to zrobić... Nie jestem jego sekretarką, doktorze... Delray.

Przerwałam w samym środku eksperymentu i naprawdę muszę do niego wrócić. Rozumie pan?

– W porządku.

Rozłączyłem się, wykreśliłem numer centrali i poprosiłem, by odszukano doktora Melendez-Lyncha. Telefonistka wróciła po pięciu minutach i oznajmiła mi, że w pokoju doktora telefon nie odpowiada. Zostawiłem nazwisko i swój numer. Rozłączając się, pomyślałem, jak niewiele zmieniła się ta instytucja w ostatnich latach. No i sam Raoul. Praca z nim była stymulująca, lecz równocześnie frustrująca. Próba zmuszenia go do czegoś równała się rzeźbieniu w kremie do golenia.

Wszedłem do biblioteki, wziąłem nowy thriller i usiadłem z nim w wygodnym skórzanym fotelu. Ledwie stwierdziłem, że akcja książki jest sztuczna, a dialogi zbyt ostre, zadzwonił telefon.

– Słucham.

– Witaj, Alex! – usłyszałem głos Raoula. – Dzięki, że oddzwoniłeś – jak zwykle mówił tak szybko, że z trudem go rozumiałem.

– Próbowałem cię złapać w laboratorium, lecz dziewczyna, która odebrała telefon, nie była zbyt pomocna.

– Dziewczyna? Ach, tak, to pewnie Helen. Moja nowa doktorantka. Błyskotliwa młoda dama po Yale. Wspólnie usiłujemy zrozumieć proces metastazy. Helen współpracowała w New Haven z Brewerem nad budową syntetycznych ścian komórkowych, dlatego też analizujemy inwazyjność różnych form guza na odpowiednich modelach.

– Ciekawe.

– To naprawdę pasjonująca praca – zrobił krótką pauzę, po czym spytał: – A co u ciebie, stary przyjacielu? Jak się miewasz?

– Świetnie, a ty?

Zachichotał.

– Jest dwudziesta pierwsza czterdzieści trzy, a ja jeszcze nie skończyłem papierkowej roboty z kartami pacjentów. Wysnuj z tego wnioski na temat mojego samopoczucia.

– Och, daj spokój, kochasz tę robotę.

– Tak, rzeczywiście ją kocham. Jak mnie nazwałeś przed laty? Klasycznym przedstawicielem osobowości typu A?

– A plus.

– Zapewne umrę na zawał z przepracowania, ale za nic nie porzucę papierkowej roboty!

Tylko częściowo był to żart. Ojciec Raoula, dziekan Akademii Medycznej w Hawanie

jeszcze przed rządami Castro, upadł na korcie tenisowym i zmarł w wieku czterdziestu ośmiu lat. Mój przyjaciel miał teraz o pięć lat mniej, a odziedziczył po ojcu zarówno skłonność do szalonego trybu życia, jak i niektóre kiepskie geny. Kiedyś starałem się go namówić do spokojniejszego życia, lecz szybko się poddałem. Jeśli cztery nieudane małżeństwa nie wyleczyły go z pracoholizmu, cóż... nikt mu nie pomoże.

– Niechybnie dostaniesz Nagrodę Nobla – oświadczyłem.

– I cała pójdzie na alimenty! – Najwyraźniej uznał swoje stwierdzenie za niesamowicie zabawne, długo bowiem rechotał. Wreszcie się uspokoił. – Chcę cię prosić o przysługę, Alex powiedział. – Pewna rodzina sprawia mi kłopoty... Rodzice nie chcą się zgodzić na kurację syna... Pomyślałem, że mógłbyś z nimi porozmawiać.

– Pochlebiasz mi, ale co się stało z twoim personelem?

– Mój personel narobił tylko bałaganu – odparł szczerze wkurzony. – Alex, wiesz, ile mam dla ciebie szacunku...

Nigdy nie zrozumiem, dlaczego porzuciłeś tak wspaniale zapowiadającą się karierę, ale to twoja sprawa. Ludzie, których przysyła mi opieka społeczna, to zwyczajni amatorzy. Tak, drogi przyjacielu, zwykli amatorzy. Romantyczni idealiści, którzy sądzą, że zbawią moich pacjentów i świat. Większość psychologów nie chce mieć z nami nic wspólnego. Boorstin na przykład cierpi na chorobliwy lęk przed śmiercią i przeraża go samo słowo „rak”.

– Brak efektów, prawda?

– Tak, przez ostatnie pięć lat niestety nic się nie zmieniło, a jeśli już, to raczej na gorsze. Powoli zaczynam rozglądać się za inną pracę. W ubiegłym tygodniu zaoferowano mi niezłe stanowisko. Szpital w Miami. Szef personelu medycznego. Więcej pieniędzy i tytuł profesorski.

– Rozważyłeś to?

– Na razie nie. Sądzę, że nie miałbym tam możliwości prowadzenia badań. Podejrzewam nawet, że chcą mnie zatrudnić z powodu mojej znajomości hiszpańskiego, a nie dlatego, że jestem takim geniuszem. Tak czy owak, zastanów się nad udzieleniem pomocy swojemu staremu wydziałowi. Oficjalnie nadal figurujesz w naszych aktach jako konsultant.

– Szczerze mówiąc, od dłuższego czasu nie przyjmuję żadnych spraw terapeutycznych.

– Tak, tak, zdaję sobie z tego sprawę – mruknął niecierpliwie – tyle że tu nie chodzi o terapię. Nazwałbym ten przypadek raczej krótkoterminową współpracą doradczą. Nie myśl, że biorę cię na litość, lecz chodzi o życie pewnego małego chorego chłopca.

– Właściwie... co miałeś na myśli, mówiąc, że rodzice nie chcą się zgodzić na kurację?

– Sprawa jest zbyt skomplikowana na rozmowę telefoniczną. Nie chcę być niegrzeczny, ale muszę wracać do laboratorium i sprawdzić, jak sobie radzi Helen. Badamy właśnie in vitro nowotwór wątroby, który zaczyna się rozprzestrzeniać na tkankę płucną. Wymaga to dokładności, skupienia, ustawicznej czujności. Pomówmy o sprawie chłopca jutro... O dziewiątej w moim biurze, dobrze? Zamówię śniadanie i sporządzimy odpowiednią umowę. Oczywiście zapłacimy za twój czas.

– W porządku, przyjadę.

– Doskonale. – Bez zbędnych słów się rozłączył.

Zakończywszy rozmowę z Melendezem-Lynchem, odłożyłem słuchawkę, rozejrzałem się po pomieszczeniu i westchnąłem ciężko, zastanawiając się nad wielością rodzajów szaleństwa.

Zachodnie Centrum Pediatryczne mieści się w centrum Hollywood, w niegdyś bardzo dobrej dzielnicy, obecnie zamieszkaney przez ćpunów, dziwki, striptizerki, dilerów narkotykowych i wszelkiego typu obiboków. „Pracujące dziewczyny” wcześniej dziś wstały i gdy jechałem Bulwarem Zachodzącego Słońca, ubrane w kuse podkoszulki i obcisłe szorty podchodziły na skrzyżowaniach do drzwiczek mojego seville’a, prężąc lubieżnie półnagie ciała i kusząco pogwizdując. prostytutki stanowiły równie nieodłączną część Hollywood jak mosiężne gwiazdy wtopione w chodniki i mógłbym przysiąc, że niektóre z tych krzykliwie umalowanych twarzy widziałem w tej okolicy już przed trzema laty. Uliczne dziwki wyraźnie dzieliły się na dwie kategorie. Jedną stanowiły smagłe uciekinierki z Bakersfield, Fresno i okolicznych farm, drugą – chude, długonogie, zmęczone życiem czarnoskóre dziewczyny z południowej części centrum Los Angeles. Wszystkie najwidoczniej stawiały sobie za punkt honoru rozpoczęcie pracy za kwadrans ósma. Gdyby inni mieszkańcy hrabstwa byli tak pracowici, Japończycy nie mieliby z nami szans.

Nagle wyłonił się przede mną szpital – wielki ogrodzony teren ze starymi budynkami z ciemnego kamienia i z jedną nowszą konstrukcją z betonu i szkła. Zostawiłem samochód na parkingu dla lekarzy i wszedłem do nowoczesnego gmachu o nazwie Prinzley Pavilion.

Oddział Onkologii mieścił się na piątym piętrze. Gabinety lekarskie rozmieszczono obok siebie w korytarzach o kształcie podkowy; pośrodku znajdowała się część administracyjna. Jako kierownik oddziału Raoul miał cztery razy tyle przestrzeni co każdy z pozostałych onkologów i sporo prywatności, gdyż jego biuro zajmowało koniec korytarza odgrodzony podwójnymi szklanymi drzwiami. Przeszedłem przez nie i trafiłem do części recepcyjnej. Ponieważ nigdzie nie dostrzegłem recepcjonistki, ruszyłem dalej przed siebie i wreszcie dotarłem do drzwi biura Raoula. Były oznaczone napisem: „Obcym wstęp wzbroniony”, mimo to otworzyłem je i wszedłem do środka.

Raoul mógłby mieć prawdziwie dyrektorski apartament, urządził tu jednak laboratorium; na biuro pozostała mu zaledwie klitka trzy na trzy i pół metra. Pokój wyglądał tak, jak go zapamiętałem – biurko zarzucone ogromnymi stertami korespondencji, czasopism i pozostawionych bez odpowiedzi wiadomości (wszystkie uporządkowane i starannie ułożone). Książki nie mieściły się w wysokiej od podłogi po sufit biblioteczce, toteż część leżała obok niej w stosach. Za biurkiem wisiały spłowiałe beżowe zasłony, które zakrywały wychodzące na wzgórze jedyne okno.

Znałem ten widok aż nazbyt dobrze, gdyż dużo czasu w Zachodnim Centrum Pediatrycznym zmarnowałem na wpatrywanie się w nadgryzione przez ząb czasu litery napisu: „Hollywood”. Najczęściej czekałem, aż Raoul zjawi się wreszcie na kolejnym zebraniu, które sam wcześniej

zaplanował, lecz o którym jak zwykle zapomniał. Albo traciłem cierpliwość podczas jego niekończących się zamiejscowych rozmów telefonicznych.

Teraz rozejrzałem się w poszukiwaniu jakichś śladów jego bytności i znalazłem styropianowy kubek na wpół wypełniony zimną kawą oraz kremową jedwabną marynarkę troskliwie powieszoną na oparciu krzesła przy biurku. Zastukałem do drzwi prowadzących do laboratorium. Nie usłyszałem odpowiedzi, a drzwi były zamknięte na klucz. Odsunąłem zasłonki, odczekałem chwilę i wysłałem Raoulowi informację na pager, ale nie oddzwonił. Mój zegarek wskazywał dziesięć minut po dziewiątej. Odkryłem, że odżywają we mnie stare uczucia – niecierpliwość i rozdrażnienie.

Postanowiłem poczekać jeszcze kwadrans, a później wyjść. Dość się już w życiu na niego naczekałem.

Raoul wpadł do biura dziewięćdziesiąt sekund przed wyznaczonym przeze mnie ostatecznym terminem.

– Alex! – Energicznie potrząsnął moją ręką. – Dziękuję, że przyszedłeś!

Postarzał się. Brzuch urósł mu do sporych rozmiarów piłki, którą opinała zapięta na wszystkie guziki koszula. Resztki włosów na wierzchołku głowy zniknęły już i tylko ciemne kędziory nad uszami zdobiły wysoką i błyszczącą czaszkę. Gęsty wąs, niegdyś hebanowy, poszarzał od siwizny. Tylko oczy przypominające ziarenka kawy stale się żywo poruszały, sugerując wieczną młodość i niespożytą energię ich właściciela. Raoul był niewysokim przysadziстым mężczyzną i chociaż ubierał się starannie, nie zamierzał tuszować zbytnich krągłości. Tego ranka włożył bladuróżową koszulę, czarny krawat w różowe zegary i kremowe spodnie, które pasowały do przewieszanej przez krzesło marynarki. Na nogach miał jasnobrązowe mokasyny o ostrych noskach, wypolerowane do połysku. Długi biały fartuch Raoula był wykrochmalony i nieskazitelnie czysty, ale o rozmiar za duży. Na szyi Melendez-Lynch zawiesił sobie stetoskop, a w kieszenie fartucha wsunął tyle ołówków i papierów, że aż obwisły.

– Dzień dobry, Raoul.

– Jadłeś już śniadanie? – Odwrócił się do mnie tyłem i niczym ślepiec przesunął grubymi palcami po zawałających biurko papierzyskach.

– Nie, powiedziałeś, że sam...

– Może zejdziemy do stołówki dla lekarzy? Oczywiście oddział zapłaci za twój posiłek.

– Brzmi zachęcająco – westchnąłem.

– Doskonale, doskonale. – Poklepał się po kieszeniach, przeszukał je, w końcu wymamrotał jakieś przekleństwo po hiszpańsku. – Wykonam jeszcze tylko kilka telefonów, a zaraz potem pójdziemy...

– Mam mało czasu. Byłoby dobrze, gdybyśmy poszli już teraz.

Odwrócił się i popatrzył na mnie z ogromnym zaskoczeniem.

– Co takiego? Och tak, oczywiście. Już idziemy. Rzucił jeszcze okiem na biurko, złapał

najnowszy egzemplarz magazynu medycznego „Krew” i wyszliśmy.

Chociaż miałem nogi dłuższe od jego o dobre dziesięć centymetrów, musiałem niemal biec, by za nim nadążyć. Pędziliśmy przez szklany korytarz, który łączył Prinley Pavilion z głównym budynkiem. A ponieważ mój towarzysz gadał podczas drogi jak najęty, nie mogłem odstać od niego ani o metr.

– Nazywają się Swope. – Przeliterował mi nazwisko. – Chłopiec ma na imię Heywood, zdrobniale mówią na niego Woody. Pięć lat. Zlokalizowany nowotwór układu limfatycznego, choć nie jest to choroba Hodgkina. Początkowo został zaatakowany tylko jeden z bocznych węzłów chłonnych. Skanowanie metastazy było bardzo piękny... to znaczy całkowicie zrozumiałe. Histologia nielimfoblastyczna, czyli korzystna, ponieważ znamy właściwą kurację...

Dotarliśmy do windy. Raoul zasapał się, poluźniał krawat. Drzwi rozsunęły się i wsiedliśmy, zjeżdżając na parter w milczeniu. Mój towarzysz nie potrafił ani przez chwilę stać nieruchomo: stukał palcami o ściankę windy, gładził wąsy, bawił się długopisem, włączając go i wyłączając.

Korytarz na parterze był – jak zwykle – pełen lekarzy, pielęgniarek, techników i pacjentów. Panował tu straszny hałas. Melendez-Lynch znowu zaczął mówić, lecz dotknąłem jego ramienia i krzyknąłem mu prosto do ucha, że go nie słyszę. Skinął głową i jeszcze szybciej pognął naprzód. Minęliśmy kafenię i weszliśmy do kiepsko oświetlonej, lecz całkiem porządnej stołówki dla lekarzy.

Grupa chirurgów i stażystów siedziała przy okrągłym stoliku. Wszyscy ubrani byli w zielone operacyjne uniformy. Jedli lub palili, czepki zwisały im na piersiach jak śliniaki. Poza nimi nie było tu nikogo.

Raoul poprowadził mnie do narożnego stolika, skinął na kelnerkę i rozłożył na kolanach płócienną serwetkę. Wziął do ręki pojemnik ze słodzikiem i odwracał go to w jedną, to w drugą stronę. Proszek przesypywał się z cichym szmerem niczym piasek w klepsydrze. Mój towarzysz powtórzył ten gest kilka razy, po czym podjął temat, przerywając jedynie na chwilę, by złożyć zamówienie.

– Pamiętasz protokół COMP?

– Jak przez mgłę. Cyklofosfamid... metotreksat i prednizon, prawda? Zapomniałem, co oznacza O.

– Bardzo dobrze. O to onkowi. Udoskonaliliśmy ten protokół specjalnie dla przypadków niebędących chorobą Hodgkina. Działa cuda, kiedy połączymy leki z naświetlaniem. Osiemdziesiąt jeden procent pacjentów przeżywa trzy lata bez nawrotu. Tak wygląda krajowa statystyka... Jeśli chodzi o moich pacjentów, procent jest jeszcze wyższy: ponad dziewięćdziesiąt przypadków wyleczeń na sto. Szczególnie dobrze kurację tę znoszą dzieci. Znam sporo pięcioletnich czy siedmiolatków, które czują się dziś znakomicie... Pomyśl o tym, Alex. Choroba, która dziesięć lat temu zabijała właściwie każde dziecko, stała się potencjalnie uleczalna. Światło w jego oczach nabrało dodatkowej mocy.

– Fantastyczne – zauważyłem.

– Idealne słowo. Rzeczywiście to jest fantastyczne. Podstawę stanowi chemioterapia multimodalna. Więcej doskonalszych leków w odpowiednich kombinacjach.

Kelnerka przyniosła nam jedzenie. Raoul położył sobie na talerzu dwie bułki, które pokroił na maleńkie kawałki. Skończył jeść, gdy byłem w połowie mojego bajgla. Kelnerka nalała kawy, którą Melendez-Lynch spróbował, dodał śmietanki, pomieszał i szybko przełknął. Następnie wytarł wargi i wąsy.

– Zauważ, że użyłem słowa „uleczalna”. Nie jest to gadanie o przedłużonej remisji. Pokonaliśmy guz Wilma, pokonaliśmy chorobę Hodgkina. Nowotwór układu limfatycznego będzie następny. Zapamiętaj moje słowa, bo tę chorobę zaczniemy skutecznie leczyć już w najbliższej przyszłości.

Pokroił i zjadł trzecią bułkę. Przywołał kelnerkę, prosząc o dolewkę kawy.

Gdy odeszła, powiedział:

– To właściwie nie jest kawa, mój przyjacielu, lecz tylko jakaś gorąca lura. Moja matka umie parzyć prawdziwą kawę. Na Kubie mieliśmy własne poletko. Jeden ze służących, stary Murzyn imieniem Jose, kruszył ziarna w dłoni. Mielenie jest bardzo istotne dla smaku kawy... – Wypił kilka łyków, odstawił kubek, wziął szklanekę z wodą i ją opróżnił. – Przyjdź do mnie do domu, a napijemy się prawdziwej kawy.

Przyszło mi do głowy, że chociaż pracowałem z tym człowiekiem przez trzy lata, a znałem go dwa razy dłużej, nigdy nie widziałem jego mieszkania.

– Może odwiedzę cię któregoś dnia. Gdzie mieszkasz?

– Niedaleko stąd. Mam mieszkanie na Los Feliz. Z jedną sypialnią... Malutkie, ale na moje potrzeby wystarczy. Kiedy człowiek mieszka sam, najlepiej żyć skromnie. Nie zgadzasz się z tym?

– Ależ zgadzam się.

– Też mieszkasz sam, prawda?

– Jeszcze do niedawna rzeczywiście tak było. Teraz zamieszkałem ze wspaniałą kobietą.

– To dobrze, bardzo dobrze. – Odniosłem wrażenie, że jego ciemne oczy się zachmurzyły. – Tak, tak, kobiety. Wzbogacają moje życie. I niszczą je. Moja ostatnia żona, Paula, ma duży dom we Flintridge. Inna w Miami, a dwie pozostałe Bóg wie gdzie. Jorge, mój drugi syn... syn Niny... twierdzi, że jego matka jest w Paryżu, ale ta kobieta nigdy nie zagrzała zbyt długo miejsca w jednym mieście.

Pochylił głowę i uderzył łyżeczką o stół. Potem pomyślał o czymś, co go wyraźnie rozweseliło.

– Jorge idzie w przyszłym roku na studia medyczne. Wybrał szkołę stanową w Hopkinsville.

– Gratuluję.

– Dziękuję. Wiesz, to wspaniały chłopak, zawsze taki był. Latem mnie odwiedza i pracuje w laboratorium. Jestem dumny, że go inspiruję do pracy. Pozostałe dzieciaki nie mają o niczym pojęcia... Kto wie, co będą robić w życiu, ale ich matki też nie były takie jak Nina. Nina



pracowała jako wiolonczelistka.

– Nie wiedziałem o tym.

Wziął kolejną bułkę i zważył ją w dłoni.

– Pijesz swoją wodę? – spytał.

– Nie, nie, częstuj się.

Wypił.

– Opowiedz mi o tych Swope'ach. Jakiego rodzaju problemy masz z nimi?

– Najgorsze z możliwych. Po prostu nie chcą się zgodzić na leczenie syna. Zamierzają zabrać go do domu i poddać Bóg wie jakiej kuracji.

– Sądziś, że to holiści?

Wzruszył ramionami.

– Całkiem możliwe. Pochodzą ze wsi, przyjechali z La Visty, małego miasteczka w pobliżu granicy z Meksykiem.

– To tereny rolnicze. Znam je.

– Na pewno leczą się tam robionymi przez siebie miksturami... Ojciec chłopca to farmer czy hodowca. Prymitywny człowiek, który stale próbuje mi czymś zaimponować. Pewnie skończył jakąś szkołę lub kursy, bo lubi zarzucać swoich rozmówców terminami z zakresu biologii. Duży, przysadzisty facet, tuż po pięćdziesiątce.

– Stary, jak na ojca pięciolatka.

– Tak. A matka musi mieć ponad czterdzieści pięć lat... Pewnie była to niechciana ciąża. A teraz obwiniają siebie za to, że ich syn ma raka.

– Cóż, nie widzę w takiej reakcji niczego niezwykłego – oceniłem. – Rodzice często zadają sobie pytanie, na które nie ma odpowiedzi: „Dlaczego zachorowało właśnie moje dziecko?” Nie postępują wtedy racjonalnie. Zdarza się to ludziom niezależnie od ich wykształcenia, nawet lekarzom, biochemikom i innym osobom, które powinny się znać na tych sprawach... Każdy przeżywa katusze, dylemat między rzeczywistością i pragnieniami. Większość rodziców przewycięża depresję i niemoc. Przecież trzeba leczyć dziecko...

– W tym przypadku – przerwał mi Raoul – ich wyrzuty sumienia nie są bezpodstawne. Stare jajniki... i tak dalej. No cóż, lepiej podam ci więcej faktów. Gdzie skończyłem... Ach tak, Emma Swope. Szara myszka. Posłuszna, uległa. W tej rodzinie rządzi ojciec. Dwoje dzieci. Córka ma około dziewiętnastu lat.

– Jak długo diagnozowano chłopca?

– Lekarz domowy zauważył podczas badania powiększony brzuch. Przez dwa tygodnie dziecko odczuwało ból, przez ostatnie pięć dni gorączkowało. Lekarz nabrał podejrzeń... Okazał się całkiem niezły jak na wiejskiego łapiducha. Nie ufał lokalnym szpitalom, więc przysłał Swope'ów do nas. Musieliśmy powtórzyć badania ogólne, zbadać krew, mocz, pobrać w dwóch miejscach szpik kostny, zastosować markery immunodiagnostyczne... Od dwóch dni mamy diagnozę. Nowotwór został zlokalizowany, na szczęście nie znaleźliśmy żadnych przerzutów.

Odbyłem z rodzicami rozmowę, poinformowałem ich, że prognozy są dobre, ponieważ guzy jeszcze się nie rozprzestrzeniły. Podpisali zgodę na leczenie i byliśmy gotowi do rozpoczęcia kuracji. W ostatnim czasie chłopiec często przechodził rozmaite infekcje oraz zapalenie płuc charakterystyczne dla osób z osłabioną odpornością, toteż zdecydowaliśmy się umieścić go w sterylnym module. Planowaliśmy potrzymać go w nim przez pierwszy okres chemioterapii. Sprawa wydawała się załatwiona, a potem nagle zadzwonił do mnie Augie Valcroix, który opiekuje się malcem... Pójdziemy do niego za chwilę. Powiedział mi, że rodzice się wystraszyli.

– Podczas pierwszej rozmowy nie sprawiali problemów?

– Właściwie nie. Ojciec mówił za nich oboje. Jego żona siedziała nieruchomo i płakała. Robiłem, co mogłem, by ją podnieść na duchu. Swope zadał mi mnóstwo dociekliwych pytań... Jak już wspominałem, starał się zrobić na mnie wrażenie. W sumie nasza rozmowa wyglądała na przyjazną pogawędkę poświęconą trudnemu tematowi. Rodzice dziecka wydali mi się inteligentni i otwarci. Po telefonie Augiego Valcroix poszedłem do nich. Chciałem porozmawiać. Wiesz, czasami rodzice słyszą o kuracji i wyobrażają sobie, że torturujemy ich dziecko. Zaczynają szukać prostszych „leków”, jak na przykład wywar z pestek moreli. Jeśli lekarz poświęci czas na wyjaśnienie zasad chemioterapii, zwykle udzielają ponownej zgody na kurację. Ale nie Swope’owie! Ci po prostu nagle się rozmyślili. Użyłem tablicy i kredy. Narysowałem wykres, pokazując im ową osiemdziesięciopięćprocentową statystykę związaną z leczeniem. Mój wykład nie zrobił na nich wrażenia. A przecież... Podkreślałem, że konieczny jest pośpiech. Przypochlebiałem im się, błagałem, krzyczałem. Nie spierali się ze mną. Po prostu odmówili i już. Chcą zabrać syna do domu.

Podzielił kolejną bułkę na kawałeczki i ułożył je w półkołu na swoim talerzu.

– Zamierzam wziąć jeszcze jajka – oznajmił nagle.

Skinął na kelnerkę. Przyjęła zamówienie, po czym za jego plecami posłała mi spojrzenie, które mówiło: „Jestem do tego przyzwyczajona”.

– Masz jakieś teorie na temat przyczyn tego zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni? – spytałem.

– Dwie. Albo Augie Valcroix zawałił sprawę, albo rodzicom namieszali w głowie ci przekleci „dotykacze”.

– Kto taki?

– „Dotykacze”! Tak ich nazywam na własny użytek. Członkowie jakiejś diabelskiej sekty o nazwie Dotknięcie, która ma swoją siedzibę nieopodal domu rodziny chłopca. Oddają cześć guru zwanemu Szlachetnym Matthiasem... Tak mi powiedział pracownik opieki społecznej. – W głosie Raoula pojawiła się pogarda. – *Madre de Dios*, Kalifornia stała się azylem dla psychicznych dewiantów z całego świata!

– Czy to holiści?

– Tak twierdzi facet z opieki społecznej. Holistyczne dupki... Każdą chorobę leczą marchewkami, otrębami i wstrętne śmierdzącymi ziołami, które zbierają o północy dla wzmocnienia efektu. Ukoronowaniem stuleci naukowego postępu jest świadomy regres

kulturowy! Świadomy!

– Co właściwie zrobili członkowie Dotknięcia?

– Nic, co mógłbym udowodnić. Wiem tylko jedno: do pewnego momentu wszystko szło gładko, Swope'owie wyrazili zgodę na kurację, a później pojawiła się pewna para z sekty... Mężczyzna i kobieta... Odwiedzili rodziców i zapoczątkowali katastrofę!

Kelnerka przyniosła talerz z jajecznicą i drugi z żółtym sosem. Przypomniałem sobie, jak Raoul lubi majonez. Teraz polał nim jajka, po czym wziął widelec i podzielił jajecznicę na trzy części. Środkową zjadł pierwszą, potem tę z prawej. Wreszcie zniknęła także część z lewej. Wylał usta i strząsnął okruszki z brody.

– Co ma wspólnego z tą sprawą twój kolega po fachu?

– Valcroix? Prawdopodobnie sporo. Pozwól, że ci o nim opowiem. Prezentuje się naprawdę świetnie: doktor medycyny, doktoryzował się u McGilla. Jest francuskim Kanadyjczykiem. Staż odbył w Mayo, potem tam pracował. Rok pracy badawczej w Michigan. Dobiega czterdziestki, jest starszy niż większość kandydatów, więc sądziłem, że dojrzały. Ha! Kiedy przeprowadzałem z nim rozmowę kwalifikacyjną, uznałem go za dobrze poukładanego, inteligentnego człowieka. Sześć miesięcy później stwierdziłem, że mam do czynienia z podstarzałym hipisem. Facet jest bystry, ale nie podchodzi do swojej pracy jak profesjonalista. Mówi i ubiera się jak nastolatek. No i stara się zniżyć do poziomu pacjentów. Rodzice go nie szanują, podobnie jak dzieci. Hm... Mam z nim też inne problemy. Przespał się przynajmniej z jedną matką pacjenta. O tej sprawie wiem na pewno, ale podejrzewam, że takich przypadków było znacznie więcej. Zapytałem go o to, a on spojrzał na mnie jak na pomyleńca. Nie mogłem zrozumieć, czym się przejmuję.

– Uważasz więc, że jest niemoralny?

– W ogóle nie zna słowa „moralność”. Czasami podejrzewam, że jest pijakiem albo ćpunem, ale nigdy nie udało mi się go przyłapać. Podczas obchodów jest doskonale przygotowany, zawsze znajduje właściwą odpowiedź na każde moje pytanie. Nazywam go nadzwyczaj wyedukowanym hipisem.

– Jak wyglądają jego kontakty ze Swope'ami?

– Powiedziałbym, że radzi sobie aż za dobrze. Wydaje się bardzo zaprzyjaźniony z matką chłopca i chyba całkiem dobrze się rozumie z ojcem... Najlepiej, jak można sobie wyobrazić. – Zapatrzył się w pusty kubek po kawie. – Nie byłbym zaskoczony, gdyby miał ochotę przespać się z siostrą chłopca. To bardzo pociągająca dziewczyna. Jednak nie to mnie dęczy najbardziej. – Zmrużył oczy. – Otóż zdaje mi się, że doktor August Valcroix sprzyja holistom i innym szarlatanom. Na zebraniach personelu mówi, że powinniśmy być tolerancyjni dla tego, co nazywa „alternatywnym podejściem do opieki zdrowotnej”. Spędził trochę czasu w indiańskim rezerwacie i szamani zrobili na nim spore wrażenie. Omawiamy na przykład jakiś artykuł z „New England Journal”, a ten nagle wyskakuje z uzdrowicielami i proszkiem ze skóry węża. Nieprawdopodobne. – Twarz Raoula wykrzywił grymas nieukrywanego wstrętu. – Kiedy mi

powiedział, że Swope'owie zabierają chłopca ze szpitala, chyba usłyszałem w jego głosie radość i triumf.

– Naprawdę sądzisz, że działał przeciwko tobie?

– Wróg w moim otoczeniu? – Zastanowił się. – Nie, nie w sposób jawny. Sądzę po prostu, że nie popierał w całej rozciągłości planu kuracji. Nie tak, jak powinien. Cholera, nie jesteśmy na wykładzie z teorii filozofii. Mówimy o biednym chłopcu, którego zapewne potrafię wyleczyć, a jego rodzina chce mi przeszkodzić w kuracji. To jest... morderstwo!

– Mógłbyś – podsunąłem – pójść z tą sprawą do sądu.

Posępnie pokiwał głową.

– Już poruszyłem ten temat w rozmowie ze szpitalnym prawnikiem. Uważa, że wygralibyśmy. Byłoby to jednakże pyrrusowe zwycięstwo. Pamiętasz sprawę Chada Greena? Dziecko miało białaczkę, rodzice zabrali je z Bostońskiego Szpitala Dziecięcego i wyjechali z nim do Meksyku, gdzie leczono je, hm... alternatywnie. Sprawą tą zajęły się media i zrobiły z niej cyrk. Rodzice stali się bohaterami, lekarzy i szpital przedstawiano jako żadne ofiar wilki. Ostatecznie, mimo wyroku sądowego, chłopiec nie został poddany kuracji i zmarł.

Przyłożył palce wskazujące do skroni i nacisnął. Żyły pod palcami pulsowały. Raoul się skrzywił.

– Migrena?

– Umiem sobie z nią radzić.

Wciągnął głęboko powietrze.

– Może rzeczywiście będę ich musiał podać do sądu, chciałbym jednak tego uniknąć. Dlatego właśnie zadzwoniłem do ciebie, przyjacielu.

Pochylił się do przodu i położył rękę na mojej dłoni. Jego skóra była bardzo ciepła i trochę wilgotna.

– Porozmawiaj z nimi, Alex. Użyj wszelkich sztuczek, które trzymasz w zanadrzu. Empatia, współczucie, sympatia... wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Spróbuj sprawić, by pojęli konsekwencje swojego czynu.

– Trudne zadanie.

Cofnął rękę i się uśmiechnął.

– Innych tu nie miewamy.

Ściany oddziału były pokryte żółtą tapetą z wzorkiem w postaci tańczących pluszowych misiów i uśmiechniętych szmacianych lalek. Gdy poczułem szpitalny zapach, od którego zdążyłem odwyknąć (zapach środków odkażających zmieszany z odorem chorych ciał i więdnących kwiatów), stwierdziłem, że jestem tu obcy. Chociaż przechodziłem tym korytarzem z tysiąc razy, poczułem nagle lodowaty niepokój, który często wywołują w ludziach szpitale.

Sterylny moduł znajdowały się na wschodnim końcu oddziału, za pozbawionym okien szarym korytarzem. Kiedy podeszliśmy, drzwi nagle się otworzyły i wyszła z nich młoda kobieta. W korytarzu zapaliła papierosa i prawdopodobnie zamierzała odejść, lecz Raoul zawołał do niej. Zatrzymała się, odwróciła i zamarła w tej pozycji – w jednej ręce papieros, druga na biodrze.

– Siostra Woody’ego – szepnął Melendez-Lynch.

Określił ją mianem bardzo pociągającej, lecz uznałem ten epitet za nazbyt enigmatyczny.

Dziewczyna prezentowała się po prostu oszałamiająco.

Była dość wysoka: między metr siedemdziesiąt a metr siedemdziesiąt pięć, a jej ciało wydawało się jednocześnie kobiece i chłopięce. Nogi miała długie i zgrabne, piersi małe i sterczące, szyję – łabędzią, ręce – delikatne i smukłe, paznokcie pomalowane na karmazynowo. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę, przepasaną srebrnym sznureczkiem, który podkreślał szczupłą talię i płaski brzuch. Sukienka sięgała zaledwie do połowy ud.

Na owalnej twarzy dziewczyny dostrzegłem dołeczki, wydatne kości policzkowe, a w maleńkich uszach po dwie cieniutkie złote obręcze. Usta miała pełne i nadzwyczaj czerwone.

Największe wrażenie zrobiła na mnie jej karnacja.

Włosy – długie, lśniące, miedziano-rude – zaczesła do tyłu, odsłaniając wysokie gładkie czoło. W przeciwieństwie do większości rudzielców nie miała jednak piegów ani mlecznobiałej cery, lecz pozbawioną jakichkolwiek szkarad opaloną skórę. Oczy były szeroko rozstawione, atramentowo czarne, okolone pięknymi rzęsami. Dziewczyna miała zbyt ostry makijaż, ale brwi na szczęście zostawiła w spokoju. Gęste i ciemne, naturalnie wygięte w łuk, nadawały jej wygląd sceptyczki. Trudno było nie zauważyć tej młodej kobiety, uosobienia prostoty i wyrafinowania.

– Witaj – odezwał się Raoul.

Panna Swope poruszyła się lekko i z uwagą przypatrzyła się nam obu.

– Cześć – odezwała się posępnym tonem i obrzuciła nas znudzonym wzrokiem. Jakby dla zaakcentowania swojej niechęci do nas zerknęła powtórnie, po czym zaciągnęła się papierosem.

– Nono, przedstawiam ci doktora Delaware’a.

Kiwnęła głową bez większego zainteresowania.

– Jest psychologiem, ekspertem od opieki nad dziećmi chorymi na raka. Kiedyś pracował tutaj, na pododdziale modułów sterylnych.

– Cześć – mruknęła. Głos miała łagodny, przypominał szept, niemal pozbawiony modulacji.  
– Jeśli chciał porozmawiać z moimi rodzicami, to źle trafił, bo właśnie wyszli.

– Tak, po to właśnie go przyprowadziłem. Kiedy wrócą?

Wzruszyła ramionami i strzepnęła popiół na podłogę.

– Nie powiedzieli. Spali w szpitalu, więc prawdopodobnie wrócili do motelu, żeby się odświeżyć. Może przyjdą tej nocy, może dopiero jutro.

– Rozumiem. A jak ty sobie radzisz?

– Świetnie. – Spojrzała na sufit i kilka razy nerwowo postukała obcasem.

Raoul podniósł rękę, by poklepać ją po plecach w typowym lekarskim geście, jednak jej spojrzenie go powstrzymało. Natychmiast opuścił dłoń.

Pomyślałem, że to twarda dziewczyna, ale zapewne nie jest jej łatwo.

– Jak się ma Woody? – spytał Melendez-Lynch.

To pytanie wyraźnie ją rozwścieczyło. Napięła się, upuściła papierosa i zmiażdżyła go butem. Łzy zebrały się w kącikach jej ciemnych oczu.

– To ty jesteś lekarzem! Dlaczego sam nie odpowiesz na to pytanie?! – Zaciśnęła zęby, odwróciła się i uciekła.

Raoul nie patrzył mi w oczy. Podniósł niedopałek i wrzucił go do popielniczki. Przyłożył dłoń do czoła, głęboko wziął oddech i na jego twarzy pojawił się grymas. Zapewne bardzo bolała go głowa.

– Chodźmy – mruknął z rezygnacją. – Wejdźmy do środka.

Nabazgrany ręcznie napis w dyżurce pielęgniarek głosił: „Witamy w krainie medycyny ery kosmicznej”.

Tablica ogłoszeń była obwieszona karteczkami z harmonogramami, wyciętymi z czasopism dowcipami rysunkowymi oraz grafikami dawkowania chemioterapii. Dostrzegłem też ozdobione autografem zdjęcie jednego ze słynnych graczy Dodgersów. Obok bejsbolisty stał wózek z łysym chłopcem, który trzymał w obu rękach kij i nabożnie wpatrywał się w sportowca. Ten chyba nie czuł się najlepiej w towarzystwie malca oplecionego rurkami kropłówki.

Raoul wyjął ze skrzynki kartę zdrowia, obejrzał ją, po czym odchrząknął i wcisnął guzik na tablicy nad biurkiem. Kilka sekund później do pomieszczenia zajrzała ubrana na biało tęga kobieta.

– Tak? Och, witam, doktorze Melendez. – Spojrzała na mnie pytająco.

Raoul przedstawił mnie pielęgniarce, która nazywała się Ellen Beckwith.

– No dobrze – powiedziała z wyższością. – Na pewno znajdziemy tu dla pana coś do roboty.

– Doktor Delaware pełnił niegdyś funkcję głównego psychoterapeuty pododdziału modułów sterylnych. To ekspert o międzynarodowej sławie. Zajmuje się psychologicznymi skutkami wymuszonej izolacji.

– Och, to świetnie. Miło mi pana poznać.

Uścisnąłem podaną mięsistą dłoń.

– Ellen, kiedy państwo Swope’owie wrócą na oddział? – zapytał Raoul.

– Nie wiem, doktorze. Siedzieli tutaj przez całą noc. Dotychczas przychodzili codziennie, więc powinni się zjawić za jakiś czas.

Melendez-Lynch zacisnął zęby.

– Jesteś bardzo pomocna, Ellen – mruknął drwiąco.

Pielęgniarka zmieszała się, wyglądała teraz na zwierzę złapane w sidła.

– Przykro mi, doktorze, ale rodzice pacjentów nie muszą nam się opowiadać...

– Mniejsza o to. Jeśli chodzi o stan chłopca... wiesz coś więcej niż to, co widnieje w jego karcie?

– Nie, doktorze, teraz czekamy tylko na... – Uchwyciła spojrzenie, jakim ją obrzucił, i na moment zamilkła. – Właśnie zamierałam zmienić pościel w sali numer 3, więc jeśli nie ma pan dalszych pytań...

– Idź, idź. Najpierw jednak sprowadź mi Beverly Lucas.

Ellen zerknęła na tablicę wiszącą na przeciwległej ścianie pokoju.

– Jakiś czas temu opuściła oddział. Wzięła pager.

Raoul podniósł wzrok na sufit i podkreślił węża, pod którym lekko drżały usta – jedyna oznaka jego straszliwej migreny.

– W takim razie zadzwoń na pager, na miłość boską!

Pielęgniarka odeszła pośpiesznie.

– I ci ludzie uważają się za specjalistów – warknął. – Czują się równi lekarzom i sądzą, że potrafią z nimi współpracować. Kompletna bzdura!

– Używasz jakichś leków przeciwbólowych? – spytałem.

Pytanie to zbiło go z tropu.

– Co takiego? Och, moja migrena nie jest aż tak straszna – skłamał gładko i błysnął wymuszonym uśmiechem. – Czasami coś biorę.

– Próboweś autohipnozy albo akupunktury?

Pokręcił głową.

– Powinieneś. To naprawdę działa. Nauczysz się siłą woli rozszerzać własne naczynia krwionośne albo uciskać odpowiednie miejsca.

– Nie mam czasu na naukę.

– To nie trwa długo, jeśli pacjent ma silną motywację.

– Tak, no cóż... – przerwał mu dźwięk telefonu. Odebrał, wydał polecenia do słuchawki i ją odłożył.

– Zjawi się za chwilę. Beverly Lucas, pracownica opieki społecznej. Wprowadzi cię we wszystko.

– Znam Beverly. Odbywała tu praktykę studencką, gdy byłem na stażu.

– No i co?

– Zawsze uważałem ją za przebojową osobkę.

– Skoro tak mówisz. – Popatrzył z powątpiewaniem. – Niezbyt mi pomogła w sprawie Swope'ów.

– Mnie również może się nie powieść, Raoul.

– Ty to co innego. Myślisz jak naukowiec, a równocześnie potrafisz nawiązać kontakt z pacjentami. Posiadasz rzadką kombinację różnych cech, przyjacielu, i właśnie dlatego cię wybrałem.

Prawdę mówiąc, nigdy mnie nie wybierał, ale nie podjąłem tematu. Może po prostu zapomniał o początkach naszej współpracy.

Wiele lat temu Melendez-Lynch otrzymał rządową dotację na badanie medycznych aspektów odosobnienia chorych na raka dzieci w sterylnym środowisku. Owe „środowiska” przybyły do szpitala z NASA i były plastikowymi modułami używanymi do kwarantanny astronautów powracających z wypraw kosmicznych w celu ochrony przed zainfekowaniem reszty społeczeństwa kosmicznymi bakteriami. Moduły były stale filtrowane powietrzem. Równomierny przepływ był niezwykle ważny, ponieważ nie dopuszczał do powstania obszarów, w których zbierałyby się i rozmnażały zarazki.

Znaczenie skutecznej ochrony chorych na raka przed mikroorganizmami było oczywiste dla każdego, kto choć trochę rozumiał zasady chemioterapii, bowiem wiele leków używanych do zabijania nowotworów niszczyło także układ immunologiczny organizmu. Równie duża liczba pacjentów umierała w trakcie kuracji zarówno z powodu infekcji, jak i samej choroby.

Raoul miał jako naukowiec doskonałą reputację, toteż rząd chętnie przysłał mu cztery moduły i przekazał do dyspozycji mnóstwo pieniędzy. A on natychmiast stworzył minioddział i laboratorium, podzielił chore dzieci na dwie grupy: eksperymentalną i kontrolną; te drugie leczono w normalnych salach szpitalnych konwencjonalnymi metodami, używając w celu izolacji masek i fartuchów. Zatrudnił mikrobiologów, którzy monitorowali poziom zarazków. Załatwił sobie dostęp do komputera w Kalifornijskim Centrum Techniki, gdzie analizował dane.

Wtedy ktoś zwrócił uwagę na ewentualne szkody psychologiczne.

Raoul wyśmiał ryzyko, jednak ludzie z eksperymentalnego zespołu medycznego zaczęli mieć wątpliwości, zwłaszcza że doświadczeniu poddawano bardzo małe dzieci, nawet dwuletnie. Miesiące w plastikowym pokoju, podczas których skóra dziecka nie miała żadnego kontaktu ze skórą innych ludzi, oddzielenie od normalnych życiowych czynności... „Środowisko” z pewnością pełniło funkcję ochronną, lecz również mogło się okazać szkodliwe. Tak czy owak, większość lekarzy uważała, że eksperymentowi należy się dobrze przyjrzeć.

W owym czasie byłem psychologiem stażystą i otrzymałem tę pracę tylko dlatego, że żaden inny terapeuta nie chciał mieć nic wspólnego z nowotworami. Poza tym nikt nie miał ochoty współpracować z Raoulem Melendezem-Lynchem.

Uznałem to za okazję do przeprowadzenia fascynujących badań i zapobieżenia katastrofie w sferze emocjonalnej małych pacjentów. Gdy po raz pierwszy spotkałem Raoula i zacząłem mu mówić o swoich pomysłach, obrzucił mnie lekceważącym spojrzeniem i wrócił do lektury



egzemplarza „New England Journal”.

Gdy skończyłem mówić, podniósł na mnie wzrok i oświadczył:

– Przypuszczam, że będziesz potrzebował osobnego gabinetu.

Początek współpracy był nie najlepszy, lecz z czasem Melendez-Lynch docenił znaczenie konsultacji psychologicznej. Wierciłem mu dziurę w brzuchu, by stworzyć prawdziwy oddział. Chciałem, by każdy moduł miał dostęp do okna. Tak długo marudziłem, aż Raoul uzyskał fundusze na pełnoetatową przedszkolankę oraz pracownika społecznego, który zajmował się rodzinami. Dostałem też spory limit godzin na rejestrację oraz analizę komputerową danych psychologicznych. W końcu moja działalność się opłacała. Inne szpitale musiały zrezygnować z izolacji pacjentów ze względu na problemy psychologiczne, natomiast nasze dzieci całkiem dobrze znosiły tę osobliwą kurację. Zebrałem stopy danych i opublikowałem wiele artykułów oraz monografię psychologicznych skutków terapii (Melendez-Lynch występował jako współautor). Środowisko lekarskie zaczęło poświęcać więcej uwagi wynikom badań psychologicznych niż artykułom stricte medycznym i w ciągu trzech lat Raoul zmienił się w entuzjastycznego zwolennika opieki psychologicznej, stał się nieco bardziej... ludzki.

Zaprzyjaźniliśmy się, chociaż nie była to przyjaźń zbyt głęboka. Czasami rozmawialiśmy o jego dzieciństwie. Jego rodzina, pochodząca z Argentyny, uciekła z Hawany łodzią rybacką, gdy Castro znacjonalizował ich plantację i większą część majątku. Okazało się, że wujowie Raoula i większość kuzynów ukończyli studia medyczne, a niektórzy nawet uzyskali tytuł profesorski. (Wszyscy byli dystygnowanymi dżentelmenami poza kuzynem Ernestem, który okazał się „komunistyczną świnią”. Również był lekarzem, ale porzucił rodzinę i swój zawód, stając się radykałem, mordercą. Mimo że „tysiące głupców” czciło go jako Che Guevare, dla Raoula pozostał „nikczemnym kuzynem Ernestem”, czarną owcą rodziny).

Choć Melendez-Lynch odnosił wspaniałe sukcesy na polu zawodowym, jego życie osobiste stanowiło prawdziwą klęskę. Fascynował kobiety, lecz tylko do czasu, gdyż w końcu każdą z nich odstręczał jego obsesyjny charakter. Cztery kobiety zaryzykowały małżeństwo i wytrzymały w nim przez jakiś czas; Raoul spłodził jedenaścioro dzieci. Większości z nich nigdy nie widział.

Skomplikowany i trudny człowiek.

Teraz siedział na plastikowym krześle w ponurym biurze i próbował udawać macho, mimo że z bólu pękała mu głowa.

– Chciałbym się spotkać z tym chłopcem – odezwałem się.

– Oczywiście. Jeśli masz ochotę, mogę cię przedstawić natychmiast.

Gdy wstawał, do pomieszczenia weszła Beverly Lucas.

– Dzień dobry, panowie – powiedziała. – Alex... Jak miło cię widzieć.

– Cześć, Bev.

Podniosłem się i na moment przytuliłem ją do siebie.

Wyglądała dobrze, chociaż wydawała się znacznie szczuplejsza, niż pamiętałem. Przed laty znałem ją jako wesołą, pełną entuzjazmu i chyba jeszcze erotycznie nierozbudzoną praktykantkę.

W szkole średniej była zapewne pulchniutka. Teraz dobiegała trzydziestki i z beztraskiej dziewczyny zamieniła się w dojrzałą kobietę. Była drobna i ładna, miała zaróżowione policzki i włosy w kolorze słomy, zakręcone w długie miękkie loki. Na okrągłej, nietkniętej przez makijaż twarzy zwracały uwagę piękne orzechowe oczy o kształcie spodeczków. Nie nosiła biżuterii, ubrana była prosto – w długą do kolan granatową spódnicę, kraciastą błękitno-czerwoną bluzkę z krótkimi rękawami, zwykle mokasyny. Wielką torebkę delikatnie postawiła na biurku.

– Zeszczuplałaś – zauważyłem.

– Biegam na długie dystanse.

– Imponujące hobby.

– Bieganie pomaga mi się skupić. – Usiadła na krawędzi biurka. – Co cię do nas sprowadza po tylu latach?

– Raoul prosił mnie o pomoc w sprawie Swope'ów.

Nagle spoważniała, jakby przybyło jej kilka lat. Z wymuszoną uprzejmością mruknęła:

– Powodzenia.

Raoul wstał i zaczął tłumaczyć.

– Alex Delaware jest ekspertem w dziedzinie psychospołecznej opieki nad dziećmi z nowotworami złośliwymi...

– Raoul – przerwałem mu – może niech Beverly wprowadzi mnie w tę sprawę. Nie musisz marnować swojego cennego czasu.

Popatrzył na zegarek.

– Tak. Rzeczywiście. Przekażesz mu – zwrócił się do Beverly – najdrobniejsze szczegóły, dobrze?

– Oczywiście, panie doktorze – odparła z przekąsem.

– Mam cię przedstawić Woody'emu?

– Nie trudź się, Raoul. Beverly na pewno ze wszystkim sobie poradzi.

Spojrzał na nią, a potem ponownie na zegarek.

– No dobrze, idę. Zadzwoni, jeśli będziesz mnie potrzebował.

Zdjął z szyi stetoskop i odszedł, machając nim.

– Przepraszam – powiedziałem, gdy zostaliśmy sami. – Nie przejmuj się, Raoul to straszny dupek. Jesteś już drugą osobą, którą dziś rano zdenerwował.

– Będzie ich znacznie więcej przed zachodem słońca. Kim była pierwsza?

– Nona Swope.

– Ach, panna Swope. Obrażona na cały świat.

– Pewnie sytuacja jest dla niej trudna – stwierdziłem.

– Niewątpliwie – zgodziła się Beverly. – Sądzę jednak, że stała się taką panną dużo wcześniej, zanim jej brat zachorował. Próbowałam nawiązać z nią jakiś kontakt... z całą rodziną... Niestety, nie otworzyli się przede mną. Oczywiście – dodała z goryczą – tobie się to uda.

– Bev, nie jestem cudotwórcą. Raoul nie wspominał o wcześniejszych próbach... A ja tylko

chciałem oddać przyjacielowi przysługę. Rozumiesz?

– Powinieneś lepiej wybierać przyjaciół...

Nie odpowiedziałem, czekałem, aż przemyśli sobie własne słowa.

Moja metoda zadziałała.

– Ojej, Alex, przepraszam. Ale z Raoulem nie sposób pracować, zupełnie nie dostrzega starań innych, wpada w złość, gdy coś idzie nie po jego myśli. Złożyłam podanie o przeniesienie, ale póki nie znajdą frajera na moje miejsce, nie wypuszczą mnie stąd.

– Nikt nie jest w stanie wykonywać tego typu pracy przez dłuższy czas – zauważyłem.

– Doskonale o tym wiem! Życie jest zbyt krótkie. Dlatego zaczęłam biegać. Przychodzę do domu kompletnie wypalona, wyprana z emocji... Dopiero po paru godzinach joggingu zaczynam na nowo egzystować.

– Wyglądasz świetnie.

– Tak? Zaczęłam się już martwić, że zbyt szybko schudłam. Ostatnio straciłam apetyt... Och, cholera, za bardzo się skupiam na sobie. A przecież otaczają mnie ludzie, którzy mają prawdziwe kłopoty.

– Człowiek powinien o siebie dbać.

– Staram się tak właśnie myśleć. – Uśmiechnęła się i wyjęła notes. – Przypuszczam, że oczekujesz psychospołecznej opinii na temat Swope'ów.

– Przydałaby się.

– Cóż, zacznijmy od tego, że to są bardzo dziwni ludzie. Matka nigdy się nie odzywa, ojciec mówi przez cały czas, a siostra chłopca szczerze nienawidzi rodziców.

– Skąd o tym wiesz?

– Widzę, jak na nich patrzy. Dziewczyna rzadko bywa w szpitalu, a gdy już przyjdzie, pozornie nie poświęca Woody'emu szczególnej uwagi. Wpada o dziwnych godzinach: późno w nocy albo bardzo wcześnie rano. Pielęgniarki z nocnego dyżuru mówią, że przeważnie tylko siedzi i patrzy na chłopca. Zresztą on wtedy i tak zazwyczaj śpi. Raz na jakiś czas Nona wchodzi do modułu i czyta dziecku książkę. Jej ojciec również niewiele zajmuje się malcem. Lubi poflirtować z pielęgniarkami i stale się wymądrza, jakby pozjadał wszystkie rozumy.

– Raoul mówił to samo.

– Czasem udaje mu się coś zauważyć. – Zaśmiała się złośliwie. – Mówiąc poważnie, Swope to osobliwy facet. Wielki, siwowłosy, z brzuchem piwosza i małą bródką. Z wyglądu przypomina ostrzyżonego Buffalo Billa, a zachowuje się, jakby był kompletnie pozbawiony uczuć... Podejrzewam, że możemy mieć do czynienia z odrzuceniem dziecka. Widziałam tu wiele podobnych przypadków, jednakże Swope przekracza wszelkie granice. U jego syna rozpoznano nowotwór, a on śmieje się i żartuje z pielęgniarkami. Opowiada o swoim sadzie, zarzuca rozmówców ogrodniczymi terminami. Wiesz, co może się przydarzyć człowiekowi, który tak się zachowuje?

– Wiem, może się nagle załamać.

– Właśnie. Ni z tego, ni z owego uświadomi sobie sytuację i łups! Wpadnie w depresję.

– Z twoich słów wynika, że rodzina nie jest dla chłopca oparciem.

– Hm, jest jeszcze matka. Chyba nigdy nie spotkałam bardziej potulnej kobiety... Garland Swope jest w tej rodzinie królem. Jednakże jego żona naprawdę okazuje sporo uczuć swojemu synkowi. To dobra matka. Opiekuje się dzieckiem, często je przytula i całuje, bez wahania wchodzi do modułu. Sam wiesz, że skafander kosmiczny przeraża niektórych rodziców. Jednak ona natychmiast się do niego przyzwyczaiła. Pielęgniarki widują ją, jak płacze, gdy sądzi, że nikt jej nie widzi, natomiast w towarzystwie męża zawsze się uprzejmie uśmiecha i przytakuje wszystkim. Biedna kobieta.

– Dlaczego twoim zdaniem chcą zabrać dziecko ze szpitala? – spytałem.

– Wiem, co myśli Raoul. Obarcza winą członków sekty Dotknięcie. Ma obsesję na punkcie holistów... Nie wiem jednak, skąd jest tego taki pewien. Może w rzeczywistości to jego należałoby obarczyć choć częściowo odpowiedzialnością za zmianę decyzji rodziców. Nie potrafi się z tymi ludźmi porozumieć. Nie tylko z nimi zresztą. Bywa zbyt brutalny, gdy wyjaśnia zasady kuracji. Zniechęca w ten sposób wiele osób...

– Raoul twierdzi, że lekarz chłopca coś zaniedbał.

– Augie Valcroix? Augie żyje na swój sposób, ale to dobry człowiek. Jeden z tych nielicznych lekarzy, którzy rzeczywiście poświęcają czas rodzinom pacjentów. Siada z nimi i bezpośrednio rozmawia. Bardzo się z Raoulem nie lubią. Ich wzajemna niechęć jest całkiem zrozumiała dla każdego, kto zna ich obu. Augie uważa Melendezę-Lyncha za faszystę, Raoul zaś wyzywa Augiego od wywrotowców. Nieźle się bawię, pracując na tym oddziale.

– Powiesz mi coś więcej o tej sekcji?

Wzruszyła ramionami.

– Cóż mogę dodać? Kolejna grupka zbłąkanych duszyczek. Niewiele o nich wiem... Tyle jest tu różnych skrajnych ugrupowań, że trudno ją zliczyć. Dwoje przedstawicieli Dotknięcia pojawiło się u nas parę dni temu. Facet wyglądał na nauczyciela: słabeusz, okularki, kozia bródka, brązowe trampki. Jego towarzyszka była znacznie starsza, pewnie pod pięćdziesiątkę. Chyba kiedyś była przystojna, ale niewiele już pozostało z jej urody. Oboje mieli... szkliste spojrzenie. Spojrzenie, które mówi: „Znam sekrety wszechświata, ale wam ich nie zdradzę”. Jak ludzie w transie... Jak przedstawiciele Kościoła Zjednoczenia Moona, sejentolodzy, krisznowcy, jak członkowie większości sekt... Właśnie tak patrzyli.

– Nie sądzisz, że to oni przekonali Swope'ów, by nie leczyli chłopca?

– Może w jakimś stopniu. Nie obarczałabym ich jednakże całkowitą winą. Raoul szuka po prostu kozła ofiarnego i łatwych odpowiedzi. To jego styl. Większość lekarzy postępuje w ten sposób. Chce jak najszybciej rozwiązać skomplikowane problemy.

Odwróciła wzrok i skrzyżowała ręce na piersi.

– Naprawdę męczy mnie ta sytuacja – powiedziała cicho.

Skierowałem rozmowę z powrotem na Swope'ów.

– Raoul zastanawiał się, czy rodzice, ze względu na swój wiek... mają wyrzuty sumienia. Może chłopiec był dzieckiem niechcianym?

– Nie zbliżyłam się do tych ludzi wystarczająco, by wysnuwać takie wnioski. Ojciec chłopca uśmiechał się, zwracał się do mnie per „moja droga”, ale nigdy nie pozwolił mi zostać sam na sam ze swoją żoną. Nie udało mi się z nią dłużej porozmawiać. Wszyscy członkowie tej rodziny są dziwnie skryci. Może mają sekrety, których ujawnienia sobie nie życzą.

Pomyślałem, że nie jest to wykluczone. Równie dobrze jednak mogło ich po prostu przerażać nowe nieznane środowisko, pobyt z dala od domu, poważny stan ich dziecka.

Może nie chcieli okazywać uczuć przed obcymi. Może nie przepadają za pracownikami opieki społecznej. Może są z natury skryci. Zbyt wiele tych możliwości...

– Co z Woodym?

– Bystry malec. Trafił tu jednak w ciężkim stanie, więc trudno mi dokładnie określić jego charakter. Wydaje się grzeczny, miły... a jak wiesz, ludzie cierpiący nie zawsze są uprzejmi. – Wyjęła chusteczkę higieniczną i wydmuchała nos. – Nie znoszę tutejszego powietrza. Woody jest sympatycznym chłopcem, który potulnie na wszystko się zgadza. Chce być lubiany. Trochę bierny. Płakał podczas punkcji, bo go to bolało, ale zazwyczaj jest spokojny i nie sprawia większych problemów – zamilkła na moment, powstrzymując łzy. – Przerwanie tej kuracji będzie potworną zbrodnią. Nie lubię Melendeza-Lyncha, niech go szlag, ale tym razem ma rację! Jeśli rodzice zabiorą chłopca do domu, zabiją go. Myśl, że pewnie coś zepsuliśmy, doprowadza mnie do szału.

Uderzyła pięścią w biurko, potem wyprostowała się i zaczęła chodzić po pokoju. Zauważyłem, że drży jej dolna warga.

Wstałem, podszedłem do Beverly i otoczyłem ją ramionami. Wtuliła twarz w kołnierz mojej marynarki.

– Czuję się jak idiotka!

– Nie jesteś idiotką. – Uścisnąłem ją mocniej. – Nic nie zawiniłaś.

Odsunęła się ode mnie i wytarła oczy. Kiedy uznałem, że się opanowała, powiedziałem:

– Chciałbym teraz poznać Woody'ego.

Skinęła głową i zaprowadziła mnie na pododdział modułów sterylnych.

Cztery moduły stały obok siebie niczym przedziały kolejowe. Oddzielały je ruchome ścianki, które można było rozsuwać i zasuwac za pomocą przycisków znajdujących się w każdym pomieszczeniu. Ściany modułów wykonano z przezroczystego plastiku, toteż każdy przypominał kostkę lodu o boku wielkości trzy na trzy metry.

W trzech z tych kostek przebywały dzieci, czwartą wypełniało dodatkowe wyposażenie: zabawki, łóżeczka, torby z ubraniami. Na wewnętrznej stronie każdej ruchomej ścianki znajdowała się perforowana szara płyta – filtr, przez który głośno przepływało powietrze. Drzwi modułów podzielono na dwie części: dolna była metalowa, zamknięta, górna – plastikowa,

uchylona. Mikroby nie miały tu dostępu dzięki bardzo szybkiej wymianie powietrza. Po obu stronach modułów biegły równoległe korytarze; tylne przeznaczone były dla odwiedzających, przednie zaś dla personelu medycznego.

Pół metra przed wejściem do każdego modułu znajdowała się strefa ochronna, odgradzona od reszty pomieszczenia czerwoną taśmą na winylowej podłodze. Stałem tuż przed taśmą przy wejściu do modułu numer 2 i przez chwilę patrzyłem na Woody'ego Swope'a.

Leżał na łóżku, plecami do nas, przykryty kołderką. Na frontowej ścianie modułu dostrzegłem zamocowane w otworach długie plastikowe rękawice, które umożliwiały włożenie dłoni do wolnego od zarazków środowiska. Beverly wsunęła w nie ręce i łagodnie pogładziła chłopca po głowie.

– Dzień dobry, kochanie.

Powoli, jakby z wysiłkiem, dziecko odwróciło się i popatrzyło na nas.

– Cześć.

Na tydzień przed odlotem Robin do Japonii poszliśmy we dwoje na wystawę fotografii Romana Vishniaca. Zdjęcia stanowiły kronikę żydowskich gett Europy Wschodniej tuż przed holocaustem. Było tam wiele portretów dzieci. Obiektyw fotografa uchwycił niewinne, niczego nieświadome twarzyczki; widział na nich paniczny strach. Zdjęcia bardzo nas poruszyły, do tego stopnia, że kiedy później rozmawialiśmy o nich, łzy napływały nam do oczu.

Teraz wpatrywałem się w oczy chłopca zamkniętego w plastikowym pomieszczeniu i czułem to samo.

Buzię miał małą, szczupłą. Skóra napinała się na delikatnych kościach i wydawała się w świetle modułu przezroczyście biała. Oczy, podobnie jak siostra, miał czarne i szkliste od gorączki, gęste, kręcone włosy były w kolorze miedzi. Jeśli chłopiec zostanie poddany chemioterapii, straci te kędziory. Na szczęście utrata włosów w trakcie kuracji jest przejściowa.

Beverly przestała głaskać dziecko po główce i wyjęła ręce z modułu. Woody chwycił rękawicę i się uśmiechnął.

– Jak się dziś czujesz, mały?

– Dobrze – odparł słabiutkim głosem, ledwie słyszalnym przez plastik.

– Woody, to doktor Delaware.

Chłopiec wzdygnął się i instynktownie przesunął na łóżku.

– Doktor Delaware nie daje zastrzyków, tylko rozmawia z dziećmi, tak jak ja.

Chłopiec nadal patrzył na mnie z obawą.

– Witaj, Woody – powiedziałem. – Mogę ci ucisnąć dłoń na powitanie?

– Dobrze.

Włożyłem rękę w rękawiczkę, tak jak zrobiła to wcześniej Beverly. Rękawica okazała się gorąca i sucha, ponieważ posypywano ją talkiem. Poszukałem dłoni chłopca. Przytrzymałem ją przez chwilę, po czym puściłem.

– Widzę, że masz u siebie gry. Którą najbardziej lubisz?

- Warcaby.
- Ja również. Dużo grasz?
- Trochę.
- Pewnie jesteś bardzo bystry, skoro umiesz grać w warcaby.
- Dosyć. – Na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.
- Założę się, że często wygrywasz.

Uśmiech malca się rozszerzył. Zęby Woody’ego były równe i białe, lecz otaczające je dziąsła – opuchnięte i zaczerwienione.

- I zapewne lubisz wygrywać.
- Z mamą zawsze wygrywam.
- A z tatą?

Zmieszany, zmarszczył brwi.

- On nie gra w warcaby.
- Rozumiem. Ale gdyby grał, pewnie też byś z nim wygrywał?

Zastanawiał się przez minutę.

- Pewnie tak. On nie bardzo interesuje się grami.
- Grasz jeszcze z kimś innym? Poza mamą?
- Grałem z Jaredem... Ale się wyprowadził.
- Z kimś jeszcze?
- Z Michaelem i Kevinem.
- To koledzy ze szkoły?
- Tak. Skończyłem przedszkole. W następnym roku idę do podstawówki.

Był ożywiony i szybko reagował, ale wydawał się bardzo osłabiony. Mówienie go męczyło, pierś aż falowała mu z wysiłku.

- Może zagram z tobą w warcaby?
- Dobra.

– Mogę grać dzięki rękawiczkom, stojąc tutaj, albo włożę kombinezon i wejdę do twojego pokoiku. Co wolisz?

- Nie wiem.

– Jeśli chodzi o mnie, chciałbym być blisko ciebie. – Odwróciłem się do Beverly. – Czy ktoś mi może pomóc się ubrać? Minęło sporo czasu...

- Jasne.

– Za minutę wejdę do twojego pokoiku, Woody. – Uśmiechnąłem się do chłopca i wyszedłem na korytarz. Z sąsiedniego modułu dobiegała głośna muzyka. Zerknąłem do środka i dostrzegłem długie brązowe nogi zwisające z łóżka. Zajrzałem. Na pościeli siedział czarny, mniej więcej siedemnastoletni chłopiec. Patrzył w sufit, poruszał ciałem w rytm dźwięków, które pochodziły z magnetofonu ustawionego na jego nocnej szafce, nie zwracając uwagi na igły kroplówek wbite w obie ręce.

– Sam widziałeś – odezwała się Beverly głośno, usiłując przekrzyczeć hałas. – Jest taki, jak ci mówiłam. Słodki aniołek.

– Miłe dziecko – zgodziłem się.

– Rodzice twierdzą, że jest bardzo inteligentny. Chociaż wysoka gorączka zwała go z nóg, i tak doskonale się z nami komunikuje. Pielęgniarki go kochają... Z tego względu wszystkich nas niepokoi ryzyko przerwania kuracji.

– Zrobię, co będę mógł. Najpierw wprowadź mnie do niego.

Beverly zadzwoniła po pomoc i po chwili zjawiła się filigranowa filipińska pielęgniarka z paczką owiniętą w gruby brązowy papier, na którym przeczytałem napis: „Wyjałowiono”.

– Proszę zdjąć buty i stanąć tam – poleciła pielęgniarka. Choć małeńka, potrafiła wymusić posłuch. Wskazała na miejsce tuż za czerwoną strefą ochronną. Umyła ręce betadyną, włożyła wyjałowione rękawiczki. Następnie sprawdziła rękawiczki. Nie miały skaz, więc wyjęła z brązowego papieru kombinezon i umieściła go wewnątrz czerwonej strefy. W stanie złożonym kombinezon przywodził na myśl miech akordeonu. Po chwili mała kobietka znalazła otwory na stopy i kazała mi w nie wsunąć nogi. Ostrożnie przytrzymała brzegi i podciągnęła kombinezon w górę. Gdy byłem odziany, związała sznurki wokół mojej szyi. Była bardzo niska, musiała więc wspiąć się na palce, a ja – dla ułatwienia jej pracy – ugiąłem kolana.

– Dzięki. – Zachichotała. – Proszę niczego nie dotykać, póki nie włożę panu rękawic.

Robiła to bardzo szybko i wkrótce dłonie miałem powleczone cienkim plastikiem, usta zaś skryte za papierową maską. Kask – czy też kaptur wymodelowany z tego samego ciężkiego papieru co kombinezon i wykończony z przodu plastikową przezroczystą osłoną na twarz – nałożyła mi na głowę i przymocowała do kombinezonu za pomocą rzepów.

– Jak się pan czuje?

– Da się wytrzymać. – Kombinezon okazał się nieprzyjemnie gorący i wiedziałem, że mimo ciągłego przepływu chłodnego powietrza w module za kilka minut będę cały mokry od potu.

– Teraz może pan wejść. Wolno przebywać w środku nie dłużej niż pół godziny. Jest tam zegar. Może będziemy zbyt zajęci, by pamiętać o czasie, więc proszę na niego zerkać i opuścić moduł przed upływem wyznaczonego terminu.

– Oczywiście. – Odwróciłem się do Beverly. – Dziękuję ci za pomoc. Jak sądzisz, kiedy wrócą rodzice?

– Vangie, czy państwo Swope mówili, o której przyjdą?

Filipinka pokręciła przecząco głową.

– Zwykle przychodzą rano... Mniej więcej o tej porze. Mogę zostawić im wiadomość, by do pana zadzwonili, doktorze...

– Delaware. Powiedz im lepiej, że będę tutaj jutro o ósmej trzydzieści. Niech poczekają, jeśli przyjdą wcześniej.

– O ósmej trzydzieści powinien ich pan złapać.

– Czekaj – wtrąciła Beverly – przecież zostawili mi numer telefonu. Zatrzymali się w jakimś



motelu na zachodniej stronie. Zadzwoń i zostawię im wiadomość. Jeśli zjawią się dzisiaj, przyjedziesz ponownie?

Zastanowiłem się. Właściwie nie miałem żadnych spraw, które nie mogłyby poczekać do jutra.

– Jasne. Zadzwoń do mojej centrali. Telefonistki będą wiedziały, gdzie mnie znaleźć. – Podyktowałem jej numer.

– No dobrze, a teraz wejdź już do modułu, póki nie ma na tobie zarzązków. Do zobaczenia. Zarzuciła na ramię wielką torebkę i wyszła.

Wszedłem do modułu.

Woody usiadł i ciemnymi oczyma mnie obserwował.

– Wyglądam jak kosmonauta, co?

– Wiem, kim pan jest – oświadczył poważnie. – Każdy wygląda inaczej.

– To doskonale. Ja zawsze mam kłopoty z rozpoznawaniem ludzi, gdy włożą inne ubranie.

– Musi pan patrzeć na nich z bliska.

– Rozumiem. Dziękuję za radę.

Wziąłem pudełko z warcabami i rozłożyłem planszę na przenośnym stoliczku, umieszczonym w poprzek łóżka.

– Jaki kolor wybierasz?

– Nie wiem.

– Chyba czarne zaczynają. Chcesz zaczynać?

– Tak.

Grał dobrze, jak na swój wiek, potrafił myśleć, planować i przewidywać moje posunięcia. Bystry dzieciak.

Parę razy próbowałem wciągnąć go w rozmowę, ale mnie zignorował. Nie z powodu nieśmiałości lub braku dobrych manier. Po prostu całą uwagę skupiał na planszy i nawet nie słyszał mojego głosu. Kiedy zrobił ruch i opadł na poduszki, spojrzał na mnie z powagą i powiedział słabym głosem:

– Teraz twoja kolej!

Byliśmy w połowie partii, pochłonięci grą, gdy nagle Woody chwycił się kurczowo za brzuch i krzyknął z bólu.

Pomogłem mu się położyć i dotknąłem jego czoła. Było zbyt ciepłe.

– Brzuszek cię boli, tak?

Skinął głową i potarł oczy grzbietem dłoni.

Nacisnąłem dzwonek. Vangie natychmiast pojawiła się po drugiej stronie plastikowej ścianki.

– Boli go brzuch. I gorączkuje – wyjaśniłem.

Zmarszczyła brwi i zniknęła. Gdy wróciła, w odzianej w rękawiczkę dłoni trzymała kubek płynnego acetaminofenu.

– Proszę przesunąć w moją stronę tamten stoliczek. Postawiła lekarstwo na płycie z laminatu.

– Niech je pan weźmie i poda chłopcu. Lekarz pojawi się w ciągu godziny, by go obejrzeć.

Wróciłem do łóżka chłopca, podparłem mu głowę jedną ręką, drugą przytrzymałem płyn przy jego ustach.

– Otwórz usta, Woody. Po zażyciu lekarstwa przestanie cię boleć.

– Dobrze, panie doktorze.

– Teraz powinieneś odpocząć. Przerwywamy grę.

Pokiwał głową.

– Remis?

– Tak sędę. Chociaż pod koniec chyba zaczynałeś wygrywać. Chętnie wrócę i zagram z tobą jeszcze raz.

– Dobrze. – Zamknął oczy.

– Na razie odpocznij.

Zanim wyszedłem z oddziału, zrzuciłem fartuch i ponownie zająrzałem do chłopca – spał spokojnie z lekko rozchylonymi ustami.

Następnego ranka pojechałem na wschód Bulwarem Zachodzącego Słońca pod niebem poprzecinanym strzępiastymi chmurami. Wspominałem sny z ubiegłej nocy – nawiedziły mnie te same straszliwe, mroczne omamy, które męczyły mnie przed laty podczas pierwszych miesięcy pracy na onkologii. Musiał wówczas minąć rok, zanim poradziłem sobie z tymi demonami, ale – jak się teraz okazywało – wcale nie przegnałem, ich na dobre; po prostu zaczęły się w mojej podświadomości, stale gotowe do ataku.

Czułem do Raoula żal, że ponownie wciągnął mnie do tego.

Dzieci nie powinny chorować na raka!

Nikt nie powinien...

Choroby, które ogólnie nazywamy nowotworami, to prawdziwy Armagedon. Komórki rakowe atakują ciało w głodnym obłądzeniu, poniewierają je, gwałcą, trawią, mordują... Potworne, oszalałe komórki... naszego własnego ciała.

Wsunąłem do samochodowego magnetofonu kasetę z muzyką Lenny'ego Breaua. Miałem nadzieję, że genialny wirtuoz gitary pomoże mi zapomnieć o plastikowych pokoikach, łysych dzieciach i jednym małym chłopcu z czarnymi kędziorkami i czającym się w oczach pytaniem: „Dlaczego właśnie ja?” Niestety, przed oczami ciągle miałem jego twarz i twarze innych chorych dzieci, które wcześniej poznałem. Przesuwały się przez mój mózg, błagając o ratunek...

Byłem w takim stanie umysłu, że nie drażnił mnie nawet widok na wpół nagich prostytutek przy wjeździe do Hollywood.

Ostatnie dwa kilometry Bulwaru pokonałem w ponurym nastroju, zaparkowałem samochód na parkingu dla lekarzy i wszedłem do szpitala z opuszczoną głową, nie reagując na pozdrowienia mijanych ludzi.

Wspiąłem się schodami na czwarte piętro, gdzie znajdował się oddział onkologiczny, i w połowie korytarza usłyszałem awanturę.

Raoul stał plecami do modułu. Z wybałuszonymi oczyma na przemian przeklinał szybko po hiszpańsku i krzychał po angielsku na troje ludzi.

Beverly Lucas przyciskała torebkę do piersi niczym tarczę. Drżały jej ręce i wpatrywała się w jakiś daleki punkt za plecami ubranego w biały fartuch Melendeza-Lyncha, przygryzając nerwowo wargę.

Na twarzy Ellen Beckwith dostrzegłem zaskoczenie. Widać było, że chętnie przyzna się do każdej zbrodni, której nie popełniła.

Trzecią osobą był tu wysoki kudłaty mężczyzna o twarzy przypominającej pysk ogara i zezowatych oczach łypiących spod obwisłych powiek. Miał biały fartuch zarzucony niedbale na wytarte dzinsy i zbyt jaskrawą koszulę. Pasek z wielką sprzączką w kształcie indiańskiego wodza

wbijął się w miękkie brzuszysko. Mężczyzna miał ogromne stopy, a palce nóg tak długie, że łatwo mógłby nimi chwytać różne przedmioty. Widziałem je dokładnie, ponieważ nosił meksykańskie sandały zwane *huaraches* i nie miał skarpet. Jego twarz była gładko ogolona, blada, otoczona długimi do ramion kudłatymi włosami – jasno-kasztanowymi, upstrzonymi siwizną. Na jego szyi o nieco już obwisłej skórze dostrzegłem naszyjnik z muszelek.

Mężczyzna stał w obojętnej pozie, patrząc beznamiętnie zmrużonymi oczyma.

Raoul zauważył mnie i przerwał kazanie.

– Zniknął.

Wskazał na plastikowe pomieszczenie, gdzie niecałe dwadzieścia cztery godziny temu grałem w warcaby z chorym dzieckiem. Teraz łóżko było puste.

– Sprzątnęli go sprzed nosa tym tak zwanym profesjonalistom! – Pogardliwie machnął ręką.

– Może porozmawiamy o tym gdzie indziej – zaproponowałem.

Czarny nastolatek w sąsiednim module spoglądał przez przezroczystą ścianę z zaciekawieniem i niepokojem.

Raoul zignorował moją sugestię.

– Odważyli się na to, wyobrazasz sobie?! Szarlatani! Przebrali się za techników od rentgena i go porwali. Oczywiście, gdyby niektórzy z tu obecnych potrafili czytać kartę pacjenta i grafik zabiegów, zauważyliby, że nikt nie zlecał wykonania zdjęć rentgenowskich, a wówczas mogliby zapobiec tej straszliwej zbrodni!

Kierował teraz swoje słowa do korpulentnej pielęgniarki, która wyraźnie była bliska łez. Wysoki mężczyzna otrząsnął się z otępienia i spróbował ją wybawić z opresji.

– Nie możesz oczekiwać od pielęgniarek, że będą się zachowywały jak policjanci – powiedział z ledwie wyczuwalnym francuskim akcentem.

Raoul natarł na niego.

– Hola, mój panie! Zachowaj dla siebie te swoje cholerne uwagi! Gdybyś miał trochę więcej pojęcia o medycynie, uniknęlibyśmy tego wszystkiego! „Jak policjanci”, też coś. Jeśli to słowo oznacza czujność, troskę, zapewnienie bezpieczeństwa i ochronę pacjenta przed porwaniem, niech pielęgniarki staną się policjantami! Niech myślą jak gliniarze, ot co! Nie jesteś w indiańskim rezerwacie, Valcroix! Masz do czynienia z chorobami zagrażającymi życiu i z poczynaniami, które utrudniają nam ich leczenie. Tu trzeba używać mózgu otrzymanego od Boga, wyciągać wnioski, dedukować i podejmować decyzje! Na moim oddziale ludzie muszą ze sobą współpracować. Tu trzeba mieć oczy i uszy otwarte, to nie dworzec autobusowy, gdzie każdy może sobie wchodzić i wychodzić kiedy chce!

Kanadyjczyk zareagował szerokim uśmiechem, po czym ponownie zapadł w trans.

Raoul obrzucił go piorunującym spojrzeniem. Chyba był gotów rzucić się na niego z pięściami. Szczupły Murzynek obserwował tę scenę ze swojego plastikowego pokoiku szeroko otwartymi z przerażenia oczyma. Matka, która odwiedzała dziecko w trzecim module, patrzyła na nich przez chwilę, a potem zaciągnęła zasłonę.

Wziąłem Melendezę-Lyncha pod ramię i zaprowadziłem do dyżurki pielęgniarek. Filipinka akurat wpisywała dane do kart pacjentów. Gdy nas zobaczyła, chwyciła papiery i pospiesznie wyszła.

Raoul wziął z biurka ołówek i złamał go w palcach, po czym rzucił kawałki na podłogę i kopnął je w kąt pokoju.

– Co za drań! Jakim trzeba być arogantem, by dyskutować ze mną w obecności personelu pomocniczego. Rozwiążę kontrakt z nim i pozbędę się go raz na zawsze.

Otarł ręką czoło. Przez chwilę żuł wąsa i szczypał policzki, aż jego smągła cera się zaróżowiła.

– Zabrali go – powiedział. – Tak po prostu zabrali. I już.

– Co mogę w tej sprawie zrobić?

– Wiesz, czego chcę? Chciałbym dorwać tych z Dotknięcia. Udusiłbym ich gołymi rękami... Podniosłem słuchawkę.

– Mam zadzwonić do ochrony?

– To banda starych pijaków, którzy nie potrafią znaleźć własnych latarek...

– Może na policję? Przecież mamy do czynienia z uprowadzeniem.

– Nie dzwoń! – zawołał szybko. – Nie ruszą palcem, a tylko zrobi się cyrk dla mediów.

Odnalazł kartę choroby Woody'ego i ją przejrzał.

– Radiologia... – mruknął. – Po co miałbym zlecać wykonanie zdjęcia rentgenowskiego chłopcu, na którego kurację rodzina nie wyraziła zgody?! To bezsensowne. Nikt tu już nie myśli. Wszyscy pracują jak roboty!

– Co mogę w tej sprawie zrobić? – ponowiłem pytanie.

– Nie mam pojęcia – przyznał.

Przez chwilę siedzieliśmy w posepnym milczeniu.

– Są prawdopodobnie w połowie drogi do Tijuany – zauważył nagle. – Zmierzają do jakiejś podejrzanej kliniki, w której szarlatani udają, że czynią cuda. Byłeś kiedyś w takim miejscu? Malowidła krabów na obrzydliwie brudnych ceglanych ścianach. To ma być szpital?! Tylko głupcy szukają tam pomocy!

– Może jeszcze nie wyjechali? Może warto sprawdzić?

– Jak?

– Beverly ma numer telefonu do motelu, w którym się zatrzymali. Dowiemy się, czy się wymeldowali.

– Zabawa w detektywa? Tak, hm... Czemu nie? Zawołaj zatem naszą społecznice.

– Bądź dla niej miły.

– Dobra, dobra.

Wywołałem Beverly Lucas z narady, którą odbywała z Valcroix i Ellen Beckwith. Ta ostatnia posłała mi takie spojrzenie, jakbym był zadżumiony.

Powiedziałem Beverly, czego od niej chcemy. Pokiwała głową i poszła za mną.

Kiedy znaleźliśmy się w biurze, starała się nie patrzeć na Raoula. W milczeniu wystukała numer, zamieniła kilka zdań z recepcjonistą motelu, po czym odłożyła słuchawkę i powiedziała:

– Facet powiedział, że nie widział ich dzisiaj, ale się nie wymeldowali. Samochód ciągle stoi na parkingu.

– Jeśli chcesz – zaoferowałem się – pojedę do tego motelu i spróbuję się z nimi skontaktować.

Raoul zajrzał do kalendarza.

– Mam zebranie do trzeciej. Odwołam je. Jedźmy.

– Nie musisz mi towarzyszyć, Raoul.

– Absurd! Oczywiście, że muszę. Jestem lekarzem, a to jest sprawa medyczna...

– Tylko z nazwy. Pozwól, że sam ją załatwię.

Uniósł gęste brwi, a w jego oczach o wyglądzie ziarenek kawy pojawiła się prawdziwa furia. Zaczął coś mówić, ale mu przerwałem.

– Posłuchaj. Powinniśmy przynajmniej rozważyć pewną możliwość... – powiedziałem spokojnie. – Może obecna sytuacja jest wynikiem konfliktu między tobą i Swope'ami...

Popatrzył na mnie, jakby chcąc się przekonać, czy dobrze usłyszał, po czym poczerwieniał i uniósł ręce z oburzeniem.

– Jak możesz choćby...

– Nie twierdę, że tak jest. Uważam tylko, że powinniśmy brać pod uwagę również taką ewentualność. Chcemy przecież wznowić kurację chłopca. Jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie możliwości, mamy większe szanse na sukces.

Był wściekły jak cholera, ale po namyśle przyznał mi rację.

– Zgoda. Mam wystarczająco dużo spraw na głowie, jedź zatem sam.

– Chciałbym zabrać ze sobą Beverly. Ze wszystkich na oddziale miała chyba najlepszy kontakt z członkami tej rodziny.

– Doskonale, doskonale. Weź Beverly. Weź, kogo tylko chcesz.

Poprawił krawat i wygładził nieistniejące zagniecenia na długim białym fartuchu.

– A teraz wybacz mi, przyjacielu – oświadczył, siląc się na serdeczny ton. – Wracam do laboratorium.

Motel Morska Bryza usytuowany był wśród tanich domów mieszkalnych, brzydkich sklepów i garaży samochodowych w zachodniej części bulwaru Pico, tuż przy granicy Los Angeles i Santa Monica. Front dwupiętrowego budynku straszył popękany tynkiem w kolorze żółtozielonym i naderwaną różową balustradą z kutego żelaza. Około trzydziestu okien wychodziło na asfaltowy dziedziniec i basen do połowy wypełniony zieloną od wodorostów wodą. Jedyną oznaką jakiegokolwiek ruchu powietrza były snujące się nad brudnym chodnikiem opary spalin. Zatrzymaliśmy się obok samochodu kempingowego z tablicami ze stanu Utah.

– Nie wygląda na pięciogwiazdkowy hotel – mruknąłem, wysiadając z seville'a. – I daleko

od szpitala.

Beverly zmarszczyła brwi.

– Gdy zobaczyłam adres, próbowałam im to powiedzieć, lecz Garlanda Swope’a nie sposób było przekonać. Odparł, że chce zamieszkać blisko plaży ze względu na zdrowe powietrze. Nawet palnął mi mównicę o tym, że cały szpital powinien być tam przeniesiony, gdyż smog jest szkodliwy dla pacjentów. Mówiłam ci, że ten facet to niesamowite indywiduum.

Recepcję stanowiła szklana kabina z wypaczonymi drzwiami ze sklejki. Za podniszczonym plastikowym kontuarem siedział chudy Irańczyk w okularach. W typowym dla nałogowych palaczy opium odretwieniu pochylony był nad kodeksem drogowym. Znajdował się tu też obrotowy stojak z grzebieniami i tanimi okularami przeciwsłonecznymi oraz niski stolik zarzucony turystycznymi folderami.

Irańczyk udawał, że nas nie zauważa. Kiedy odchrząknąłem głośno, powoli podniósł wzrok znad książki.

– Tak?

– Który domek zajmuje rodzina Swope’ów?

Przypatrzył się nam badawczo i uznał chyba za niegroźnych, bo odpowiedział:

– Piętnastkę.

I natychmiast powrócił do studiowania znaków drogowych.

Przed domkiem numer 15 stał zakurzony brązowy chevrolet kombi. W samochodzie dostrzegłem jedynie dwie rzeczy – sweter na przednim siedzeniu i puste tekturowe pudełko z tyłu.

– To ich wóz – wyjaśniła Beverly. – Zwykle parkowali go nielegalnie przy frontowym wejściu. Pewnego dnia strażnik zostawił im za wycieraczką kartkę z ostrzeżeniem. Kiedy Emma pobiegła do niego z krzykiem, że ma chore dziecko, dał się przekonać.

Zastukałem do drzwi. Odpowiedzi nie było, więc załomotałem mocniej. Żadnej reakcji. Domek miał jedno brudne okno, ale widok zasłaniały ceratowe zasłonki. Zastukałem jeszcze raz i wsłuchałem się w ciszę. Nic jej nie zakłócało. Wróciliśmy do recepcji.

– Przepraszam pana – odezwałem się grzecznie. – Nie wie pan przypadkiem, czy Swope’owie są u siebie?

Ospale pokręcił głową.

– Można do nich od pana zadzwonić? – spytała go Beverly.

Irańczyk podniósł oczy znad książki.

– Kim jesteście? Czego chcecie? – zapytał opryskliwym tonem.

– Jesteśmy z Zachodniego Szpitala Pediatricznego. Leczymy tam ich dziecko. Koniecznie musimy z nimi porozmawiać.

– Nic nie wiem. – Wrócił do kodeksu.

– Ma pan centralkę? – nalegała Beverly.

Niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– W takim razie proszę do nich zadzwonić. Westchnąwszy teatralnie, wstał i wyszedł drzwiami prowadzącymi na tyły budynku. Zjawił się minutę później.

– Nikogo tam nie ma.

– Ale ich samochód stoi.

– Nie znam się na samochodach gości. Chce pani pokój, proszę bardzo. W przeciwnym razie niech mnie pani zostawi w spokoju.

– Zadzwoń na policję, Beverly – podsunąłem.

Facet nagle tak się ożywił, jakby zażył amfetaminę.

– Po co nam policja? Chcecie narobić mi kłopotów? Dlaczego?

– Nie będzie żadnych kłopotów – zapewniłem go. – Musimy tylko porozmawiać ze Swope'ami.

Bezradnie rozłożył ręce.

– Wyszli na spacer... Widziałem ich. Poszli tam. – Wskazał na wschód.

– Mało prawdopodobne. Mają ze sobą chore dziecko. Odwróciłem się do Beverly. – Widziałem telefon na stacji benzynowej za rogiem. Zgłoś to jako podejrzanę zniknięcie.

Ruszyła ku drzwiom.

Irańczyk podniósł ladę i stanął obok nas.

– Czego chcecie? Dlaczego ściągacie na mnie kłopoty?

– Niech pan posłucha – odezwałem się. – Nie obchodzi mnie, co się dzieje w innych domkach. Chcemy jedynie porozmawiać z rodziną zajmującą piętnastkę.

Wyciągnął pęk kluczy z kieszeni.

– Chodźcie, udowodnię wam, że ich tam nie ma. Ale potem odejdziecie, tak?

– W porządku.

Miał na sobie workowate spodnie, które trzepotały, gdy szedł przez asfalt. Mamrotał coś przy tym i pobrzękiwał kluczami.

Przekręcił klucz. Drzwi zaskrzypiały, gdy je otwierał. Weszliśmy do środka. Na widok pokoju recepcjonista zbladł, a Beverly wyszeptała: „O mój Boże”. Mnie też ogarnęło przerażenie.

Pokój był mały, mroczny i kompletnie zdemolowany.

Ktoś powyciągał rzeczy rodziny Swope'ów z trzech kartonowych walizek, które leżały zgniecione na jednym z dwóch pojedynczych łóżek. Ubrania i przedmioty osobistego użytku walały się po całym pomieszczeniu: szampon, odżywka i płyny czyszczące wyciekły z pękniętych butelek, znacząc lepkie szlaki na wytartym dywanie. Części kobiecej bielizny wisiały na statywie plastikowej lampy ściennej. Książki i gazety podarto i porozrzucano niczym konfetti. Wszędzie znajdowały się puszki i pudełka po jedzeniu, ich zawartość tworzyła na podłodze zakrzepłe kopce. Pokój śmierdzał zgnilizną i stęchłym powietrzem.

Dywanik obok łóżka też był brudny. Widniała na nim ciemnobrązowa nieregularna plama szeroka na piętnaście centymetrów.



– Och, nie, tylko nie to – jęknęła Beverly.

Złapałem ją w ostatniej chwili, żeby nie upadła.

Nie trzeba szpitalnego doświadczenia, żeby rozpoznać plamę zaschniętej krwi.

Irańczyk zbladł. Bezgłośnie poruszał szczękami.

– Chodźmy. – Chwyciłem go za ramię i wyprowadziłem. – Teraz koniecznie trzeba powiadomić policję.

Znajomy funkcjonariusz policji może się czasami okazać niezwykle przydatny. Szczególnie jeśli jest to akurat twój najlepszy przyjaciel. Zgłaszając zbrodnię, masz wówczas pewność, że nie uzna cię za podejrzanego. Dałem sobie spokój z numerem 911 i zadzwoniłem pod wewnętrzny numer Miła. Był akurat na zebraniu, ale tak długo naciskałem, aż go wywołali.

– Detektyw Sturgis.

– Witaj Milo, mówi Alex.

– Cześć, stary. Wyrwałeś mnie z fascynującego wykładu. Najwyraźniej zachodnia strona naszego pięknego miasta zmieniła się ostatnio w wielką wytwórnię syntetycznych narkotyków. Właściwie nie rozumiem, co mam wspólnego z tą sprawą, ale jak tu przekonać przełożonych. No dobra, o co chodzi?

Opowiedziałem mu o motelowym pokoju i Milo natychmiast zmienił ton.

– Zostań tam i nie pozwól nikomu niczego ruszać. Wysłałem ludzi. Pewnie pojedzie cała ekipa. Może się zrobić zbiegowisko, więc zadbaj o swoją towarzyszkę. Niech się nie wystraszy. Ucieknę jakoś z tego zebrania i przyjadę jak najszybciej. W razie kłopotów powołaj się na mnie. Mam nadzieję, że nie zaczną się wówczas jeszcze bardziej nad tobą znęcać.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do Beverly. Popatrzyła na mnie otepiałym wzrokiem w sposób typowy dla podróżników, którym przytrafiło się coś złego w obcym kraju. Otoczyłem ją ramieniem i posadziłem obok recepcjonisty, który mamrotał coś do siebie po persku.

Po drugiej stronie kontuaru stał ekspres do kawy. Podeszedłem do niego i napełniłem trzy kubki. Irańczyk przyjął kawę z wdzięcznością, chwycił kubek w obie dłonie i pił, głośno przełykając. Beverly postawiła swój kubek na stole i dalej trwała w bezruchu. Ja sącyłem kawę. Mogliśmy tylko czekać.

Pięć minut później dostrześliśmy pierwsze błyskające światła radiowozów.

Z dwóch muskularnych policjantów w cywilu jeden był blondwłosym białym, drugi – czarnym jak węgiel Murzynem, który wyglądał niczym fotograficzny negatyw partnera. Beverly i mnie zadali tylko kilka pytań, natomiast irańskiemu recepcjonście poświęcili znacznie więcej czasu. Najwyraźniej poczuli do niego instynktowną niechęć, którą w sposób charakterystyczny dla policjantów z Los Angeles maskowali przesadną uprzejmością.

Większa część ich przesłuchania miała oczywiście związek ze Swope'ami. Pytali, kiedy ich ostatnio widział, jakie samochody wjeżdżały i wyjeżdżały z parkingu, kto wezwał policję. Gdyby wierzyć słowom recepcjonisty, motel stanowił oazę niewinności, a on sam nigdy nie miał do czynienia ze złem.

Policjanci odgradzili taśmą teren wokół domku numer 15. Widok radiowozu na środku parkingu wyraźnie wzbudził popłoch – w wielu oknach zauważyłem poruszające się firanki. Policjanci również to dostrzegli i żartowali, że warto wezwać obyczajówkę.

Dwa kolejne czarnobiałe samochody wjechały na parking. Wsiadło z nich czterech mundurowych, którzy przyłączyli się do pierwszych dwóch. Po chwili dotarła furgonetka techników i nieoznakowany brązowy matador.

Mężczyzna, który wysiadł z matadora, miał około trzydziestu pięciu lat, był duży, mocno zbudowany, ale poruszał się lekko. Na twarzy miał ślady dawnego trądziku. Krzaczaste brwi ocieniały zmęczone oczy o zaskakująco jasnozielonej barwie. Jego czarne włosy zostały przycięte krótko z tyłu i z boków, natomiast były znacznie dłuższe na czubku głowy na przekór wszelkim modom; grzywka opadała na czoło. Podobnie niemodnie prezentowały się jego baczki, sięgające aż do płatków uszu, oraz jego strój: zmięta sportowa, bawełniana, kraciasta marynarka w zbyt intensywnym odcieniu turkus, granatowa koszula, szarobłękitny pasiasty krawat i jasnoniebieskie spodnie, które wisały nad cholewami zamszowych kozaczków.

– A ten to kto? – zdziwiła się Beverly.

– To jest właśnie Milo.

– Twój przyjaciel... – Była wyraźnie zakłopotana.

Milo naradził się z mundurowymi, potem wyjął notes i ołówek, przestąpił taśmę zawieszoną przy wejściu do domku numer 15 i wszedł do środka. Został tam przez jakiś czas. Gdy wyszedł, robił notatki.

Dużymi krokami skierował się do recepcji. Spotkaliśmy się przy drzwiach.

– Witaj, Alex. – Jego wielka, miękka dłoń wręcz pochłonęła moją. – Straszny bałagan... tam w środku. Tak naprawdę jeszcze nie wiem, jak nazwać to, co zobaczyłem.

Dostrzegł Beverly, podszedł i się przedstawił.

– Jeśli będzie się pani trzymać tego faceta – wskazał na mnie – z pewnością wpakuje panią w

kłopoty.

– Zauważyłam.

– Spiesz się pani? – spytał.

– Nie wracam już do szpitala – odparła. – Na dziś mam zaplanowany tylko jogging o piętnastej trzydzieści.

– Jogging? Stymulację sercowo-naczyniową? Tak, tak, też próbowałem biegać, ale zaczęło mnie kłuć w piersiach, a przed oczyma zatańczyły mi wizje jawnie zapewniające mnie o mojej śmiertelności.

Uśmiechnęła się zakłopotana. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie podejrzewała nawet, jak wspaniale jest czasem mieć Mila obok siebie... z bardzo wielu powodów...

– Proszę się nie martwić, nie zepsujemy pani harmonogramu dnia. Chciałem tylko wiedzieć, czy może pani poczekać do czasu, aż przesłucham pana... – zajrzał do notesu – Fahrizbadeha. To nie powinno potrwać długo.

– Poczeka.

Wyprowadził recepcjonistę na zewnątrz. Poszli razem do piętnastki. Beverly i ja siedzieliśmy w milczeniu.

– Okropne – wydukała w końcu. – Ten pokój. Tyle krwi.

– Siedziała sztywno na krześle i ścisnęła kolana.

– Może chłopcu nic nie jest – powiedziałem bez większego przekonania.

– Mam nadzieję, że masz rację.

Po chwili Milo wrócił z Irańczykiem, który, nie patrząc na nas, wszedł za ladę, po czym zniknął na zapleczu.

– Bardzo mało spostrzegawczy facet – podsumował Milo.

– Ale sądzę, że był szczery. Mniej więcej. Najwyraźniej ten motelik należy do jego szwagra. On sam studiuje wieczorowo zarządzanie i pracuje tutaj, zamiast się wysypiać. – Popatrzył na Beverly. – Co może pani powiedzieć o tych Swope'ach?

Opowiedziała z grubsza to, co usłyszałem od niej na pododdziale modułów sterylnych.

– Interesujące – zastanowił się, gryząc ołówek. – Więc może o to chodzi. Rodzice w pośpiechu zabrali dziecko z miasta, co wcale nie jest przestępstwem, póki szpital nie poda ich do sądu. Do koncepcji wyjazdu nie pasuje mi tylko samochód. Na pewno by go tu nie zostawili. Mam też drugą hipotezę: członkowie sekty załatwili całą sprawę za przyzwoleniem rodziców. To również nie jest zbrodnia. Jeśli jednak tego pozwolenia nie uzyskali, mamy do czynienia z prymitywnym porwaniem.

– A krew? – spytałem.

– No tak, krew. Technicy określili grupę. 0Rh+. Mówi wam to coś?

– O ile dobrze pamiętam dane z karty chorobowej – odparła Beverly – Woody i rodzice mają grupę zero. Nie jestem pewna czynnika Rh.

– Tej krwi nie było dużo. Na pewno nie tyle, ile traci człowiek zastrzelony lub zadźgany... –

Dostrzegł wyraz jej twarzy i urwał.

– Milo – wtrąciłem – chłopiec choruje na raka. Nie jest jednak w stanie terminalnym... w każdym razie nie był wczoraj. Niestety trudno przewidzieć rozwój jego choroby. Może się rozwinąć i zaatakować główne naczynia krwionośne albo przekształcić się w białaczkę. Jeśli doszło do którejś z tych dwóch sytuacji, chłopiec mógł mieć nagły krwotok.

– Jezu! – jęknął mój przyjaciel. – Biedny malec.

– Co zamierzacie zrobić? – spytała Beverly.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby ich odnaleźć, ale, szczerze mówiąc, nie będzie to łatwe. Mogli do tej pory dotrzeć niemal w każde miejsce na świecie.

– Może roześle pan chociaż rysopisy? – nalegała.

– Już to zrobiliśmy. Natychmiast po telefonie Alexa skontaktowałem się z władzami w La Viście. Rządzi tam niepodzielnie jeden człowiek, szeryf Houten. Twierdzi, że nie widział ostatnio nikogo z rodziny Swope'ów, ale obiecał bacznie się rozglądać. Całkiem dokładnie opisał mi ich wszystkich, a ja telefonicznie przekazałem rysopisy komu trzeba. Dostała je drogówka, policja w Los Angeles, San Diego i wszystkie ważniejsze komisariaty pomiędzy tymi miastami. Nie wiemy jednakże, jakim pojazdem się przemieszczają, nie znamy numerów rejestracyjnych, co utrudnia poszukiwania. Ma pani jeszcze jakieś sugestie?

W jego pytaniu nie było złośliwości ani sarkazmu. Szczerze prosił o pomoc w trudnej sprawie. Beverly nieco się spieszyła.

– Nie bardzo – przyznała. – Niczego nie potrafię wymyślić. Po prostu mam nadzieję, że znajdziecie małego.

– Ja również... Mogę ci mówić po imieniu?

– Och, jasne.

– Widzisz, Beverly, na razie nie wymyśliłem żadnej genialnej teorii w tej sprawie, ale obiecuję, że będę nad tym intensywnie pracował. Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, zadzwoń do mnie. – Wręczył jej wizytówkę. – Cokolwiek ci przemknie przez myśl, dobrze? A teraz może któryś z moich ludzi odwiezie cię do domu?

– Alex mógłby...

Milo uśmiechnął się szeroko.

– Muszę przez kilka minut pogawędzić z Alexem. Lepiej załatwię ci transport. – Podszedł do sześciu policjantów, wybrał z grupy najprzystojniejszego: szczupłego wysokiego mężczyznę, który miał czarne kręcone włosy i białe lśniące zęby. Przyprowadził go do nas, do recepcji.

– Pani Lucas. A to jest funkcjonariusz Fierro.

– Dokąd pojedziemy, proszę pani? – Policjant kurtuazyjnie uchylił czapki.

Beverly podała mu adres w Westwood. Bez słowa poprowadził ją do radiowozu.

Ledwie wsiadła, Milo poszperał w kieszeni koszuli i zawołał:

– Hej, Brian, zaczekaj.

Fierro się odwrócił. Milo skierował się w stronę samochodu. A ja poszedłem za nim.

– Czy ten przedmiot kojarzy ci się z czymś, Beverly? – Wręczył jej płaskie reklamowe pudełko z zapałkami.

Obejrzała je dokładnie.

– „Adam i Ewa. Posłańcy. Usługi”. Tak, jedna z pielęgniarek mówiła mi, że Nona Swope załatwiła sobie pracę jako posłaniec. Zdziwiłam się. Po co podejmuje pracę, skoro przybyła tutaj wraz z rodziną jedynie na krótki czas? – Przyjrzała się jeszcze uważniej pudełeczku. – Co to za agencja? Czyżby Nona dorabiała jako prostytutka?

– Obawiam się, że jest to możliwe.

– Od razu wiedziałam, że to szalona dziewczyna – odrzekła z gniewem i oddała reklamówkę Milowi. – Masz jeszcze jakieś pytania?

– Nie, chwilowo nie.

– W takim razie chciałabym pojechać do domu.

Milo dał znak policjantowi. Fierro siadł za kierownicę i uruchomił silnik.

– Nerwowa kobitka – ocenił Milo po odjeździe radiowozu.

– Kiedyś była słodką dziewczyną – odpowiedziałem. – Ale wieloletnia praca na oddziale onkologicznym bardzo człowieka zmienia.

Mój przyjaciel zmarszczył brwi.

– Niezły bałagan w tym domku – oświadczył.

– Paskudnie to wygląda, nieprawdaż?

– Chcesz, żebym spekulował? Pokój przetrząsnął ktoś naprawdę rozwścieczony. Może któreś z rodziców, osoba przygnębiona i rozżalona ciężką chorobą swojego dziecka, a równocześnie przerażona i zdezorientowana własnym czynem. W końcu potajemnie wywieźli dziecko ze szpitala... Pracowałeś już z ludźmi, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Widziałeś, by ktoś dostał takiego szału?

Cofnąłem się myślami o kilka lat.

– Tak, ciężkiej chorobie zawsze towarzyszy gniew – odparłem. – Większość ludzi wyżywa się głównie słownie, urządzając potworne awantury lekarzom. Niektórzy jednak rzeczywiście dostają szału. Pamiętam, jak ojciec chorego dziecka pobił lekarza stażystę. O groźbach nawet nie warto wspominać, to normalka. Pewien facet, który stracił nogę w wypadku na polowaniu, miał córkę chorą na nowotwór nerek. Trzy tygodnie później zmarła, a on dzień po jej śmierci wpadł do szpitala z dwoma pistoletami. Najbardziej wybuchowo reagują zazwyczaj ludzie, którzy w ogóle nie dopuszczają do siebie myśli o możliwości śmierci własnego dziecka i nie chcą z nikim rozmawiać o jego chorobie.

Przyszło mi do głowy, że mój opis pasuje do opinii Beverly na temat Garlanda Swope'a. Powiedziałem o tym Milowi.

– Może więc facet po prostu dostał szału – oświadczył nieco niepewnym tonem.

– Odnoszę wrażenie, że nie bardzo w to wierzysz.

Wzruszył ramionami.

– W tej chwili trudno cokolwiek stwierdzić. Ale wiesz, że mieszkamy w szalonym mieście, gdzie wszystko jest możliwe. Z każdym rokiem popełnia się tu więcej zabójstw i ludzie tracą życie z coraz bardziej niesamowitych powodów. W ubiegłym tygodniu jakiś stary dziwak wbił sąsiadowi w pierś nóż do steków, ponieważ był przekonany, że facet zabija hodowane przez niego pomidory szkodliwymi promieniami, emitowanymi przez pępek. Obłąkane dupki wchodzą do fast foodów i koszą z pistoletów maszynowych dzieciaki zjadające hamburgery. Na litość boską! Gdy zacząłem pracować w wydziale zabójstw, świat wydawał mi się w miarę logiczny i całkiem prosty. Naprawdę. Ludzie zabijali się najczęściej z miłości, zazdrości albo dla pieniędzy. Niekiedy dochodziło też do tragicznych w skutkach waśni rodzinnych... No, wiesz, normalne ludzkie konflikty. Teraz to co innego, *compadre*. Ktoś znajduje zbyt wiele dziur w kawałku szwajcarskiego sera, więc idzie zakatrupić sprzedawcę z delikatesów. Świat kompletnie zwariował.

– Czy to, co widziałeś, wygląda na robotę szaleńca?

– A któż to może wiedzieć? Do cholery, nie wybierajmy od razu najgorszego scenariusza. Bardzo prawdopodobne, że jest tak, jak ci powiedziałem na początku. Jedno z nich, najpewniej ojciec, przemyślało sobie własne zachowanie, wkurzyło się i zdemolowało pokój. Zostawili samochód, przypuszczalnie więc wyszli na krótko. Z drugiej strony – dodał po chwili – nie mogę zagwarantować, że nie znaleźli się przypadkiem w złym miejscu o niewłaściwej porze. Mogli trafić na świra, który uznał ich za wampiry pragnące zawładnąć jego wątrobą. – Potrzęsnał pudełkiem reklamowym. – No cóż, to wszystko, co w tej chwili mamy. Agencja znajduje się poza moim rewirem, ale ponieważ ci zależy, złożę wizytę właścicielce i sprawdzę ten ślad. Jesteś zadowolony?

– Dzięki, Milo. Rozwiązanie tej sprawy uspokoiłoby parę osób. Potrzebujesz towarzystwa?

– Jasne, czemu nie. Nie widzieliśmy się dość długo, więc fajnie będzie pogawędzić. Oczywiście, o ile po wyjeździe twojej pięknej dziewczyny nie zamieniłaś się w nieznośnego mruka.

Na reklamówce znaleźliśmy numer telefonu, lecz nie było adresu, toteż Milo zadzwonił do obyczajówki. Oprócz lokalizacji otrzymał stamtąd garść danych na temat agencji usługowej Adam i Ewa.

– Znają tę agencję – oświadczył, wjeżdżając na bulwar Pico i kierując się na wschód. – Należy do laleczki zwanej Jan Rambo. Zajmowała się w życiu różnymi sprawami. Jej papcio jest jakąś szychą w San Francisco. Mała Jan to jego duma i radość.

– No i cóż to za agencja? Panienki?

– Tak, ale nie tylko. Obyczajówka podejrzewa, że posłańcom zdarza się przewozić narkotyki, wszystko jednak zależy od zamawiającego usługę. Z pozoru działają całkiem legalnie. Gdy ktoś ma urodziny, zamawia się panienkę, która odstawia przed facetem striptiz. Czasem sytuacja rozwija się w wiadomym kierunku. Tak czy owak, zazwyczaj chodzi o seks.

– Informacje te rzucają nowe światło na Nonę Swope – zauważyłem.

– Może. Wspomniałeś, że jest ładna.

– Wspaniała. Naprawdę piękna.

– Pewnie jest świadoma własnych walorów i postanowiła zrobić z nich odpowiedni użytek. Co cię dziwi, do diabła? W tym mieście powszechnie handluje się ciałem. Gdy przyjeżdża tu dziewczyna z małego miasteczka, może jej się w głowie przewrócić. Codziennie tu takie trafiają.

– Nigdy dotąd nie słyszałem od ciebie takich wytartych frazesów.

Milo wybuchnął śmiechem, a ponieważ uprzytomnił sobie, że jedzie pod słońce, włożył okulary przeciwsłoneczne.

– No to czas zagrać gliniarza. Jak się prezentuję?

– Jesteś przerażający.

Siedziba Jan Rambo mieściła się na dziesiątym piętrze wieżowca przy Wilshire, na zachód od Barrington. Z tablicy informacyjnej w holu wynikało, że znajduje się tu około stu firm. Większość nazw nic nie mówiła o rodzaju wykonywanej działalności. Wszędzie widniały takie ogólnikowe określenia jak „handel”, „systemy”, „środki przekazu” czy „sieć”. Co najmniej jedna trzecia z nich była spółkami z ograniczoną odpowiedzialnością. Jan Rambo przebiła wszystkich, nazywając swoją handlującą młodymi ciałami agencję Nowoczesną Siecią Komunikacji Międzyludzkiej, sp. z o. o. Powagę tej instytucji podkreślały mosiężne litery na tekowych drzwiach i – również mosiężne – logo w postaci pioruna.

Drzwi były zamknięte i Milo zaczął w nie łomotać z taką siłą, że zacząłem się obawiać, czy wytrzymają. Na szczęście w końcu się otworzyły. W progu stanął wysoki dobrze zbudowany Jamajczyk, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Puścił pod naszym adresem wiązaną

przekleństw, lecz mój towarzysz bez słowa podsunął mu pod nos odznakę i olbrzym umilkł.

– Witaj – odezwał się Milo z uśmiechem.

– Co mogę dla panów zrobić, panowie detektywi? – spytał Jamajczyk, ironicznie akcentując ostatnie słowa.

– Po pierwsze, wpuść nas. – Nie czekając, Milo naparł na drzwi i zaskoczony ochroniarz się cofnął.

Pomieszczenie recepcyjne było niewiele większe od szafy. Ściany pomalowano na żółtawy kolor, a jedyny mebel w pokoju stanowiło plastikowe biurko z chromowanymi okuciami, na którym stała elektryczna maszyna do pisania i telefon, za nim zaś obrotowe krzesło.

Ścianę za biurkiem ozdobiono plakatem z fotografią kalifornijskiej pary surferów pozujących na Adama i Ewę. Podpis pod obrazkiem brzmiał: „Wyślij specjalną wiadomość do wyjątkowej osoby”. Ewa wsuwała Adamowi w ucho język i chociaż miała znudzoną minę, jego listek figowy radośnie się wybrzuszał.

Po lewej stronie od biurka znajdowały się zamknięte drzwi. Jamajczyk stanął przed nimi z założonymi na piersi rękami, rozstawionymi stopami i nachmurzoną miną.

– Chcemy rozmawiać z Jan Rambo.

– Macie nakaz?

– Rany! – mruknął Milo wyraźnie zdegustowany. – W tym wszawym mieście wszystkim się zdaje, że grają w filmie. Macie nakaz? – powtórzył, przedrzeźniając intonację ochroniarza. – Świetnie się koleś, nadajesz do filmów kategorii B.

Daj spokój, zastukaj do drzwi i powiedz swojej szefowej, że przyszliśmy.

Jamajczyk pozostał niewzruszony.

– Nie ma nakazu, nie ma wejścia.

– Patrzcie go, jaki stanowczy.

Mój towarzysz wsunął ręce do kieszeni, zgarbił się i ruszył do przodu, aż znalazł się oko w oko z olbrzymem. Odniosłem wrażenie, że za chwilę – niczym Eskimosi – zaczną się pocierać nosami.

– Po co te nerwy? – zapytał Milo. – Wiem, że pani Rambo jest osobą bardzo zajęta i czystą jak świeżo spadły śnieg. Gdyby było inaczej, przyszlibyśmy tutaj szukać dowodów. Wtedy rzeczywiście potrzebowalibyśmy nakazu. A my pragniemy tylko uciąć sobie z nią krótką pogawędkę. Ponieważ nie przestudiowałeś dokładnie podręcznika dla domorosłych prawników, chętnie cię powiadomię, że do zwyczajnej rozmowy nie są potrzebne żadne nakazy. Bo widzisz – ciągnął Milo – masz wybór. Możesz nam ułatwić tę rozmowę lub nadal ją utrudniać. W tym drugim przypadku zadam ci trochę bólu, może spowoduję jakąś kontuzję... No i aresztuję cię za utrudnianie śledztwa. Po aresztowaniu założę ci kajdanki tak małe, że dostaniesz od nich gangreny. Później wyznaczę sadystę do rewizji osobistej i wpakuję cię do celi wraz z kilkoma rasistami reprezentującymi Bractwo Aryjskie.

Jamajczyk zastanawiał się przez chwilę. Cofnął się przed Milem, który dyszał mu prosto w



twarz.

– Zobaczą, czy pani jest wolna – wymamrotał.

Uchylił drzwi i wśliznął się do środka.

Wrócił po chwili i ruchem głowy wskazał nam otwarte drzwi.

Weszliśmy za nim do przedpokoju. Ochroniarz na moment zatrzymał się przed wejściem i wystukał kod na cyfrowym panelu. Gdy rozległo się brzęczenie, otworzył jedno z drzwi.

Przy półkolistym metalowym biurku z marmurowym blatem siedziała ciemnowłosa kobieta. Podłogę pomieszczenia wielkości sali balowej pokrywała sprężysta szara wykładzina. Za plecami właścicielki firmy znajdowała się ściana z lekko przyciemnionego szkła z widokiem na góry Santa Monica i San Fernando Valley. Biuro wyraźnie stanowiło dzieło jakiegoś dekoratora wewnątrz z zachodniego Hollywood – stały tu nowoczesne fioletowo-różowe skórzane fotele, pleksiglasowa ława z wystarczająco ostrymi krawędziami, by krajać chleb, kredens w stylu art deco z drewna różanego oraz skórzana sofa podobna do tej, którą widziałem niedawno w katalogu Sotheby's. Ten jeden sprzęt kosztował zapewne więcej, niż Milo zarabiał przez rok. Dalej znajdowała się część biurowa: stół konferencyjny z drewna różanego, rząd czarnych szafek z aktami, dwa komputery i narożnik zastawiony sprzętem fotograficznym.

Jamajczyk stanął plecami do drzwi. Starał się przybrać beznamiętnie marsową minę, ale wypieki widać było nawet pod śniadą skórą.

– Możesz iść, Leon – odezwała się kobieta ochryplym głosem.

Ochroniarz się zawahał. Jan Rambo zmierzyła go twardym spojrzeniem i osiłek pospiesznie wyszedł.

Pozostała za biurkiem, nie prosząc nas, byśmy usiedli. Milo jednak i tak to zrobił. Wyciągnął przed siebie długie nogi i ziewnął. Usiadłem obok niego.

– Leon mi powiedział, że byliście bardzo nieuprzejmi – oświadczyła kobieta.

Miała około czterdziestki, była korpulentna, z małymi mętnymi oczkami i krótkimi grubymi rękami. Bębniła palcami o marmurowy blat. Ubrana była w czarną garsonkę oraz jedwabną białą bluzkę marszczoną na piersiach, która niezbyt pasowała do reszty stroju.

– Istotnie – odparł Milo. – Naprawdę mi przykro, pani Rambo. Mam nadzieję, że nie uraziliśmy jego godności własnej.

Kobieta roześmiała się niskim nosowym głosem.

– Leon zachowuje się czasem jak primadonna. Trzymam go dla dekoracji. – Wyciągnęła z pudełka bardzo długiego czarnego shermana i go zapaliła. Zaciągnęła się, wypuściła chmurę dymu i obserwowała, jak wznosi się pod sufit. Kiedy dym rozproszył się całkowicie, kontynuowała: – Od razu udzielię panom odpowiedzi na trzy główne pytania. Po pierwsze: moje pracownice są posłańcami, nie kurwami. Po drugie: to, co moi ludzie robią w swoim wolnym czasie, pozostaje ich osobistą sprawą. Po trzecie: tak, to jest mój ojciec i rozmawiamy przez telefon mniej więcej raz w miesiącu.

– Nie jestem z obyczajówki – zauważył obojętnie Milo. – I nic mnie nie obchodzi, czy pani

dziewuszki odstawiają niewinne, czy bardziej pieprzne pokazy przed napalonymi starymi dziadami. Może tylko ich kuszą, a może nie.

- Ależ pan jest tolerancyjny – mruknęła ironicznie.
- Jestem znany z tolerancji. Żyj i pozwól żyć innym.
- W takim razie, czego pan chce?

Podał jej swoją wizytówkę.

- Wydział zabójstw? – Uniosła brwi i dodała obojętnym tonem: – Kogo zamordowano?

– Może nikogo, ale parę osób zniknęło bez śladu. Pewna rodzina spod meksykańskiej granicy. Dziewczyna pracowała dla pani. Nona Swope.

Kobieta zaciągnęła się głęboko i papieros intensywnie się zajarzył.

- Ach, Nona. Rudowłosa piękność. Jest podejrzaną czy ofiarą?
- Proszę powiedzieć, co pani o niej wie – rzekł Milo i wyjął notes.

Jan Rambo otworzyła szufladę biurka, wzięła z niej klucz, po czym wstała, poprawiła spódnicę i podeszła do szafki z aktami. Była to kobieta bardzo niska – miała najwyżej sto pięćdziesiąt pięć, sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu.

– Pewnie dla własnego dobra powinnam z wami współpracować, zgadza się? – Włożyła klucz do zamka szafki, przekręciła i wysunęła wielką szufladę. – Jeśli nie dam wam tych informacji, będę musiała dzwonić po prawnika?

- Tak brzmiałby scenariusz Leona.

Stwierdzenie Mila ją rozbawiło.

– Leon to dobry ochroniarz. W porządku – dodała, wyjmując teczkę – pokażę wam akta Nony. Nie mam nic do ukrycia, a ta dziewczyna niewiele dla mnie znaczy.

Ponownie usiadła za biurkiem i podała mojemu towarzyszowi teczkę. Milo otworzył ją, ja zaś zajrzałem mu przez ramię. Pierwszą stroną stanowił formularz podania o pracę wypełniony chwiejnym pismem.

Pełne nazwisko Nony brzmiało Annona Blossom Swope. Dziewczyna wpisała dokładną datę urodzenia, z której wynikało, że niedawno skończyła dwadzieścia lat, oraz podała wymiary pasujące do mojego wspomnienia jej figury. Pod miejscem zamieszkania widniał adres: Bulwar Zachodzącego Słońca, Zachodnie Pediatryczne Centrum Medyczne; bez numeru telefonu.

Fotki z teczki – formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów – wykonano w biurze. Rozpoznałem skórzane meble. Nona prezentowała się w różnych pozycjach, bardzo kuszących zresztą. Fotografie były czarnobiałe, toteż nie oddawały dobrze jej karnacji, niemniej jednak dziewczyna miała w sobie coś, co wpadało w oko.

Przerzuciliśmy je szybko. Nona w bikini; cienki paseczek nad biodrami na modłę brazylijską. Nona w dżinsach i króciutkim podkoszulku; ponieważ nie miała stanika, jej sutki sterczały pod materiałem. Nona w prowokującej pozycji na sofie. Kocica w przezroczystym neglizżu; jej ciemne oczy wyraźnie zachęcały: Przeleć mnie.

Milo gwizdnął cicho. Poczulem mimowolne podniecenie.

– Niezła laska, co? – spytała Jan Rambo. – Mnóstwo ich przeszło przez te drzwi, ale Nona przebiła wszystkie na głowę. Nazywałam ją „małą stokrotką”, ponieważ miała w sobie sporo dziewczęcej naiwności. Mimo to dobrze wiedziała, czego chce.

– Kiedy wykonano te fotki? – spytał Milo.

– W dniu, w którym przysłała do mnie po raz pierwszy. Jakiś tydzień temu. Skoro tylko ją ujrzałam, natychmiast zwołałam fotografa. Pstryknął zdjęcia i wywołał jeszcze tego samego dnia. Uznałam Nonę za dobrą inwestycję.

– Co właściwie miała tu robić? – spytał.

– Wykonywać pracę posłańca. Mamy kilka podstawowych numerów, które prezentują nasze pary: doktor i pielęgniarka, profesor i studentka, Adam i Ewa, niewolnik i jego pani albo odwrotnie. Niby nic nowego, ale przeciętni klienci wybierają je najchętniej. Facet wybiera układ, my wysyłamy parę. „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panie Joe Smith. A oto prezencik od kumpli z wtorkowego pokera”. Potem odbywa się pokaz. Wszystko jest całkowicie legalne. Moje aniołki żartują sobie z klientem, ale bynajmniej nie naruszają prawa.

– Ile kosztuje ten podarek od kumpli?

– Dwieście dolarów. Sześćdziesiąt dzieli między siebie parka dostawców, po trzydzieści na łebka. Plus napiwki.

Dokonałem w pamięci szybkich obliczeń. Pracując na pół etatu, Nona mogła zarobić dziennie sto dolców lub więcej. Duże pieniądze dla wiejskiej dziewczyny.

– Co się dzieje, jeśli klient chce dopłacić i zobaczyć coś więcej? – spytałem.

Popatrzyła na mnie ostro.

– Wiedziała, że o to zapytacie. Powiedziałam już, że moi pracownicy w swoim wolnym czasie mogą robić, co im się żywnie podoba. A ich wolny czas rozpoczyna się tuż po zakończeniu skeczu. Lubi pan jazz?

– Bardzo – odparłem.

– Ja również. Milesa, Coltraine’a czy Birda. Wie pan, skąd bierze się ich wielkość? Ponieważ wspaniale potrafią improwizować. Z tego też względu nigdy nikogo nie zniechęcam do improwizacji.

Wyjęła kolejnego papierosa i zapaliła go od poprzedniego, który tlił się jeszcze jej w ustach.

– Tylko na tym polegała praca Nony? Tak? – drażył temat Milo. – Na odgrywaniu skeczy?

– Mogła dokonać znacznie więcej. Miałam wobec niej wielkie plany. Filmy, rozkładówki do magazynów. – Skrzywiła się w uśmiechu. – Dziewczyna była chętna do współpracy. Zdejmowała ciuszki bez mrugnięcia okiem. Ciekawe, że tak wychowuje się teraz panny na przygranicznym zadupiu. – Przesunęła papierosa w krótkich pękających palcach. – Tak, miałam wobec niej plany, lecz Nona popracowała tydzień, potem odwróciła się na pięcie i odeszła. Trzasnęła drzwiami i już jej nie było!

– Dokąd mogła się udać?

– Nie mam pojęcia. Moja agencja nie jest rodziną zastępczą. To biznes. Nie gram tu roli

mamusi. Ładne dziewczyny i chłopcy przychodzą i odchodzą... W naszym mieście mnóstwo jest takich, którzy sądzą, że dzięki swojemu ciału zdobędą prawdziwe bogactwo. Niektórzy uczą się szybciej niż inni. Wysoki poziom, to wysokie zarobki. A jednak – przyznała – ta mała ruda miała w sobie coś.

– Czy ktoś może coś wiedzieć o jej miejscu pobytu?

– Nikt mi nie przychodzi na myśl. Raczej trzymała się z dala od pozostałych.

– A faceci, z którymi dostarczała wiadomości?

– Facet. Jeden. Przecież przepracowała u mnie zaledwie tydzień. W tej chwili nie przypominam sobie jego nazwiska, a nie zamierzam dla was przekopywać akt. I tak dostaliście ode mnie niezły prezent. – Wskazała na akta. – Możecie je zatrzymać.

– Niech pani spróbuje sobie przypomnieć – naciskał Milo. – Chyba nie będzie to takie trudne. Ile dziewcząt ma pani w swojej stajni?

– Byłby pan zaskoczony – odparła, gładząc marmurowy blat biurka. – Nasze spotkanie uważam za zakończone.

– Proszę posłuchać – upierał się Milo. – Okazała nam pani bardzo niewielką pomoc, więc proszę nie udawać Świętego Mikołaja. Na zewnątrz jest strasznie gorąco, a pani ma u siebie klimatyzację i fantastyczny widoczek. Po co się pocić na posterunku, czekając... kto wie, jak długo... na adwokata? – Uśmiechnął się. – Może jednak poda nam pani nazwisko interesującego nas młodzieńca?

Mętne oczka zwały się do szparek i twarz kobiety przypominała teraz ryj wieprza. Jan Rambo nacisnęła guzik i w progu zjawił się olbrzym Leon.

– Który chłopak pracował z tą małą rudą Swope?

– Doug – odparł bez wahania ochroniarz.

– Nazwisko – warknęła.

– Carmichael. Douglas Carmichael.

Zwróciła się do nas.

– W porządku?

– Akta. – Milo ostentacyjnie wyciągnął rękę.

– Wyjmij je – poleciła Jamajczykowi. – Niech sobie na nie popatrzą.

Mój przyjaciel odebrał od wielkoluda teczkę i ruszyliśmy do drzwi.

– Hej, poczekajcie! – zaprotestowała kobieta. – To mój człowiek. Nadal tu pracuje. Nie możecie zabrać jego akt!

– Zrobię ksero i odeślemy pani oryginał.

Miała ochotę protestować, lecz przerwała w połowie zdania. Gdy wyszliśmy z gabinetu, usłyszałem, jak krzyczy na Leona.

Według akt Doug Carmichael mieszkał w górnej części Venice, blisko Mariny. Milo kazał mi zadzwonić do niego z budki telefonicznej nieopodal Bundy, podczas gdy sam sprawdzał przez policyjne radio, czy pojawiły się nowe informacje na temat Swope'ów.

U Carmichaela odezwała się automatyczna sekretarka. Na tle muzyczki granej na gitarze klasycznej usłyszałem głęboki baryton: „Cześć, mówi Doug”, po czym przez chwilę zapewniał mnie, że koniecznie powinienem pozostawić wiadomość, która jest niezbędna dla jego „dobrego samopoczucia”. Poczekalem na sygnał, po czym powiedziałem, że „koniecznie” musi zadzwonić do detektywa Sturgisa z Wydziału Policji Zachodniego Los Angeles. Podałem numer Mila.

Wróciłem do auta. Mój przyjaciel siedział z zamkniętymi oczami rozparty w fotelu.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytał.

– Zostawiłem wiadomość na sekretarce.

– Ach, te maszyny. U mnie również wielkie zero. Nikogo z rodziny Swope'ów nie widziano stąd aż do San Ysidro.

– Ziewnął i uruchomił silnik. – No to w drogę – mruknął i włączył się w strumień samochodów jadących na wschód.

– Nie jadłem od szóstej. Co wolisz, wczesną kolację czy późny lunch?

Znajdowaliśmy się parę kilometrów od oceanu, lecz łagodny wschodni wiatr ciągle przynosił nam słony zapach morskiej wody.

– Co powiesz na rybę?

– Świetnie.

Dotarliśmy do maleńkiego lokalu na Ocean Avenue przy wejściu na molo. Restaurację urządzono w stylu lat trzydziestych. W porze kolacji trudno znaleźć tu miejsce na parkingu wśród dziesiątków rollsów, mercedesów i jaguarów. Nie uznaje się tu rezerwacji ani kart kredytowych, lecz amatorzy owoców morza cierpliwie czekają na stolik i nie odstrasza ich konieczność płacenia gotówką. Podczas lunchu jest tu o wiele luźniej, toteż natychmiast wskazano nam narożny stolik.

Milo wypił dwie szklanki soku bez cukru ze świeżo wyciśniętych owoców, ja zaś zamówiłem sobie grolscha.

– Próbuję żyć zdrowiej – wyjaśnił, podnosząc szklankę. – Rick zajął się moim zdrowiem. Wygłosił mi kazanie i pokazał zdjęcie wątroby alkoholika.

– Cudownie. Widzę, że doskonała z was para. Mam nadzieję, że pomieszkacie razem przez jakiś czas.

Chrząknął nieco zmieszany.

Kelnerka, wesola Latynoska, poinformowała nas, że dziś rano dostarczono im białego

tuńczyka z San Diego. Zamówiliśmy go. Podano nam rybę z grilla z pieczonymi ziemniakami, cukinią na parze i kromkami razowego pieczywa.

Milo zjadł, napił się soku i wyrztał przez okno. Ponad dachami starych budynków srebrzyście połyskiwał ocean.

– Jak ci się żyje? – spytał.

– Nieźle.

– Miałeś jakieś wiadomości od Robin?

– Kilka dni temu dostałem od niej kartkę. Nocny widoczek Ginzy, ulicy w Tokio. Japończycy podejmują ją wystawnymi kolacyjkami i spełniają wszystkie jej zachcianki. Nie wiedziałem, że tak tam rozpieszczają kobiety.

– Czego właściwie od niej chcą? – spytał.

– Robin zaprojektowała nowa gitarę dla Rockin’Billy’ego Orleansa, na której on zagrał w Madison Square Garden. Podczas wywiadu po koncercie zachwalał gitarę i fantastyczną lutniczkę, która ją stworzyła. Amerykański reporter przekazał te informacje Japończykom. A ci zdecydowali, że gitarę można by produkować masowo, reklamując jako model Billy’ego Orleansa. I zaprosili Robin do siebie na rozmowy.

– Może już niedługo twoja pani będzie cię utrzymywać, co?

– Może – odburknąłem ponuro i kiwnąłem na kelnera, by przyniósł mi następne piwo.

– Widzę, że naprawdę cieszy cię ta perspektywa – powiedział.

– Cieszę się, że Robin jest szczęśliwa – zapewniłem go szybko. – Ma przed sobą szansę, na którą od dawna czekała. Strasznie za nią tęsknię. Nigdy nie rozstawaliśmy się na tak długo i widzę, że już mi nie odpowiada życie w samotności.

– Tylko o to chodzi? – spytał, podnosząc widelec.

Popatrzyłem na niego ostro.

– A o co jeszcze?

– No cóż, może moje podejrzenia są całkowicie bezpodstawne, drogi doktorku, wydaje mi się wszakże, że po Japonii wasz związek może wkroczyć w zupełnie nowy etap.

– Jaki?

– Przez parę ostatnich lat zwykle ty za wszystko płaciłeś, zgadza się? Robin starczało na przeciętne życie, ale powiedz mi, kto płacił za te wszystkie ekstradodatki: wakacje na Maui, bilety do teatru, ten niewiarygodny ogród... No, kto za to płacił?

– Och, to nie ma znaczenia – odwarknąłem poirytowany.

– Ależ ma, ponieważ mimo wszystkiego, co mówiłeś, wasz układ był tradycyjny. Teraz Robin dostała szansę i może się stać prawdziwą kobietą biznesu. Gdy odniesie sukces, wasza sytuacja diametralnie się zmieni.

– Potrafię sobie z tym poradzić.

– Nie wątpię. Zapomnij, że o tym mówiłem.

– A w ogóle o czymś mówiłeś? – Siliłem się na dowcip, ale jakoś nagle kompletnie straciłem

apetyt. Odsunąłem jedzenie i skupiłem wzrok na stadku mew opadających ku moło po karmę rozrzuconą przez turystów. – Ty wścibski łajdaku. Czasami jesteś nie do wytrzymania.

Wyciągnął rękę przez stolik i poklepał mnie po ramieniu.

– Nie jesteś zbyt dobrym aktorem. Wszystko wyraźnie widać na twojej twarzy.

Oparłem podbródek na dłoniach.

– A świat był taki prosty. Robin wprawdzie wprowadziła się do mnie, ale zostawiła sobie własne mieszkanie. Byliśmy dumni, że stać nas na tolerancję, i ceniliśmy sobie wolność. Ostatnio zaczęliśmy nawet rozmawiać o małżeństwie i dzieciach. Życie wyglądało wspaniale, oboje podążaliśmy tym samym tempem, wspólnie podejmowaliśmy decyzje. A teraz... – Wzruszyłem ramionami. – Kto wie, co będzie teraz? – Łyknąłem holenderskiego piwa. – Powiem ci coś, Milo. Nie piszą o tym w książkach psychologicznych, lecz istnieje coś takiego jak pragnienie ojcostwa i w wieku trzydziestu pięciu lat właśnie zacząłem je odczuwać.

– Wiem – odparł. – Ja również to czuję.

Mimowolnie obrzuciłem go zaskoczonym spojrzeniem.

– I co się tak gapisz? Wiem, że sprawa jest przegrana, a jednak dużo o tym myślę.

– Nigdy nic nie wiadomo. Urząd adopcyjny staje się coraz bardziej liberalny.

Poluźnił trochę pasek od spodni i posmarował masłem kromkę chleba.

– Ale nie aż tak! – Roześmiał się. – Poza tym Rick i ja nie spełniamy podstawowych warunków dla macierzyństwa... czy jak to nazwać. Możesz sobie wyobrazić, jak robię zakupy w sklepie dla dzieci, a mój grymaśny doktorek zmienia pieluszki?

Zaśmieliśmy się obaj.

– Cóż – oświadczył – nie zamierzałem poruszać drażliwych tematów, ale naprawdę musisz sobie zawczasu przemyśleć waszą sytuację. Widzisz... znalazłem się w podobnej.

Przez większą część życia sam zarabiałem na siebie. Rodzice mnie nie rozpieszczali. Od jedenastego roku życia stałe gdzieś pracowałem. Roznosiłem gazety, opiekowałem się dziećmi, zrywałem gruszki, tyrałem na budowie. Zrobiłem studia, potem był Sajgon, wojsko. W wydziale zabójstw nie zarabia się kokosów, lecz facet bez rodziny może bez trudu wyżyć z pensji. Byłem samotny, jednak zaspokajałem swoje potrzeby. Potem poznałem Ricka, rozpoczęliśmy wspólne życie i wszystko się zmieniło. Pamiętasz mojego starego fiata... To był kompletny wrak. Zawsze jeździłem takimi albo radiowozami. A teraz paradujemy porszakiem niczym para kokainowych dilerów. No i mamy dom... Nigdy w życiu nie kupiłbym takiego ze swojej pensji. Rick chodzi na zakupy do Carrolsa albo Giorgia, kupuje mi tam koszule i krawaty. Nie jestem, hm... utrzymankiem, ale mój styl życia zupełnie się zmienił. Niby na lepsze, lecz niełatwo mi tę zmianę zaakceptować. Lekarze zarabiają więcej niż gliny, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Cóż, powoli się do tego przyzwyczajam. Wobec powyższego zacząłem się zastanawiać, przez co muszą przechodzić kobiety.

– Tak. – Ciekawe, czy Robin miała takie dylematy. Może toczyła wewnętrzną walkę, której nie zauważyłem z powodu wrodzonej niewrażliwości?

– Na dłuższą metę – stwierdził – lepiej, gdy każde z dwojga ludzi w związku czuje się finansowo niezależne od drugiego. Nie sądzisz?

– Wiesz, Milo, co sądzę? Że jesteś doprawdy zaskakującym facetem.

Ukrył zakłopotanie, sięgając po menu.

– Jeśli dobrze pamiętam, mają tutaj niezłe lody.

– Rzeczywiście są świetne.

Nad deserem kazał mi opowiedzieć szczegóły związane ze sprawą Woody’ego Swope’a i dziecięcymi nowotworami. Był zaszokowany – podobnie jak wiele osób – że rak stanowi najczęstszą przyczynę śmierci dzieci. Tylko w wypadkach drogowych ginie ich więcej.

Zainteresowały go detale związane z mechaniką modułów sterylnych. Zadawał mi dokładne, analityczne pytania.

– Kilka miesięcy w tym plastikowym pudełku... I dzieci to nie przeraża?

– Nie, jeśli personel szpitala zadba o wszelkie drobiazgi. Trzeba przyzwyczaić dziecko do tego miejsca, zapewnić mu zajęcie, zachęcić rodzinę, by spędzała z nim jak najwięcej czasu. Sterylizuje się ulubione zabawki oraz ubrania i wnosi je do środka. Najważniejsze jest, żeby zminimalizować różnice między domem i szpitalem.

– Interesujące. Wiesz, o czym myślę, prawda?

– O czym?

– O AIDS. Mamy do czynienia z podobną sytuacją, prawda? To znaczy z obniżoną odpornością na infekcje.

– Sytuacja podobna, ale nie identyczna – odrzekłem. – Moduł sterylny odfiltruje bakterie i grzyby, dzięki czemu możemy chronić dzieci podczas kuracji. Jednakże w ich przypadku utrata odporności jest chwilowa, po zakończeniu chemioterapii układ odpornościowy regeneruje się. Natomiast u chorych na AIDS utrata odporności jest trwała i jej ofiary mają inne problemy: mięsak Kaposiego, infekcje wirusowe. Moduły mogą chronić ludzi przez jakiś czas, lecz nie bez końca.

– Tak, jednak wyobraź sobie taki obrazek: bulwar Santa Monica zastawiony tysiącami plastikowych sześcianów. W każdym wegetuje jakiś biedny facet. Można by pobierać opłatę za wstęp, a zebrane fundusze przeznaczyć na badania nad lekarstwem. – Zaśmiał się gorzko. – Zarabianie na grzechu! – Pokręcił głową. – Wystarczy, by zrobić z człowieka purytanina. Ze wszystkich stron słyszę przerażające opowieści. Dziękuję Bogu, że jestem monogamiczny. Rick ma większe doświadczenie ode mnie. W ubiegłym tygodniu na ostrym dyżurze trafił mu się pewien pacjent ze skaleczoną ręką. Chyba bójka barowa... Tak czy owak, narobił wrzasku, gdy zaczął podejrzewać, że Rick jest gejem. A przecież mój doktor w żadnej mierze nie wygląda na homoseksualistę... Później nie pozwolił się Rickowi dotknąć, krzyczał, że boi się AIDS, a przy okazji zakrwawił całe pomieszczenie. Wobec powyższego mój doktorek po prostu wyszedł z gabinetu zabiegowego. Niestety inni lekarze byli zawaleni pracą... Wiesz, sobotnia noc. Wkurzyli się na Ricka i do końca dyżuru traktowali jak cholernego trędowatego.



– Biedny facet.

– Jest doskonały w swoim zawodzie, był przecież głównym lekarzem w Stanford... A tu taki afront! Przyszedł do domu w bardzo ponurym nastroju. Na domiar złego poprzedniego wieczoru właśnie o tym ze mną rozmawiał. Mówił, że obawia się leczyć pacjentów gejów... Szczególnie tych, którzy krwawią. Nieźle mu wtedy nagadałem.

Nałożył na łyżeczkę reszkę lodów i podniósł do ust.

– Nieźle mu nagadałem – powtórzył i odgarnął włosy z oczu. – Ale, tak to przecież jest, gdy się kogoś kocha, prawda?

Podczas jazdy powrotnej do Morskiej Bryzy Milo zaczął się niespodziewanie tłumaczyć.

– Niestety nie mogę poświęcić tej sprawie więcej czasu. Na razie tylko zaginęło kilka osób, reszta to zwykle domysły.

– Wiem. Dziękuję, że przyjechałeś.

– Nie dziękuj. Oderwałem się przynajmniej od rutynowych zajęć. Prowadzę teraz bardzo paskudne sprawy. Gangsterska strzelanina. Śmierć dwóch Metysów. Ktoś zaciąchał sprzedawcę ze sklepu z alkoholem denkiem zbitej butelki. No i mam prawdziwą perłkę; gwałciciela, który sra ofiarom na brzuchy, gdy już z nimi skończy. Wiemy, że napadł na przynajmniej siedem kobiet. Ostatniej przydarzyło się coś znacznie gorszego niż defekacja...

– Jezu!

– Jezus nie wybaczy temu bydlakowi! – Zmarszczył brwi i skrzywił z Sawtelle w bulwar Pico.

– Każdego roku powtarzam sobie, że dotarłem już chyba do głębin deprawacji, i w następnym roku szumowiny z naszego miasta udowadniają mi, że się pomyliłem. Może powinienem zdać tamten egzamin.

Piętnaście miesięcy temu wspólnie z Milem zdemaskowaliśmy renomowany sierociniec jako burdel świadczący usługi pedofilom i przy okazji rozwiązaliśmy serię morderstw. Mojego przyjaciela okrzyknięto bohaterem i zaproponowano, żeby zdał egzamin na porucznika. Nie miałem wątpliwości, że poradziłby sobie, ponieważ jest bystry i świetny w tym, co robi. Szef powiadomił go, że Los Angeles gotowe jest zaakceptować oficera geja, o ile nie będzie się za bardzo afiszował swoją odmiennością. Milo zastanawiał się nad sprawą przez długi czas i ostatecznie odmówił.

– Nie ma mowy, stary. Czułbyś się głupio. Przypomnij sobie, co mi mówiłeś.

– Na jaki temat?

– Nie po to porzuciłeś badania nad twórczością Walta Whitmana, żeby przekładać papierki. Zachichotał.

– No tak, zgadza się.

Milo, zanim trafił do Wietnamu, dał się namówić na studia doktoranckie dla absolwentów filologii amerykańskiej na uniwersytecie w Indianie, żeby zostać potem nauczycielem akademickim. Miał nadzieję, że takie środowisko okaże się tolerancyjne dla jego seksualnych preferencji. Wkrótce jednak musiał pojechać do Wietnamu, a wojna zmieniła go w policjanta.

– Tylko sobie wyobraź niekończące się zebrania z innymi urzędnikami, rozmowy o implikacjach politycznych ewentualnych przecieków. No i żadnego kontaktu z ulicą.

– Dość, bo będę rzygał.

– Doradzałbym zupełnie inną terapię. Wjechaliśmy na motelowy parking. Niebo zaczęło już

ciemnieć; Morska Bryza zyskała na wyglądzie w zapadającym zmierzchu.

Biuro było jasno oświetlone, a irański recepcjonista, świetnie widoczny za kontuarem, oczywiście czytał książkę. Mój seville stał samotnie na parkingu. Na wpół opróżniony basen przypominał krater.

Milo zatrzymał samochód i wrzucił bieg na luz.

– Chyba rozumiesz, że nie mogę zająć się tą sprawą?

– Oczywiście. Póki nie ma zabójstwa, sprawa nie trafia do wydziału zabójstw.

– Prawdopodobnie wrócą po samochód. Musiałem go skonfiskować, toteż zgłoszą się po niego. Gdy przyjdą, zadzwonię do ciebie, byś mógł z nimi porozmawiać. Ale i tak dowiemy się, czy dotarli do domu. – Skrzywił się. – Cholera, to już chyba skleroza. Co z dzieckiem?

– Może nic mu nie jest. Może zabrali go do innego szpitala. – Chciałem, żeby zabrzmiało to optymistycznie, ale nie wierzyłem w szczęśliwe zakończenie sprawy. Nie mogłem zapomnieć o bólu widocznym na twarzy Woody’ego i o krwawej plamie na dywanie w motelu.

– Chyba że w ogóle nie chcą go leczyć, prawda?

Pokiwałem głową.

Milo wyjrzał przez przednią szybę.

– Z takim rodzajem morderstwa jeszcze nigdy nie miałem do czynienia.

Przemknęło mi przez głowę, że Raoul Melendez-Lynch powiedział to samo, choć innymi słowami. Podzieliłem się tą myślą z Milem.

– Więc twój przyjaciel nie chce szukać drogi prawnej?

– Starał się tego uniknąć. Może jednak sprawa trafi w końcu do sądu.

Pokręcił głową i położył mi dłoń na ramieniu.

– Będę miał oczy otwarte i natychmiast cię powiadomię.

– Doceniam twoją pomoc. I dzięki za wszystko, stary druhu.

– Drobnostka, przyjacielu. – Uścisnęliśmy sobie ręce. – Pozdrów ode mnie swoją bizneswoman, gdy wróci.

– Zrobię to. Życz Rickowi wszystkiego dobrego. Wsiadłem z samochodu. Przednie światła matadora przesunęły się po żwirze, gdy Milo opuszczał parking. Miał włączone radio. Do moich uszu dotarło trajkotanie dyspozytora policyjnego, brzmiące niczym fragment punkrockowego koncertu.

Ruszyłem na północ ku Bulwarowi Zachodzącego Słońca, by skrócić potem w Beverly Glen i skierować się do domu. Uprzytomniłem sobie nagle, że nikt tam na mnie nie czeka. Rozmowa z Milem o Robin otworzyła kilka ledwo zasklepionych ran i nie chciałem pozostać sam na sam z posępnymi myślami. Pomyślałem, że Raoul nie wie zapewne jeszcze, co znaleźliśmy w Morskiej Bryzie, i uznałem, że czas go o tym poinformować.

Siedział zgarbiony nad swoim biurkiem i bazgrał coś w notatniku. Zastukałem delikatnie w otwarte drzwi.

– A, to ty! – Wstał, by mnie powitać. – Jak poszło? Przekonaliście ich?

Opowiedziałem mu o wizycie w motelu.

– O mój Boże! – Osunął się na krzesło. – Niewiarygodne. Doprawdy niewiarygodne. – Zakrył twarz dłońmi, potem wziął ołówek i przez chwilę przetaczał go tam i z powrotem po blacie biurka. – Czy tej krwi było dużo?

– Jedna plama średnicy około piętnastu centymetrów.

– Niezbyt wielka. Na pewno nikt się nie wykrwawił – wymamrotał do siebie. – Żadnych innych wydzielin? Żółci, wymiotów?

– Niczego takiego nie widziałem. Ale pewności nie mam. W pokoju panował straszliwy bałagan.

– Bez wątplenia odprawiali jakiś barbarzyński rytuał. Mówiłem ci, że to szaleńcy. Cholerna sekta Dotknięcie! Ukradli dziecko, a potem ogarnął ich szal! Holizm nie jest niczym więcej jak tylko przykrywką dla anarchii i nihilizmu!

Przeskakiwał do kolejnych wniosków, a ja nie miałem ochoty ani energii kłócić się z nim.

– Co zrobiła policja?

– Detektyw, do którego zadzwoniłem, jest moim przyjacielem, toteż wydał natychmiast odpowiednie polecenia. Rozesłał rysopisy Swope'ów i ich dzieci, powiadomił szeryfa z La Visty, który będzie się rozglądał na miejscu. Technicy dokładnie sprawdzili pokój w motelu. Przeanalizowano ślady, spisano raport. I tyle. Chyba że zdecydujesz się podać sprawę do sądu.

– Twój przyjaciel... Czy jest dyskretny?

– Bardzo.

– To dobrze. Nie możemy sobie pozwolić na żadną szopkę. Rozmawiałeś kiedykolwiek z prasą? To idioci i sępy! Najgorsze są blondynki ze stacji telewizyjnych. Pustogłowe, z przyklejonymi do ust sztucznymi uśmiezkami, zawsze próbują cię zrobić w jakieś skandaliczne oświadczenie. Ledwie tydzień mija od mojej rozmowy z taką, hm... reporterką, która omal nie skłoniła mnie do potwierdzenia, że uleczalność nowotworów to tylko kwestia dni. Żądają natychmiastowych informacji, a ty masz je zadowolić. Łatwo sobie wyobrazić, jak mogą speprzyć taką sprawę.

Nagle ogarnęła go wściekłość i zerwał się z krzesła. Przemierzył biuro krótkimi nerwowymi krokami, uderzając pięścią w drugą dłoń. Dotarł do stosów książek i rękopisów, ominął je, po czym wrócił do biurka, przeklinając po hiszpańsku.

– Sądzisz, że powinienem podać sprawę do sądu, Alex?

– Trudno powiedzieć. Musisz ocenić, czy upublicznienie sprawy pomoże chłopcu. Procesowałeś się już kiedyś?

– Raz. W ubiegłym roku leczyliśmy dziewczynkę, która potrzebowała transfuzji. Rodzina należała do świadków Jehowy i do przetoczenia krwi potrzebowaliśmy nakazu sądowego. Jednak tamta sprawa była inna. Rodzice właściwie z nami nie walczyli. Mówili tylko, że wiara nie pozwala im wyrazić zgody na taką ingerencję w organizm ich dziecka, ale szczerze chcieli je

uratować, toteż wręcz pragnęli, by ktoś podjął za nich decyzję. Gdy wzięliśmy na siebie odpowiedzialność za moralne skutki transfuzji, byli niemal uszczęśliwieni. Mała żyje do dziś i jest zdrowa. Chłopiec Swope'ów również mógłby wyzdrowieć, zamiast umierać w melinie wyznawców voodoo.

Wsunął rękę do kieszeni białego fartucha, wyjął paczkę słonych krakersów, otworzył i chrupał je tak długo, aż zjadł wszystkie. Strzepnąwszy okruszki z wąsów, kontynuował przemowę:

– Nawet w przypadku świadków Jehowy media spróbowały zrobić z procesu aferę, sugerując, że namawiamy ludzi do złego. Jedna ze stacji telewizyjnych przysłała do mnie jakiegoś kretyna, który udawał reportera czasopisma medycznego. Prawdopodobnie chciał kiedyś zostać lekarzem, ale oblał egzamin z biologii. Tak czy owak, próbował ze mną zrobić wywiad, obnosił się z magnetofonem i zwracał do mnie po imieniu. Wyobrażasz sobie! Traktował mnie jak kumpla!

Wyrzuciłem go na zbity pysk. Na szczęście rodzice dziecka posłuchali naszej rady i odmówili rozmowy z mediami. W tym momencie „afera” umarła śmiercią naturalną. Wobec braku padliny sępy przeniosły się na inne żerowisko.

Drzwi prowadzące do laboratorium otworzyły się i do biura weszła młoda kobieta z wielkim notesem w ręce. Miała jasnobrązowe włosy przycięte na pazia, okrągłe oczy, które wyjątkowo pasowały do jej fryzury, ostre rysy twarzy i nadąsane usta. Ręka z notesem była blada, paznokcie zaś obgryzione do żywego ciała. Nosiła laboratoryjny kitel, który sięgał jej za kolana, i buty na płaskich kauczukowych podszewkach.

Zignorowała mnie i zwróciła się wprost do Raoula:

– Mam coś, co powinieneś zobaczyć. Niewątpliwie uznasz to za podniecające. – Pozbawiony emocji ton kontrastował z przekazaną informacją.

Melendez-Lynch wstał.

– Czy mówisz o nowej błonie, Helen?

– Tak.

– Cudownie. – Wyglądał, jakby zamierzał ją uściskać, lecz nagle przypomniał sobie o mnie. Odchrząknąwszy, przedstawił nas sobie: – Alex, poznaj moją współpracownicę, doktor Helen Holroyd.

Wymieniliśmy zdawkowe uprzejmości. Kobieta podeszła do Raoula z władcym błyskiem w brązowych oczach.

Bardzo się starali ukryć łączącą ich zażyłość, toteż – po raz pierwszy tego dnia – poczułem, że się uśmiecham. Odkryłem, że sypiają ze sobą i za wszelką cenę pragną zachować swój związek w sekrecie. Nie miałem wątpliwości, że każdy na oddziale wie o nim.

– Muszę już iść – oświadczyłem.

– Tak, tak, oczywiście. Dziękuję ci za wszystko. Być może zadzwonię i umówimy się jeszcze na rozmowę o tej sprawie. Tymczasem prześlij rachunek mojej sekretarce.

Kiedy wychodziłem, omawiali cuda równowagi osmotycznej, patrząc sobie w oczy.

W drodze na parking wstąpiłem do szpitalnego barku po kubek kawy. Minęła już dziewiętnasta i było tam zaledwie kilka osób. Wysoki Meksykanin z siatką na włosach i siwymi wąsikami suchym mopem wycierał podłogę. Trzy pielęgniarki śmiały się i jadły pączki. Wziąłem kawę i kiedy wychodziłem, coś zwróciło moją uwagę.

Przy jednym ze stolików siedział Valcroix i machał do mnie. Podeszedłem do niego.

– Może się do mnie przyłączysz?

– Czemu nie? – Postawiłem kubek i zająłem krzesło naprzeciwko niego. Na jego tacce obok dwóch szklanek wody pozostały resztki sałatki. Dłubał widelcem w misce z kiełkami lucerny.

Psychodeliczną koszulę sportową zamienił na czarny podkoszulek z napisem „Grateful Dead”, a biały fartuch przerzucił przez krzesło obok siebie. Patrząc na niego z bliska, zauważyłem, że jego długie włosy są przeredzone na czubku głowy. Powinien się ogolić, chociaż zarost miał rzadki, nie licząc wąsika i okolic podbródka. Twarz o obwisłych policzkach szpeciła paskudna opryszczka. Pociągał czerwonym nosem i miał przekrwione oczy.

– Jest coś nowego na temat Swope’ów? – spytał.

Byłem już znużony opowiadaniem całej historii, ale Valcroix był ich lekarzem i miał prawo ją usłyszeć. Przekazałem mu krótkie streszczenie aktualnej sytuacji.

Wysłuchał mnie ze spokojem. W półprzymkniętych oczach nie dostrzegłem żadnych emocji. Kiedy skończyłem, zakaszłał i wytarł nos chusteczką.

– Czuję, że muszę cię zapewnić o własnej niewinności – stwierdził ni stąd, ni zowąd.

– Ależ nie ma takiej potrzeby – odparłem.

Wypiłem trochę kawy i odstawiłem ją szybko, przypominając sobie jej okropny smak sprzed lat.

Valcroix patrzył na mnie nieobecny wzrokiem, jakby wycofując się w swój świat wewnętrzny. Pamiętałem, że podobnie zachowywał się podczas przemowy Raoula. Nagle odezwał się, wrywając mnie z zamyślenia.

– Wiem, że Melendez-Lynch obwinia mnie o porwanie. Obwinia mnie, odkąd zacząłem tu pracować. O wszystko i zawsze, gdy na oddziale dzieje się coś złego. Czy bywał równie nieznośny, kiedy z nim pracowałeś?

– Hm, ujmę to tak: trochę czasu minęło, zanim nawiązaliśmy dobre stosunki w pracy.

Z powagą pokiwał głową, wziął kilka kiełków i przez chwilę żuł je bez słowa.

– Sądziś, że po prostu uciekli? – spytałem go.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Żadnych podejrzeń?

– Żadnych. Skąd pomysł, że wiem więcej niż inni?

– Słyszałem, że nawiązaliście kontakt.

– Kto ci to powiedział?

– Raoul.

– Który nie ma najmniejszego pojęcia, jak wyglądają normalne stosunki międzyludzkie.

– Wydawało mu się, że szczególnie dobry kontakt nawiązałeś z matką.

– Zanim zostałem lekarzem, byłem pielęgniarzem – wyjaśnił.

– Interesujące.

– Doprawdy?

– Tak, bo pielęgniarze zawsze narzekają. Uważają się za niedocenianych i kiepsko opłacanych. Stale się odgrają, że odejdą i zaczną studiować medycynę. Przed tobą nie spotkałem chyba żadnego, który spełniłby swoją obietnicę.

– Pielęgniarze biadolą, ponieważ mają cholerne życie. Z drugiej strony pewnych rzeczy można się nauczyć jedynie na dole tej drabiny. Na przykład rozmawiać z pacjentami i ich rodzinami. Jako pielęgniarzowi wolno mi było gawędzić z ludźmi do woli, teraz zaś, gdy jestem lekarzem, z tego samego powodu nazywają mnie dewiantem. Dobre kontakty? Hm... ledwie znałem tych ludzi. Jasne, rozmawiałem z matką. Kłuteł jej syna codziennie igłami, dziurawiąc mu kość i wysysając szpik. Czy mogłem nie rozmawiać z matką tego biednego dziecka? – Przez chwilę patrzył w miskę z sałatką. – Melendez-Lynch nie potrafi zrozumieć, że wolę traktować pacjentów jak istoty ludzkie, zamiast odgrywać technokratę w białym kitlu. Sam nie zrobił nic, by poznać Swope'ów, ale nie przyszło mu do głowy, że jego nieprzystępność ma coś wspólnego z ich ucieczką. Ja się do nich zbliżyłem, więc jestem kozłem ofiarnym. – Pociągnął nosem, wytarł go i wysączył wodę z jednej szklanki. – Po co roztrząsać ten problem? Przecież ci ludzie zniknęli!

Pamiętałem rozważania Mila na temat opuszczonego samochodu.

– Może wróć – zauważyłem.

– Bądź poważny. Zwiali, bo wiedzieli, że tylko w ten sposób zdołają znów decydować o swoim losie. Nie ma mowy, nie wróć.

– Wolność dość szybko im się znudzi, gdy stan dziecka wymknie się spod kontroli.

– Faktem jest – stwierdził – że nienawidzili naszego oddziału. Wszystkiego co z nim związane. Hałasu, braku prywatności, nawet sterylności. Pracowałeś kiedyś na pododdziale modułów sterylnych, prawda?

– Przez trzy lata.

– Więc wiesz, czym karmimy chore dzieci... Jedzenie jest przetworzone i rozgotowane. Nie ma ani odżywczych wartości, ani smaku.

To była prawda. Dla pacjenta, który nie posiada naturalnego systemu odpornościowego, świeże owoce i warzywa są potencjalnymi źródłami śmiertelnych mikroorganizmów, a szklanka mleka – wręcz oceanem bakterii typu *laktobacillus*. Z tego właśnie powodu wszystko, co jedzą dzieci w plastikowych pomieszczeniach, jest przetworzone, podgrzewane i sterylizowane. Rzeczywiście czasami posiłek nie ma żadnych wartości odżywczych.

– My pojmujemy konieczność takich posunięć – zauważył. – Niestety, wielu rodziców ma trudności ze zrozumieniem, dlaczego ich ciężko chore dziecko może pić colę, jeść do woli chipsy ziemniaczane i wszelkiego rodzaju śmieci, podczas gdy marchewki nie wolno mu dać. Taka dieta jest dla nich niezrozumiała.

– Wiem – przytaknąłem. – Na szczęście większość akceptuje ją dość szybko, ponieważ wiedzą, że chodzi o życie ich dziecka. Dlaczego Swope’owie nie przyjęli jej do wiadomości?

– Są ze wsi, tam powietrze jest czyste, a ludzie jedzą to, co sami wyhodują. Uważają miasto za świat toksyczny. Ojciec chłopca skarżył się na smog. „Oddychacie ściekami”, mówił mi przy każdej okazji. Stale podkreślał, że w domu ma świeże powietrze i naturalne pożywienie. Ciągle wspominał swoją zdrową wieś.

– Najwyraźniej nie była wystarczająco zdrowa – mruknąłem.

– Niestety. Jak nazywa się taki frontalny szturm na system podstawowych przekonań? – Popatrzył na mnie ze smutkiem. – Jest chyba w psychologii termin określający stan człowieka, któremu zawalił się system wartości?

– Dysonans kognitywny.

– Jak zwął. Powiedz mi – pochylił się do przodu – jak funkcjonują ludzie w tym stanie?

– Czasami zmieniają swoje przekonania, czasami zaś zniekształcają rzeczywistość, dopasowując ją do tych przekonań.

Odchylił się w tył, przygładził rękoma włosy i się uśmiechnął.

– Więc wszystko jasne, co tu jeszcze dodać?

Pokiwałem głową i ponownie spróbowałem kawy. Była chłodniejsza, lecz wcale nie lepsza.

– Ciągle słyszę o ojcu chłopca – zauważyłem. – Czyżby matka była tylko jego cieniem?

– Wcale nie. Powiedziałbym, że z nich dwojga właśnie ona była bardziej odporna. To po prostu cicha, spokojna kobieta. Pozwalała się mężowi wygadać, a sama w tym czasie przebywała z Woodym i dbała o jego potrzeby.

– Czy mogła zdecydować o ucieczce?

– Nie wiem – odparł. – Powiedziałem tylko, że jest silną kobietą, a nie głupiutkim uległym stworzeniem.

– A siostra? Beverly mówiła, że dziewczyna niezbyt kochała rodziców.

– Trudno powiedzieć. Nie widywałem tej panny zbyt często na oddziale. No i zawsze trzymała się na uboczu.

Wytarł nos i wstał.

– Nie lubię plotkować – wyjaśnił. – Zbyt wiele ci już powiedziałem.

Chwycił biały kitel, przerzucił go sobie przez ramię, odwrócił się plecami i odszedł bez słowa. Zostałem przy stoliku i obserwowałem go. Poruszał bezgłośnie ustami, jakby się modlił.

Było już po dwudziestej, gdy wreszcie dotarłem do Beverly Glen. Mój dom stoi na szczycie starej, zapomnianej przez wszystkich trasy do jazdy konnej. Droga jest nie oświetlona, wije się



niczym serpentyna, lecz doskonale znam każdy jej zakręt. W skrzynce pocztowej czekał na mnie list od Robin. Początkowo bardzo się ucieszyłem, jednakże gdy czytałem go po raz czwarty, zawładnęło mną otepiałające przygnębienie.

Było zbyt późno, by nakarmić *koi*, więc po gorącej kąpieli włożyłem stary żółty szlafrok, nalałem sobie brandy i wszedłem ze szklaneczką do biblioteki tuż obok sypialni. Skończyłem lekturę raportów sądowych, potem usadowiłem się w ulubionym fotelu i przejrzałem stos książek, które miałem ochotę przeczytać.

Jako pierwszy trafił mi do ręki album fotografii Diane Arbus, ale okropne portrety karłów, ludzkich wraków, kalek i rannych jedynie pogłębiły moją depresję. Następną parę książek okazało się niewiele lepszych, toteż poszedłem na piętro z gitarą, usiadłem i ze wzrokiem wbitym, w gwiazdy zmusiłem się do grania w tonacji durowej.

Następnego ranka wyszedłem na taras po gazetę i znalazłem „prezent”. Oślizgły, spuchnięty. Martwy szczur.

Z jego szyi zwisała pętla konopnego sznura. Miał otwarte, zamglone oczy i matowe futro. Przednie łapy zastygły jakby niemal w prośbie. W półotwartym pysku widać było żółtawe przednie zęby.

Pod zwłokami leżał kawałek papieru. Pomagając sobie „Timesem”, odepchnąłem szczura, który stawiał pewien opór. Wreszcie przesunął się niczym krążek hokejowy na krawędź tarasu.

Wiadomość przypominała mi te, które widywałem w starych filmach gangsterskich – wycięte z czasopism litery układały się w napis:

*„To dla ciebie, pazerny psychiatro”.*

I tak domyślałem się nadawcy, ale po przeczytaniu tych słów nie miałem już cienia wątpliwości.

Poświęciwszy znaczną część gazety, owinałem nią szczura i zaniósłem do śmietnika. Następnie wszedłem do domu i zadzwoniłem do Mala Worthy’ego.

– Wiem, wiem – powiedział pierwszy – również dostałem śmierdzącą przesyłkę. Jakiego koloru był twój szczur?

– Brązowawoszary, z pętlą wokół szyi.

– Możesz się uważać za szczęśliwca. Mój przyszedł bez głowy, w pudełku. Omal nie straciłem przez niego cholernie dobrej listonoszki. Biedna kobieta ciągle myje ręce. Ciekawe, co dostał Daschoff? Szczuroburgera?

Mimo woli aż zadrzałem, słysząc jego słowa.

– Od początku wiedziałem, że Moody jest szaleńcem – zauważył.

– Skąd wiedział, gdzie mieszkam?

– Może sąd nieopatrznie zamieścił twój adres na ekspertyzie psychologicznej.

– Cholera, to rzeczywiście możliwe. Co dostała żona?

– Nic. Rozumiesz coś z tego?

– Szaleńcy rzadko postępują sensownie. Jak powinniśmy zareagować?

– Już zacząłem szkicować nakaz, dzięki któremu facet nie będzie mógł się zbliżyć na kilometr ani do ciebie, ani do mnie. Jednak, szczerze mówiąc, nie zdołamy się uchronić przed jego dalszymi wyskokami. Chyba że ktoś go przyłapie na gorącym uczynku... Tak, wtedy to będzie zupełnie inna historia.

– Nie jest to pocieszające, Malcolmie.

- Na tym polega demokracja, mój przyjacielu – przerwał.
- Nagrywasz naszą rozmowę?
- Oczywiście, że nie.
- Tylko sprawdzam. Jest też inna możliwość, ale wydaje mi się zbyt ryzykowna. Najpierw trzeba zakończyć sprawę rozwodu.
- O czym mówisz?
- Znam kogoś, kto za pięćset dolarów tak go poharata, że facet już nigdy nie zdoła się wysikać bez potwornego bólu.
- Demokracja, co?
- Roześmiał się.
- Wolny rynek. Praca dla każdego. Przedstawiłem ci tylko jedną z możliwości.
- Daj spokój, Mal.
- Nie bój się, Alex. Jedynie teoretyzuję.
- Co z policją?
- Zapomnij o policji. Nie mamy żadnych dowodów, że prezencik przysłał nam Moody. A nie będziemy chyba zdejmować odcisków palców ze szczura, zresztą wysyłanie gryzoni przyjacielom nie podpada pod żaden paragraf. Może – ponownie się roześmiał – trzeba by zawiadomić Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Wyobrażasz sobie karę dla niego? Sroga reprimenda i noc w schronisku?
- Pojedziemy przynajmniej z nim porozmawiać?
- Lepiej nie. Gdyby bardziej otwarcie nam groził, wówczas byłoby to możliwe. A na policję nie pójdę, bo nie mam ochoty rozbawiać policjantów, którzy nie cierpią prawników tak samo jak Moody. Nieźle się uśmieją, gdy im powiem, że dostałem prezent z podpisem: „To dla ciebie, pieprzony kanciarzu”. Powiadomię ich o incydencie, niech informacja o nim trafi do akt, lecz nie liczę na żadną pomoc.
- Mam przyjaciela w policji.
- Wszyscy mundurowi są tacy sami.
- A detektywi?
- Och, detektywi to co innego. Zadzwoń do niego. Jeśli wolisz, żebym ja z nim porozmawiał, chętnie to zrobię.
- Poradzę sobie.
- Świetnie. Zawiadom mnie o wynikach. Przepraszam cię za kłopot. – Odniosłem wrażenie, że bardzo chce już zakończyć rozmowę. Był doskonale opłacany – za minutę pracy dostawał jakieś trzy i pół dolara – i zapewne nie miał ochoty tracić cennego czasu na telefoniczne pogawędki.
- Jeszcze jedna sprawa, Mal.
- O co chodzi?
- Zadzwoń do sędzi. Jeśli do tej pory nie otrzymała takiej paskudnej przesyłki, ostrzeż ją. W

każdej chwili może dostać szczura.

– Już dzwoniłem do strażnika sądowego. Zapewnił mnie, że wszystkiego dopilnuje.

– Opisz mi tego dupka najdokładniej, jak potrafisz – polecił Milo.

– Prawie mojego wzrostu i budowy. Czyli około metra osiemdziesięciu, jakieś osiemdziesiąt kilo wagi. Kościsty, muskularny. Pociągła twarz, czerwona opalenizna, jaką miewają robotnicy na budowach, wydatny nos, kwadratowa szczęka. Nosi indiańską biżuterię, na każdej ręce po jednym pierścionku. Skorpion i wąż. Dwa tatuaże na lewym ramieniu. Ubiera się byle jak.

– Oczy?

– Brązowe. Przekrwione. Niedzielny pijak. Brązowe włosy zaczesane do tyłu, tłusta, pryszczata cera.

– Gdzie mieszka? W motelu Bedabye?

– W każdym razie mieszkał tam jeszcze kilka dni temu. Teraz być może sypia w swoim pikapie.

– Znam paru facetów w wydziale na podgórzu. Jeśli uda mi się namówić jednego z nich do pogawędki z Moodym, twoje kłopoty się skończą. To facet o nazwisku Fordebrand. Ma najbardziej cuchnący oddech na świecie. Pięć minut twarzą w twarz z nim i ten duppek Moody pożałuje, że żyje.

Roześmiałem się nieszczerze.

– Popsuł ci humor tym szczurem, co?

– Miewałem lepsze poranki.

– Jeśli cię przestraszył i chcesz pomieszkać przez jakiś czas u mnie, nie mam nic przeciwko temu.

– Dzięki, nie ma takiej potrzeby.

– Gdybyś jednak zmienił zamiar, zawiadom mnie. Tymczasem bądź ostrożny. Może ten facet jest tylko przemądrzałym dupkiem, ale nie trzeba było rozmawiać z nim o szaleństwie. Miej oczy otwarte, kolego.

Większą część dnia spędziłem na zwykłych zajęciach, próbach zapomnienia i odprężenia się. Niestety, pozostawałem w nastroju, który nazywam „stanem karate”, charakteryzującym się podwyższonym poziomem czujności percepcyjnej. Mam wówczas bardzo wyostrzone zmysły – wręcz o krok od paranoi – świat nie wydaje mi się już normalny.

W tym okresie unikam alkoholu i tłustego jedzenia, wykonuję ćwiczenia rozciągające i ćwiczę *kata* – taneczne układy karate – aż do wyczerpania. Później relaksuję się półgodziną autohipnozą i nakazuję sobie powrót do normalnego stanu.

Nauczyłem się tego wszystkiego od mojego instruktora walk wschodnich, czeskiego Żyda o nazwisku Jaroslav, który udoskonalił swój instynkt samozachowawczy, kryjąc się przed nazistami. Szukałem jego rady podczas pierwszych tygodni po zakończeniu sprawy La Casa de

Los Niños, kiedy odrutowana szczęka przyprawiała mnie o poczucie bezradności, a nocami często męczyły koszmary. Dzięki niemu poradziłem sobie z demonami szalejącymi w mojej głowie.

W końcu uspokoiłem się i powiedziałem sobie, że jestem gotów na wszystkie niespodzianki przygotowane przez Richarda Moody'ego.

Ubierałem się właśnie przed wyjściem na kolację, gdy zadzwoniła dziewczyna z centrali telefonicznej.

– Dobry wieczór, doktorze, mówi Kathy.

– Dobry wieczór.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale mam na linii panią Beverly Lucas, która koniecznie chce z panem rozmawiać.

– Nie ma sprawy. Proszę ją połączyć.

– W porządku. Przyjemnego wieczoru, doktorze.

– Nawzajem, Kathy.

Usłyszałem odgłos przełączania.

– Beverly?

– Alex? Muszę z tobą porozmawiać.

W tle słychać było głośną muzykę – elektroniczną perkusję, ryczące gitary i przyprawiający o palpitację bas. Ledwie ją słyszałem.

– O co chodzi?

– Nie mogę teraz z tobą rozmawiać, dzwonię z baru. Jesteś bardzo zajęty?

– Nie. Z którego baru dzwonicz?

– Z Jednorozca. W Westwood. Koniecznie muszę się z tobą zobaczyć.

Wydawała się zdenerwowana, ale przy takim hałasie nie miałem pewności. Znałem ten lokalik, stanowiący połączenie bistra i dyskoteki. Zaspokajał towarzyskie potrzeby młodych, dość majątnych samotnych ludzi. Kiedyś z Robin weszliśmy tam po kinie coś przekąsić, lecz nie spodobała nam się zbyt bezpośrednia atmosfera.

– Właśnie wychodziłem na kolację – odparłem. – Gdzie chcesz się spotkać?

– Może przyjdiesz tutaj? Podam na dole nazwisko i gdy się zjawisz, wskażą ci mój stolik.

Kolacja w Jednorozcu nie była szczególnie kuszącą perspektywą, gdyż poziom hałasu mógł mnie przyprawić o całkowitą utratę apetytu, niemniej jednak obiecałem Beverly, że zjawię się za piętnaście minut.

W Village wpadłem w korki i spóźniłem się. Jednorozec to raj dla narcyzów, bowiem z wyjątkiem podłogi wszystkie powierzchnie były w nim lustrzane. Dostrzegłem też mnóstwo wiszących paproci bostońskich, kilka lamp w stylu Tiffany'ego oraz jakieś ozdobne elementy z mosiądzu i drewna, jednakże najbardziej przyciągały uwagę wszechobecne lustra.

Po prawej stronie znajdowała się niewielka restauracyjka – dwadzieścia stolików przykrytych adamaszkowymi obrusami w intensywnie zielonym odcieniu – po lewej oszklona dyskoteka, gdzie pary tańczyły w rytm szybkiej muzyki granej na żywo; od hałasu aż drżało szkło. Pomieszczenia oddzielał od siebie hol z barkiem, również wyłożony lustrami, odbijającymi wszelkie modele modnego obuwia i strojów.

Hol był mroczny i pełen ludzi. Przebijałem się przez tłum, otoczony roześmianymi twarzami, niepewny, które są realne, a które stanowią jedynie odbicie prawdziwych. Lokal przypominał mi wesołe miasteczko.

Beverly siedziała przy barze obok barczystego faceta w obcisłym podkoszulku. Mężczyzna na przemian próbował zabawiać swoją towarzyszkę, popijał piwo i rozglądał się po sali w poszukiwaniu ciekawszego obiektu do podrywu. Beverly kiwała od czasu do czasu głową, lecz chyba czyniła to tylko z grzeczności.

Dotknąłem jej łokcia, gdy wpatrywała się w wysoką szklanę na wpół wypełnioną spienionym różowym płynem z dużą ilością kandyzowanych owoców i papierową parasolką.

– Alex. – Beverly ubrana była w krótką koszulkę w kolorze cytrynowym i satynowe szorty joggingowe w podobnym odcieniu. Na stopach miała jasne buty do biegania, nad nimi – od kostek aż do kolan – żółtobiałe bawełniane ochraniacze. Mocno się umalowała i obwiesiła biżuterią, choć pamiętałem, że w pracy nigdy się nie stroiła. – Dzięki, że przyszedłeś. – Pochyliła się ku mnie i pocałowała mnie w usta. Wargi miała ciepłe.

Mięśniak wstał i odszedł.

– Mam nadzieję, że stolik już na nas czeka – oświadczyła.

– Sprawdźmy. – Wziąłem ją pod ramię i przycisnęliśmy się przez tłum. Po drodze wielu mężczyzn śledziło Beverly, która nie zwracała na nich uwagi.

Wynikło pewne zamieszanie, ponieważ moja towarzyszka zamówiła stolik na nazwisko „Luke”, o czym mnie nie powiadomiła, na szczęście szybko wyjaśniliśmy pomyłkę z *maître* sali i w końcu usiedliśmy przy narożnym stoliku pod olbrzymią paprocią.

– Cholera – mruknęła – zostawiłam drinka przy barze.

– Może kawy?

Wydęła prowokacyjnie usta.

– Sądysz, że jestem pijana?

Mówiła wyraźnie i poruszała się normalnie. Tylko jej oczy czasem uciekały.

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami.

– Jak zawsze jesteś powściągliwy w słowach, co? – Roześmiała się.

Przywołałem kelnera i zamówiłem sobie kawę. Beverly wzięła kieliszek białego wina. Następną dawkę alkoholu w niczym nie zmieniła jej zachowania. Potrafiła doskonale nad sobą panować.

Kilka minut później wrócił kelner. Postanowiłem zamówić proste potrawy – sałatkę ze szpinakiem i pieczonego kurczaka – ponieważ w modnych restauracjach zazwyczaj serwują

paskudne jedzenie, a to danie niełatwo było popsuć.

Beverly studiowała jadłospis niczym podręcznik.

– Wezmę karczochy – oznajmiła.

– Na gorąco czy na zimno, proszę pani?

– Na zimno.

Kelner zanotował zamówienie i spojrzał na Beverly wyczekująco. Kiedy się nie odezwała, spytał, czy to wszystko.

– Tak, tak. Odszedł, kręcąc głową.

– Jadam dużo karczochów, ponieważ podczas biegania człowiek traci sól, a karczochy zawierają go całe mnóstwo.

– Aha.

– Na deser wezmę coś z bananami, ponieważ mają dużo potasu. Podnosząc poziom sodu w organizmie, trzeba też podnieść poziom potasu. Tylko wtedy organizm zachowa biochemiczną równowagę.

Zawsze uważałem ją za bardzo poważną kobietę, może nawet nieco zbyt surową dla siebie i skłoną do nadmiernego obarczania się winą. Ta rozsądna dziewczyna po przeciwnej stronie stolika była dla mnie zupełnie obcą osobą.

Opowiadała o maratonach, póki kelner nie przyniósł kolacji. Kiedy postawił przed nią karczochy, zaczęła delikatnie dłubać widelcem w liściach.

Moje danie okazało się niejadalne: sałatka była grudkowata, kurczak zaś wyschnięty.

Beverly w końcu rozebrała karczocha, wybrała jadalne kawałki. Kiedy skończyła jeść, spytałem, o czym chce ze mną porozmawiać.

– To bardzo trudne, Alex.

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

– Czuję się jak... zdrajczynie.

– Wobec kogo?

– Cholera. – Patrzyła wszędzie, tylko nie na mnie. – Sprawa prawdopodobnie nawet nie jest szczególnie ważna. Pewnie przesadzam, ale ciągle myślę o Woodym i zastanawiam się, kiedy zaczną się przerzuty... o ile już do tego nie doszło. Tak czy owak, chcę zrobić coś, co zagłuszy we mnie uczucie przeklętej bezradności.

Pokiwałem głową i czekałem. Skrzywiła się.

– Chodzi o to, że Augie Valcroix znał tę parkę z sekty Dotknięcie. Tych dwoje, którzy przyszli odwiedzić Swope'ów – wydusiła w końcu.

– Skąd wiesz?

– Widziałam, jak z nimi rozmawiał. Słyszałam, że zwracał się do nich po imieniu. Powiedział mi, że odwiedził kiedyś siedzibę sekty i że mu się tam podobało. „Spokojne miejsce”, ocenił.

– Czy powiedział, po co tam pojechał?

– Wspomniał tylko, że zawsze go interesowały alternatywne style życia. Wiem, że to prawda, ponieważ w przeszłości opowiadał o wizytach składanych innym grupom: scjentologów, sekty Lifespring, buddystów w Santa Barbara. Augie to Kanadyjczyk, więc uważa Kalifornię za raj na ziemi.

– Masz dowody, że się zmówili?

– Nie, nie. Wiem jedynie, że się znali.

– Twierdzisz, że zwracał się do nich po imieniu. Pamiętasz te imiona?

– Zdaje się, że faceta nazywał Gary albo Barry. Imienia kobiety nie dosłyszałam. Nie sądzisz chyba, że chodzi o jakiś spisek?

– Kto wie?

Przez chwilę kręciła się na krześle, jakby miała na sobie zbyt obcisłe ubranie. Gdy wreszcie przyciągnęła uwagę kelnera, zamówiła likier bananowy. Sączyła go powoli, próbując się odprężyć, jednak ciągle była zdenerwowana.

Odstawiła kieliszek, obrzucając mnie ukradkowym spojrzeniem.

– Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze, Beverly?

Pokiwała głową, wyraźnie zakłopotana. Po sekundzie odezwała się szeptem:

– Drugi szczegół ma prawdopodobnie jeszcze mniejsze znaczenie dla sprawy, ale skoro już zaczęłam, równie dobrze mogę wyrzucić z siebie wszystko. Sądzę, że Augiego i Nonę Swope łączył romans. Nie jestem pewna, kiedy się zaczął. Zapewne niezbyt dawno, ponieważ Swope'owie przyjechali do miasta zaledwie kilka tygodni temu. – Beverly bawiła się chusteczką.

– Boże, czuję się strasznie. Gdyby nie chodziło o Woody'ego, nigdy bym o tym nie wspomniała.

– Wiem o tym.

– Chciałam opowiedzieć o wszystkim twojemu przyjacielowi gliniarzowi już w motelu. Facet wydał mi się bardzo miły, ale jakoś mi się nie udało. Nie mogłam jednak przestać myśleć o tych dwóch sprawach. Może potrafiłabym w jakiś sposób pomóc chłopcu i nie robię tego. Nie miałam jednak ochoty iść ze swoją historią na policję. Uznałam więc, że jeśli opowiem ją tobie, będziesz to umiał odpowiednio wykorzystać.

– Postąpiłaś właściwie.

– Szkoda tylko, że postępując właściwie, czuję się tak paskudnie. – Głos jej się załamał. – I szkoda, że nie możesz mnie zapewnić, iż moja... zdrada na coś się przyda.

– Mogę jedynie przekazać twoje słowa Milowi. Widzisz, Milo wcale nie jest przekonany, czy w ogóle popełniono zbrodnię. Tak sądzi chyba tylko Raoul.

– Och, Raoul zawsze jest wszystkiego pewien! – warknęła gniewnie. – Gotów natychmiast wskazać winnego. Obarcza odpowiedzialnością wszystkich wokół siebie, a Augiego od dnia jego przyjazdu upatrzył sobie na kozła ofiarnego. A teraz jeszcze pogorszyłam jego los.

– Niekoniecznie. Milo zrobi jedną z dwóch rzeczy: albo całkowicie zignoruje te rewelacje, albo porozmawia z Valcroix. W żadnym razie nie będzie przywiązywał wagi do opinii Raoula. Nigdy nie zawiera pochopnym oskarżeniom, bez względu na to, kto je formułuje.



Kiepski balsam na jej wyrzuty sumienia.

– Nadal czuję się jak zdrajczyń. Augie jest moim przyjacielem.

– Spójrz na to z innej strony. Jeśli Valcroix sypia z Noną i rzeczywiście ma coś wspólnego z porwaniem, zrobiłaś dobry uczynek. Jeśli nie, po prostu odpowie na parę pytań. W końcu nie jest przecież aniołkiem.

– Co masz na myśli?

– Słyszałem, że ma zwyczaj sypiać z matkami swoich pacjentów. Tym razem, dla odmiany, robi to z siostrą... Jakkolwiek na to spojrzeć, nie postępuje etycznie.

– Ależ jesteś okrutny! – warknęła. Jej twarz zrobiła się purpurowa. – Oceniasz go niczym sędzią!

Zanim zdołałem cokolwiek wyjaśnić, Beverly wstała od stolika, porwała torebkę i wybiegła z restauracji.

Wyjąłem portfel, rzuciłem dwadzieścia dolarów i ruszyłem za nią.

Biegła i szła na przemian bulwarem Westwood. Machając energicznie rękoma, kierowała się w stronę hałaśliwego Village.

Dopędziłem ją i chwyciłem za ramię. Twarz miała mokrą od łez.

– Co się dzieje, Beverly?

Nie odpowiedziała, ale pozwoliła mi iść obok siebie. Tego wieczoru Village szczególnie przypominała scenę filmów Felliniego. Na zarzuconych śmieciach chodnikach zauważyłem dziesiątki ulicznych grajków, uczniów college'ów o ponurych twarzach, grupki jazgotliwych gimnazjalistów w zbyt dużych ubraniach, specjalnie podartych i pocerowanych w modnym stylu, nieprzytomnie wpatrzonych przed siebie motocyklistów, zagapionych w atrakcje bogatych turystów oraz stale polujące na łatwy zarobek niebieskie ptaszki.

W milczeniu dotarliśmy do południowego krańca kampusu Uniwersytetu Kalifornijskiego. Teren uczelni, zazwyczaj bardzo jasno oświetlony i tętniący życiem, tonął w niemal całkowitej ciemności, na tle której rysowały się tylko niewyraźne kontury drzew; nienaturalna cisza była wprost przerażająca. Nagle zostaliśmy sami, tylko od czasu do czasu mijały nas samochody.

Weszliśmy do kampusowego parku. Jakies sto metrów od płotu zatrzymałem Beverly i usadziłem ją na ławce przy przystanku autobusowym. Autobusy nie jeździły w nocy, więc lampy wokół przystanku wyłączono. Moja towarzyszka odwróciła się ode mnie i zatopiła twarz w dłoniach.

– Beverly...

– Chyba wariuję – wymamrotała. – Jak mogłam wybiec tak nagle?

W geście pocieszenia spróbowałem ją objąć, ale się wyszarpnęła.

– Nie, nie, nic mi nie jest. Pozwól... Pragnę wyrzucić z siebie wszystko raz na zawsze.

Zaczerpnęła powietrza i objęła się rękami.

– Augie i ja byliśmy... no... Spotykaliśmy się. Zaczęło się to dość szybko po jego przybyciu do Zachodniego Centrum Pediatricznego. Wydawał mi się taki inny od znanych mi mężczyzn.

Wrażliwy, odważny, ekscytujący. Myślałam, że łączy nas coś poważnego. A tymczasem okazało się to gównianym romansem. Kiedy powiedziałeś, że sypia z każdą poznaną kobietą, przypomniały mi się własne doświadczenia. Byłam głupia, Alex, bo przecież nigdy mi niczego nie obiecywał. Nie okłamywał mnie ani nie zapewnił, że nasz układ się zmieni... że kiedykolwiek będzie dla mnie kimś więcej niż tylko kochankiem. Cierpiałam z własnej winy, ponieważ uważałam go za księcia z bajki. Może zjawił się w szczególnym momencie mojego życia, może właśnie wtedy chciałam w coś takiego uwierzyć. Nie wiem. Tak czy owak, sypialiśmy ze sobą przez sześć miesięcy i w tym czasie nie przepuścił żadnej pielęgniarki, lekarce czy matce pacjenta. Wiem, o czym myślisz – podjęła po chwili. – Że Augie to amoralny gnojek. Wątpię, czy potrafię cię przekonać, ale... To naprawdę nie jest zły człowiek, lecz... po prostu słaby. Zawsze był dla mnie łagodny, kochający, szlachetny. I otwarty. Kiedy powiedziałam, że wiem o jego romansach, nie wypierał się. Uczciwie oświadczył, że daje kobietom przyjemność i sam ją bierze. Nie rozumiał, dlaczego potępiam jego zachowanie, szczególnie wobec bólu, cierpienia i zła, z którymi musimy się borykać. Przemawiał w tak przekonujący sposób, że nawet po tej rozmowie nie przestałam się z nim widywać. Sporo czasu minęło, zanim ochłonełam. Sądziłam, że nic już do niego nie czuję, gdy nagle zobaczyłam go jakiś tydzień temu z Noną. Byłam wtedy na pierwszej randce z pewnym facetem... nawiasem mówiąc, zakończonej kompletną klęską... w intymnym małym lokaliku w pobliżu szpitala. Tamta parka siedziała przy małej ławie w ciemnym kącie po drugiej stronie pomieszczenia. Ledwie ich widziałam. Byli bardzo weseli. Pili kolejne margarity, śmiali się, obściskiwali i całowali – przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. – Kiepsko się czułam, Alex, zwłaszcza że Nona była taka pewna siebie i taka piękna. Zawiść zżerała mnie niczym wygłodzona pirania. Nigdy przedtem nie odczuwałam tak głębokiej zazdrości. Naprawdę! Serce mi krwawiło. Oboje mieli okropnie pomarańczowe oczy od światła świec. Przypominali dwa wampiry. A ja nie mogłam się stąd ruszyć, bo siedziałam tutaj z jakimś nudnym facetem. Przez cały wieczór czekałam, kiedy to się skończy... Prawie się pieprzyli w tym lokalu. Wierz mi, widok był obrzydliwie nieprzyzwoity. – Jej ramiona zadrżały. – Teraz już rozumiesz, dlaczego zastanawiałam się, czy ci o tym powiedzieć. Byłam rozdarta. Obawiałam się oskarżenia, że postępuję jak wzgardzona kobieta, która pragnie zemsty. Przyznasz, że to poniżająca rola, a mnie życie już dość poniżało.

Jej oczy błagały mnie o zrozumienie.

– Każdy mnie wykorzystuje. Czuję, że przestaję istnieć. Pragnę zapomnieć o nim, o niej, o wszystkich... ale nie mogę. Z powodu tego małego chłopczyka.

Tym razem nie odsunęła się ode mnie, położyła głowę na moim ramieniu. Ująłem jej dłoń.

– Musisz się nieco zdystansować wobec tej sprawy – poradziłem. – Dopiero wtedy zaczniesz ją odpowiednio postrzegać i oceniać. Może Valcroix jest człowiekiem szlachetnym i uczciwym na swój perwersyjny sposób, lecz na pewno żaden z niego bohater. W dodatku to narkoman, prawda?

– Tak. Skąd wiesz?

Zdecydowałem się nie cytować oskarżeń Raoula. Mógłbym ją jeszcze bardziej zdenerwować. Poza tym sam nabrałem takich podejrzeń.

– Rozmawiałem z nim ostatniego wieczoru. Przez cały czas pociągał nosem. Początkowo sądziłem, że jest przeziębiony, lecz później pomyślałem o kokainie.

– Rzeczywiście dość często ją bierze. Pali także trawkę i łyka środki uspokajające. Gdy jest na głodzie, nie unika nawet amfetaminy. Mówił, że na studiach próbował LSD, sądzę jednak, że później nie powtarzał tych doświadczeń. No i pija mocne trunki. Sama zaczęłam ostro popijać, gdy się z nim spotykałam, i do tej pory zdarza mi się przesadzić. Wiem, że muszę przestać.

Przytuliłem ją.

– Zasłużyłaś na lepszy los, moja droga.

– Przyjemnie to słyszeć – odparła ciszej.

– Mówię szczerze. Właśnie tak to wygląda. Jesteś inteligentna, atrakcyjna i masz dobre serce. Dlatego tak bardzo cierpisz. Uciekaj w cholerę od całej tej śmierci i cierpienia. Ten szpital cię zniszczy. Wiem, co mówię.

– Och, Alex. – Zaszlochała mi w ramię. – Tak strasznie mi zimno.

Podąłem jej swoją marynarkę. Kiedy Beverly przestała płakać, odprowadziłem ją do samochodu.

Ani zniknięcie Swope'ów, ani szczur od Richarda Moody'ego nie podpadały pod jurysdykcję Milo. Z przyjaźni pomógł mi w obu sprawach, więc nie chciałem znowu do niego dzwonić i dodatkowo obarczać go informacjami o Augiem Valcroix.

Jednakże słowa Beverly z ubiegłej nocy poruszyły mnie. Potwierdziły zarzuty Raoula. Kanadyjczyk rzeczywiście był człowiekiem nieetycznym oraz narkomanem i pijakiem, a jego znajomość z przedstawicielami sekty Dotknięcie sugerowała spisek mający na celu przerwanie kuracji Woody'ego Swope'a. Poczułem się w obowiązku powiadomić mojego przyjaciela detektywa o tych podejrzeniach, jednak nie robiłem sobie wielkich nadziei, bo czułem, że Milo może mnie wyśmiać. W każdym razie zanim zacznę tworzyć sobie w głowie teorię, chciałem się poradzić zawodowca.

Na szczęście Milo, niech go Bóg błogosławi, naprawdę się ucieszył z mojego telefonu.

– Nie ma sprawy. I tak zamierzałem, do ciebie zadzwonić. Fordebrand pojechał do motelu Bedabye, aby pogadać z Moodym, niestety, kiedy dotarł na miejsce, tego dupka już nie było. Zostawił po sobie w pokoju własny smród i stosy papierków po cukierkach. Ludzie z podgórza będą się za nim rozglądać, a moi chłopcy robią to samo, tym niemniej bądź ostrożny. Co jeszcze... Oddzwonił Carmichael, wiesz, ten, który pracował jako posłaniec razem z panną Swope. Normalnie wystarczyłaby mi telefoniczna pogawędka, ale gagatek wydał mi się podczas rozmowy strasznie spięty. Odniosłem wrażenie, że jest w coś zamieszany. Mam też jego akta... Parę lat temu aresztowano go za prostytutkę. Zamierzam więc spotkać się z nim twarzą w twarz. A ty jaką masz do mnie sprawę?

– Pojadę z tobą do Carmichaela i opowiem ci po drodze.

Milo słuchał nowin na temat Valcroix podczas szybkiej jazdy autostradą Santa Monica.

– Rany, co to za kreatura, jakiś ogier rozplodowy?

– Wcale na takiego nie wygląda. Podstarzała namiastka hipisa. Obwisłe policzki, zwiotczałe ciało, w gruncie rzeczy można go nazwać niechlujem.

– Tak... Nie ma sensu dyskutować o gustach. Widocznie ma w sobie to coś, za czym babki szaleją.

– Wątpię, czy chodzi o urok osobisty. To padlinożerca. Wykorzystuje kobiety w stresowej sytuacji, gra wrażliwego, współczującego towarzysza niedoli i oferuje im coś, co odbierają jako miłość i zrozumienie.

Przycisnął palec do jednej dziurki od nosa, drugą zaś wciągnął powietrze.

– I lubi sobie czasem niuchnąć tego i owego?

– Najprawdopodobniej.

– Wiesz co? Po rozmowie z Carmichaelem pojedziemy do szpitala i pogadamy z Valcroix. Mam trochę wolnego czasu, bo rozwiązałem już sprawę gangsterów. Wszyscy się przyznali. Zresztą strzelcami okazali się czternastolatki. Trafiają do wydziału dla nieletnich. „Rzeźnika” ze sklepu z alkoholem chyba też zamkniemy lada dzień. Del Hardy przesłuchuje dzisiaj świadka, który zapowiada się obiecująco. Najgorzej z gwałcicielem, który lubi bezcześcić zwłoki. Modlimy się do komputera, żeby rozwiązał tę sprawę za nas.

Zjechał przy Czwartej Alei, skierował się na południe ku bulwarowi Pico, z Pico skręcił w Pacific i jechał dalej do Venice. Minęliśmy posesję Robin – nieoznakowany warsztat z oknami pomalowanymi nieprzezroczystą białą farbą – lecz żaden z nas nie wspomniał o mojej dziewczynie. Okolica zmieniła się z podmokłej na jeszcze bardziej błotnistą i dotarliśmy wreszcie do Mariny.

Dom Douga Carmichaela znajdował się w niewielkiej odległości od plaży. Stał przy ciągnącym się na zachód od Pacific deptaku i przypominał jacht wyciągnięty na ląd: miał wypukłą kabinę, iluminatory, był wąski, wysoki, wciśnięty w parcelę nie szerszą niż dziewięć metrów. Drewniane ściany zostały otynkowane na zielonkawoniebieski kolor, ramy pomalowano na biało. Łuskowate gonty zdobiły szczyt nad drzwiami. Biały płot otaczał miniaturowy trawnik. W drzwiach było witrażowe okienko. Posesja wyglądała na czystą i bardzo zadbaną.

Parcela w pobliżu plaży musiała go sporo kosztować.

– Za spełnione marzenia trzeba sporo zapłacić – zauważyłem na głos.

– Chyba zawsze tak jest.

Milo zadzwonił do drzwi. Otworzyły się szybko i w progu stanął wysoki umięśniony mężczyzna w koszuli w czerwono-białą kratkę, w wytartych dżinsach i sandałach. Uśmiechnął się niepewnie, przedstawił się – „Cześć, jestem Doug” – i zaprosił nas do środka.

Był mniej więcej w moim wieku. Spodziewałem się kogoś znacznie młodszego, toteż jego widok ogromnie mnie zaskoczył. Doug miał gęste jasne włosy, cieniowane na karku i wymodelowane suszarką, dzięki czemu wyglądały na buńczucznie rozczochrane, gęstą, lecz starannie przyciętą rudawą brodę, niebieskie oczy, rysy modela i opaloną twarz. Podstarzały surfer, który nieźle się trzyma.

Wewnętrzne ścianki działowe zostały usunięte, tworząc ponadstumetrową powierzchnię mieszkalną pod szklanym sufitem. Meble z pobielonego drewna, ściany pomalowane na ostrygową biel. W powietrzu unosił się zapach olejku cytrynowego. Dostrzegłem morskie litografie, akwarium, małą, ale dobrze wyposażoną kuchnię, częściowo złożone składane łóżko. Wszystko miało tu swoje miejsce. Było czysto i schludnie.

Środek pomieszczenia – pełniącego najwyraźniej rolę salonu – zajmowała kanapa w kolorze butelkowej zieleni.

Podeszliśmy do niej i usiedliśmy. Carmichael zaproponował nam kawę z dzbanka, który już stał na stole.

Napełnił trzy filiżanki i usiadł naprzeciwko nas. Ciągle się uśmiechał niepewnie.

– Detektywie Sturgis... – Popatrzył najpierw na mnie, potem na Milo, który skinął głową. – Przez telefon powiedział pan, że nasza rozmowa ma coś wspólnego z Noną Swope.

– Zgadza się, panie Carmichael.

– Chyba nie zdołam panu pomóc. Ledwie ją poznałem...

– Pracował pan z nią dość często. – Milo wyjął ołówek i notes.

Carmichael roześmiał się nerwowo.

– Trzy, góra cztery razy. Nie zagościła w agencji zbyt długo.

– Ach tak.

Carmichael napił się kawy, odstawił filiżankę. Miał ramiona kulturysty, pięknie wyrzeźbione, z lekko odznaczającymi się żyłami.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest Nona – jęknął.

– Nikt nie twierdził, że zaginęła.

– Jan Rambo dzwoniła do mnie. Wszystko mi powiedziała. Dodała, że wzięliście moje akta.

– Czy to pana niepokoi?

– Trochę. Nie rozumiem, na co wam moje prywatne dane. – Próbował udawać twardziela, lecz mimo muskularnego ciała miał w sobie coś niesamowicie łagodnego, dziecięcego.

– Panie Carmichael, przez telefon sprawiał pan wrażenie człowieka, który jest spięty, a teraz jest pan wyraźnie zdenerwowany. Może chce pan nam coś powiedzieć?

Gdy człowiek o imponującym wyglądzie zaczyna się załamywać, widok zawsze jest żałosny. Odnosiłem wrażenie, jakbym obserwował kruszenie się pomnika.

– Proszę nam o wszystkim opowiedzieć – zachęcił go Milo.

– To moja wina. Teraz będę musiał zapłacić za własny błąd. – Carmichael wstał, wszedł do kuchni i wrócił z buteleczką tabletek.

– Witamina B12. Potrzebuję jej w chwilach stresu. – Odkręcił wieczko, wytrząsnął trzy tabletki, połknął je i popił kawą. – Powinienem unikać kofeiny, ale kawa mnie uspokaja. Paradoksalna reakcja.

– Czym się pan tak denerwuje?

– Moja praca w agencji była, hm... tajemnicą. Aż do tej pory. Wiedziałem, że ryzykuję, przecież mógłbym wpaść przypadkiem na kogoś znajomego. Nie wiem, może chodziło o dreszczyk emocji...

– Nie jesteśmy zainteresowani pańskim życiem prywatnym.. Obchodzi nas tylko to, co pan wie o Nonie Swope.

– Jeśli jednak coś się zdarzy i sprawa trafi do sądu, wezwiecie mnie na świadka, prawda?

– Może do tego dojść – przyznał Milo. – Jednakże do sądu daleka droga. Na razie chcemy tylko odnaleźć Nonę i jej rodziców. Życie jej brata jest w niebezpieczeństwie.

Milo powiedział mu o nowotworze Woody'ego, nie szczędząc najokropniejszych szczegółów. Carmichael, choć starał się go nie słuchać, wyraźnie był tym wstrząśnięty. Wyglądał na człowieka wrażliwego i odkryłem, że go lubię.

– Jezu! Wspomniała, że ma chorego brata, ale nie mówiła, że on tak bardzo cierpi.

– Co jeszcze panu powiedziała?

– Niewiele. Naprawdę niewiele. Twierdziła, że chce zostać aktorką, ale większość dziewczyn w tym mieście ma takie plany. Póki ktoś nie rozwieje ich iluzji... Tak czy owak, nie wydawała się szczególnie przygnębiona, co teraz wydaje się dziwne, biorąc pod uwagę chorobę brata.

Milo zmienił temat.

– Jakiego rodzaju skecze odgrywaliście?

Powrót do szczegółów związanych z codziennym zajęciem ponownie zaniepokoił Carmichaela. Splótł dłonie i zacisnął palce. Mięśnie na muskularnych ramionach się napięły.

– Może przed dalszą rozmową powinienem się skontaktować z prawnikiem.

– Bardzo proszę – zgodził się Milo i wskazał na telefon.

Carmichael westchnął i pokręcił głową.

– Nie. Jego obecność tylko jeszcze bardziej skomplikowałaby sytuację. Hm... Gotów jestem podzielić się z panami kilkoma spostrzeżeniami na temat charakteru Nony. Chyba o to chodzi, prawda?

– Tak, będziemy bardzo wdzięczni.

– Tyle że to są jedynie moje prywatne spostrzeżenia. Nic konkretnego, żadnych faktów. Mimo to... Czy moglibyście potem zapomnieć, skąd to wiecie?

– Doug – odparł Milo – wiem, kim jest pański ojciec, i czytałem pańską kartotekę, więc niech pan przestanie kręcić.

Carmichael zachowywał się, jak ogarnięty paniką koń w płonącej stajni – był gotów do ucieczki, choć diabelnie bał się ognia.

– Proszę się nie bać – uspokoił go Milo. – Niewiele mnie obchodzą pańskie wysoki.

– Nie jestem zbrojeńcem – zapewnił go Carmichael. – Gdyby poznał pan moją przeszłość, zrozumiałby pan, jak się to wszystko zaczęło.

– Jasne. Pracował pan w Lancelocie jako tancerz. Po pokazie kobieta z widowni umówiła się z panem. Spytała pana o płatny seks... a potem aresztowała.

– Usidliła mnie. Głupia cipa!

Lancelot był znaną w zachodnim Los Angeles spelunką z męskim striptizem. Bywały w niej kobiety, które sądziły, że wyzwolona przedstawicielka płci pięknej powinna naśladować najbardziej prymitywne aspekty męskiego zachowania.

Przez długi czas mieszkańcy sąsiednich budynków narzekali na klub i w końcu – parę lat temu – policja i inspektorzy pożarowi przyjrzeni mu się dokładnie. Właściciel lokaliku poskarżył się, komu trzeba, że jest prześladowany i kontrole się zakończyły.

Milo wzruszył ramionami.

– Tak – burknął Carmichael z goryczą. – Z pozoru koniec opowieści, prawda? Niestety, sprawa nie była taka prosta. – Błękitne oczy zapalały gniewem. – Tata trzymał łapę na moim funduszu powierniczym, czyli pieniądzech pozostawionych mi przez mamę. Prawnik, któremu

powierzono pieczę nad funduszem, należy wraz z tatą do Klubu Kalifornijskiego i mój stary przejął pełną kontrolę nad moją forszą. Miał mnie w garści. Czułem się znowu jak dziecko, musiałem prosić o każdego centa. Kazał mi pójść do szkoły i zaczął kierować moim życiem. Chryste, mam trzydzieści sześć lat i chodzę do gimnazjum! Jeśli dostanę dobre oceny, znajdzie się dla mnie miejsce w Carmichael Oil. Co za człowiek! Nie dociera do niego, że w żaden sposób nie zdoła mnie zmienić w kogoś, kim nie jestem. Czego, do cholery, właściwie ode mnie oczekuje?

Popatrzył na nas błagalnie, jakby prosząc o wsparcie. Chętnie bym mu pomógł, ale nie wiedziałem jak.

– Jeśli dowie się o pańskiej obecnej profesji, jest pan przegrany, prawda? – odezwał się po chwili Milo.

– Cholera! – Carmichael pogładził brodę. – Cóż mogę na to poradzić, że lubię swoją pracę. Bóg dał mi wspaniałe ciało i piękną twarz. Pragnę się tym podzielić z innymi ludźmi. Moja robota przypomina aktorstwo, ale takie połączone z bliskością i serdecznością. Kiedy tańczyłem, czułem na sobie spojrzenia setek kobiet. Grałem przed nimi, zabawiałem je. Uwielbiałem je podniecać. Czułem się... prawie kochany.

– Powiem ci to samo, co twojej szefowej – oświadczył Milo. – Nie obchodzi nas, kto kogo pieprzy w tym mieście.

Dla mnie problem zaczyna się dopiero wówczas, gdy ktoś kogoś przy tej okazji zarżnie, zastrzeli lub udusi.

Carmichael prawdopodobnie w ogóle go nie słuchał.

– Chcę pana zapewnić, że się nie łajdaczę – ciągnął. – Nie potrzebuję pieniędzy... Gdy mam dobry tydzień, wyciągam sześć, nawet siedem setek. – Machnął ręką, podkreślając swoją pogardę dla pieniędzy w geście typowym dla człowieka, na którego mimo chwilowych kłopotów czeka gdzieś góra forsy i on dobrze o tym wie.

– Doug – Milo zwrócił się do niego tonem nieznoszącym sprzeciwu – niech pan się przestanie tłumaczyć i uważnie mnie posłucha. Nie interesuje nas, gdzie pakuje pan swojego fiuta. Pańskie akta nie zostaną ujawnione. Proszę nam tylko opowiedzieć o Nonie Swope.

Carmichael chyba wreszcie zrozumiał. Wyglądał teraz jak dziecko, które niespodziewanie otrzymało prezent. Zdałem sobie sprawę z tego, że stale myślę o nim jak o przerośniętym chłopcu, mimo zewnętrznych atrybutów męskości wydawał mi się bowiem ogromnie niedojrzały, wręcz dziecinny. Klasyczny przypadek zahamowania rozwoju emocjonalnego.

– Nona jest jak barakuda – zaczął. – Trzeba ją trzymać na łańcuchu, w przeciwnym razie staje się zbyt agresywna. W ramach naszego ostatniego zlecenia obsługiwaliśmy wieczór kawalerski zorganizowany dla starszego gościa, który zenił się po raz drugi. Byli tam faceci w średnim wieku, wyglądający na handlowców. Apartament w Canoga Park. Przed naszym przybyciem ostro popijali i oglądali pornosy. Odstawialiśmy tamtej nocy sportowca i cheerleaderkę. Miałem na sobie strój futbolisty, a Nona dżersejowy podkoszulek, krótką



plisowaną spódniczkę i tenisówki. Poza tym pompony, włosy spięte w kitki... i tak dalej. Nasi gospodarze wyglądali na nieszkodliwych starych pierdzieli. Zanim się zjawiliśmy, pewnie pokrzykiwali i gadali jeden przez drugiego, jak to mają w zwyczaju podnieceni faceci w trakcie oglądania takich filmów. Kiedy tylko weszliśmy, od razu zwrócili uwagę na Nonę, i pomyślałem, że złamię tu kilka serc. Kręciła przed nimi tyłkiem, trzepotała rzęsami, kusząco wysuwała języczek. Mieliśmy zaplanowany „szkolny” skecz, a tu nagle Nona zdecydowała, że zmienimy go na „wyzwoloną kobietę”. Zgodnie ze scenariuszem mieliśmy się trochę popieścić, przekomarzając się dwuznacznymi tekścikami. Na pewno znacie tego typu pogawędki. Pytam ją, jak się ma, a ona mi odpowiada: „Mam się... ochotę kochać”. Nawiasem mówiąc, Nona była kiepską aktorką. Lodowata, pozbawiona emocji. Ale widownia ją uwielbiała za sam wygląd. Tak czy owak, stare przyki dały się złowić, co prawdopodobnie nakręciło naszą pannę, bo wymyśliła rzecz naprawdę skandaliczną... Nagle wsadziła mi rękę w gacie, chwyciła mój członek i zaczęła mnie podniecać. Przez cały czas gapiła się na facetów. Chciałem jej przerwać, ponieważ nie powinniśmy przekraczać scenariusza, no, chyba że nas o to poproszą.

Przerwał. Sądząc z wyrazu twarzy, czuł się chyba nieswojo.

– No i jeśli nam za to płacą. Zresztą nie chciałem tego robić, bo stare dziady i tak były na granicy apopleksji. Gapili się na nią, Nona mnie obmacywała, ja zaś głupawo się uśmiechałem. W końcu dała mi spokój i tanecznym krokiem podeszła do faceta, który miał się następnego dnia zenić... Taki pękaty, mały facio w wielkich okularkach... I wiecie, co zrobiła? Wsunęła mu łapę w gacie! Wtedy zapadła cisza jak makiem zasiał. Facet zrobił się czerwony niczym burak, ale nie mógł zaprotestować, bo kumple uznaliby go za mięczaka. Próbował pokryć zmieszanie tępym uśmiechem. Nona wsuwała mu język do ucha, nie przestając mu gmerać w gaciach. Kumple przyszłego żonkosia zaczęli rechotać, wykrzykiwać wulgarne komentarze. Nasza panna była w świetnym nastroju, odniosłem wrażenie, że macanie tego palanta naprawdę sprawia jej przyjemność. Wreszcie udało mi się ją jakoś uspokoić.

Wyszliśmy. W samochodzie zacząłem na nią wrzeszczeć. Popatrzyła na mnie jak na wariata i spytała, o co mi chodzi. Przecież dostaliśmy wielki napiwek, prawda? Zrozumiałem, że nie ma sensu z nią gadać, więc dałem spokój. Wjechaliśmy na autostradę. Prowadziłem szybko, ponieważ chciałem się od niej uwolnić. Nagle poczułem, że rozpina mi spodnie. Zanim zdołałem się zorientować, miała już w ustach mojego kutasa. Jechaliśmy ponad sto dziesięć kilometrów na godzinę, a ta ciągnęła mi druta i powtarzała w kółko: „Przyznaj, że to uwielbiasz”. Byłem kompletnie bezradny, modliłem się tylko, żeby nas gliny nie zatrzymały. Przecież miała w garści moje jaja, no nie? Kazałem jej przestać, ale nie słuchała i ssała mnie tak długo, aż doszedłem. Następnego dnia poskarżyłem się na nią Jan Rambo. Powiedziałem, że nie będę więcej pracował z tą stukniętą dziewczuchą. A szefowa po prostu się roześmiała i oświadczyła, że z tej małej będzie świetna aktorka. Później się dowiedziałem, że odeszła. Odeszła i już.

Opowiadając tę historię, spocił się. Przeprosił nas na chwilę i poszedł do łazienki. Wrócił świeżo uczesany, spryskany dezodorantem i pachnący płynem po goleniu. Zanim zdążył usiąść,

Milo podjął przesłuchanie.

– Nie ma pan pojęcia, dokąd się udała?

Carmichael pokręcił głową.

– Zwierzała się panu kiedykolwiek?

– Nie. Nigdy nie poruszała tematów osobistych. Była taka powierzchowna, sztuczna.

– Nie opowiadała, dokąd chciałyby pojechać? Ani razu? Żadnych aluzji?

– Nawet mi nie powiedziała, skąd pochodzi. Jak już mówiłem, pracowaliśmy przy trzech, może czterech skeczach, po czym odeszła z firmy.

– Jak trafiła do Adama i Ewy?

– Nie mam pojęcia. Każdy trafia tam inaczej. Do mnie osobiście zadzwoniła szefowa, bo mnie widziała w Lancelocie.

Niektórym o agencji powiedzieli znajomi. Rambo daje też czasami ogłoszenia w magazynach dla modelek lub rozlepia ulotki w metrze. Zgłasza się do niej więcej chętnych, niż potrzeba.

– No dobrze – zakończył Milo, wstając. – Mam nadzieję, że był pan z nami szczery.

– Całkowicie. Proszę mnie nie wciągać w tę sprawę.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Opuściliśmy jego dom. Gdy wsiedliśmy do samochodu, Milo zameldował się w centrali. Nie było dla niego żadnych ważnych wiadomości.

– A zatem, jaką diagnozę stawiasz temu przystojniaczekowi? – spytał.

– Tak na poczekaniu? Hm... Problemy osobowościowe i... prawdopodobnie narcyzm.

– Czyli co?

– Facet ma niskie poczucie własnej wartości, co wyraża się w obsesji na własnym punkcie. Wiesz, siłownia, witaminy, zdrowe odżywianie. Przykłada wielką wagę do swojego ciała.

– Mam wrażenie, że podobnie postępuje połowa mieszkańców Los Angeles – odburknął i włączył silnik. Gdy objeżdżaliśmy, Carmichael wyszedł z domu w kąpielówkach. Niósł deskę do surfingu, ręcznik i olejek do opalania. Kiedy nas zobaczył, uśmiechnął się, pomachał nam i skierował się ku plaży.

Milo postawił samochód na parkingu przed samym wejściem do Zachodniego Centrum Pediatrycznego.

– Nienawidzę szpitali – mruknął w windzie, kiedy jechaliśmy na piąte piętro. Zlokalizowanie Valcroix zajęło mi dobrą chwilę. Badał właśnie pacjenta, więc poczekaliśmy na niego w oddziałowej salce konferencyjnej.

Zjawił się po kwadransie, spojrzał na nas niechętnie i oświadczył Milowi, że ma dla nas niewiele czasu. Kiedy mój przyjaciel zaczął mówić, Augie Valcroix ostentacyjnie wyjął kartę pacjenta. Czytał ją i robił notatki.

Milo potrafi prowadzić przesłuchania, ale z tym człowiekiem nie poszło mu łatwo. Podczas

gdy mówił mu to, czego dowiedział się na temat jego romansu z Noną Swope i znajomości z członkami sekty Dotknięcie, Valcroix stale coś czytał lub pisał.

– Skończył pan, detektywie?

– Chwilowo, doktorze.

– Co mam robić? Bronić się?

– Mógłby pan zacząć od wyjaśnienia swojej roli w sprawie zniknięcia chłopca.

– To całkiem proste. Nie brałem w tym żadnego udziału.

– Nie współpracował pan z sektą Dotknięcie?

– Oczywiście, że nie. Kiedyś odwiedziłem siedzibę sekty. I tyle.

– Jaki był cel pańskiej wizyty?

– Poznaję. Interesują mnie sekty i inne tego rodzaju zjawiska społeczne.

– Wiele się pan od nich nauczył, doktorze?

Valcroix się uśmiechnął.

– Ich środowisko emanowało niezwykłym spokojem i ładem. Policjanci nie mieliby w nim nic do roboty.

– Jak się nazywali ludzie, którzy odwiedzili Swope'ów?

– Mężczyznę nazywają Baronem, kobietę Delilah.

– Nazwiska?

– Nie używają nazwisk.

– Odwiedził pan sektę tylko raz?

– Raz.

– W porządku. Sprawdźmy ten fakt.

– Proszę bardzo.

Milo zmierzył go twardym spojrzeniem. Lekarz uśmiechnął się pogardliwie.

– Czy Nona Swope powiedziała panu o czymś, co mogłoby wskazać miejsce pobytu jej rodziny?

– Nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Łączył nas tylko seks.

– Doktorze, niech pan lepiej zastanowi się nad swoją sytuacją.

– Tak?! – Jeszcze bardziej zmrużył oczy. – Przerywa mi pan pracę, zadaje głupie pytania związane z moim życiem osobistym i oczekuje pan ode mnie pozytywnego nastawienia?

– Pańskie życie osobiste trudno oddzielić od zawodowego.

– Ależ jest pan wnikliwy.

– Nie ma pan nic więcej do powiedzenia, doktorze?

– A cóż jeszcze chciałby pan usłyszeć? Że lubię pieprzyć babki? W porządku, lubię. Uwielbiam kobiety. Zamierzam przelecieć ich w moim życiu tyle, ile tylko zdołam. A jeśli istnieje życie po śmierci, mam nadzieję, że polega ono na ciągłym pieprzeniu nieskończonej rzeszy gorących chętnych babek. Z tego, co wiem, seks nie jest zbrodnią. A może nasz ukochany kraj przyjął ostatnio jakiś nowy kodeks karny?

– Może pan wracać do pracy, doktorze.

Valcroix zebrał karty pacjentów, obrzucił nas roztargnionym spojrzeniem i wyszedł.

– Co za dupek – mruknął Milo podczas drogi powrotnej do samochodu. – Nie pozwoliłbym, mu opatrzyć nawet zadrapania. – Do przedniej szyby ochrona szpitala przyklepiła zawiadomienie o nielegalnym zaparkowaniu. Milo zdarł kartkę i wsunął ją do kieszeni. – Mam nadzieję, że nie jest to typowy przedstawiciel współczesnego świata medycznego.

– Valcroix jest jedyny w swoim rodzaju. I sądzę, że nie zagrzeje tu zbyt długo miejsca.

Skierowaliśmy się na zachód Bulwarem Zachodzącego Słońca.

– Zamierzasz sprawdzić jego historyjkę? – zapytałem.

– Hm... Mógłbym zapytać ludzi z sekty, jak dobrze go znają, jeśli jednak łączy ich coś na kształt spisku, i tak mnie okłamią. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zadzwonię do tamtejszego komisariatu i dowiem się, czy faceta częściej widywano w pobliżu siedziby Dotknięcia. W takich małych miasteczkach szeryf wie zazwyczaj wszystko.

– Znam kogoś, kto może mieć sporo informacji na temat tej sekty. Chcesz, żebym do niego zadzwonił?

– Dlaczego nie? Każdy trop może okazać się cenny. Milo odwiózł mnie do domu. Wszedł do środka i przez dłuższy czas obserwował *koi*. Stał ze wzrokiem wbitym w kolorowe rybki i uśmiechał się, widząc, jak pożerają kulki, które im rzucał. Zaczął zbierać się do wyjścia.

– Jeszcze trochę, a zostanę tu tak długo, że mi broda zbieleje.

Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie, Milo zasalutował mi żartobliwie i odszedł powolnym krokiem. Czekają go dalsze zgłębianie nikczemności ludzkiej natury.

Zatelefonowałem na Uniwersytet Kalifornijski do profesora Seta Fiacre'a, mojego starego kolegi, jeszcze ze szkoły, obecnie psychologa społecznego. Wiedziałem, że przez wiele lat studiował rozmaite kultury.

– Cześć, Alex – przywitał się jak zwykle wesoło. – Właśnie wróciłem z Sacramento. Miałem przesłuchanie w senacie. Oczywiście nic nie załatwiłem.

Pozartowaliśmy sobie, po czym objaśniłem mu cel mojego telefonu.

– Dotknięcie? Dziwię się, że w ogóle o nich słyszałeś. Nie są specjalnie znani i nie nawracają innych. Jakiś czas temu nabyli posesję zwaną Ustroniem, dawny klasztor, blisko granicy z Meksykiem.

– A ich przywódca... Matthias?

– Szlachetny Matthias. Kiedyś był prawnikiem. Wtedy nazywał się Norman Matthews.

– Jakiego rodzaju prawem się zajmował?

– Nie wiem. Nie miał dobrej opinii. Praktykował w Beverly Hills.

Prawnik, a teraz guru? Nieprawdopodobna metamorfoza.

– Dlaczego zmienił styl życia? – spytałem.

– Tego również nie wiem. Charyzmatyczni przywódcy miewają podobno kosmiczne wizje. Zwykle doświadczają ich po jakimś traumatycznym przeżyciu. Wiesz, wariacja, którą nazywa się głosem na pustyni. Może zabrakło mu benzyny na pustyni Mojave i ujrzał Boga?

Roześmiałem się.

– Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć więcej, ale ta sekta naprawdę stara się nie przyciągać niczyjej uwagi. Zresztą, jest bardzo nieliczna, ma około sześćdziesięciu członków. A ponieważ, jak wspominałem, nie starają się pozyskać nowych, więc prawdopodobnie liczebność grupy nie wzrośnie. Pojawili się dopiero trzy czy cztery lata temu. Zauważyłem jeszcze coś niezwykłego. Większość członków sekty to ludzie w średnim wieku. Sekty o charakterze ekspansywnym zwykle rekrutują młodzież. W przypadku Dotknięcia żaden rodzic nie wnosili skarg na policję o uprowadzenie dzieci.

– Czy są holistami w kwestiach związanych ze zdrowiem?

– Prawdopodobnie. Większość tego typu sekt to holiści. Holizm jest jednym z syndromów odrzucenia wartości cenionych przez ogół społeczeństwa. Nie słyszałem jednakże, by członkowie Dotknięcia mieli obsesję na tym punkcie. Sądzę, że raczej skupiają się na zdrowej żywności, którą sami produkują. Uprawiają warzywa, tworzą swój świat z dala od cywilizacyjnego zepsucia. Podobnie jak zwolennicy pierwotnych utopii: Oneidy, Ephraty czy też Nowej Harmonii. Mogę spytać, po co ci te wszystkie informacje?

Streściłem mu historię Swope'ów, powiedziałem o decyzji, by nie leczyć Woody'ego, i

późniejszej ucieczce całej rodziny.

– Czy Dotknięcie może być twoim zdaniem wplątane w coś takiego, Seth?

– Wydaje mi się to mało prawdopodobne, ponieważ trzymają się na uboczu. Konflikt z renomowanym szpitalem zwróciłby na nich uwagę i tym samym naraził na kontrolę władz.

– Odwiedzili jednak Swope'ów w szpitalu – przypomniałem mu.

– Gdyby byli ekstremistami, nie afiszowaliby się w miejscu publicznym, nie uważasz? Mówiłeś, że ta rodzina mieszka w pobliżu Ustronia?

– Tak. Przynajmniej tak rozumiałem.

– Może zatem byli po prostu sąsiadami. W tak małym mieście jak La Vista ludzie bywają nieufni wobec obcych, lecz często się solidaryzują. Nawet udają przyjaźń. To dobra strategia, by przetrwać.

– Jeśli już mówimy o przetrwaniu, to z czego się utrzymują?

– Sądzę, że z datków członkowskich. Matthews był jednak bogatym człowiekiem. Może sam finansuje sektę. Dla władzy i prestiżu. Jeśli naprawdę jest samowystarczalna, koszty stałe nie są zbyt wysokie.

– Jeszcze jedna rzecz, Seth. Dlaczego nazwali się Dotknięcie?

Roześmiał się.

– Cholera ich wie. Na to pytanie także nie potrafię odpowiedzieć.

Nieco później tego samego dnia zadzwonił do mnie Mal Worthy.

– Obawiam się, że pani Moody nie otrzymała szczura, ponieważ małżonek przeznaczył dla niej coś większego. Dziś rano znalazła obcego psa... wypatroszonego i powieszzonego na klamce tuż przy jego wnętrznościach. Zwierzę było również wykastrowane, a jaja miało wepchnięte w pysk.

Zaniemówiłem z odrazy.

– Co za facet, nie? – ciągnął Mal. – W dodatku wbrew wszelkim regułom ośmielił się zatelefonować. Rozmawiał wczoraj z synkiem i namówił go do ucieczki. Dzieciak posłuchał i policjanci szukali go przez siedem godzin. W końcu znaleźli późno w nocy. Włóczył się po parkingu jakiegoś marketu, osiem kilometrów od domu. Najwyraźniej myślał, że ojciec pojawi się tam i weźmie go do siebie. Nikt nie przyszedł i chłopiec był przerażony do szaleństwa. Biedny malec. Rzecz jasna Darlene szaleje z niepokojem. Zadzwoniła do mnie z prośbą, żebym cię namówił na rozmowę z jej dziećmi. Chodzi przede wszystkim o ich zdrowie psychiczne.

– Czy widziały psa?

– Nie, dzięki Bogu. Posprzątała, zanim zdążyły wyjść przed dom. Jak szybko mógłbyś się z nimi spotkać?

– Dostęp do gabinetu będę miał dopiero w sobotę. – Wynajmowałem na tego typu spotkania gabinet od kolegi po fachu w Brentwood, ale tylko w weekendy.

– Możesz porozmawiać z nimi u mnie. Powiedz tylko kiedy.

– Ściągniesz ich? Wystarczy parę godzin?

– Jasne.

Biura Trenton, Worthy & La Rosa znajdowały się na najwyższym piętrze znanego budynku przy skrzyżowaniu Roxbury i Wilshire. Mał, wystrojony w jedwabno-wełniany granatowy garnitur od Bijana, powitał mnie osobiście w poczekalni i poinformował, że przeznaczył dla mnie swoje biuro. Pamiętałem je jako przepastne pomieszczenie o ciemnych ścianach z wielkim bezkształtnym biurkiem, które przypominało eksponaty z wystawy bardzo awangardowej rzeźby. W dodatku boazeria obwieszona była nowoczesnymi sztychami oraz półkami pełnymi kosztownych – i kruchych – pamiątek. Miejsce nie było idealne na dziecięcą terapię, musiało jednakże wystarczyć.

Przestawiłem kilka krzesel, przesunąłem stolik i utworzyłem pośrodku pomieszczenia maleńki plac zabaw. Wyjąłem z teczki papier, ołówki, kredki, pacynki i przenośny teatrzyk lalkowy. Wszystko postawiłem na stoliku. Potem poszedłem po dzieci Moodych.

Czekały w bibliotece wraz z Darlene i Carltonem Conleyem. Chłopca i dziewczynkę ubrano jak do kościoła.

Trzylatka April miała na sobie białą taftową sukienkę, wykończone koronką skarpetki i białe sandały z lakierowanej skóry. Jej jasne włoski były uczesane w warkocz i ozdobione wstążką. Dziewczynka kuliła się na kolanach matki, oglądała strupek na kolanie i ssała kciuk.

Jej braciszek prezentował się okazale w białej kowbojskiej koszuli, sztruksowych brązowych spodniach z wywinętymi mankietami, wąskim krawaciku i czarnych bucikach. Miał przyлизane ciemne włosy. Wyglądał na nieszczęśliwego, zapewne jak każdy dziewięciolatek w takiej sytuacji. Kiedy mnie dostrzegł, odwrócił głowę.

– No, Ricky, bądź uprzejmy dla pana doktora – upomniała go matka. – Powiedz „dzień dobry”. Witam, doktorze.

– Witam, pani Moody.

Chłopiec wepchnął ręce w kieszenie i tytał na mnie spode łba.

Siedzący obok Darlene Conley wstał i uściskał mi dłoń z niepewnym uśmiechem na twarzy. Przypomniałem sobie, co mówiła sędzia. Miała rację. Mimo iż znacznie wyższy, był uderzająco podobny do swego poprzednika.

– Dzień dobry, doktorze – wybąknął.

– Witam, panie Conley.

April poruszyła się, otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie. Po naszych wcześniejszych spotkaniach oceniałem ją jako beztroskie, otwarte, miłe dziecko. Ponieważ była dziewczynką, ojciec ignorował ją, oszczędzając jej w ten sposób swojej destrukcyjnej miłości. Ricky okazał się jego ulubieńcem, co nie wyszło mu na dobre.

– Witaj, April.

Zamrugła rzęsami, pochyliła główkę i zachichotała. Urodzona kokietka.

– Pamiętasz zabawki, którymi bawiłaś się ostatnio?

Skinęła głową i znowu zachichotała.

– Mam je tutaj. Chciałabyś się znowu nimi pobawić?

Popatrzyła na matkę, prosząc o pozwolenie.

– Idź, kochanie.

Dziewczynka zeszła z jej kolan i wzięła mnie za rękę.

– Przyjdę za chwilę, Ricky – rzuciłem ponuremu chłopcu.

Spędziłem dwadzieścia minut z April, głównie obserwując jej zabawę laleczkami z teatrzyku. Jej działania były przemyślane, naturalne. Dziewczynka odegrała wiele epizodów rodzicielskiego konfliktu, które potrafiła szybko rozwiązywać przez skłonienie ojca do odejścia; później następowało szczęśliwe życie rodzinne. Ze scenariuszy tworzonych przez April zazwyczaj emanowała nadzieja i determinacja.

Zadałem jej kilka pytań o sytuację w domu i odkryłem, że doskonale – jak na swój wiek – rozumie, co się zdarzyło. Tato pogniewał się na mamę, a mama na niego, więc nie będą już ze sobą mieszkać. Za rozstanie rodziców nie obarczała winą ani siebie, ani Ricky’ego i, o dziwo, lubiła Carltona.

W rozmowie z dziewczynką znalazłem potwierdzenie mojej wstępnej oceny. Już wówczas April niezbyt się niepokoiła nieobecnością ojca i powoli przywiązywała się do Conleya. Gdy spytałem ją teraz o przyjaciela matki, jej ładna buzia się rozpromieniła.

– Carlton jest bardzo miły, panie doktorze. Wziął mnie do zoo. Widzieliśmy tam żyrafę. I krokodyla. – Pod wpływem wspomnień jej oczka się rozszerzyły.

Przez kilka minut wychwalała potencjalnego ojczyma, a ja modliłem się w duszy, by prorocstwo sędzi Severe się nie spełniło. W moim życiu poddałem terapii wiele dziewczynek, które cierpiały z powodu niezdrowych (albo żadnych) stosunków łączących je z ojcami, i byłem świadkiem bolesnych szkód, jakie wyrządzały owe układy dziecięcej psychice. Ta malutka ślicznotka z pewnością zasłużyła na lepszy los.

Przypatrywałem jej się jeszcze przez jakiś czas, a gdy upewniłem się, że dziewczynka radzi sobie w miarę dobrze, odprowadziłem ją z powrotem do matki. Stała na paluszkach i wyciągnęła do mnie szczuplutkie rączki. Pochyliłem się. Pocałowała mnie w policzek.

– Pa, pa, panie doktorze.

– Pa, kochanie. Jeśli kiedyś zechcesz ze mną porozmawiać, powiedz swojej mamie. Pomoże ci do mnie zadzwonić.

Powiedziała „dobrze” i wczołgała się z powrotem do bezpiecznego schronienia – na miękkie kolana matki.

Ricky stał sam w rogu pokoju i spoglądał przez okno. Podszedłem do niego, położyłem mu rękę na ramieniu i odezwałem się tak cicho, że tylko on mógł mnie usłyszeć.

– Wiem, wiem. Jesteś naprawdę wściekły, że kazali ci tu przyjść.

Zesztywniał i skrzyżował ręce na piersi. Darlene wstała, ciągle trzymając w ramionach April.



Zaczęła coś mówić, lecz gestem poleciłem jej usiąść.

– To przykre, że nie możesz widywać swojego taty. Musi ci być naprawdę trudno – zauważyłem.

Stał wyprostowany niczym kadet z marines, starając się wyglądać na twardego, nieustępliwego młodzieńca.

– Słyszałem, że uciekłeś.

Brak odpowiedzi.

– Pewnie przeżyłeś prawdziwą przygodę.

Cień uśmiechu pojawił się na jego wargach, po czym zniknął.

– Wiedziałem, że masz silne nóżki, Ricky, ale przejść osiem kilometrów... No, no. Coś takiego!

Uśmiech wrócił i tym razem pozostał nieco dłużej.

– Widziałeś coś interesującego?

– Aha.

– Opowiesz mi o tym?

Zerknął za siebie, na pozostałych.

– Nie tutaj – zapewniłem go. – Przejdźmy do drugiego pokoju. Tam możemy też rysować i bawić się. Tak jak ostatnim razem. Zgoda?

Zmarszczył brwi, ale poszedł za mną. Biuro Mała zadziwiło go i kilka razy obszedł ogromne pomieszczenie, zanim się usadowił.

– Widziałeś kiedyś taki pokój?

– Aha. W filmie.

– W jakim?

– O złych facetach, którzy chcieli rządzić światem. Mieli biuro z laserami i innymi bajerami.

Wyglądało podobnie.

– Kwatera złych facetów, co?

– Tak.

– Sądzisz, że pan Worthy jest złym facetem?

– Mój tata tak mówił.

– Powiedział ci, kto jeszcze jest zły?

Chłopiec się speszył.

– Na przykład ja? I doktor Daschoff?

– Aha.

– Rozumiesz, dlaczego twój tata tak twierdził?

– Bo oszalał z wściekłości.

– Zgadza się, rzeczywiście oszalał. Ale nie z powodu czegoś, co zrobiłeś ty czy April.

Postępuje teraz bardzo nierozsądnie, bo nie chce się zgodzić z wyrokiem sądu.

– Jasne! – warknął chłopiec z nagłą wściekłością. – I to jest jej wina!

– Rozwód?

– Tak! Wykopała tatę z domu, za który zapłacił własnymi pieniędzmi!

Posadziłem go na krześle, usiadłem naprzeciwko niego, położyłem mu ręce na drobnych ramionach i powiedziałem:

– Ricky, przykro mi, że twoja sytuacja jest właśnie taka. Wiem, chciałbyś, żeby twoja mama i tata wrócili do siebie. Tylko że to się, niestety, nie zdarzy. Nie pamiętasz, że przez cały czas się kłócili?

– Tak, ale potem przestawali i było wszystko w porządku.

– Wtedy było dobrze, prawda?

– Tak.

– Jednak awantury stawały się częstsze i rzadko kiedy było miło.

Pokiwał z rezygnacją głową.

– Rozwód jest strasznym wydarzeniem – zauważyłem. – Jak zawsze, gdy coś się rozpada.

Odwrócił wzrok.

– Nic nie szkodzi, że odczuwasz złość, Ricky. Ja również wściekałbym się, gdyby moi rodzice się rozwodzili. Jednak nie wolno ci uciekać. Mogło ci się przydarzyć coś złego.

– Tata się mną zaopiekuje.

– Ricky, wiem, że bardzo kochasz swego tatę. Tak być powinno. Ojciec to dla każdego dziecka ktoś szczególnie. I każdy powinien mieć możliwość przebywania ze swoimi dziećmi, nawet po rozwodzie z ich mamą. Mam nadzieję, że pewnego dnia twój tata także będzie mógł cię często widywać. Zabierze cię w różne miejsca, gdzie będziecie się wspaniale razem bawili. Ale teraz... to naprawdę przykre... Teraz nie może spędzać zbyt dużo czasu z tobą i April. Rozumiesz dlaczego?

– Ponieważ jest chory.

– Właśnie. Wiesz, na jaką chorobę cierpi?

Przemyślał sobie moje pytanie.

– Staje się coraz bardziej nerwowy.

– Tak, lecz nie tylko. Nagle dostaje szału, zniemacka staje się bardzo smutny albo bardzo wesoły. Czasami bez jakiegokolwiek powodu. Kiedy dostaje szału, może robić okropne rzeczy, na przykład straszenie się z kimś kłócić albo nawet kogoś pobić. Wtedy mógłby się stać niebezpieczny.

– Mógłby kogoś pokonać?!

– Tak, ale mógłby przy tym kogoś skrzywdzić. A ty i April moglibyście zostać przypadkowymi ofiarami. Rozumiesz?

Niechętnie pokiwał głową.

– Nie mówię, że twój tata zawsze będzie chory. Na jego chorobę są leki. Jeśli będzie je brał, wyleczy się. Pomóc mogą również rozmowy z lekarzami, takimi jak ja. Niestety, na razie twój tata nie chce w ogóle przyznać, że potrzebuje pomocy. Z tego względu pani sędzia zakazała mu

kontaktów z wami. Póki twój tata nie poczuje się lepiej. Ten zakaz sędzi bardzo go zdenerwował i teraz nazywa wszystkich wokół złymi ludźmi, bo myśli, że chcemy go skrzywdzić. A my naprawdę próbujemy mu pomóc. I chronić was: siebie i twoją siostrzyczkę.

Popatrzył na mnie bez słowa, po czym wstał i zaczął robić z papieru samolociki. Przez następny kwadrans toczył samotną bitwę, niszcząc miasta, bombardując, krzycząc i rozrywając na strzępy papier, aż wspaniały dywan Mała cały został nim pokryty.

Potem przez kilka minut rysował, ale wyraźnie nie spodobały mu się własne dzieła, ponieważ zgniótł kartki i wrzucił je do kosza na śmieci. Spróbowałem porozmawiać z nim o ucieczce, lecz nie chciał o tym mówić. Znowu wspomniałem o niebezpieczeństwie i nawet mnie słuchał, choć wyglądał na znudzonego. Kiedy go spytałem, czy ponowi swoją próbę, wzruszył tylko ramionami.

Wyprowadziłem go do poczekalni, do biura zaś zaprosiłem Darlene. Miała na sobie różowy podkoszulek z cekinowym wzorkiem i srebrne sandały. Ciemne włosy zaczesła w wysoki kok i spryskała lakierem. Pewnie sporo czasu spędziła nad makijażem, jednak jej twarz pozostała zmęczona, przerażona i przedwcześnie postarzała. Usadowiwszy się na krześle, wyjęła z torebki chusteczkę, którą przekładała z ręki do ręki.

– Musi być pani naprawdę trudno, Darlene – zauważyłem.

Z jej oczu pociekły łzy, które wytarła chusteczką.

– Mój eks-mąż jest wariatem, doktorze. Jego szaleństwo z każdym dniem rośnie. Czuję, że robi jakieś głupstwo.

– Jak znoszą to dzieci?

– April to mała przylepa... Sam pan widział. Wprawdzie wstaje po parę razy w nocy i chce spać z nami... Ale jest słodka. Ricky zaś to dla mnie prawdziwe utrapienie, wiecznie nadąsany, nie może zapomnieć o ojcu. Wczoraj obrzucił Carltona stekiem wyzwisk.

– Co zrobił Carlton?

– Zagroził, że następnym razem sprawi mu lanie.

No tak, doskonale.

– Nie powinna pani pozwalać swojemu przyjacielowi na wymierzanie kar dzieciom. Muszą powoli przyzwyczajać się do jego obecności. Jeśli Carlton przejmie kontrolę, syn i córka poczują się porzucone.

– Ależ doktorze, Ricky nie powinien używać takiego języka!

– W takim razie musi pani sobie z nim jakoś poradzić sama. Dzieci powinny wierzyć, że pani najbardziej zależy właśnie na nich. To ważne. Muszą mieć pewność, że czuje się pani za nie odpowiedzialna.

– Zgoda – mruknęła bez entuzjazmu. – Spróbuję.

Wiedziałem, że nie zastosuje się do mojej prośby. W jej sytuacji „próby” niczego nie załatwiały, trzeba się było natychmiast wziąć do działania, co do którego nie przejawiała chęci. A za parę miesięcy ta kobieta będzie się dziwiła, dlaczego jej syn i córka zamknęli się w sobie, są

rozdrażnieni, nieszczęśliwi i trudno nad nimi zapanować.

Zrobiłem wszystko, co mogłem. Staralem się ją przekonać, że jej dzieci powinny skorzystać z profesjonalnej pomocy psychologicznej. Wyjaśniłem, że stan April nie budzi na razie poważniejszego niepokoju, lecz dziewczynka czuje się nieco niepewna. Najprawdopodobniej zostanie poddana jedynie krótkotrwałej terapii, która zredukuje do zera ewentualne problemy w przyszłości.

Sprawa Ricky'ego, niestety, wyglądała dużo gorzej. Był zdezorientowany i przepełniony gniewem. Być może znowu ucieknie z domu.

W tym momencie Darlene przerwała mi i oznajmiła, że chłopiec zaczyna się zachowywać jak jego ojciec.

– Pani Moody – odparłem – Ricky musi jakoś wyładować swoją energię.

– Wie pan – wtrąciła – Ricky lepiej rozumie się z Carltonem. Wczoraj grali w bejsbol na podwórku i świetnie się bawili. Wiem, że Carlton będzie miał na niego dobry wpływ.

– Cieszę się. Tyle że wsparcie pana Conleya nie zastąpi profesjonalnej pomocy psychologicznej.

– Doktorze – jęknęła – jestem splukana. Zdaje pan sobie sprawę z tego, ile kosztują prawnicy? Po dzisiejszym spotkaniu z panem mój adwokat zabierze mi wszystkie pieniądze.

– Istnieją kliniki, które stosują tak zwaną elastyczną taryfę. Opłaty za leczenie pacjentów uzależnione są od ich możliwości finansowych. Dam kilka numerów panu Worthy'emu.

– Czy są daleko? Boję się jeździć autostradami.

– Spróbuję znaleźć położoną blisko waszego domu.

– Dziękuję, doktorze. – Westchnęła, podniosła się i poczekała, aż otworzę i przytrzymam dla niej drzwi.

Patrząc, jak idzie korytarzem, powłócząc nogami niczym staruszka, łatwo było zapomnieć, że ma zaledwie dwadzieścia dziewięć lat.

Podyktowałem swoje spostrzeżenia sekretarce Mała, która zapisała je na sądowej maszynie do stenografowania. Kiedy wyszła, jej szef wyjął butelkę „czarnego” johnny'ego walkera i nalał po pół szklaneczki.

– Dzięki, że przyjechałeś.

– Chętnie do ciebie wpadłem, choć nie wiem, czy w czymś pomogłem. Darlene chyba nie zamierza skorzystać z moich rad.

– Dopilnuję, żeby się do nich zastosowała. Wyjaśnię jej, że są ważne dla całej sprawy.

Przez chwilę w milczeniu sącyliśmy szkocką.

– Nawiasem mówiąc – dodał – jak do tej pory, sędzia nie otrzymała żadnej przykrej przesyłki... Najwidoczniej Moody, choć szalony, nie jest głupi. Wszak Severe i tak jest na niego wściekła. Zadzwoiła do prokuratora i poleciła mu wyznaczyć osobę, która zajmie się sprawą Moody'ego. Prokurator obarczył tym zadaniem wydział z Foothill.

– A tam powiedzieli, że już go szukają.

– Zgadza się. – Wyglądał na zaskoczonego. Wy tłumaczyłem, że Milo zatelefonował do Fordebranda.

– Niezłe posunięcie. Napijesz się jeszcze? – Podniósł butelkę. Odmówiłem dolewki. Dobrej szkockiej trudno się oprzeć, jednak rozmowa o Moodym przypomniała mi, że powinienem pozostać trzeźwy.

– Ludzie z Foothill zamierzają go ścigać, sądzą jednak, że ukrywa się gdzieś w Angeles Crest.

– Cudownie.

Park Narodowy Angeles Crest to dwieście czterdzieści trzy tysiące hektarów dziczy otaczającej miasto od północy. Państwo Moody mieszkali blisko Sunland i las był dla Richarda dobrze znanym miejscem, a zatem stanowił naturalne miejsce schronienia. Znaczna część terenu pozostawała niedostępna – można ją było przemierzyć jedynie na piechotę i obeznany z okolicą człowiek potrafiłby się tam ukrywać właściwie bez końca. Las stanowił oazę dla miłośników pieszych wędrówek, wspinaczek. Był także azylem dla gangów motocyklistów, którzy całymi nocami imprezowali w jaskiniach. A w tamtejszych wąwozach i strumykach często odnajdowano ciała zaginionych osób.

Tuż przed naszym starciem na parkingu Moody mówił mi, że potrafi przetrwać w dziczy i pragnie tego samego nauczyć swoje dzieci. Podzieliłem się z Małem tą myślą.

Ponuro skinął głową.

– Poradziłem Darlene, żeby wraz z dziećmi opuściła miasto na jakiś czas. Jej rodzice mają farmę na północy, w pobliżu Davis. Dziś jadą tam we czworo.

– Czy jej były mąż nie odgadnie miejsca ich pobytu?

– Musiałby wyleźć ze swojej kryjówki. Mam szczerą nadzieję, że przez jakiś czas pomieszka w lesie. – Rozłożył bezradnie ręce. – Nic więcej nie możemy zrobić.

Uznałem, że nasza rozmowa zaczyna przybierać niepokojący obrót, więc wstałem i pożegnałem się. Uścisnęliśmy sobie ręce, a przy drzwiach spytałem Mała, czy słyszał o prawniku Normanie Matthewsie.

– Szalejący Norman? Dziecko szczęścia. Występowałem przeciwko niemu kilkanaście razy. Potrafił załatwić największe alimenty każdej rozwódce z Beverly Hills.

– Specjalizował się w rozwodach?

– Tak. I był w tym najlepszy. Przebojowy, bezwzględny. Mawiano, że potrafi zdobyć dla swoich klientów wszystko, czego zażądamy, niezależnie od kosztów. Po drodze obrażał wszystkich bez wyбору. Brał niezłą prowizję, więc sporo zarobił i w pewnym momencie zaczął się uważać za hollywoodzką gwiazdę. Wiesz, taki ostentacyjny image: wyniosła mina, rzucające się w oczy drogie ciuchy, blondynki po bokach, w ustach lufka za tysiąc dolców, a w niej długi dunhill.

– Obecnie prezentuje nieco inny styl.

– Tak, tak, słyszałem. Mieszka z grupką dziwaków na południu, tuż przy granicy. Nazywa siebie Wielkim Szlachetnym Poo Bahem czy jakoś podobnie.

– Szlachetnym Matthiasem. Dlaczego porzucił prawo?

Mał zaśmiał się złośliwie.

– Można by powiedzieć, że raczej prawo porzuciło jego. Historia zdarzyła się pięć czy sześć lat temu i pisano o niej w gazetach. Dziwię się, że jej nie pamiętasz. Matthews reprezentował wówczas żonę pewnego dramaturga, który właśnie się wzbogacił... po dziesięciu latach głodowania. Facet odniósł wielki sukces na Broadwayu, a jego żona w tym czasie znalazła sobie kolejną ofiarę losu, bo pewnie lubiła matkować nieudacznikom. Matthews uzyskał dla niej wszystko, co tylko można sobie wyobrazić: lwią część zysków ze sztuki i ogromny procent zarobków eks-małżonka przez następne dziesięć lat. Sprawa zrobiła się głośna, zaplanowano nawet konferencję prasową. Matthews i żona dramaturga właśnie na nią szli, kiedy rozsierdzony pisarz wypadł nie wiadomo skąd z dwudziestkądwójką w łapach. Strzelił obojgu w głowy. Kobieta zginęła na miejscu, a Matthews potrzebował półrocznej kuracji, żeby dojść do siebie. Znikł wówczas i powrócił po kilku latach jako guru. Typowa kalifornijska opowieść.

Podziękowałem za informacje i odwróciłem się do wyjścia.

– Hej – spytał – a właściwie skąd to zainteresowanie?

– Nic ważnego. Nazwisko faceta pojawiło się w jakiejś rozmowie.

– Szalejący Norman. – Uśmiechnął się. – Uszkodzenie mózgu drogą do świętości.

Następnego ranka Milo zastukał do moich drzwi i obudził mnie za kwadrans siódma. Niebo było szare niczym sierść dachowego kota. Deszcz padał przez całą noc, toteż zapach powietrza przywodził na myśl wilgotną flanelę. W taką pogodę w górskiej dolinie, gdzie stoi mój dom, robi się strasznie zimno. Dziś również w kościach poczułem przenikliwy chłód, gdy tylko otworzyłem drzwi.

Mój przyjaciel detektyw ubrany był w lśniący czarny prochowiec, pod którym miał białą koszulę, brązowo-błękitny krawat i brązowe spodnie. Jego twarz porośnięta była szczecina, a powieki opadały ze zmęczenia. Na butach z niewyprawionej skóry dostrzegłem błoto, które wytarł o krawędź tarasu przed wejściem.

– Znaleźliśmy zwłoki obojga Swope'ów, matki i ojca, w kanionie Benedict. Zastrzeleni, strzały w głowę i w plecy.

Wypowiedział to szybko, nie patrząc mi w oczy, potem minął mnie i wszedł do kuchni. Podążyłem za nim i zabrałem się do przygotowania kawy. Gdy się parzyła, umyłem twarz nad kuchennym zlewem, Milo zaś żuł tymczasem kawałek chleba. Żaden z nas się nie odzywał, póki nie usiedliśmy przy moim starym dębowym stole i nie zaczęliśmy się rozgrzewać niemal wrzącą kawą.

– Pewien starszy gość z wykrywaczem metali znalazł ich po pierwszej w nocy. To bogaty facet, emerytowany dentysta. Ma duży dom w pobliżu kanionu Benedict, ale lubi wędrować po okolicy, szukając nie wiadomo czego. Jego wykrywacz zareagował na monety w kieszeniach Swope'a... Bo zamordowanych nie zagrzebano zbyt głęboko. Deszcz zmył nieco błota i poszukiwacz dostrzegł część głowy w poświęcie księżycowej. Biedny facet był naprawdę roztrzęsiony. Gdy zidentyfikowali ciała, detektyw zajmujący się sprawą przypomniał sobie moje nazwisko i zadzwonił do mnie. Właśnie miał wyjechać na wakacje, więc był zachwycony, że może mi ją przekazać. Siedziałem tam od trzeciej.

– Żadnego śladu Woody'ego i Nony?

Pokręcił głową.

– Zupełnie nic. Przeczesałem najbliższą okolicę. Znalezione ich w miejscu, w którym droga zaczyna się pięć ku Valley. Większa część kanionu Benedict została dość gęsto zabudowana, lecz w zachodniej części znajduje się mały wąwóz, do którego technicy nie dotarli. Jest wklęsły jak półmisek. Porastają go krzewy, powierzchnię pokrywa trzydzieści centymetrów zwiedłych liści. Łatwo go przegapić, jeśli jedzie się szybko, ponieważ od strony drogi skrywają go duże eukaliptusy. Przeszukaliśmy go dokładnie, metr po metrze. Wykopaliśmy kolejne zwłoki, a raczej same kości. Po kształcie miednicy koroner ocenił, że jest to trup kobiety. Leżał w ziemi co najmniej od dwóch lat.

Koncentrował się na szczegółach, aby zagłuszyć emocjonalną reakcję na morderstwa. Wypił wielki łyk kawy, przetarł oczy i się wzdrygnął.

– Ależ jestem przemoczony.

Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i przewiesił go przez krzesło.

– Co się stało z tą słoneczną Kalifornią? – mruknął. – Czuję się jak na polu ryżowym.

– Chcesz ciepłą koszulę?

– Nie, dzięki. – Zatarł dłonie, napił się jeszcze kawy i wstał po dolewkę. – Ani śladu dzieciaków – powtórzył po powrocie do stołu. – Istnieje kilka możliwości. Na przykład, że nie były z rodzicami i zdołały uniknąć tragedii. Po powrocie do motelu zobaczyły krew, przeraziły się i uciekły.

– Czy nie trzymaliby się razem, gdyby postanowili wrócić do domu? – spytałem.

– Może siostra wzięła brata na lody. A rodzice tymczasem się pakowali.

– Nie ma mowy, Milo. Chłopiec był na to zbyt chory.

– Tak, ciągle o tym zapominam.

– Otóż to.

– Dobra, w takim razie rozważmy hipotezę numer dwa. Nie byli razem, ponieważ siostra uprowadziła małego. Mówiłeś, że według Beverly Nona nie mogła się dogadać z rodzicami. Może przyszedł jej do głowy pomysł wspólnej ucieczki?

– Trudno do końca wierzyć w to, co Beverly mówiła na temat Nony. Ona spotykała się z mężczyzną, którego Beverly kiedyś kochała.

– Sam mi mówiłeś, że Nona była jakaś dziwna. Opowiadałeś, jak potraktowała Melendez-Lyncha. A po obejrzeniu zdjęć i po rozmowach z Jan Rambo i Carmichaelem sam się przekonałem, co z niej za ziółko.

– Chyba ma sporo problemów emocjonalnych. Ale dlaczego miałaby porwać brata? Wszystkie dane na temat jej charakteru sugerują raczej egocentryzm i brak rodzinnych uczuć. Najwyraźniej nie łączyły ją z Woodym bliskie stosunki. Rzadko go odwiedzała, a jeśli już, to późno w nocy, kiedy spał. Potrafię zrozumieć, dlaczego unikała rodziców. Jednak reszta nie trzyma się kupy.

– Rany, doskonały z ciebie kumpel – mruknął Milo. – Zawsze, gdy będę w kiepskim humorze, poproszę cię o pomoc. Masz to jak w banku.

Rozdziawił usta, ziewając potężnie. Kiedy odzyskał oddech, podjął:

– Wszystko, co mówisz, kolego, jest logiczne, musisz jednak dokładnie się temu przyjrzeć. Tuż przed przyjazdem tutaj zadzwoniłem do Houtena z La Visty. Obudziłem go i kazałem mu przetrząsnąć miasteczko w poszukiwaniu panny Swope i jej małego brata. Poraziła go wiadomość o śmierci ich rodziców. Powiedział, że już skrupulatnie przeszukał miasto, ale gdy poprosiłem, zgodził się zrobić to powtórnie.

– Odwiedzi również siedzibę Dotknięcia?

– W pierwszej kolejności. Może Melendez-Lynch miał od początku rację? Jeśli nawet



Houten wyjdzie z pustymi rękoma, oficjalnie staną się podejrzani. Jadę dziś do La Visty, więc sprawdzę sektę. Zwłaszcza tę parkę, która złożyła Swope'om wizytę w szpitalu, podczas rozmowy położę nacisk na ich związki z Valcroix.

Powiedziałem mu, że Seth Fiacre podkreślał kastowy charakter sekty, której członkowie starali się nikomu nie rzucać w oczy, a następnie streściłem opowieść Mala o Normanie Matthewsie.

– Nie szukają nowych członków – stwierdziłem. – Żyją w odosobnieniu. Po co mieliby się pakować w kłopoty innych ludzi?

Odniosłem wrażenie, że Milo zignorował moje pytanie, za to wyraźnie był zaskoczony tożsamością Szlachetnego Matthiasa.

– Matthews został guru? Zawsze się zastanawiałem, jak skończył. Pamiętam tamtą sprawę, chociaż zdarzyła się w Beverly Hills i nie zajmowaliśmy się nią. Dramaturga zamknęli w Atascadero, gdzie pół roku później sporządził sobie zabójczy koktajl. – Uśmiechnął się niewesoło. – Kiedyś nazywaliśmy Matthewsą „kanciarzem gwiazd”. Któż by się spodziewał takiej przemiany?

Ziewnął znowu i napił się kawy.

– Po co mieliby się pakować w kłopoty? – powtórzył moje pytanie. – Może sądzą, że przekonali rodziców do „swojej” kuracji dla dziecka, a później sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Jeśli tak, to bardzo się wymknęły – odburknąłem.

– Nie zapominaj, co jej powiedziałem w motelu. Świat naprawdę staje się coraz bardziej szalony. Poza tym może w czasie, gdy twój przyjaciel profesor badał sektę Dotknięcie, jej przedstawiciele unikali rozgłosu, a teraz to się zmieniło. Kto wie, świry są nieobliczalne, a w dodatku każdy z nich jest inny. Jim Jones był ich bohaterem, póki nie zreinkarnował się w Idi Amina.

– Pięknie powiedziane.

– Przecież jestem profesjonalistą. – Roześmiał się wesoło i przyjaźnie, szybko jednak ucichł na wspomnienie niedawnej okrutnej zbrodni.

– Jest jeszcze inna możliwość – odezwałem się w końcu.

– Tak, też o tym pomyślałem. – Zielone oczy Mila pociemniały. – Może zwłoki dzieciaków zakopano w innym miejscu. Morderca przestraszył się czegoś i uciekł z Benedict, zanim, pogrzebał wszystkie ciała.

Odkąd dowiedziałem się o zabójstwach, czułem się przybity, odrętwiały i nie do końca potrafiłem się skupić na tym, co mówił Milo, bo przez głowę przemykały mi potworne wizje. Nagle jednak dotarło do mnie pełne znaczenie jego słów.

– Jednak zamierzasz dalej go szukać, prawda? – zapytałem.

– Przetrzęsaliśmy Benedict od Bulwaru Zachodzącego Słońca aż po Valley. Chodziliśmy od drzwi do drzwi i pytaliśmy, czy ktoś coś widział. Było jednak ciemno, więc nie liczymy na

naocznych świadków. Zamierzamy także sprawdzić inne kaniony: Malibu, Topanga, Coldwater, Laurel i tutaj, w Glen. To pochłonie mnóstwo czasu i wątpię, czy coś znajdziemy.

Wróciłem do tematu morderstwa rodziców, ponieważ wolałem nie myśleć o losie Woody'ego.

– Czy zostali zastrzeleni tam, w Benedict? – spytałem.

– To absolutnie niemożliwe. Nie znaleźliśmy śladów krwi ani łusek. Wprawdzie padał deszcz, ale pamiętaj, że mieli w ciałach wiele dziur po kulach. Taka kanonada robi dużo hałasu, no i musiałyby zostać łuski. Nie, nie, zabito ich gdzie indziej i dopiero po śmierci trafili do kanionu. Hm... Nie udało nam się także znaleźć śladów stóp ani opon, lecz być może zawinił tu deszcz.

Wsunął do ust kromkę chleba, gryząc ją małymi ostrymi zębami.

– Jeszcze kawy? – zaproponowałem.

– Nie, dzięki. I bez niej mam nerwy napięte jak postronki.

– Pochylił się do przodu, zaciskając na krawędzi stołu grube walcowate palce. – Przykro mi, Alex. Wiem, że się bardzo niepokoisz o chłopca.

– Ta sytuacja przypomina mi koszmarny sen – przyznałem. – Staram się o nim nie myśleć. – Zaraz jednak, na przekór moim słowom, przed oczyma zamigotała mi mała, blada, dziecięca twarzyczka. Partia warcabów w plastikowej kapsule...

– Gdy obejrzałem ich pokój w motelu, naprawdę sądziłem, że wyjechali do domu. Uznałem, że to ich rodzinna sprawa – ciągnął posępnym, tonem. – Po pobieżnym oglądzie ciał koroner ocenił, że Swope'ów zamordowano już kilka dni temu. Prawdopodobnie wkrótce po zabraniu chłopca ze szpitala.

– Właściwie nic podejrzanego nie odkryliśmy, Milo.

– Próbowałem mówić przekonująco. – Kto mógł się spodziewać, że doszło do tragedii?

Kiedy Milo wyszedł, usiłowałem się uspokoić... Niestety, z miernym skutkiem. Ręce mi się trzęsły, umysł szalał. Nie miałem ochoty zostawać sam na sam ze swoją bezradnością i udręką. Postanowiłem poszukać zapomnienia w aktywności. Pojechałbym do szpitala i zawiadomił Raoula o morderstwach, ale Milo prosił, żebym się przez jakiś czas wstrzymał z informowaniem kogokolwiek. Krążyłem zatem po pokoju, nalałem sobie filiżankę kawy, wylałem ją do zlewu, chwyciłem gazetę i otworzyłem na stronach poświęconych filmowi. W studyjnym kinie w Santa Monica wyświetlano na porannym seansie dokument poświęcony Williamowi Burroughsowi. Pomyślałem, że ze względu na ekscentryczność bohatera film powinien mnie oderwać od smutnej rzeczywistości. Akurat gdy wychodziłem, zadzwonił telefon. To Robin telefonowała z Japonii.

– Witaj, kochanie – powiedziała.

– Witaj, mała. Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też, najdroższy.

Wziąłem telefon do łóżka i usiadłem naprzeciwko fotografii w ramce, przedstawiającej nas

oboje. Pamiętam dzień, kiedy ją zrobiliśmy. Poszliśmy do parku w kwietniową niedzielę i poprosiliśmy przygodnego osiemdziesięcioletniego staruszka, żeby zrobił nam zdjęcie. Mimo iż tłumaczył się, że drżą mu ręce i nie zna się na nowoczesnych aparatach fotograficznych, zdjęcie wyszło pięknie.

Staliśmy na tle purpurowego królewskiego rododendrona i śnieżnych kamelii. Robin opierała się o mnie, a ja otoczyłem rękoma jej talię. Tego dnia miała na sobie obcisłe džinsy i biały golf, który podkreślał jej kształty. Pod wpływem słońca jej kasztanowe długie kręcone włosy przypominały miedziane winogrona. Uśmiechała się szeroko, pokazując idealny półksiężyc białych zębów. Ciemne, żywe, wesołe oczy zdobiły jej twarz w kształcie serca.

Po raz nie wiem który pomyślałem, że Robin jest piękną kobietą o złotym sercu. Jej głos sprawiał mi równocześnie rozkosz i ból.

– Kupiłam ci jedwabne kimono, Alex. Szarobłękitne. Będzie pasowało do twoich oczu.

– Nie mogę się doczekać dnia, w którym je zobaczę. Kiedy wracasz do domu?

– Za jakiś tydzień, kochanie. Produkuje tu ogromnie dużo instrumentów. Chcą, abym je sprawdziła.

– A zatem wszystko w porządku?

– Oczywiście. Jednak ty wydajesz się jakiś roztargniony. Czy coś się stało?

– Nie. Może tylko przez telefon robię takie wrażenie.

– Nie ukrywaj czegoś przede mną, kochanie?

– Nie. Wszystko w porządku. Tęsknię za tobą, to wszystko.

– Jesteś na mnie zły, prawda? Że tak długo nie wracam.

– Nie. Naprawdę nie. Wiem, że ten wyjazd jest dla ciebie ważny. Zostań tam tak długo, jak trzeba.

– Wiesz, wcale się nie bawię tak dobrze, jak sądzisz. Przez pierwszych parę dni rzeczywiście serdecznie mnie przyjmowali, jednak uprzejmości się skończyły i zaczęły się interesy. Ciągłe odwiedzam studia projektowe i fabryki. A na noc nikt mi nie podsuwa męskich gejsz!

– Biedactwo.

– Bardzo jestem z tego powodu nieszczęśliwa. – Roześmiała się. – Ale muszę przyznać, że to fascynujący kraj. Ludzie są tu pracowici i bardzo racjonalni. Następnym razem musisz pojechać ze mną.

– Następnym razem?!

– Skoro Billy Orleans zachwala mój instrument, Japończycy też chcą mieć taki. Moglibyśmy pojechać w czasie kwitnienia wiśni. Spodobałoby ci się. Tutejsze publiczne parki to piękne ogrody... Widziałam ogromne ponadpółtorametrowe *koi*. Kwadratowe arbuzy, niewiarygodne bary serwujące sushi. Ten kraj jest niesamowity, kochanie.

– Wnosząc z twojego tonu, chyba rzeczywiście...

– Alex, o co chodzi? Przestań mówić, że nic się nie stało.

– Nic się nie stało.

– Daj spokój. Czułam się taka samotna... Siedziałam sama w sterylnym pokoju hotelowym, popijałam herbatę i oglądałam *Kojaka* z japońskimi napisami. Pomyślałam, że rozmowa z tobą pomoże mi odżyć. Niestety, jedynie mnie zasmuciła.

– Przykro mi, kochana. Kocham cię i naprawdę jestem z ciebie dumny. Okazuje się jednak, że jestem taki sam jak inni mężczyźni: egoistyczny, seksistowski drań, przerażony twoim sukcesem i zmartwiony, że już nigdy nie będzie tak wspaniale, jak było przed twoim wyjazdem.

– Przecież nic się nie zmieni. Nasz związek jest najcenniejszą rzeczą w moim życiu. Czy kiedyś nie powiedziałaś mi, że codzienne sprawy, które zajmują nam tyle czasu, kariera i wszystko, co się z nią wiąże, stanowią jedynie wierzchnią warstwę naszej egzystencji? Najważniejsza jest miłość i przyjaźń. Zaakceptowałam tę teorię. Naprawdę w nią wierzę.

Jej głos się załamał. Zaprzagnąłem ją objąć, mieć blisko przy sobie. Przytulić.

– O co chodzi z tymi kwadratowymi arbuzami? – spytałem.

Roześmialiśmy się oboje i przez następne pięć minut gruchaliśmy niczym nastolatki. Mimo dzielącej nas ogromnej odległości, byliśmy szczęśliwi.

Przedtem Robin podróżowała po Japonii, jednak od kilku dni przebywała w Tokio, skąd miała wrócić do Stanów. Zapisałem sobie adres hotelu i numer jej pokoju. Przed lotem powrotnym do Los Angeles miała nocować na Hawajach i przemknął nam przez myśl pewien plan. Wsiądę w samolot, spotykamy się w Honolulu, a potem spędzamy razem tydzień na Kauai. Początkowo uznaliśmy ten pomysł za żart, lecz po chwili zaczęliśmy go omawiać całkiem poważnie. Robin obiecała zawiadomić mnie o dacie swojego wyjazdu.

– Wiesz, jakie wspomnienie trzyma mnie tu przy życiu? – Zachichotała. – Przypominam sobie wesele, na którym byliśmy ubiegłego lata w Santa Barbara.

– Hotel Biltmore, pokój 351?

– Właśnie. Podnieca mnie sama myśl o tym.

– Przestań, w przeciwnym razie nic już dziś nie zrobię.

– Przynajmniej mnie docenisz.

– Wierz mi, naprawdę cię doceniam.

Długo żegnaliśmy się, w końcu Robin się rozłączyła.

Nie wspomniałem jej, jak jestem zaangażowany w sprawę Swope'ów. Nasz związek zawsze opierał się na szczerości i otwartości, więc poczułem się jak zdrajca. Uznałem jednak, że nie powinienem jej teraz mówić o tych sprawach. Przebywała zbyt daleko ode mnie, by słuchać o okropnościach, które tylko wytrąciłyby ją z równowagi.

Próbując stłumić poczucie winy, zadzwoniłem do kwiaciarni wysyłkowej i długo tłumaczyłem, że mają na drugi koniec świata wysłać tuzin czerwonych róż.

Zadzwoił telefon. Kobieta po drugiej stronie wydawała się wstrząśnięta. Skądś znałem jej głos.

– Doktorze Delaware, potrzebuję pańskiej pomocy!

Próbowałem odgadnąć, z kim mam do czynienia. Pacjentka z dawnych lat, która przypomniła sobie o mnie w kłopotliwej sytuacji? Jeśli tak, chyba lepiej się nie przyznawać, że jej nie pamiętam. Mógłbym pogłębić jej niepokój. Postanowiłem poczekać, aż z rozmowy zorientuję się, kto to jest.

– Co mogę dla pani zrobić? – spytałem kojącym tonem.

– Chodzi o Raoula. Wpakował się w straszliwe kłopoty.

Helen Holroyd. Zdenerwowanie nieco zmieniło jej głos.

– Jakiego rodzaju kłopoty, Helen?

– Jest w więzieniu w La Viście!

– Co takiego?!

– Właśnie z nim rozmawiałam. Miał prawo do jednego telefonu. Raoul jest w strasznym stanie! Bóg jeden wie, co z nim robią! Zamknęli takiego geniusza! Jak pospolitego przestępcę! Och Boże, pomóż mi, proszę!

Rozkleiła się, co wcale mnie nie zaskoczyło. Ludzie, którzy robią wrażenie twardych, często skrywają w ten sposób kłębiące się silne, sprzeczne uczucia. Zachowanie takie określam mianem „emocjonalnej hibernacji”. Gdy z jakiegoś powodu załamiam się, nie potrafią zapanować nad uczuciami.

Zaszlochła, łapiąc coraz szybciej powietrze.

– Proszę się uspokoić – nalegałem. – Wyjaśnimy tę sprawę, ale najpierw niech mi pani powie, co się właściwie stało.

Dopiero po paru minutach zapanowała nad sobą.

– Wczoraj po południu przyszli do laboratorium policjanci i poinformowali go o zabójstwie tych Swope’ów. Byłam tam, pracowałam po drugiej stronie pokoju. Raoul wysłuchał ich obojętnie. Sprawiał wrażenie, że cała sprawa w ogóle go nie obchodzi. Siedział przy komputerze i wpisywał dane aż do wyjścia policji. Pracował i pracował. Zaczęłam podejrzewać, że coś jest nie tak, bo to zupełnie do niego nie pasowało. Chyba naprawdę się zdenerwował. Gdy policjanci wyszli, chciałam z nim porozmawiać, ale kazał mi się zamknąć. Potem opuścił budynek, nikomu nie mówiąc, dokąd idzie.

– Pojechał do La Visty?

– Tak! Prawdopodobnie rozmyślał nad decyzją przez całą noc. Tak czy owak, wyjechał wcześniej rano, dotarł bowiem na miejsce około dziesiątej i zaraz wdał się w sprzeczkę. Nie jestem pewna z kim, ponieważ nie pozwolili mu ze mną zbyt długo rozmawiać, zresztą... był taki poruszony, że mówił bardzo chaotycznie. Połączyłam się z posterunkiem i rozmawiałam z

szeryfem. Zamierzają zatrzymać Raoula do czasu przesłuchania przez policję Los Angeles. Nie powiedział nic więcej. Poradził, żeby zadzwonić do adwokata, i odwiesił słuchawkę. Wydał mi się pozbawiony uczuć, mówił o Raoulu jak o przestępcy. Niemal sugerował, że znajomość z Melendezem-Lynchem czyni ze mnie kryminalistkę. Sytuacja jak z powieści Kafki! Nie wiem, jak pomóc Raoulowi. Pomyślałam o panu, gdyż wspomniał kiedyś o pańskich układach w policji. Proszę mi powiedzieć, co mam robić?

– Na razie nic. Zadzwonię, gdzie trzeba, i skontaktuję się z panią. Skąd pani dzwoni?

– Z laboratorium.

– Proszę stamtąd nie wychodzić.

– Rzadko wychodzę.

Nie udało mi się dotrzeć do Mila, a oficer dyżurny nie chciał mi wskazać miejsca jego pobytu, więc spytałem o Delana Hardy'ego, który często współpracował z moim przyjacielem. Czekałem dziesięć minut, zanim mnie wreszcie połączono. Hardy to elegancki, łysiejący Murzyn o dużym poczuciu humoru i szczerym uśmiechu. Jego umiejętności strzeleckie uratowały mi pewnego dnia życie.

– Jak się masz, doktorku.

– Cześć, Del. Muszę pilnie porozmawiać z Milem. Dyżurny nie chciał mi nic powiedzieć.

Nie wiesz czasem, czy Milo wrócił już z La Visty?

– Nie wrócił, ponieważ wcale tam nie pojechał. Zmiana planów. Od jakiegoś czasu pracowaliśmy nad pewną paskudną sprawą. Wczorajszy dzień wiele wyjaśnił.

– Srający gwałcieł?

– Tak. Złapaliśmy go wreszcie i Milo z kumplem cały ranek przesłuchują drania, odstawiając skecz pod tytułem „Dobry i zły gliniarz”.

– Gratulacje. Mógłbyś mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił, jak tylko będzie mógł?

– Coś ważnego?

Wyjaśniłem mu.

– Poczekaj chwilę. Spytam, czy może zrobić sobie przerwę.

Kilka minut później wrócił do telefonu.

– Powiedział, że zadzwoni do ciebie za pół godziny.

– Wielkie dzięki, Del.

– Nie ma sprawy. Przy okazji, ciągle używam tego strata.

Hardy podobnie jak ja grał na gitarze. Był pierwszorzędnym muzykiem, po godzinach koncertował z kapelą rythmandbluesową. Z wdzięczności za uratowanie życia kupiłem mu klasycznego fendera stratocastera.

– Cieszę się, że dobrze ci służy. Pogramy kiedyś znowu.

– Koniecznie. Przyjdź do klubu ze swoim sprzętem. Na razie, Alex, muszę wracać do pracy.

Zadzwoniłem do Helen i nakazałem jej cierpliwość. Mówiła słabym głosem, więc pocieszałem ją przez chwilę, a następnie poprosiłem, aby mi opowiedziała o swojej pracy. Kiedy

się całkowicie uspokoiła, pożegnałem się. Wiedziałem, że nic jej nie będzie. Przynajmniej przez jakiś czas.

Milo zadzwonił godzinę później.

– Nie mogę długo rozmawiać, Alex. Skurwiel musi się dziś przyznać. Wyobraź sobie, że to jakiś student z Arabii Saudyjskiej, krewny rodziny królewskiej. Może komuś się to nie spodoba, ale niech mnie diabli, jeśli facetowi uda się wykręcić immunitetem dyplomatycznym.

– Jak go złapałeś?

– Niestety nie była to żadna genialna akcja policyjna. Po prostu zaatakował kolejną babkę, która miała w torebce gaz. Psiknęła gnojowi w oczy, a kiedy zaczął wrzeszczeć, kopnęła go kolanem w przyrodzenie i zadzwoniła do nas. Taka mała delikatna kobietka – dodał z podziwem.

– W mieszkaniu znaleźliśmy przedmioty należące do innych ofiar. Facet sra w gacie, gdy się podnieci albo zdenerwuje. Przesłuchanie było bardzo wesołe. Najśmieszniejsze, że jego pieprzony prawnik siedział w pobliżu, więc też musiał wachać ten smród.

– Zabawne. Słuchaj, jeśli nie możesz teraz rozmawiać...

– W porządku. Zrobiłem sobie przerwę. Muszę zaczerpnąć powietrza. Del opowiedział mi o aresztowaniu Kubańczyka, więc zadzwoniłem do Houtena, a ten poinformował mnie, co się zdarzyło. Twój przyjaciel doktor jest chyba dość niezrównoważony. Wjechał do miasta dziś rano niczym Gary Cooper w *W samo południe*. Wpadł do szeryfa i zażądał aresztowania ludzi z Dotknięcia za zamordowanie Swope'ów. Twierdził też, że sekta przetrzymuje w swojej siedzibie chłopca i Nonę. Houten odparł mu, że już ich przepytał, a ja mam przyjechać i ponownie ich przesłuchać, teren zaś gruntownie przetrząsnęto. Melendez-Lynch w ogóle go nie słuchał, obrzucał tylko obelgami, aż w końcu facet musiał go wykopać ze swojego biura. Doktorek wsiadł do samochodu i pojechał prosto do Ustronia.

Aż stęknąłem.

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Mają tam dużą żelazną bramę przy wjeździe. Była zamknięta, więc Melendez-Lynch zaczął wrzeszczeć, żeby go natychmiast wpuszczono. Paru ludzi wyszło go uspokoić, a on się na nich rzucił. Nie pozostali mu dłużni i dostał po pysku. Kiedy wrócili do środka, uruchomił samochód i staranował bramę. Wtedy zadzwonili do Houtena, który aresztował twojego przyjaciela za zakłócanie porządku, poczynione szkody i kto wie, za co jeszcze. Podobno doktor zachowywał się jak szaleniec, więc szeryf wpadł na pomysł, że pewnie chcielibyśmy go przesłuchać. Zamknął go zatem i zezwolił mu na jedną rozmowę telefoniczną.

– Niewiarygodne.

Milo się roześmiał.

– Prawda? Gdy myślę o nim, o Valcroix, gdy wspominam historie, które opowiada mi Rick... tracę resztki wiary w nowoczesną medycynę.

– Może Swope'owie również tak uważali?

– Jeśli odkryli to samo co ja, nie dziwię się, że uciekli.

– Niestety niezbyt daleko zaszli.

– Tak. Teraz, po złapaniu Saudyjczyka, ich sprawa stanie się dla mnie najważniejsza. Musi jednak jeszcze trochę poczekać, ponieważ jeśli nie przyciśniemy sracza gwałciciela, facet wymknie się nam i wróci do Rijadu.

Jego słowa mnie zmroziły. Milo zawsze bardzo cenił ludzkie życie i gdyby wierzył, że Woody i Nona żyją, mimo sprawy Saudyjczyka znalazłby sposób na energiczniejsze działania w sprawie Swope'ów.

– Kiedy uznałeś, że nie żyją? – spytałem.

– Co?... Jezu, Alex, przestań analizować. Niczego nie uznałem. Setki policjantów przeszukują kaniony, sprawdzam listy zaginionych przynajmniej dwa, trzy razy dziennie. Nie siedzę beczynn timer na tyłku, na pewno nie! Jednak prawda jest taka, że w jednej sprawie mam aresztowanego, a w drugiej nie. Nad którą byś się skupił na moim miejscu?

– Och, przepraszam, trochę mnie poniosły nerwy. Po prostu trudno mi uwierzyć, że dla malca nie ma już nadziei.

– Wiem, stary – powiedział łagodniej. – Też jestem zdenerwowany. Zbyt wiele czasu spędziłem wśród krwi i szumowin. Bądź ostrożny, Alex. Uważaj, żebyś się za bardzo nie zaangażował. Po raz kolejny.

Mimowolnie dotknąłem pokancerowanej szczęki.

– Postaram się. No dobrze, co zrobimy z Raulem? Muszę coś powiedzieć jego dziewczynie.

– Nic nie zrobimy. Powiedziałem Houtenowi, że ma go wypuścić, bo facet może i jest walnięty, ale akurat teraz o nic go nie podejrzewamy. Szeryf jednak stwierdził, że Melendez-Lyncha trzeba zabrać z miasta, bo twój doktorek nie przestaje gadać, odkąd trafił do pudła, a lepiej, żeby nie narobił głupstw w minutę po wyjściu. Skoro uważasz, że potrafisz go uspokoić, zadzwonię do Houtena. Powiem, że jesteś psychologiem, to pewnie go wyda pod twoją opiekę.

– Sam nie wiem – mruknąłem. – Widziałem Raoula podczas napadów złego humoru, ale nigdy w takim stanie.

– Wybór należy do ciebie, Alex. Jeżeli twój przyjaciel nie uspokoi się i nie zgodzi na rozmowę z prawnikiem albo z kimś, kto po niego przyjedzie, posiedzi trochę.

Ujawnienie opinii publicznej aresztowania Melendez-Lyncha naraziłoby na szwank jego zawodową reputację. Nie znałem żadnej bliskiej mu osoby z wyjątkiem Helen Holroyd, która potrafiłaby go zabrać z La Visty.

– Decyduj, Alex, bo muszę wracać – niecierpliwił się Milo. – A gdy zacznę przesłuchanie, utknę w nim na dobre.

– Dobrze, zadzwoń do szeryfa. Powiedz, że przyjadę, najszybciej jak będę mógł.

– Ależ ty masz dobre serce! Na razie.

Ponownie zatelefonowałem do Helen i powiedziałem, że osobiście dopilnuję uwolnienia szanownego doktora Melendez-Lyncha. Podziękowała mi wylewnie. Wydało mi się, że zaraz się rozplacze, więc szybko się rozłączyłem. Dla jej własnego dobra.



Wjechałem seville'em na autostradę krótko po dwunastej w południe. Przez pierwszą połowę dwugodzinnej jazdy do La Visty pędziłem, przemierzając przemysłową część Kalifornii. Mijałem stocznie i doki, gigantyczne salony samochodowe, brudne warsztaty i fabryki zatruwające powietrze wyziewami z kominów, do połowy przesłonięte ogromnymi billboardami. Zamknąłem okna, włączyłem klimatyzację i kasetę z Florą Purim.

W Irvine teren przeobraził się nagle w nieskończone obszary zieleni ze szpatycznie wirującymi zraszczami, poprzecinane równymi rzędami pomidorów, papryki, truskawek i kukurydzy. Otworzyłem okno i poczułem woń obornika. Po jakimś czasie autostrada zbliżyła się do oceanu i pola ustąpiły bogatym przedmieściom Orange County, których zabudowa stopniowo rzedła aż do drutu kolczastego otaczającego dziko wyglądający zagajnik. Ogrodzone terytorium należało do rządu i podobno znajdowały się tu zakłady testujące broń nuklearną.

Potem utknąłem w korku, ponieważ patrol graniczny przeprowadzał w Oceanside wyrwykową kontrolę w poszukiwaniu nielegalnych imigrantów. Funkcjonariusze w szarych mundurach i kapeluszach à la miś Yoggie zaglądali do każdego pojazdu. Większości szybko pozwalali jechać dalej, lecz kilka poddano dokładnej kontroli. Działali metodycznie, z rytualną dokładnością, choć moim zdaniem zatamowanie fali Latynosów marzących o dostatnim życiu w amerykańskim rajku było równie prawdopodobne, jak schwytywanie całego deszczu w naparstek.

Kilka kilometrów za blokadą skierowałem się na wschód autostradą stanową, która biegła wśród szpaleru fastfoodowych budek i benzynowych stacji samoobsługowych; potem zjechałem z autostrady i skręciłem w dwupasmówkę.

Droga pięła się ku górom przesłoniętym mgłą. Po dwudziestu minutach od skrzyżowania nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegałem innych pojazdów. Miąłem kamieniołom, gdzie maszyny o wyglądzie modliszek drążyły ziemię, wydobywając na powierzchnię stopy skał i błota, a potem ranczo oraz łąkę z pasącymi się końmi. Dalej nic już nie było.

Z zakurzonych tablic wynikało, że powstają tu „luksusowe osiedla”, jednak poza jedną niedokończoną budową – zbiorowiskiem pozbawionych dachów małych domów wciśniętych w prażony słońcem wąwóz – okolica była kompletnym pustkowiem.

Im wyżej wjeżdżałem, tym bujniejszą roślinność dostrzegałem wokół siebie. Wjazd do La Visty poprzedzały hektary ocienionych eukaliptusami cytrusowych gajów i dwa kilometry gaju awokadowego. Miasteczko leżało w dolinie u stóp gór, otoczone lasem. Łatwo można je było przeoczyć.

Główną ulicę stanowiła Orange Avenue, której sporą część zmieniono w pokryty żwirem plac zastawiony młockarniami, kombajnami, traktorami i innymi maszynami rolniczymi. Z boku znajdował się długi, niski, oszklony ginach; zniszczony drewniany szyld nad jego wejściem oznajmiał: „Sprzedaż, wynajem i naprawa wyposażenia farm oraz narzędzi ręcznych z napędem mechanicznym”.

Uliczki osady były spokojne, poprzecinane ukośnymi liniami parkingowymi. Kilka miejsc zajmowały półciężarówki i wysłużone sedany. Limit prędkości wynosił tu dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, więc zwolniłem. Przejechałem obok pasmanterii, supermarketu, gabinetu kręgarza leczącego za osiem dolarów „bez wcześniejszych zapisów”, fryzjera oraz pozbawionej okien tawerny o nazwie U Erny.

Ratusz – dwupiętrowy czworobok z różowej cegły – stał pośrodku miasteczka. Betonowy pasaż biegnący wśród wysokich palm daktylowych posadzonych na ładnie utrzymanym trawniku kończył się przy otwartych podwójnych mosiężnych drzwiach. Przed wejściem na splotałych od słońca mosiężnych masztach powiewały flagi Stanów Zjednoczonych i Kalifornii.

Zaparkowałem seville'a przed budynkiem, wysiadłem i w suchym upalnym powietrzu ruszyłem do drzwi. Obok wejścia na wysokości oczu dostrzegłem płytę z 1947 roku, poświęconą poległym w II wojnie światowej mieszkańcom La Visty. Wszedłem do holu, w którym stało jedynie kilka dębowych ław z listewkowymi siedzeniami. Rozejrzałem się za recepcjonistką. Ani żywej duszy. W tej samej chwili usłyszałem odgłosy pisania na maszynie i skierowałem się ku nim. W pustym korytarzu dźwięki moich kroków odbijały się echem.

W dusznym pokoju wypełnionym dębowymi szafkami na akta sekretarka pisała na maszynie marki Royal. Zarówno ona sama, jak i maszyna były dość wiekowe. Na jednej z szafek szumiął wentylator, który rozwiewał włosy kobiety.

Odchrząknąłem. Spojrzała na mnie zaskoczona, potem uśmiechnęła się, a ja spytałem, gdzie mogę znaleźć biuro szeryfa. Skierowała mnie do tylnej klatki schodowej prowadzącej na piętro.

Na szczycie schodów znajdowała się sala rozpraw, która wyglądała na nieużywaną od niepamiętnych czasów. Na żółtozielonym tynku wymalowano połyskującą czarną farbą słowo „Szeryf”. Pod nim zauważyłem strzałkę w prawo.

Siedzibę stróża prawa w La Viście stanowił niewielki ciemny pokój z dwoma drewnianymi biurkami, automatyczną centralką telefoniczną i milczącym teleksem. Na jednej ze ścian wisiała mapa hrabstwa. Wnętrze uzupełniały listy poszukiwanych i dobrze zaopatrzona szafka z bronią. Na środku tylnej ściany znajdowały się zaryglowane metalowe drzwi z okratowanym okienkiem.

Siedzący przy jednym z biurek mężczyzna w beżowym mundurze wyglądał zbyt młodo na szeryfa (miał niemowlęco różowe policzki i szczere orzechowe oczy pod brązową grzywką), lecz był jedyną osobą w pokoju. Przyjrzałem się plakietce przypiętej do kieszonki na piersi. „Zastępca szeryfa, W. Bragdon”. Policjant czytał dziennik dla farmerów, a kiedy wszedłem, podniósł wzrok i spojrzał na mnie w sposób typowy dla policjanta: bacznie, podejrzliwie.

– Jestem doktor Delaware, przyjechałem odebrać aresztowanego Melendeza-Lyncha.

W. Bragdon wstał, przypiął kaburę i zniknął za metalowymi drzwiami. Wrócił z mężczyzną po pięćdziesiątce, który przypominał postać z płócien Frederica Remingtona.

Był niski i krzywonogi, ale mocno zbudowany. W oczy rzucały się jego szerokie ramiona i nieco rozkołysany chód. Nosił zaprasowane w ostry kant spodnie uszyte z identycznego materiału co mundur zastępcy oraz zieloną koszulę w kratkę, zapinaną na perłowe guziki. Wielki

stetson z szerokim rondem tkwił na szczycie wrzecionowatej głowy. Sądząc po wyszczuplającym kroju koszuli i spodni, szeryf był prawdopodobnie człowiekiem próżnym.

Włosy pod kapeluszem miał ciemnobrązowe i przycięte tuż przy skroniach. Pod wydatnym zakrzywionym niczym dziób nosem miał gęsty, siwy, zakręcony wąs.

Moją uwagę przyciągnęły ręce mężczyzny – niezwykle grube i wielkie. Jedna spoczywała na kolbie kolta kaliber 45, rewolweru o długiej lufie, który tkwił w ręcznie wykonanej kaburze, drugą wyciągnął w moją stronę. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Witam, doktorze – odezwał się głębokim aksamitnym głosem. – Jestem szeryf Raymond Houten. – Jego uścisk był zdecydowany, lecz nie przesadnie mocny. Nie szukał sztucznego potwierdzenia własnej siły, z której świetnie zdawał sobie sprawę. – Proszę wejść dalej.

Za drzwiami z kratą znajdował się trzymetrowej długości korytarz. Po lewej były kolejne zaryglowane metalowe drzwi, po prawej biuro szeryfa – o wysokim suficie, oświetlone słońcem i intensywnie cuchnące tytoniem.

Houten usiadł za wiekowym biurkiem i wskazał mi fotel z podniszczonej skóry. Zdjąwszy kapelusz, rzucił go na stojak stylizowany na łosie rogi.

Wyciągnął paczkę chesterfieldów, zaproponował mi papierosa, a kiedy odmówiłem, zapalił, odchylił się w tył i wyjrzał przez wielkie okno wykuszowe, które wychodziło na Orange Avenue. Jego oczy przez chwilę śledziły przejazd dużej ciężarówki z ładunkiem płodów rolnych. Zanim się odezwał, poczekał, aż huczący pojazd zniknie z pola widzenia.

– Jest pan psychiatrą?

– Psychologiem.

Trzymał papierosa między kciukiem i palcem wskazującym. Zaciągnął się.

– I przyjechał pan do nas raczej jako przyjaciel doktora Lyncha, nie zaś z racji swojego zawodu?

Z jego tonu wywnioskowałem, że bardziej stosowna byłaby ta druga możliwość.

– Zgadza się.

– Zaraz pana do niego zaprowadzę. Chcę jednak najpierw pana przygotować. Doktor wygląda tak, jakby przejechał po nim kombajn. Chcę podkreślić, że to nie nasza wina. Obchodziliśmy się z nim jak z jajkiem.

– Rozumiem. Detektyw Sturgis uprzedził mnie, że doktor Melendez-Lynch wszczął bójkę z członkami sekty Dotknięcie, którzy w obronie własnej trochę go poturbowali.

Szeryf skrzywił się w uśmiechu.

– Można tak to ująć. Z tego, co słyszałem, doktor Lynch jest sławnym człowiekiem – zauważył sceptycznie.

– Tak, jest ekspertem o międzynarodowej sławie w sprawach dziecięcych nowotworów.

Houten rzucił kolejne spojrzenie za okno. Na ścianie za biurkiem zauważyłem wiszący dyplom. Na jednym ze stanowych college'ów szeryf uzyskał licencjat z kryminologii.

– Rak. – Wymówił to słowo bardzo cicho. – Moja żona miała raka. Dziesięć lat temu. Zżerał

ją niczym dzikie zwierzę, a potem zabił. Lekarze nic nam nie powiedzieli. Do końca ukrywali się za swoim żargonem.

Jego uśmiech mnie przeraził.

– A jednak – ciągnął – nie przypominam sobie wśród nich nikogo takiego jak doktor Lynch.

– Jest jedyny w swoim rodzaju, szeryfie.

– Chyba ma zbyt wielki temperament. Skąd pochodzi, z Gwatemali?

– Z Kuby.

– Wszystko jedno. Latynoski temperament!

– Niech mi pan wierzy, że takie zachowanie jest dla niego zupełnie nietypowe. Z tego, co wiem, nigdy nie miał kłopotów z prawem.

– Zgadza się, doktorze. Przejrzeliśmy jego akta w komputerze. Oto jeden z powodów, dla których chcę go potraktować łagodnie. Zapłaci grzywnę i go wypuszczę. Jestem wyrozumiała, choć mógłbym go przez jakiś czas przetrzymać. Sporo na niego mam: wkroczenie na teren prywatny, napaść, zniszczenie mienia, stawianie oporu policji. Nawet nie wspomnę o uszkodzeniu bramy, w którą wjechał samochodem. Jednakże sąd okręgowy nie działa aż do zimy, więc musielibyśmy odstawić gagatka do San Diego. To zbyt skomplikowane.

– Doceniam pańską wyrozumiałość i jestem gotów wypisać czek za wyrządzone szkody.

Pokiwał głową, wyjął papierosa i podszedł do telefonu.

– Walt, wypisz grzywnę dla doktora Lyncha. Dołącz kwotę za uszkodzenie bramy... Nie ma potrzeby, doktor Delaware przyjdzie i zapłaci. – Rzucił okiem w moim kierunku. – Przyjmij czek, facet wygląda na uczciwego. Wyjdzie niezła sumka – oświadczył, gdy odwiesił słuchawkę. – Pański przyjaciel narobił nam sporo kłopotów.

– Prawdopodobnie był w szoku, kiedy dowiedział się o morderstwie Swope'ów.

– Wszyscy byliśmy w szoku, doktorze. W tym miasteczku mieszka tysiąc dziewięćset siedem osób, nie licząc imigrantów. Wszyscy się znają. Wczoraj na znak żałoby opuściliśmy flagę do połowy masztu. Choroba małego Woody'ego była prawdziwym ciosem dla nas wszystkich. A teraz coś takiego...

Słońce przesunęło się i zalało swoim blaskiem biuro. Houten spoglądał przez zmrużone oczy. Pod krzaczastymi brwiami pozostały jedynie szparki.

– Doktor Lynch najwyraźniej wbił sobie do głowy, że dzieci przebywają tutaj, w Ustroniu – powiedział to takim tonem, jakby mnie sprawdzał. Nie dałem się sprowokować.

– A pan uważa, że to wykluczone – odparowałem.

– Oczywiście, że tak! Ludzie z Dotknięcia są... no, są jacyś dziwni, ale to nie przestępcy. Kiedy nasi mieszkańcy dowiedzieli się, kto kupił stary klasztor, zrobiła się niezła wrzawa. – Uśmiechnął się sennie. – Farmerzy bywają konserwatywni, więc musiałem ich trochę doksztalcić. Tego dnia, gdy sekta przybyła do miasta, nasi ludzie po prostu stali, gapili się i wskazywali ich palcami. Jakby przyjechał cyrk. Od razu poszedłem porozmawiać z panem Matthiasem. Poprosiłem go o wyrozumiałość i poleciłem, żeby popierał lokalne biznesy i od

czasu do czasu dał jakiś datek na kościół.

Ta strategia skojarzyła mi się z opisaną przez Seta Fiacre'a.

– Są tutaj już trzy lata i nigdy nie było żadnych problemów. Ludzie przyzwyczaili się do nich. Wpadam czasami do klasztoru, aby nasi mieszkańcy wiedzieli, że za jego bramą nie są odprawiane żadne czary. Przybysze pozostali równie dziwni jak pierwszego dnia, ale to wszystko. Dziwacy, lecz z pewnością nie kryminaliści. Gdyby doszło do przestępstwa, wiedziałbym o tym.

– Nie ma najmniejszej nadziei, że Woody i Nona mogą gdzieś tutaj przebywać?

Zapalił kolejnego papierosa i zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem.

– Te dzieci dorastały tutaj. Bawiły się na naszych łąkach, biegały po błotnistych drogach i nigdy nic się im nie stało.

A wystarczyła jedna wycieczka do dużego miasta i sytuacja diametralnie się zmieniła. Małe miasteczko jest jak rodzina, doktorze. Nie mordujemy się nawzajem ani nie porywamy sobie dzieci.

Doświadczenie i studia powinny były go nauczyć, że rodzina jest kotłem, w którym kipi przemoc. Tak pomyślałem, ale się nie odezwałem.

– Chcę panu powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Proszę mnie dokładnie wysłuchać i przekazać moje słowa doktorowi Lynchowi. – Wstał i stanął przed oknem. – Oto wielki ekran, na którym wyświetla się program pod tytułem La Vista. Czasem mam do czynienia z mydlaną operą, w inne dni z komedią. Raz na jakiś czas jest to przygodowy film akcji. Niezależnie od rodzaju zdarzeń, obserwuję je z uwagą. Każdego dnia.

– Rozumiem.

– Byłem przekonany, że mnie pan zrozumie, doktorze. Wziął kapelusz z wieszaka i włożył go.

– Zobaczmy, co słyhać u eksperta o międzynarodowej sławie.

Rygiel na metalowych drzwiach hałaśliwie zareagował na klucz Houtena. Za drzwiami znajdowały się trzy cele w jednym rzędzie. Pomyślałem o modułach sterylnych na oddziale Zachodniego Centrum Pediatrycznego. W areszcie było wilgotno i parno. Pozbawiony okien areszt cuchnął odorem ludzkich ciał i samotnością.

– Jest w ostatniej celi – wyjaśnił Houten. Podążyłem za nim, spoglądając na jego wielkie buciory. Raoul siedział na metalowej ławce przymocowanej do ściany i tępo wpatrywał się w podłogę. Cella była klitką dwa metry na dwa, a na jej wyposażenie składało się przymocowane do ściany łóżko z cienkim poplamionym materacem, sedes bez pokrywy i ocynowana umywalka. Sądząc po zapachu, spłuczka nie była w najlepszym stanie.

Houten otworzył kratę kluczem i weszliśmy.

Więzień z trudem uniósł jedną powiekę. W miejscu drugiego oka widniała wielka fioletowa opuchlizna. Pod lewym uchem zauważyłem skorupę zaschniętej krwi. Pęknięta warga Raoula

miała kolor surowego steku. W rozpiętej białej koszuli brakowało wielu guzików; dostrzegłem pod nią włochatą pierś z ciemnym siniakiem. Naderwany rękaw wisiał na kilku nitkach. Raoulowi zabrano pasek, krawat i sznurówki. Z oblepionych błotem butów ze skóry aligatora zwisały języki. Ich widok wydał mi się szczególnie żalony.

– Chcieliśmy doprowadzić go do porządku – oznajmił Houten, widząc moje przerażenie – ale pański przyjaciel zdenerwował się, więc zostawiliśmy go w spokoju.

Raoul wymamrotał coś po hiszpańsku. Szeryf popatrzył na mnie z miną rodzica, który ma do czynienia z rozzłoszczonym dzieckiem.

– Może pan już wyjść, doktorze Lynch – powiedział. – Doktor Delaware odwiezie pana do domu. Może pan na własny koszt odholować samochód do Los Angeles albo zostawić go tutaj do naprawy. Zack Piersall zna się na zagranicznych autach...

– Nigdzie nie jadę – warknął Raoul.

– Doktorze Lynch...

– Nazywam się Melendez-Lynch i nie podoba mi się pańskie ciągle skracanie mojego nazwiska. Nie wyjadę, póki prawda nie wyjdzie na jaw.

– Doktorze, grożą panu spore kłopoty. Pozwalam panu wyjechać po zapłaceniu grzywny, ponieważ tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Wiem, że znajduje się pan w dużym stresie...

– Proszę nie traktować mnie protekcjonalnie, szeryfie. I niech pan przestanie kryć tych morderczych szarlatanów!

– Raoul... – odezwałem się.

– Nie, Alex, nic nie rozumiesz. Ci ludzie to imbecyle. Drzewo wiedzy mogłoby wykiełkować na ich progu, a oni nawet by tego nie spostrzegli.

Szeryf Houten poruszył szczękami. Najwyraźniej jego cierpliwość powoli się kończyła.

– Chcę, żeby pan opuścił moje miasto – oświadczył cicho.

– Nie wyjadę stąd – upierał się Raoul. Aby zademonstrować swoją desperację, chwycił obiema rękami ławkę.

– Szeryfie – wtrąciłem. – Niech pan wyjdzie. Chcę z nim porozmawiać na osobności.

Houten wzruszył ramionami. Odszedł, a gdy metalowe drzwi zatrzasnęły się za nim, odwróciłem się do Raoula.

– Co się z tobą, u diabła, dzieje?!

– Tylko nie praw mi kazań, Alex. – Wstał i potrząsnął mi przed twarzą pięścią.

Instynktownie cofnąłem się o krok. Popatrzył na swoją podniesioną rękę, opuścił ją i wymamrotał przeprosiny. Chwilę później uspokoił się i ponownie usiadł.

– Do jasnej cholery, co cię opętało?! Chciałeś w pojedynkę dokonać szarży? – spytałem go gniewnie.

– Wiem, że tam są – wydyszał. – Za tą bramą. Potrafię ich wyczuć!

– Przerobiłeś volvo w nacierający czołg z powodu przeczuć? Pamiętam, że kiedyś nazywałeś intuicję „jedną z form typowego dla kretynów bełkotu”.

– Ta sprawa jest zupełnie inna. Przecież nie pozwolili mi wejść. Jawny dowód, że coś ukrywają. Potrzebujesz lepszego?! – Uderzył pięścią w dłoń. – W jakiś sposób dostanę się do środka i będę tak długo szukał, aż znajdę dzieci. Jeśli trzeba będzie, rozwalę Ustronie w drzazgi!

– Zachowujesz się jak szaleniec. Co takiego odkryłeś w Swope'ach, że zmieniłeś się w kowboja?

Zakrył twarz rękoma.

Usiadłem obok niego i objąłem go ramieniem. Był mokry od potu.

– Wyjdźmy stąd – powiedziałem.

– Alex... – odezwał się chrapliwie, a ja poczułem jego kwaśny oddech. – Onkologia to specjalizacja dla ludzi, którzy potrafią przegrywać z honorem. Nie jest to równoznaczne z zaakceptowaniem niepowodzenia, ale należy znosić je z godnością, tak jak czynią to pacjenci. Wiedziałeś, że byłem najlepszy w swojej grupie na medycynie?

– Nie jestem zaskoczony.

– Mogłem wybrać sobie dowolną specjalizację i miejsce pracy. Wybrałem onkologię, gdzie codziennie musimy sobie radzić z niepowodzeniem.

Wstał, podszedł do kraty, przesunął rękoma w górę i w dół po chropowatych, porzewiałych prętach.

– Z niepowodzeniem – powtórzył. – Za to zwycięstwa są niezwykle radosne. To tak, jakby się dawało nowe życie. Czy coś może dać większą iluzję wszechmocy?

– Czeka cię jeszcze mnóstwo zwycięstw – zapewniłem go. – Zresztą sam o tym wiesz najlepiej. Pamiętasz mowę, którą wygłaszałeś przed potencjalnymi sponsorami? Pokaz ze zdjęciami tych wszystkich wyleczonych dzieci? Może trzeba poświęcić to jedno...

Obrócił się i spojrzał mi w oczy.

– Póki będę o niego walczył, ten chłopiec będzie dla mnie żył. Uwierzę w jego śmierć dopiero wówczas, gdy zobaczę jego zwłoki.

Próbowałem coś powiedzieć, ale mi przerwał.

– Nie zająłem się tą dziedziną medycyny z powodu jakichś rodzinnych nieszczęść... Moja ukochana kuzynka nie zmarła na białaczkę, dziadek nie skonał na raka. Zostałem onkologiem, ponieważ medycyna jest nauką i sztuką walki ze śmiercią! A rak to śmierć. Ten truizm wciągnął mnie od pierwszego razu, gdy jako student medycyny oglądałem potworne, prymitywne, złośliwe... tak, złośliwe komórki pod mikroskopem. Już wtedy wiedziałem, że będę się tym zajmował przez całe życie.

Krople potu zebrały się na jego wysokim śniadym czole. Oczy o wyglądzie ziarenek kawy błyszcząły i wędrowały po celi.

– Nie poddam się – oświadczył wyzywająco. – Widzisz, mój przyjacielu, tylko pokonanie śmierci pozwala choćby w przelocie dostrzec nieśmiertelność.

W żaden sposób nie mogłem do niego dotrzeć. Całkowicie zawładnęła nim donkiszoteria i wariacka wizja świata. Obsesyjnie i ostentacyjnie nie przyjmował do wiadomości wielce

prawdopodobnego scenariusza: że Woody i Nona nie żyją, a ich ciała zakopano w jakiejś kupie gnoju pod miastem.

– Zostaw tę sprawę policji, Raoul. Mój przyjaciel detektyw obiecał przyjechać jak najszybciej. Wszystko sprawdzimy.

– Policja – warknął. – Po gliniarzach nie można spodziewać się niczego dobrego. Sami biurokraci i karierowicze. Miernie umysły z klapkami na oczach. Podobni do tego głupiego kowboja. A dlaczego nie ma ich tutaj w tej chwili... Przecież dla tego małego chłopca każdy dzień jest decydujący. Ale policjanci w ogóle się tym nie przejmują! Dla nich nasz Woody Swope jest tylko kolejną ofiarą w statystyce. Nie dla mnie jednak!

Najwyraźniej zapomniał, gdzie się znajduje. Nie zdawał sobie sprawy z własnego okropnego wyglądu.

Zawsze sądziłem, że nadwrażliwość przeważnie bywa zabójcza, a zbyt wielka intuicja zdecydowanie szkodliwa. Najlepiej radzą sobie w życiu (są na ten temat całe tomy rozpraw) osoby, które nie przejmują się rzeczywistością. Wzruszają ramionami i idą dalej.

Raoul wydawał mi się człowiekiem, który będzie szedł przed siebie tak długo, dopóki nie padnie.

Może był równie szalony jak Richard Moody, ale na szczęście natura obdarzyła go wspaniałym intelektem, dzięki czemu potrafił odpowiednio wykorzystać nadmiar energii. Dla dobra społecznego.

Cóż, zbyt wiele niepowodzeń spadło ostatnio na niego. Odrzucenie kuracji przez Swope'ów uznał za odrzucenie jego samego. Czuł się strasznie, a parę dni później spotkał go kolejny cios – rodzice uprowadzili jego małego pacjenta i do dotychczasowych negatywnych emocji doszło upokorzenie i utrata kontroli nad sytuacją. Niestety nie był to koniec jego nieszczęść – pojawiło się widmo śmierci, co stanowiło ostateczną zniewagę.

Te wszystkie wydarzenia razem wzięte doprowadziły go niemal do obłądzenia.

Nie mogłem go zostawić w takim stanie, lecz równocześnie nie miałem pojęcia, jak mu pomóc.

Zanim któryś z nas zdążył się odezwać, milczenie przerwał odgłos zbliżających się kroków, a po chwili do celi zajrzał Houten z kluczami w ręku.

– Jesteście gotowi, panowie?

– Nie udało mi się go przekonać, szeryfie – powiedziałem.

Ta wiadomość pogłębiła zmarszczki smutku wokół jego oczu.

– Woli pan posiedzieć u nas, doktorze Melendez-Lynch?

– Tak, poczekam, aż znajdziecie mojego pacjenta.

– Pańskiego pacjenta nie ma na naszym terenie.

– Nie wierzę w to.

Szeryf zacisnął usta i z rezygnacją pokręcił głową.

– Niech pan już idzie, doktorze Delaware.



Wsunął klucz do zamka, przytrzymał ledwie uchyloną kratę, bacznie obserwując Raoula.

– Do widzenia, Alex – powiedział Raoul z miną męczennika.

Houten odezwał się do niego ostrym tonem:

– Drogi panie, jeśli dotąd sądził pan, że w więzieniu jest zabawnie, teraz zmieni pan zdanie.

Obiecuję. Tymczasem załatwię panu adwokata.

– Zdecydowanie odmawiam.

– Załatwię go panu tak czy owak, doktorze. Wszystko, co się potem panu przydarzy, będzie przynajmniej zgodne z prawem.

Odwrócił się na pięcie i ciężkim krokiem odszedł.

Kiedy opuszczałem areszt, po raz ostatni spojrzałem na siedzącego za kratkami Raoula. Czuję się jak zdrajca.

Szeryf zadzwonił do kogoś, jednak rozmowy nie słyszałem. Dziesięć minut później na progu pojawił się jakiś mężczyzna w samej koszuli i Houten poszedł się z nim przywitać.

– Dzięki, że przyszedłeś tak szybko, Ezra.

– Nie ma sprawy, szeryfie, zawsze do usług – odpowiedział przybysz cichym, spokojnym głosem.

Na oko miał pod pięćdziesiątkę, był średniego wzrostu, szczupły i nieco przygarbiony w sposób typowy dla naukowców. Modelowy przykład pedanta. Jego małą głowę pokrywały rzadkie, proste szpakowate włosy starannie zaczesane do tyłu. Delikatne uszy niemal nie odstawały od głowy. Rysy twarzy miał regularne, lecz trudno go było określić mianem przystojnego. Biała koszula z krótkimi rękawami prezentowała się nieskazitelnie, mimo panującego gorąca nie było na niej śladu zagnieceń. Spodnie koloru khaki wyglądały na świeżo odebrane z pralni. Gość nosił ośmiokątne okulary bez oprawek, a etui na nie tkwiło w kieszonce na piersi.

Pomyślałem, że chyba nigdy się nie poci. Wstałem. Omiótł mnie taksującym spojrzeniem, ale uczynił to niezwykle taktownie.

– Ezro – odezwał się Houten – oto doktor Delaware, psycholog z Los Angeles. Przejechał taki szmat drogi, żeby zabrać od nas tego typka, o którym ci opowiadałem. Doktorze, to jest Ezra Maimon, najlepszy prawnik w mieście.

Ezra roześmiał się cicho.

– Hm... Szeryf posłużył się swego rodzaju hiperbolą – oświadczył i wyciągnął szczupłą twardą dłoń. – Jestem jedynym prawnikiem w La Viście i zazwyczaj mam pod swoją pieczę wyłącznie drzewa.

– Ezra posiada jedyny w swoim rodzaju sad owocowy tuż za miastem – wyjaśnił Houten. – Twierdzi, że przeszedł już na emeryturę, ale od czasu do czasu udaje nam się go namówić, by zajął się prawem.

– Sprawy spadkowe i ustalanie prawa własności to nic trudnego – zauważył Maimon. – Jeśli jednak trzeba będzie bronić przestępcy, musicie zatrudnić fachowca.

– Jasne. – Szeryf podkreślił wąsa. – Ale to nie jest sprawa kryminalna. Przynajmniej do tej pory. Po prostu mamy mały problem... Mówiłem ci przez telefon.

Maimon skinął głową.

– Podaj mi kilka szczegółów – powiedział.

Słuchał w milczeniu i beznamyślnie. Jedynie raz czy dwa odwrócił się do mnie i uśmiechnął. Kiedy Houten skończył, prawnik zapatrzył się w sufit, jakby dokonywał w myślach jakichś obliczeń. A potem oznajmił:

– Chciałbym się teraz spotkać z moim klientem.

Spędził w celi pół godziny. Próbowałem zabić czas, czytając magazyn dla patrolujących autostrady policjantów, szybko jednak odkryłem, że piśmisko specjalizuje się w fotoreportażach z miejsc śmiertelnych wypadków drogowych.

Zdjęciom doszczętnie rozbitych wraków towarzyszyły szczegółowe opisy obrażeń ofiar. Okropność. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co atrakcyjnego mogły znaleźć w tych zdjęciach osoby będące bardzo często (z racji codziennych obowiązków zawodowych) naoczniymi świadkami takiej masakry. Może magazyn uczył dystansu do rzeczywistości. Odłożyłem pismo i obserwowałem W. Bragдона, który czytał o uprawie roślin, jednocześnie dłubiąc przy paznokciach. W końcu rozległ się brzęczyk.

– Idź go wyciągnąć, Walt – polecił Houten.

Bragdon mruknął „tak jest, szefie”, wyszedł i wrócił z Maimonem.

– Sądzę – stwierdził prawnik – że chyba udało nam się osiągnąć kompromis.

– Streść mi waszą rozmowę, Ezro.

W trójkę usiedliśmy wokół jednego z biurek.

– Doktor Melendez-Lynch jest bardzo inteligentnym człowiekiem – zaczął Maimon. – Może trochę za bardzo upartym, lecz... według mojej opinii, bynajmniej nie złośliwym.

– Mnie się ten facet wydaje równie upierdliwy, jak gwóźdź w bucie.

– Jest tylko nieco nadgorliwy w spełnianiu swoich lekarskich obowiązków. Jednakże, jak wszyscy wiemy, Woody Swope jest śmiertelnie chory. Doktor Melendez-Lynch uważa, że jego kuracja może wyleczyć dziecko, mało tego... sądzi, że próbuje ocalić chłopcu życie.

Maimon mówił cicho stanowczym tonem. Mógł wziąć stronę Houtena, ale wolał zachować się jak prawdziwy adwokat. Naprawdę byłem pod wrażeniem.

Twarz szeryfa pociemniała z gniewu.

– Tego dziecka tutaj nie ma. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

– Mój klient nie uwierzy, dopóki się osobiście nie przekona.

– Nie ma mowy, aby się zbliżył do Ustronia!

– Zgadzam się z tobą. Lepiej nie kusić losu. Na szczęście doktor Melendez-Lynch zgodził się, żeby przeszukania siedziby Dotknięcia dokonał doktor Delaware. Obiecał zapłacić grzywnę i wyjechać bez dalszych awantur.

Rozwiązanie wydawało się niezwykle proste, a jednak ani szeryfowi, ani mnie nie przyszło ono od głowy. Nic dziwnego. Houtenowi wcale nie zależało na poprawie sytuacji, po prostu chciał się pozbyć niewygodnego aresztanta. Ja zaś w wyniku takiego zachowania się Raoula przestałem myśleć logicznie.

Szeryf przemyślał słowa adwokata.

– Nie mogę zmusić Matthiasa do otwarcia bram jego posesji.

– Oczywiście, że nie. Ma prawo odmówić. A zatem... Jeśli się nie zgodzi na naszą wizytę, zastanowimy się ponownie nad tą sprawą.

Cóż za logika. Byłem pełen podziwu dla tego człowieka. Houten zwrócił się do mnie.

- No więc jak? Zrobi pan to?
- Jasne. Zrobię wszystko, co może pomóc w tej sytuacji.

Szeryf wszedł do swojego biura i wrócił z informacją, że Matthias wyraził zgodę na naszą wizytę. Maimon odbył kolejną rozmowę z Raoulem, a kiedy dał znać, że skończył, Bragdon go wypuścił. Na pożegnanie prawnik powiedział szeryfowi, żeby zadzwonił do niego, jeśli jeszcze będzie potrzebny. Houten nałożył kapelusz i roztargnionym gestem dotknął kabury kolta. Zeszliśmy po schodach i opuściliśmy budynek, udając się w kierunku białego chevroleta el camino z gwiazdą szeryfa na drzwiach. Houten zapalił silnik, który ryknął niczym wyścigówka. Musiał być podrasowany. Przed ratuszem szeryf skręcił w prawo.

Pół kilometra za miastem droga się rozgałęziała. Houten znowu skierował się na prawo. Jechał szybko i gładko, dodając gazu na zakrętach. Droga stopniowo się zewężała, widoczność była coraz gorsza z powodu rzucających cień przydrożnych drzew iglastych. Opony wznosiły tumany kurzu. Nagle na naszej ścieżce pojawił się wielki królik. Zamarł na sekundę, a potem w ostatniej chwili zdołał umknąć na bok.

Szeryf, nie zwalniając, wyciągnął chesterfielda i go zapalił. Przejechał jeszcze trzy kilometry, zaciągając się dymem i oceniając okolicę byстрыm policyjnym spojrzeniem. Na szczycie wzgórza nagle skręcił, przejechał trzydzieści metrów i zatrzymał się przed pomalowaną na czarno łukowatą żelazną bramą.

Wjazd do Ustronia nie był oznakowany. Po obu stronach bramy rosły cierniste kopce kaktusów. Pnącze jaskraworóżowej bugenwilli oplatało jeden słupek z niewypalanej cegły, natomiast wokół drugiego rósł wysoki krzew różany usiany szkarłatnym kwieciami. Houten wyłączył silnik i zapadła grobowa cisza. Wszędzie wokół rozciągał się ciemny las.

Szeryf zgasił papierosa, wysiadł z pikapa i podszedł do wejścia. Na środku żelaznej bramy wisiała wielka kłódka, a kiedy Houten pchnął jedno ze skrzydeł, kłódka zakołysała się i otworzyła.

- Lubią ciszę – wyjaśnił. – Do klasztoru pójdziemy na piechotę.

Po bokach ścieżki znajdowały się gładkie brązowe kamienie i skrupulatnie przycięte krzewy. Ścieżka pięła się dość ostro. Szliśmy różnym krokiem, tempo narzucał mój towarzysz. Raczej maszerował, niż szedł. W wojskowym stylu machał rękoma. Zaniepokojone kalifornijskie sójki wydawały skrzekliwe głosy. Wielkie włochate trzmielce bzycały nad płatkami polnych kwiatów. Powietrze pachniało świeżą trawą.

Słońce bezlitośnie prażyło na ścieżce. Gardło miałem wyschnięte i pot spływał mi po plecach. Na szeryfie upał nie robił żadnego wrażenia. Po dziesięciominutowym spacerze znaleźliśmy się na końcu stromej drogi.

- Jesteśmy – oświadczył Houten.

Zatrzymał się, wyciągnął kolejnego papierosa i zapalił go pod osłoną złożonych w miseczkę dłoni. Otarłem czoło i spojrzałem na leżącą poniżej dolinę.

Był to wspaniały widok.

Ustronie – siedziba sekty – ciągle wyglądało jak klasztor dzięki kościołowi i wysokim murom. Za murami znajdowało się wiele mniejszych budynków, które tworzyły labirynt dziedzińców. Na szczycie wieży kościelnej zauważyłem wielki drewniany krucyfiks z miedzianym ornamentem; na tle lazurowego nieba płonął niczym żagiew. Przed frontowymi witrażami znajdowały się drewniane balkony. Dachy i szczyty murów pokrywała czerwona dachówka. Tynk murów miał odcień świeżej wanilii, który w miejscach oświetlonych przez słońce przybierał barwę gołębiej bieli. Ktoś bardzo się zatroszczył o konserwację wymyślnej sztukaterii na ścianach.

Bystry strumyk okrążał ogrodzony teren niczym fosa. Ponad nim wznosił się łukowaty wiadukt, który przechodził w ścieżkę z czerwonej cegły. Przy ścieżce stała kamienna altanka opleciona winoroślą. Ciężkie rubinowe kiście winogron pięknie połyskiwały wśród zielonych liści.

Przed budynkami rozciągał się trawnik ocieniony przez stare dęby karłowate. Powykrzywiane drzewa wyglądały jak czarownice tańczące wokół ogromnej kamiennej urny z fontanną pośrodku. Dalej ciągnęły się pola uprawne. Rozpoznałem kukurydzę, ogórki, gaje cytrusowe i oliwne, pastwiska i winnice, lecz gatunków roślin uprawnych z pewnością było znacznie więcej. Na polach pracowała grupa biało ubranych ludzi. W oddali – niczym osy – brzęczały maszyny rolnicze.

– Sielski obrazek – powiedział Houten, podejmując wędrówkę.

– Piękny. Zupełnie z innej epoki.

Pokiwał głową.

– W dzieciństwie często wspinałem się na okoliczne wzgórza i podglądałem mnichów. Niezależnie od pogody nosili ciężkie brązowe habity. Nigdy nie rozmawiali z miastowymi i w ogóle nie chcieli mieć z nimi do czynienia. Bramy klasztoru zawsze pozostawały zamknięte.

– Pewnie dobrze się tu żyło.

– Niby dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Rozległe tereny, swoboda.

– Swoboda? – Na jego twarzy pojawił się pełen goryczy uśmiech. – Uprawa roli to niewolnicza praca.

Zacisnął szczęki i z nagłą złością kopnął przydrożny kamień. Uznałem, że chyba trafiłem w czuły punkt, więc szybko zmieniłem temat.

– Kiedy mnisi się wyprowadzili?

Zanim odpowiedział, zaciągnął się papierosem.

– Siedem lat temu. Ziemia zmarniała, zamieniła się w ugór. Rosły tu tylko jeżyny i dzikie krzewy. Kilka korporacji rozważało zakupienie tego terenu, na przykład z przeznaczeniem na uzdrowisko dla kierownictwa, jednak wszystkie wycofały się, tłumacząc, że budynki nie są

przystosowane do takiego celu: pozbawione ogrzewania, mroczne pokoje zawsze przypominałyby cele, a całość wyglądałaby za bardzo kościelnie. Uznali, że koszt renowacji byłby zbyt wysoki.

– Miejsce to okazało się jednak idealne dla sekty Dotknięcie.

Houten wzruszył ramionami.

– Każdy powinien sobie znaleźć miejsce na tym świecie. Frontowe drzwi – lite drewno z szerokimi okuciami – były zwieńczone u góry łukiem. Weszliśmy do korytarza o białych ścianach i podłodze wyłożonej kostką brukową. Na środku znajdowały się ażurowe schody prowadzące na trzy kondygnacje pod szklaną kopułą. Witrażowe okna rzucały na podłogę kolorowe plamy. Poczulem ostry aromat kadzidła. Powietrze było zimne, niemal lodowate.

Kobieta po sześćdziesiątce siedziała przy drewnianym stoliku przed wielkimi drzwiami bliźniaczo podobnymi do frontowych. Ponad nimi znajdował się drewniany napis: „Sanktuarium”. Włosy kobiety były związane w koński ogon skórzanym paskiem. Miała na sobie workową suknię z surowej białej bawełny i sandały. Jej twarz była sympatyczna, choć nieco wyblakła, pozbawiona makijażu i jakichkolwiek ozdób. Mimo zaawansowanego wieku kobieta skojarzyła mi się z dobrze wychowaną uczennicą. Dłonie położyła na kolanach i uśmiechała się dobrotliwie.

– Dzień dobry, szeryfie.

– Witaj, Mario. Chciałbym się zobaczyć z Matthiasem.

Wstała z wdziękiem. Suknia sięgała jej za kolana.

– Czeka na panów.

Poprowadziła nas długim korytarzem ozdobionym jedynie ustawionymi co trzy metry palmami w donicach. Gdy dotarła do drzwi na końcu korytarza, otworzyła je i przytrzymała, dopóki nie weszliśmy.

W pomieszczeniu panował półmrok. Jego trzy ściany zajmowały półki z książkami. Podłogę wyłożono różowymi deskami. Zapach kadzidła był tu jeszcze silniejszy. Spodziewałem się biurka, ale w pokoju znajdowały się tylko trzy drewniane krzesła, tak ustawione, że tworzyły trójkąt równoramienny. U szczytu trójkąta siedział mężczyzna.

Był wysoki, chudy, z ostrymi rysami. Pod tuniką miał spodnie z tej samej surowej bawełny co sukienka Marii. Jego stopy były bose, a para sandałów stała na podłodze przy krześle. Przycięte krótko włosy mężczyzny miały odcień bursztynu, charakterystyczny dla siwiejących osób, które w dzieciństwie były jasnymi blondynami. Broda – o ton ciemniejsza, czyli jeszcze bardziej bursztynowa – sięgała mu aż do piersi, a on od czasu do czasu gładził ją niczym ulubionego zwierzaka.

Jego czoło było wysokie i sklepienie, tuż pod linią włosów dostrzegłem bliznę długości kciuka. W głębokich oczodołach tonęły podobne do moich szarobłękitne oczy. Miałem jednak nadzieję, że w moich jest więcej ciepła.

– Proszę, siadajcie – odezwał się guru silnym metalicznym głosem.

– Matthiasie, proszę poznać doktora Delaware. Doktorze, to jest Szlachetny Matthias.

Co za pretensjonalny tytuł! Zerknąłem na szeryfa, szukając ironicznego uśmiešku, ale jego twarz pozostała śmiertelnie poważna.

Przywódca sekty ciągle gładził brodę. Siedział nieruchomo w pozie odpowiedniej do medytacji. Najwyraźniej milczenie go nie krępowało.

– Dzięki za współpracę – ciągnął Houten. – Mam nadzieję, że szybko zdołamy wyjaśnić całe to zamieszanie i uwolnimy was od naszej obecności.

Guru pokiwał brodą.

– Zrobimy wszystko, co może pomóc.

– Doktor Delaware chciałby zadać ci kilka pytań, a potem przejdziemy się wokół budynków. Matthias nie zareagował. Szeryf odwrócił się do mnie.

– Proszę mówić, to pan ma sprawę.

– Panie Matthias... – zacząłem.

– Wystarczy Matthiasie. Staramy się unikać tytułów.

– Matthiasie, nie jestem tutaj, aby niepokoić ciebie ani twoich...

Przerwał mi machnięciem ręki.

– Jestem w pełni świadom celu twojej wizyty. Pytaj, o co chcesz.

– Dziękuję. Doktor Melendez-Lynch sądzi, że twoja sekta ma coś wspólnego z porwaniem Woody'ego Swope'a ze szpitala i z późniejszym zniknięciem całej rodziny.

– Cywilizacyjne szaleństwo – mruknął guru. – Szaleństwo. – Powtórzył to słowo, jakby sprawdzał, czy będzie się nadawało na mantrę.

– Chętnie wysłucham twojej hipotezy na ten temat.

Matthias zrobił głęboki wdech, zamknął oczy, po czym otworzył je i przemówił.

– Nie mogę ci pomóc. Swope'owie byli bardzo skrytymi ludźmi. Podobnie zresztą jak my. Ledwie ich znaleźliśmy. Owszem, dochodziło czasem do krótkich spotkań... Na przykład, gdy mijaliśmy się na drodze, wymienialiśmy grzecznościowe uśmiechy. Kilka razy kupiliśmy od nich nasiona. Pierwszego roku latem ich dziewczyna pracowała u nas jako pomywaczka.

– Sezonowa praca?

– Właśnie. Na początku nie byliśmy jeszcze samowystarczalni i zatrudnialiśmy do pomocy kilkanaście młodych osób spośród lokalnej społeczności. Dziewczyna, o ile sobie dobrze przypominam, usługiwała w kuchni. Sprzątała, zmywała naczynia, szorowała garnki, przygotowywała piec do użytku.

– Jakim była pracownikiem?

Uśmiech pojawił się na jego twarzy z brodą przypominającą watę cukrową.

– Jesteśmy raczej ascetami, jak na współczesne standardy. Większości młodych ludzi nie pociągałoby takie życie.

– Nona była... to znaczy jest – wtrącił szeryf – dziewczyną bardzo żywą.

Podtekst tych słów był dla mnie jasny – zdaniem Houtena Nona sprawiała problemy.

Przypomniałem sobie opowieść Carmichaela o wieczorze kawalerskim. Tak spontaniczna dziewczyna mogła nieźle namieszać w środowisku, które preferowało dyscyplinę i purytyzm, choćby tylko pozorny. Podejrzywałem, że prowokowała mężczyzn, choć oczywiście żaden z nich otwarcie tego nie przyzna.

– Co jeszcze mógłby pan mi o nich powiedzieć? Każdy drobiazg może pomóc.

Zmierzył mnie lodowatym spojrzeniem, tak intensywnym, że odwróciłem oczy.

– Obawiam się, że nic.

Houten poruszył się niespokojnie na krześle. Zapewne miał wielką ochotę zapalić. Jego ręka powędrowała do paczki papierosów, lecz się zatrzymała.

– Chcę zaczerpnąć świeżego powietrza – oświadczył nagle i wyszedł.

Matthias nie zareagował, jakby nie zauważył jego zniknięcia.

– Zatem... nie znałeś dobrze tej rodziny – podjąłem. – A jednak dwoje spośród twoich ludzi odwiedziło rodziców chłopca w szpitalu. Nie podważamy tego, co powiedziałeś, lecz prosiłbym o szczegółowe wyjaśnienie tej wizyty.

Westchnął.

– Mieliśmy do załatwienia pewną sprawę w Los Angeles. Do wykonania zadania wyznaczyłem Barona i Delilah. Uznaliśmy, że dobrze by było złożyć Swope'om wizytę, więc zawieźli im świeże owoce z naszego sadu.

– Ach tak – uśmiechnąłem się prowokacyjnie – zapewne do celów leczniczych.

– Nie. Do zjedzenia dla przyjemności.

– Zatem była to wizyta towarzyska.

– W pewnym sensie.

– To znaczy?

– Nie jesteśmy towarzyscy. Nie tracimy czasu na próżne pogawędki. Szpitalne odwiedziny to akt dobrej woli ze strony moich ludzi, nie zaś część jakiegoś nikczemnego spisku czy potajemnego planu. Nikt nie próbował się wtrącać w sposób leczenia dziecka. Poprosiłem Barona i Delilah, aby przyłączyli się do nas na chwilę, toteż będziesz miał okazję uzyskać informacje bezpośrednio od nich.

– Doceniam to.

Na samym środku blizny na jego czole pulsowała żyła. Patrzył na mnie z roztargnioną miną, która coś mi przypomniała. Owo skojarzenie nasunęło mi kolejne pytanie.

– Woody'ego leczył doktor August Valcroix. Powiedział, że był u was. Pamiętasz?

Guru zakręcił na palcu koniuszek brody.

– Kilka razy do roku organizujemy seminaria na temat naturalnego ogrodnictwa i medytacji. Nie pragniemy nikogo nawracać. Chcemy raczej oświecać. Być może twój znajomy uczestniczył w którymś z nich. Nie pamiętam go.

Podąłem mu rysopis Valcroix, co jednak w niczym mu nie pomogło.

– W takim razie to wszystko. Doceniam twoją pomoc.



Siedział bez ruchu. W skąpym świetle pokoju jego źrenice mocno się rozszerzyły. Widać było jedynie cienki pasek bladej tęczy. Prawdziwie hipnotyzujące oczy – podstawowy warunek charyzmy.

– Jeśli masz jeszcze jakieś pytania, zadaj je.

– Nie mam już pytań dotyczących Swope’ów, ale chciałbym usłyszeć nieco więcej szczegółów dotyczących waszej filozofii.

Skinął głową.

– Jesteśmy uchodźcami z poprzedniego życia. Wybraliśmy nowy żywot, który kładzie nacisk na duchowe oczyszczenie i pracowitość. Unikamy zatrutego środowiska i staramy się osiągnąć samowystarczalność. Wierzimy, że przez korzystną zmianę samych siebie pomnażamy pozytywną energię we wszechświecie.

Typowe bzdury. Niczym credo New Age.

– Nie jesteśmy zabójcami – dodał.

Zanim zdołałem coś powiedzieć, do pokoju weszła zapowiedziana para.

Matthias wstał i wyszedł, nawet nie kiwnąwszy głową, ani swoim nowo przybyłym wyznawcom, ani mnie. Mężczyzna i kobieta zajęli dwa puste miejsca. Wszystko odbyło się automatycznie – jakby ci ludzie byli częściami zamiennymi w jakiejś gładko funkcjonującej maszynie.

Siedzieli z rękoma na kolanach – niczym dwoje przykładowych uczniów – z nieobecnym uśmiechem osób „odrodzonych” lub po lobotomii.

Ich widok nie poprawił mi nastroju, szczególnie że rozpoznałem oboje.

Średniego wzrostu, szczupły mężczyzna, który nazywał siebie Baronem, miał – podobnie jak Matthias – krótko przycięte włosy i zaniedbaną brodę, ale w jego przypadku efekt był zdecydowanie mniej korzystny. Jego włosy były jasno-kasztanowe i rzadkie, pod kędziorkami baczków prześwitywała skóra, policzki natomiast pokrywał miękki puch, toteż twarz na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie brudnej.

Na studiach znałem go jako Barry’ego Graffiusa. Choć starszy ode mnie (teraz miał pewnie nieco po czterdzieście), był jedynie o rok wyżej; późno zaczął. Zdecydował się zostać: psychologiem dopiero wówczas, gdy sprawdził już niemal wszystkie inne możliwości.

Pochodził z bardzo majątnej rodziny, doskonale znanej w przemysłowym świecie naszego miasta, i należał do tego typu bogatych dzieciaków, które nie potrafią znaleźć sensu własnej egzystencji i pogrążają się w beładnej samotności; brakuje im ambicji i bodźców do zmiany stylu życia, ponieważ nigdy im niczego nie brakowało. Ludzie twierdzili, że Barry’ego zniszczyły pieniądze, lecz być może mówili tak z zawiści. Faktem jest, że Graffius był najbardziej niełubianą osobą na wydziale.

Zawsze starałem się być wyrozumiały dla innych, jednak Barrym jednoznacznie pogardzałem. Był krzykliwym, kłótliwym natrętem. Starał się na każdym seminarium zrobić wrażenie na wykładowcach, toteż zarzucał wszystkich niemających nic wspólnego z tematem

cytatami i statystykami. Obrażał innych studentów, tyranizował potulnych, grał adwokata diabła z nieodmiennie złośliwą satysfakcją.

I chwalił się swoim bogactwem.

Większość z nas musiała się bardzo starać, aby związać koniec z końcem. Stypendia nie wystarczały na studenckie życie, więc dorabialiśmy, gdzie się dało. Graffius zaś ostentacyjnie zjawiał się na zajęciach w ręcznie szytych strojach ze skóry, skarżył się na rachunki za naprawę swojego luksusowego auta i lamentował z powodu wysokich podatków. Bez przerwy rzucał też nazwiskami znanych ludzi i opowiadał o wystawnych hollywoodzkich przyjęciach, mając nam oczy mirażem czarownego świata, który pozostawał poza naszym zasięgiem.

Słyszałem, że po ukończeniu studiów zaczął praktykować na Bedford Drive – reprezentacyjnej ulicy bogaczy z Beverly Hills. Podobno zamierzał zbić dzięki koneksjom majątek i zostać „terapeutą gwiazd”.

Nietrudno było zgadnąć, gdzie spotkał Normana Matthews.

Graffius również mnie rozpoznał. Zorientowałem się natychmiast, bo gwałtownie zamrugał wodnistymi brązowymi oczyma. Kiedy tak na siebie patrzyliśmy, zauważyłem u niego narastający strach. Strach przed zdemaskowaniem.

Jego poprzednia tożsamość nie była oczywiście sekretem. Teraz jednak wyraźnie nie chciał mieć do czynienia z ludźmi z przeszłości. Osobom, które uważają, że rozpoczęły nowe życie, przeszłość kojarzy się często z ekshumacją własnych gnijących zwłok.

Nie nawiązałem do czasów studenckich, byłem jednak ciekaw, czy Graffius wspomni Matthiasowi o znajomości ze mną.

Jego towarzyszka była starsza, niezwykle ładna mimo nietwarzowej fryzury – końskiego ogona – i braku makijażu, czyli najwyraźniej typowego image'u dla kobiet z Dotknięcia. Delilah miała oblicze madonny, cerę w kolorze kości słoniowej, kruczoczarne włosy przetkane siwizną i drapieżne cygańskie oczy. Beverly Lucas nazwała ją „gorącym towarem sprzed trzech dekad”, lecz uznałem to określenie za niesprawiedliwe, po kobiecemu zawistne. Może gdyby знаła prawdziwy wiek tej kobiety, potraktowałaby ją mniej krytycznie.

Delilah rzeczywiście wyglądała na dobrze utrzymaną pięćdziesięciolatkę, wiedziałem jednak, że ma przynajmniej sześćdziesiąt pięć lat.

Nie nakręciła żadnego filmu od 1951 roku, czyli od czasu moich narodzin.

Desiree Layne, królowa niskobudżetowego czarnego kina. Będąc w college'u, obejrzałem wiele jej filmów, szczególnie pamiętam te z tygodnia egzaminów końcowych: *Upiorną pannę młodą*, *Cień na moim progu*, *Dzikie miejsce*, *Tajemniczego wielbiciela*.

W poprzedniej „epoce”, to znaczy przed moją przedwczesną emeryturą, byłem zapracowanym samotnym facetem, który rzadko dysponował wolnym czasem. Jedną z nielicznych przyjemności, na jakie sobie wówczas pozwalałem, było oglądanie w niedzielne popołudnie, wylegując się w łóżku, jakiegoś filmu Desiree Layne i popijanie whisky Chivas.

Główny aktor się nie liczył, ważne były zbliżenia tych pięknych, złowrogich oczu i

przypominających halki zwiewnych sukien. Jej głos ochrypli z namiętności...

Teraz, gdy siedziała nieruchomo niczym pomnik, bynajmniej nie kojarzyła się z namiętnością. Ubrana w biel, nieobecnie uśmiechnięta... prezentowała się tak cholernie niewinnie!

Ta siedziba sekty zaczynała mnie przerażać. Czułem się tu jak w gabinecie figur woskowych...

– Szlachetny Matthias powiedział nam, że masz do nas kilka pytań – zagał Baron.

– Tak. Chciałbym usłyszeć szczegóły dotyczące waszej wizyty u Swope'ów. Jeśli poznamy wszystkie fakty, może łatwiej nam będzie znaleźć dzieci.

Zgodnie pokiwali głowami.

Milczałem, biorąc ich na przetrzymanie. W końcu popatrzyli po sobie i pierwsza odezwała się Delilah:

– Chcieliśmy jedynie pocieszyć tych biednych ludzi. Szlachetny Matthias polecił nam dostarczyć im owoce: pomarańcze, grejpfruty, brzoskwinie, śliwki... Najlepsze, jakie zdołaliśmy znaleźć. Owinęliśmy je w kolorowy papier i włożyliśmy do koszyka.

Przestała mówić i uśmiechnęła się, jakby jej opowieść wszystko wyjaśniła.

– Czy Swope'owie dobrze was przyjęli?

Jej oczy się rozszerzyły.

– Och, tak. Pani Swope zjadła śliwkę odmiany Santa Rosa... Od razu, na miejscu. Powiedziała, że jest pyszna.

Podczas szczebiotu Delilah rysy Barona stwardniały.

– Chcesz wiedzieć – wtrącił, gdy na moment umilkła – czy próbowaliśmy odwieść ich od leczenia chłopca, prawda?

Siedział nieruchomo, lecz w jego głosie wyczuwało się agresję.

– Matthias zapewnił mnie, że nie. Czy temat kuracji szpitalnej w ogóle się pojawił?

– Tak – odparł. – Matka skarżyła się na plastikowe pomieszczenie, mówiła, że czuje się odcięta od syna, że jej rodzina się rozpada...

– Wyjaśniła, co ma na myśli?

– Nie. Uznałem, że chodziło jej o fizyczną rozłąkę... Że cierpiała, ponieważ personel nie pozwalał jej dotknąć syna bez rękawiczek. A w pomieszczeniu wraz z dzieckiem mogła przebywać tylko jedna osoba.

Delilah skinęła głową na potwierdzenie.

– To takie sterylne, lodowate miejsce – dodała. – Zarówno w sensie fizycznym, jak i duchowym. – Dla podkreślenia swoich słów lekko wzruszyła ramieniem. Tak, tak, kiedyś przecież była aktorką...

– Swope'owie czuli się jak przedmioty... Lekarze traktowali ich niczym powietrze – dorzucił Baron. – Szczególnie ten Kubańczyk.

– Biedny człowiek – zauważyła Delilah. – Widziałam go, jak siedł tamtego ranka, i nie

mogłam się powstrzymać przed współczuciem dla niego. Mężczyzna z taką nadwagą, czerwony jak burak... Chyba ma wysokie ciśnienie krwi.

– Czy Swope’owie skarżyli się na Raoula Melendeza-Lyncha?

Baron zacisnął usta.

– Mówili tylko, że odnosi się do nich oschle i zbywa ich półsłówkami – odrzekł.

– Czy wspomnieli o doktorze Valcroix?

Aktorka pokręciła przecząco głową.

– Nie rozmawialiśmy zbyt wiele – wtrącił Baron. – Nasza wizyta była bardzo krótka.

– Nie mogłam się doczekać, kiedy stamtąd wyjdę – przypomniała sobie Delilah. – Wszystko tam było takie... sztuczne.

– Zostawiliśmy owoce i pojechaliśmy z powrotem do domu. – Tym stanowczym stwierdzeniem Graffius zakończył naszą rozmowę.

– To bardzo przykra sprawa – westchnęła Delilah.

Wychodząc, dostrzegłem grupkę członków sekty. Siedzieli na trawie w pozycji joginów – zamknięte oczy, dłonie przyciśnięte do piersi. Ich twarze połyskiwały w słońcu. Houten pochylał się nad fontanną. Paląc, spoglądał od niechcienia w kierunku medytujących. Gdy mnie zobaczył, upuścił niedopałek, przydeptał go, podniósł i wrzucił do ceramicznego kosza na śmieci.

– Dowiedział się pan czegoś?

Skrzywiłem się z rezygnacją.

– Tak jak panu mówiłem – wskazał głową ku odzianym na biało postaciom, które teraz coś wspólnie śpiewały – są dziwni, lecz nieszkodliwi.

Przyjrzałem się im. Mimo jasnych strojów, sandałów i długich bród przypominali uczestników seminariów korporacyjnych, tych opartych na z gruntu fałszywych założeniach szkoleniach organizowanych przez kierownictwa firm w celu podniesienia wydajności pracy. Osoby spoglądające ku niebu były w średnim wieku, dobrze odżywione. Odniosłem wrażenie, że w przeszłości niemal wszyscy żyli komfortowo. Zapewne dysponowali władzą i majątkiem.

Normana Matthews'a opisano mi wcześniej jako człowieka bardzo bezwzględnego i ambitnego. Wulkan energii i przedsiębiorczości. Gdy usłyszałem, w jaki sposób stał się „świętym człowiekiem”, pomyślałem cynicznie, że może po prostu zamienił jeden szwindel na inny.

Sekta Dotknięcie stanowiła istną kopalnię złota: oferowała rzekomą prostotę i więź z naturą w malowniczej okolicy, zdejmowała ze swoich członków ciężar wszelkiej osobistej odpowiedzialności, identyfikowała zdrowie i żywotność z prawością. Istniało tylko małe „ale”: trzeba było zapłacić za te wspaniałości. Jak taki interes mógł nie wypalić?

Ale przecież jeśli nawet cała ta szopka z New Age była zwyczajnym oszustwem, nie należało natychmiast podejrzewać porwania i morderstwa.

– Rozejrzyjmy się zatem – przerwał moje rozmyślania szeryf – żeby raz na zawsze usunąć wszelkie podejrzenia.

Zezwolono nam na swobodne poruszanie się po całym terenie, mogliśmy nawet otwierać wszelkie drzwi. Sanktuarium było wysoko sklepione, majestatyczne, z rzędami okien w nawie głównej i biblijnymi malowidłami na suficie. Ławki usunięto, na podłodze zaś rozłożono maty. Na środku pomieszczenia znajdował się stół z sosnowych desek. Kobieta w bieli, która robiła porządki, przerwała na krótko swoje zajęcie i uśmiechnęła się do nas po matczynemu.

Sypialnie rzeczywiście wyglądały jak cele; nie były większe od tej, w której zamknięto Raoula. Niskie powały, grube ściany, ogrzewane niewielkimi piecykami na drewno, z jednym okienkiem wielkości książki. Każdy pokój umeblowano w identyczny sposób: stały w nich łóżka polowe i komody z szufladami. Sypialnia Matthiasa wyróżniała się jedynie małą biblioteczką. Na półkach znalazłem Biblię, Koran, dzieła Perla, Junga, *Anatomię choroby* Cousinsa, *Szok przyszłości* Tofflera, Bhagawadgītę oraz wiele tekstów na temat naturalnych upraw ogrodowych i

ekologii.

Obszedłem kuchnię, w której na wielkich staroświeckich piecach gotował się w kotłach rosół, a z ceglanych piekarników unosił się słodki zapach pieczonego chleba. Obok znajdowała się biblioteka wspólnoty, której księgozbiór dotyczył głównie zdrowia i rolnictwa, a także sala konferencyjna o chropowatych ceglanych ścianach. Wszędzie kręcili się ludzie w bieli – roześmiani, ruchliwi i pogodni.

Razem z Houtenem włączyliśmy się po polach, obserwując członków sekty pracujących przy winogronach. Jakiś czarnobrody olbrzym odłożył nożyce i podsunął nam świeżo uciętą kiść. Owoce były wilgotne w dotyku i niemal pękały pod dotknięciem języka. Pochwaliłem ich smak. Mężczyzna radośnie pokiwał głową i wrócił do pracy.

Było już dobrze po południu, ale słońce nadal paliło. Nie okryłem niczym głowy, która zaczęła mnie boleć. Dlatego też po pobieżnym skontrolowaniu wybiegu dla owiec oraz grządek warzywnych oświadczyłem szeryfowi, że mam dość.

Zawróciliśmy i ruszyliśmy ku wiaduktowi. Zastanowiłem się, co właściwie osiągnąłem, gdyż rewizja była – w najlepszym razie – symboliczna. Nie miałem najmniejszego powodu podejrzewać, że dzieci Swope'ów są tutaj. A nawet jeśli przebywały w Ustroniu, nie potrafiłbym ich znaleźć. Siedzibę Dotknięcia otaczały rozległe tereny należące do sekty, a sporą ich część stanowił las. Poza tym pod klasztorem mógł się znajdować labirynt podziemnych korytarzy, tajnych pomieszczeń i sekretnych przejść, które potrafiłby odkryć chyba jedynie archeolog.

Pomyślałem, że zmarnowałem dzień. Jeśli jednak pomogłem w ten sposób Raoulowi w konfrontacji z rzeczywistością, warto było. Chwilę później uprzytomniłem sobie, co oznacza owa rzeczywistość. Lepiej by było, gdybym mógł zanegować oczywiste fakty.

Houten kazał Bragdonowi przynieść rzeczy osobiste Raoula, które mieściły się w wielkiej szarej kopercie. W końcu zgodził się też przyjąć czek na sześćset osiemdziesiąt siedem dolarów. Gdy wypełniał formularz przyjęcia grzywny (w trzech egzemplarzach), niespokojnie chodziłem po pokoju. Chciałem już wyjechać z miasteczka.

Spojrzałem na mapę hrabstwa. Zlokalizowałem La Vistę i zauważyłem boczną drogę wiodącą na wschód, ku bezludnym terenom leśnym. Szlak omijał miasteczko. A zatem gdyby ktoś chciał uniknąć kontaktu z tutejszymi władzami, miałby całkiem łatwe zadanie. Wystarczyło wybrać tę drogę. Po krótkim wahaniu spytałem o nią szeryfa.

– Firma, która kupiła tę ziemię, zmusiła hrabstwo do zamknięcia owej drogi, ponieważ miały się tam znajdować bogate złoża ropy naftowej.

– Czy rzeczywiście okazały się takie bogate?

– Niestety, nie.

Zastępca szeryfa wyprowadził Raoula. Opowiedziałem mu o swojej wizycie w Ustroniu, oznajmiając, że nie dokonałem żadnych odkryć. Wysłuchał mnie z przygnębioną miną, pokiwał głową.

Szeryf, zadowolony z bierności aresztanta, podczas dopełniania ostatnich formalności potraktował go z uprzedzającą uprzejmością. Na koniec spytał Raoula, co zamierza zrobić ze swoim volvo. Raoul wzruszył ramionami i odparł, że zostawi auto w La Viście do naprawy, za którą oczywiście zapłaci.

Wyprowadziłem go z pomieszczenia, po czym zeszliśmy po schodach i opuściliśmy budynek.

Mój towarzysz przez całą drogę do domu milczał jak zakłęty. Nie zareagował nawet wówczas, gdy pucołowata strażniczka graniczna kazała nam zjechać na bok i poprosiła o okazanie dowodów tożsamości. A przecież zaledwie dwie godziny temu był taki agresywny, gotów do walki. Zastanawiałem się, czy pokonał go stres, czy też może cykliczne huśtawki nastrojów były dla niego typowe, a ja ich po prostu nigdy wcześniej nie zauważyłem.

Czułem głód, ale uznałem, że nie możemy wejść do restauracji, ponieważ Raoul był brudny, obdarty. Kupiłem dwa hamburgery i colę w budce w Santa Ana, po czym zjechałem na pobocze w pobliżu miejskiego parku. Jedliśmy, obserwując grupę nastolatków. Dzieci grały w softball, chcąc skończyć mecz przed zmrokiem. Kiedy obróciłem się i spojrzałem na Raoula, okazało się, że śpi. Bułka leżała na jego kolanach. Wrzuciłem ją do śmietnika i uruchomiłem silnik seville'a. Melendez-Lynch poruszył się, ale nie obudził. Kiedy dotarłem do autostrady, spokojnie chrapał.

Do Los Angeles przybyliśmy przed dwudziestą pierwszą, kiedy ruch do śródmieścia już słabnie. Skrzyłem na Los Feliz i wówczas Raoul otworzył oczy.

- Gdzie mieszkasz?
- Nie, nie, zabierz mnie z powrotem do szpitala.
- Nie powinieneś tam jechać w takim stanie.
- Muszę. Helen będzie czekała.
- Przerazisz ją swoim wyglądem. Pojedź najpierw do domu i odśwież się trochę.
- Mam rzeczy na zmianę w biurze. Proszę cię, Alex.

Rozłożyłem bezradnie ręce i pojechałem do Zachodniego Centrum Pediatrycznego. Postawiłem samochód na parkingu dla lekarzy, wysiadłem i odprowadziłem Raoula aż do drzwi oddziału.

- Dziękuję ci – powiedział wyraźnie zakłopotany, wpatrując się w swoje stopy.
- Uważaj na siebie.

W drodze powrotnej do samochodu spotkałem Beverly Lucas. Akurat wychodziła. Wyglądała na zmęczoną i przybitą. Wydało mi się, że zbyt duża torebka strasznie jej ciąży.

- Alex, dobrze, że cię widzę.
- O co chodzi?

Rozejrzała się, jakby chciała mieć pewność, że nikt jej nie podsłucha.

– Chodzi o Augiego. Zmienił moje życie w koszmar od chwili, gdy twój przyjaciel detektyw go przesłuchał. Nazywa mnie parszywą zdrajczynią. Próbował mnie nawet obrazić podczas

obchodu, na szczęście powstrzymał go lekarz dyżurny.

– Co za drań!

Pokręciła głową.

– Rozumiem go. Kiedyś byliśmy... blisko. A teraz ja go wydałam i mój donos wygląda na zemstę odrzuconej kochanki.

Objąłem ją.

– Dobrze postąpiłaś. Jestem przekonany, że gdybyś tylko potrafiła spojrzeć na całą sprawę z odpowiedniego dystansu, sama byś to zauważyła. Nie pozwól mu sobą pomiatać.

Wzdrygnęła się pod wpływem mojego zdecydowanego tonu.

– Wiem, że masz rację. Teoretycznie. Ale on się załamał i to mnie boli. Nic nie poradzę na swoje uczucia.

Zaczęła płakać. Ponieważ w naszą stronę szły trzy pielęgniarki, skierowałem ją do korytarza wyjściowego, a później do schodów prowadzących na poziom gabinetów lekarskich.

– Co miałas na myśli, mówiąc, że Valcroix się załamał?

– Dziwnie się zachowuje. Ćpa i pije bardziej niż zwykle. Robi się okropny. Boję się, że go przyłapią. Dziś rano wyciągnął mnie z oddziału i poprowadził do salki konferencyjnej. Zamknął drzwi na klucz... – Zakłopotana spuściła oczy. – Wyznał mi, że byłem jego najwspanialszą dziewczyną, i nawet próbował mnie przytulić i pocałować. Kiedy go powstrzymałam, wyglądał na zdruzgotanego. Potem zaczął wygłaszać jakieś teksty na temat Melendeza-Lyncha... Że Raoul niby wybrał go sobie na kozła ofiarnego i zamierza wykorzystać sprawę Swope'ów, by rozwiązać z nim umowę. Zaczął się śmiać... takim szaleńczym, przepelnionym gniewem rechotem. Powiedział, że ma asa w rękawie i że Melendez-Lynch nigdy się go nie pozbędzie.

– Wyjaśnił, o co mu chodzi?

– Spytałam go wprost, ale znowu się roześmiał i wyszedł. Alex, bardzo się martwię. Właśnie zamierzałam pojechać do hotelu, gdzie mieszka Augie, żeby upewnić się, że nic się mu nie stało.

Usiłowałem ją odwieść od tego pomysłu, ale była zdecydowana. Miała straszliwe poczucie winy. I dobre serce, które stale ktoś wykorzystywał.

Oczekiwała, że pójdę z nią do hotelu. Chociaż czułem się potwornie zmęczony, zgodziłem się jej towarzyszyć, na wypadek gdyby wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót. Gdyby Valcroix rzeczywiście miał w rękawie asa i zamierzał go wyciągnąć.

Hotel dla lekarzy stał po przeciwnej stronie bulwaru. Trzy piętra gołego betonu nad podziemnym parkingiem. Niektóre z okien ożywiały rośliny doniczkowe lub kwiaty. Stały na parapetach albo wisiwały w uplecionych ze sznurka koszykach.

Przy drzwiach dyżurował starszy czarny strażnik. Ponieważ w okolicy zdarzały się napady, lekarze zażyczyli sobie ochrony. Strażnik uważnie obejrzał nasze szpitalne legitymacje i dopiero wtedy nas wpuścił.

Apartament Valcroix znajdował się na drugim piętrze.

– Jedyne czerwone drzwi – wyjaśniła Beverly.



Korytarz i wszystkie pozostałe drzwi pomalowano na kolor beżowy. Drzwi Valcroix były szkarłatne i wyróżniały się na tle reszty niczym krwawa rana.

– Sam je tak ozdobił? – Przesunąłem ręką po powierzchni, która była chropowata, upstrzona pęcherzykami zaschniętej nierówno farby. Drzwi skojarzyły mi się z opowieściami o narkomanach, którzy przeżywają halucynacje w technikolorze, mając nadzwyczaj wyraziste, surrealistyczne fantazje seksualne.

– Tak.

Zastukała kilka razy. Kiedy nikt nie odpowiadał, zagryzła usta.

– Może wyszedł – zasugerowałem.

– Nie. Po dyżurze zawsze siedzi w domu. Co zresztą strasznie mnie wkurzało, gdy byliśmy razem. Nigdy nigdzie nie wychodziliśmy.

Taktownie nie przypominałem jej, że widziała go w restauracji z Noną Swope. Bez wątplenia Valcroix należał do ludzi, którzy nie potrafią nic z siebie dać, za to bez skrupułów czerpią z innych. Wyjątkowo łatwo zdobywał kolejne kobiety. Jako osoba niewiele oczekująca od życia, Beverly była dla niego doskonałym wyborem. Aż do czasu, kiedy się nią znudził.

– Martwię się, Alex. Jestem pewna, że Augie jest w środku. Może zażył coś i przedawkował.

Próbowałem ją uspokoić, ale na próżno, w końcu więc zeszedliśmy na parter i przekonaliśmy strażnika, żeby otworzył czerwone drzwi za pomocą zapasowego klucza.

– Nie chcę o niczym wiedzieć, doktorze – bąknął, lecz zgodził się otworzyć drzwi apartamentu.

Pomieszczenie przypominało chlew. Brudne ubrania walały się na zaplamionym dywanie. Na łóżku leżała skotłowana pościel. Nocny stolik zajmowała wielka popielniczka napełniona po brzegi petami po skrętach z marihuany. W pobliżu stała grawerowana maszynka do skręcania papierosów w kształcie kobiecych nóg. Beładnie rozrzucone książki medyczne i komiksy zaścierały połowę podłogi salonu, a w zatkanym kuchennym zlewie cuchnęła mętna breja, w której stała sterta brudnych naczyń. Pod sufitem krążyła mucha.

W mieszkaniu nie było nikogo.

Beverly kręciła się po pokoju i w pewnej chwili – zupełnie nieświadomie – zaczęła sprzątać. Strażnik popatrzył na nią pytająco.

– Chodź – warknąłem do niej z gwałtownością, która nawet mnie samego zaskoczyła. – Nie ma go tutaj. Wyjdźmy.

Beverly przykryła łóżko, po raz ostatni obrzuciła pomieszczenie badawczym spojrzeniem i wyszła.

Przed hotelem spytała, czy nie powinniśmy wezwać policji.

– Z jakiego powodu? – zapytałem ostro. – Ponieważ dorosły mężczyzna opuścił swój hotelowy apartament? Wyśmialiby nas. Całkiem słusznie zresztą.

Miała ochotę dalej o tym mówić, lecz jej nie pozwoliłem. Byłem zmęczony, bolała mnie głowa i stawy. Pewnie się przeziębłem. Poza tym limit mojego altruizmu został już znacznie

przekroczoney.

Przeszliśmy przez ulicę w milczeniu i się pożegnaliśmy.

Gdy wreszcie dotarłem do domu, czułem się naprawdę parszywie – rozgorączkowany, oszołomiony, cały obolały. Czekala mnie miła niespodzianka: list ekspresowy od Robin potwierdzający jej wyjazd z Tokio za tydzień. Jeden z japońskich dyrektorów miał domek na Kauai i zaproponował, by z niego skorzystała. Robin miała nadzieję, że uda mi się przylecieć przed nią i spotkam ją na lotnisku. Dwa tygodnie urlopu, zabawy i słońca na wyspie. Zadzwońiłem do Western Union i podyktowałem odpowiedź – jedno słowo: „Tak”.

Po gorącej kąpieli wcale nie poczułem się lepiej. Nie pomógł ani zimny drink, ani autohipnoza. Zwlokłem się po schodach, by nakarmić *koi*, ale nie miałem siły obserwować ich dzisiaj. Wróciwszy do domu, padłem na łóżko z gazetą i resztą poczty. Włączyłem kasetę Leo Kottkego. Niestety czułem się tak źle, że nie potrafiłem się skoncentrować na czytaniu i nawet szczególnie nie walczyłem z ogarniającą mnie sennością.

Gdy się rano obudziłem, czułem się jeszcze gorzej. Wziąłem aspirynę, wypilem herbatę cytrynową, bardzo żałując, że nie ma ze mną Robin, która by się mną odpowiednio zajęła.

Włączyłem niezbyt głośno telewizor i zapadłem w drzemkę. Przez cały dzień na przemian budziłem się i zasypiałem. Pod wieczór poczułem się na tyle dobrze, że zwlokłem się z łóżka i zjadłem galaretkę owocową. Jednak nawet te kilka kroków zmęczyło mnie i wkrótce ponownie zasnąłem.

Śniło mi się, że dryfuję na arktycznej krze lodowej. Usiłowałem znaleźć schronienie przed gwałtownym gradobiciem pod prowizorycznym dachem z cienkiej tektury. Każdy kolejny atak gradu mocniej szatkował karton. Byłem coraz bardziej obnażony i moje przerażenie rosło.

Obudziłem się nagi, drżący z zimna. Gradobicie trwało również na jawie. W ciemnościach na zegarku jarzyły się cyferki 23.26. Niebo za oknem było całkowicie czarne. Grad zmienił się w kule. Seria z karabinu maszynowego zagrzecotała na ścianie mojego domu.

Rzuciłem się na podłogę, położyłem płasko na brzuchu i znieruchomiałem, ciężko oddychając.

Następna salwa. Werbel pocisków, brzęk tłuczonego szkła. Krzyk bólu. Przyprawiający o mdłości głuchy dźwięk, jakby melon pękał pod młotem kowalskim. Warkot zapuszczanego silnika. Pisk opon gwałtownie startującego samochodu.

Potem cisza.

Doczołgałem się do telefonu. Zadzwoiłem na policję. Spytałem o Mila. Miał wolne.

– A więc chcę mówić z Delem Hardym.

Czarny detektyw podniósł słuchawkę. Opowiedziałem mu o koszmarze, który przemienił się w rzeczywistość.

Odparł, że zadzwoni do Mila i natychmiast przyjadą.

Kilka minut później całą dolinę wypełniło zawodzenie syren, przypominających rozszalałe puzony.

Włożyłem szlafrok i wyszedłem na zewnątrz.

Sekwojowe deski na froncie domu były podziurawione jak durszlak. Zniknęła też szyba z jednego okna.

Poczułem zapach benzyny.

Na tarasie stały trzy otwarte kanistry. Wciśnięte w otwory szmaty przypominały wielkie knoty. Mokre ślady stóp prowadziły do krawędzi podestu. Spojrzałem ponad poręczą.

Jakiś mężczyzna leżał w japońskim ogrodzie. Nieruchomo, twarzą w dół.

Zeskoczyłem akurat wtedy, gdy pojawili się dwaj detektywi: czarny i biały. Poszedłem boso do ogrodu, w rozpalonych gorączką stopach czując lodowate zimno. Krzyknąłem. Mężczyzna nie odpowiedział.

To był Richard Moody.

Pół jego twarzy zniknęło; pozostało z niej jedynie coś, co przypominało krwawy ochłap. Albo – mówiąc bardziej precyzyjnie – rybią karmę, ponieważ głowa Moody’ego tkwiła zatopiona w moim stawie i *koi* muskały ją pyszczkami, wysysając krwawą wodę, rozkoszując się nowym przysmakiem.

Poczułem mdłości. Próbowałem przegonić ryby, machając rękoma, lecz odniosłem wręcz przeciwny skutek, bowiem mój widok kojarzył im się z karmieniem. Rytmicznie otwierały i zamykały pyszczki. Duży czarno-złoty karp wyskoczył z wody, starając się uszczknąć większy kęs. Mógłbym przysiąc, że uśmiechnął się do mnie wąsatymi wargami.

Ktoś nagle stanął u mego boku. Aż podskoczyłem zaskoczony.

– Spokojnie, Alex.

– Milo!

Wyglądał, jakby dopiero co wstał z łóżka. Miał jakąś wiatrówkę, pod nią żółtą koszulkę polo firmy HangTen i džinsy.

Jego włosy były rozczochrane, a zielone oczy błyszczały w księżycowej poświacie.

– Chodź. – Wziął mnie za łokieć. – Wejdzmy na górę. Napijemy się czegoś, a potem opowiesz mi dokładnie, co się zdarzyło.

Kiedy ekipa techniczna zabezpieczała miejsce zbrodni, usiadłem na mojej starej skórzanej sofie i napiłem się whisky Chivas.

Powoli zaczynałem sobie uświadamiać, że nadal jestem chory, przemarznięty i osłabiony. Szkocka spłynęła ciepło i gładko do żołądka. Naprzeciwko mnie siedzieli Milo i Del Hardy. Czarny detektyw jak zwykle prezentował się elegancko, w dopasowanym ciemnym garniturze, brzoskwiniowej koszuli, czarnym krawacie i wypolerowanych półbutach. Na nos włożył okulary i robił notatki.

– Na pierwszy rzut oka – oznajmił Milo – sprawa wygląda tak: Moody zaplanował podpalenie twojego domu, ktoś go śledził, przyłapał na gorącym uczynku i zastrzelił. – Rozmyślał przez moment. – W tej rodzinie mieliśmy do czynienia z trójkątem, prawda? Jak ci się podoba przyjaciel pani Moody w roli egzekutora?

– Niespecjalnie, nie wyglądał mi na faceta zdolnego do zbrodni.

– Jego nazwisko – zażądał Hardy z gotowym ołówkiem.

– Carlton Conley. Pracuje jako stolarz w Aurora Studios. On i Moody byli przyjaciółmi, zanim powstał... trójkąt.

Hardy pisał.

– Czy wprowadził się do żony Moody’ego?

– Tak. Teraz... podobno wraz z nią i dziećmi przebywa na północy, w pobliżu Davis. Za radą prawnika.

– Nazwisko prawnika?

– Malcolm J. Worthy. Beverly Hills.

– Lepiej do niego zadzwońmy – stwierdził Milo. – Jeśli Moody przygotował sobie listę

wrogów, prawnik figuruje na samym jej szczycie. Dowiedzmy się o numer w Davis i sprawdźmy, czy coś tam się wydarzyło... Zresztą dawną żonę zmarłego i tak trzeba powiadomić. Niech miejscowi ją poinformują i zwrócą uwagę na jej reakcję. Ciekawe, czy będzie zaskoczona nowiną. Zadzwoń też do sędzi. Czy ktoś jeszcze przychodzi ci do głowy?

– Tak, w sprawę wplątany był jeszcze jeden psycholog. Doktor Lawrence Daschoff. Mieszka w Brentwood, ale gabinet ma w Santa Monica. – Znałem numer gabinetu Larry’ego na pamięć i podałem go policjantom.

– A prawnik Moody’ego? – spytał Del. – Jeśli facet uznał, że adwokat spieprzył jego sprawę, mógł walić na oślep.

– To prawda. Nazywa się Durkin. Na imię ma Emil, Elton czy jakoś tak.

Grymas wspomnienia przemknął przez twarz czarnego detektywa.

– Eldridge – burknął gderliwie. – Ten gnojek reprezentował moją byłą żonę. Doszczętnie mnie ograbił.

– No cóż, w takim razie... – Milo się roześmiał – będziesz miał przyjemność przesłuchania go. Chyba że wolisz pocieszać wdowę.

Hardy mruknął coś pod nosem, zamknął notes i poszedł do kuchni, aby wykonać te telefony.

Jeden z techników stał w progu, czekając na Mila. Mój przyjaciel poklepał mnie po ramieniu i poszedł z nim porozmawiać. Wrócił po paru minutach.

– Zbadali ślady opon – oświadczył. – Szerokie, auto raczej stare, ale wnosząc z kolein, niezłe podrasowane. Mówi ci to coś?

– Moody jeździł furgonetką.

– Już porównali jego koła. Nie pasują.

– Żaden inny samochód nie przychodzi mi do głowy.

– W furgonetce znaleźli jeszcze sześć kanistrów z benzyną, co potwierdza moją wersję o liście kandydatów do odstrzału. Tyle że nie do końca ma to sens. Moody zamierzał użyć trzech kanistrów tutaj. Przypuśćmy, że zaplanował jakiś wysoce przemyślany rytuał i przeznaczył na jedną osobę po trzy kanistry. Biorąc pod uwagę minimum pięć ofiar: ciebie, drugiego psychologa, obu prawników i sędziego, wychodzi nam piętnaście kanistrów. Sześć zostało, czyli że zużył już dziewięć. Nie licząc ciebie, trzeba by uznać, że dokonał wcześniej dwóch prób. Jeśli zaplanował również podpalenie rodzinnego domu, potrzebowałby dwunastu... i musimy pamiętać, że dokonał już trzech prób. Choć liczby się nie zgadzają, mało prawdopodobne, żeby dla ciebie przeznaczył więcej benzyny niż dla kogoś innego. Reasumując, prawdopodobnie nie byłeś na jego liście numerem pierwszym. Dlaczego zatem strzelec śledził go cały czas, obserwował, jak facet podkłada ogień dwa lub trzy razy, ryzykował, że zostanie zauważony i dopiero tutaj... powiedzmy, przy trzecim podejściu... wykonał swoją robotę?

Zastanowiłem się nad jego pytaniem.

– Tylko jedna rzecz przychodzi mi na myśl – podsunąłem. – Ten teren jest dość odosobniony i rośnie tu wiele wysokich drzew, więc snajperowi łatwo było się ukryć.

– Może – odparł sceptycznie. – Przeanalizujemy kąt ustawienia opon. Hm... „Podrasowany zabójca”. Dobrze to brzmi.

Przez chwilę gryzł paznokcie i przypatrywał się mi z poważną miną.

– Masz jakichś wrogów, o których nie wiem, kolego?

Poczułem ucisk w żołądku. To, o czym wcześniej myślałem, zostało teraz wypowiedziane na głos. Milo podejrzewał, że byłem potencjalną ofiarą...

– Tylko facetów ze sprawy La Casa de Los Niños, a ci siedzą za kratkami. Nie słyszałem, żeby któregoś wypuścili.

– Przy obecnym stanie systemu prawno-więziennego nigdy nie można być pewnym, czy ktoś jest w pudle, czy też łązi sobie po ulicy. Sprawdźmy wszystkich. Będzie to również w moim interesie.

Sącząc kawę, pochylił się do przodu.

– Wiem, że przeżyłeś szok, Alex, i nie chcę cię dodatkowo niepokoić, ale musimy teraz o tym porozmawiać. Pamiętam, że kiedy zadzwoniłeś do mnie w sprawie szczura, spytałem cię o rysopis Moody’ego. Powiedziałaś, że byliście prawie tego samego wzrostu, wagi i karnacji.

Pokiwałem tępo głową.

– Przez cały dzień nie ruszałem się z domu, leżałem chory w łóżku. Ktoś, kto przyjechał po zmroku, nie wiedziałby, że jestem w środku. A z daleka łatwo o pomyłkę.

– Sprawa jest nieprzyjemna, jednakże musimy ją rozważyć – oświadczył niemal przepraszająco Milo. – W głębi duszy nie sądzę, aby chodziło o La Casa de Los Niños. A typki, o których otarłeś się w związku ze Swope’ami?

Błyskawicznie przejrzałem w myślach listę osób, które spotkałem w ciągu ostatnich paru dni. Valcroix. Matthias i członkowie sekty Dotknięcie. Houten... Czy el camino szeryfa nie miało szerokich opon? Maimon. Bragdon. Carmichael. Jan Rambo. Beverly i Raoul. Nikt z tej grupki nie wydawał się nawet w najmniejszym stopniu podejrzany i powiedziałem o tym Milowi.

– Z całej paczki najbardziej nie podoba mi się ten kanadyjski dupek – oznajmił.

– Valcroix obraził się na mnie za przesłuchanie. Ale uraza do kogoś nie równa się nienawiści, a ten, kto oddał te strzały, działał z żądzą krwi.

– Mówiłeś, że Kanadyjczyk ostro ćpa. A powszechnie wiadomo, że narkomani miewają czasem ataki paranoi.

Przypomniałem sobie, że Beverly wspomniała o coraz dziwniejszym zachowaniu Valcroix, i powtórzyłem to Milowi.

– Sam widzisz – mruknął. – Kokainowe szaleństwo.

– Istnieje oczywiście taka możliwość, ale wydaje mi się niezwykle mało prawdopodobna. Nie byłem dla niego aż tak ważny. Poza wszystkim zaś Augie zawsze woli się wycofać, niż zadziałać. Typ pacyfisty z festiwalu w Woodstock.

– Dokładnie taka sama była „rodzina” Mansona. Jakiej marki samochodem jeździ Valcroix?

– Nie mam pojęcia.

– Sprawdzimy w wydziale komunikacji, potem zadamy facetowi kilka pytań. Porozmawiamy także z innymi. Mam nadzieję, że sprawa sprowadzi się jednak do Moody’ego. Skoro już o nim mowa, chyba łatwo go było zniechęcić, co?

Wstał i się przeciągnął.

– Dzięki za wszystko, Milo.

Niedbale machnął ręką.

– Jeszcze nic nie zrobiłem, więc nie masz za co dziękować. I prawdopodobnie nie będę w stanie zajmować się sam twoimi problemami. Muszę wyjechać.

– Dokąd?

– Do Waszyngtonu. W sprawie naszego mordercy gwałciciela. Saudyjczycy wynajęli jedną z tych zręcznych firm public relations. Ładują miliony w reklamy, które pokazują ich jako sympatycznych, przyjaznych światu ludzi. Z powodu wyczynów śmierdzącego księcia mogliby stracić na opinii. Mamy więc naciski z góry, żebyśmy wypuścili faceta. Jeśli wyjedzie z miasta, uniknie sądu i wszelkiego rozgłosu. Departament nie chce go wprawdzie zwolnić ze względu na ohydę jego zbrodni, jednak Arabowie się upierają, a politycy pragną symbolicznego gestu dobrej woli. – Pokręcił głową z oburzeniem. – Któregoś dnia przyjechało paru facetów w szarych garniturach z Departamentu Stanu. Wzięli mnie i Dela na lunch. Trzy martini i superzarcie na koszt podatników, potem towarzyska pogawędka o kryzysie paliwowym. Pozwoliłem im gadać, po czym nagle podsunąłem pod nosy stosik zdjęć dziewczyny, którą zabił ten śmierdziel. Typki z dyplomacji mają naprawdę delikatne organizmy. O mało nie zwymiotowali w doskonale *coq au vin*. Tego popołudnia dostałem wezwanie do stolicy, żeby przedyskutować tam sprawę Araba.

– Chciałbym cię zobaczyć z tymi biurokratami. Kiedy lecisz?

– Nie wiem. Może jutro albo pojutrze. Po raz pierwszy w całym moim nędznym życiu lecę pierwszą klasą. – Popatrzył na mnie z troską. – Przynajmniej Moody zszedł nam z drogi – mruknął.

– Tak – westchnąłem. – Żałuję, że skończył w taki sposób. – Pomyślałem o jego dzieciach. Zabójstwo ojca z pewnością odbije się negatywnie na ich psychice. Gdyby mordercą okazał się Conley, dramat byłby jeszcze poważniejszy.

Hardy wrócił z kuchni i streścił odbyte rozmowy telefoniczne.

– Hm... mogło być gorzej. Połowa domu Durkina stoi w ogniu. On i jego żona odnieśli poparzenia drugiego stopnia i trochę się nawdychali dymu, ale przeżyją. Worthy miał alarmy przeciwpożarowe, które włączyły się na czas. Mieszka w Palisades w wielkiej posiadłości obsadzonej drzewami. Parę z nich spłonęło.

A zatem Moody zdążył już podłożyć ogień w kilku miejscach. Milo popatrzył na mnie znacząco. Hardy mówił dalej.

– Domy sędzi i Daschoffa pozostały nietknięte, toteż te kanistry w samochodzie były prawdopodobnie przeznaczone dla nich. Wysłałem mundurowych, mają sprawdzić jej biuro i jego gabinet.

Richard Moody zakończył swoje nędzne życie w ogniu zbrodni.

Milo gwizdnął i przedstawił Hardy'emu scenariusz pod tytułem: „Delaware jako ofiara”, co bynajmniej nie poprawiło mi humoru.

Podziękowali za kawę i wstali. Hardy wyszedł, Milo zaś ociągał się jeszcze przez chwilę.

– Możesz tu zostać, jeśli chcesz – powiedział w końcu – ponieważ technicy większość pracy wykonają na zewnątrz. Jeżeli jednak wolisz się gdzieś przenieść, nie ma sprawy.

Moją dolinę wypełniały światła radiowozów, kroki ludzi i przytłumione rozmowy. Na razie byłem bezpieczny, ale przecież policja nie zostanie tu na zawsze.

– Wyprowadzę się na kilka dni.

– Gdybyś chciał się zatrzymać w moim mieszkaniu, oferta jest wciąż aktualna. Rick przez następne dwa dni będzie na dyżurze, więc miałbyś ciszę i spokój.

Zastanowiłem się przez moment.

– Dzięki, ale naprawdę chcę pobyc sam.

Odparł, że całkowicie mnie rozumie, wysączył resztki kawy i podszedł bliżej.

– Widzę ten znajomy błysk w twoich oczach i przyznam, że to mnie martwi, kolego.

– Nic mi nie jest.

– Jak do tej pory. I chciałbym, żeby tak zostało.

– Nie masz się o co martwić, Milo. Naprawdę.

– Chodzi o chłopca, tak? Nie zrezygnujesz, póki go nie znajdziesz?

Milczałem.

– Posłuchaj, Alex, jeśli zdarzenia z dzisiejszego wieczoru mają coś wspólnego ze Swope'ami, radzę ci... trzymaj się z dala od tej sprawy. Tak będzie dla ciebie najlepiej. Nie mówię, że dzieciak nie jest ważny, ale pomyśl o sobie.

Delikatnie poklepał mnie po uszkodzonej szczęce.

– Ostatnim razem miałeś szczęście. Nie kuś losu.

Zapakowałem torbę na dwa dni i przez jakiś czas krążyłem po okolicy, aż wybrałem hotel Bel-Air jako dobre miejsce na powrót do zdrowia. I na kryjówkę. Znajdował się w odległości zaledwie kilku minut od mojego domu, był cichy, ogrodzony wysokim otynkowanym murem i subtropikalnym zagajnikiem. Otoczenie – różowe ściany zewnętrzne, zielone wewnętrzne, rozkołysane palmy kokosowe i staw, w którym pływały flamingi – zawsze kojarzyło mi się ze starym, mitycznym Hollywoodem, czyli romantycznością, słodką fantazją i szczęśliwym zakończeniem. A tego wszystkiego wyraźnie mi brakowało.

Skierowałem się na zachód Bulwarem Zachodzącego Słońca, skręciłem na północ przy Stone Canyon Road, przejechałem obok kilku posiadłości za ogromnymi bramami i dotarłem do hotelowego wejścia. Chyba rzadko kto parkował tu o pierwszej czterdzieści nad ranem. Ustawiłem seville'a między lamborghini i maserati.

Recepcjonistą był wyjątkowo małomówny zamyślony Szwed. Nawet nie podniósł na mnie



wzroku, gdy gotówką wpłacałem zaliczkę i zameldowałem się jako Carl Jung. Zauważyłem, że zapisał mnie jako Karla Younga.

Chłopak hotelowy zaprowadził mnie do bungalowu, który wychodził na oświetloną sadzawkę z wodą w kolorze akwamaryny. Pokoik był luksusowy i przytulny, wyposażony w duże miękkie łóżko i ciężkie ciemne meble z lat czterdziestych.

Wśliznąłem się pod zimną pościel i przypomniałem sobie swój ostatni pobyt tutaj: w lipcu ubiegłego roku, w dwudzieste ósme urodziny Robin. Poszliśmy na koncert mozartowski do Musie Center, a potem zjedliśmy kolację w Bel-Air.

Jadalnia była wtedy dyskretnie przyciemniona, a nasz stół stał obok panoramicznego okna. Pomiędzy ostrygami i cielęciną zauważyliśmy dystyngowaną matronę w wieczorowej sukni, która przeszła majestatycznie przez porośnięty palmami dziedziniec.

– Alex – wyszeptała Robin – popatrz... Nie, to niemożliwe...

Nie było jednak mowy o pomyłce. Mieliśmy przed sobą Bette Davis. Co za miła niespodzianka!

Myśl o tamtej wspaniałej nocy pomogła mi zapomnieć o okropnościach dzisiejszego dnia.

Pospałem do jedenastej, zadzwoniłem do recepcji i zamówiłem świeże maliny, omlet, bułeczki razowe i kawę. Jedzenie podano na chińskiej porcelanie, ze srebrnymi sztuccami. Było doskonałe. Odsunąłem od siebie myśli o śmierci i jadłem z apetytem.

Zdrzemnąłem się jeszcze trochę. O czternastej zadzwoniłem do Wydziału Policji Zachodniego Los Angeles. Milo wyleciał już do Waszyngtonu, więc połączyłem się z Delem Hardym, który poinformował mnie, że Conley pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami. Podczas zabójstwa Moody'ego przebywał na plenerach w Saugus, biorąc udział w nocnych zdjęciach do nowego serialu telewizyjnego. Przyjąłem tę nowinę ze spokojem, tak naprawdę bowiem ani przez chwilę nie podejrzewałem go o popełnienie tej wyrachowanej zbrodni. Poza tym byłem niemal całkowicie przekonany, że to mnie chciał osiągnąć snajper.

O szesnastej poszedłem popływać, bardziej dla zażycia ruchu niż dla przyjemności, potem wróciłem do swojego pokoju i zadzwoniłem po wieczorną gazetę i grolscha. Chyba pokonałem przeziębienie. Z butelką piwa w dłoni zatonąłem w fotelu, pogrążając się w lekturze.

Informacja o śmierci Augusta Valcroix zajmowała pięciocentymetrowy kwadracik na dwudziestej ósmej stronie. Moją uwagę natychmiast przyciągnął tytuł: „Lekarz traci życie w wypadku samochodowym”. Z krótkiej notki dowiedziałem się jedynie, że samochód Kanadyjczyka „zagraniczny kompakt” uderzył w coś niedaleko portu Wilmington. Lekarz zginął na miejscu. Krewnych w Montrealu już powiadomiono.

Wilmington znajdowało się w połowie drogi między Los Angeles i San Diego, jeśli wybierze się trasę nadbrzeżną. Droga biegła wzdłuż magazynów i stoczni. Zastanowiłem się, co Valcroix robił w takim miejscu. Kiedyś odwiedził już La Vistę. Czyżby przed wypadkiem wracał właśnie stamtąd?

Przypomniałem sobie, jak przechwalał się przed Beverly. Twierdził, że ma coś bardzo istotnego w związku ze sprawą Swope'ów. Zaczęły mnie dręczyć następne pytania. Czy zginął, ponieważ miał refleks osłabiony zażywaniem narkotyków? A może spróbował zagrać swoją atutową kartą i z tego powodu stracił życie? Czyżby znał morderców Swope'ów? A może wiedział coś o miejscu pobytu ich dzieci?

Rozmyślałem bez końca, aż rozbolała mnie głowa. Szukałem rozwiązania po omacku – niczym ślepiec w labiryncie.

Aż w pewnym momencie zupełnie nieoczekiwanie zdałem sobie sprawę z tego, co przegapiłem. Wcześniej ledwie krążyłem wokół zagadki. Gdybym przyjrzał się całej tej sprawie w odpowiedni, analityczny sposób, jak przystało na psychologa... na pewno już dawno odkryłbym brakujące ogniwo.

Znałem się doskonale na sztuce psychoterapii, potrafiłem drażnić przeszłość, aby dzięki niej rozwikłać teraźniejszość. Praca psychologa przypomina w pewnym sensie strategię detektywa, to znaczy... psycholog musi potajemnie wkraść się w sferę podświadomości, by wśród wielu ślepych uliczek znaleźć tę jedną właściwą. A zaczyna od tego, że skrupulatnie i szczegółowo analizuje całą historię.

Zginęły już cztery osoby. Żadna z nich nie zmarła z przyczyn naturalnych. Ich śmierć wydawała mi się dotąd zupełnie niezrozumiała, ponieważ nie skupiłem się na wcześniejszych wydarzeniach... nie przemyślałem historii.

Należało pilnie naprawić ten błąd. Czekало mnie coś więcej niż tylko akademickie ćwiczenie. Chodziło bowiem o ludzkie życie.

Czy dzieci Swope'ów jeszcze żyją? Chwilowo wystarczało mi, że są na to jakieś szanse. Po raz setny pomyślałem o chłopcu w plastikowym pomieszczeniu. Bezradny, zdany na kurację... Prawdopodobnie można go było wyleczyć, choć na razie jego ciało pozostawało siedliskiem straszliwej choroby. Nosił w sobie bombę zegarową... Musiałem go odnaleźć, w przeciwnym razie umrze w strasznych cierpieniach.

Mimo rozdrażnienia z powodu własnej bezsilności postanowiłem porzucić przesadny altruizm i skupić się na przetrwaniu. Miło usilnie nakłaniał mnie do ostrożności, pomyślałem jednak, że właśnie pozostanie w jednym miejscu może się dla mnie okazać najbardziej niebezpieczne.

Ktoś polował na mnie i w końcu dowie się, że ustrzelił zamiast mnie kogoś innego. Wtedy wróci po swoją ofiarę, czyli po mnie. A wcześniej zapewne dobrze się przygotowuje, by tym razem nie zepsuć sprawy. Nie ma mowy, nie będę beczynn timerem czekającym na mordercę niczym skazaniec na egzekucję.

Czekała mnie ciężka praca. Musiałem przeprowadzić pewne badania. I dokonać swego rodzaju ekshumacji.

Kompas wskazywał południe.

Zaufanie komuś wiąże się z ogromnym ryzykiem. Ale bez zaufania niewiele można osiągnąć.

Nie zastanawiałem się już, czy w ogóle podjąć to ryzyko. Musiałem tylko zdecydować, komu zaufać.

Był oczywiście Del Hardy, uważałem jednak, że policja nie może mi zbyt pomóc. Policjantów interesowały jedynie fakty. Ja natomiast mogłem im zaoferować wyłącznie swoje podejrzenia i intuicyjny strach. Hardy wysłuchałby mnie grzeczniej, podziękowałby za wkład w sprawę i powiedział, żebym się nie martwił.

Odpowiedzi, których potrzebowałem, kryły się w La Viście. Na śmierć Swope'ów musiał rzucić światło ktoś, kto znał ich za życia.

Szeryf Houten z pozoru wydawał się osobą odpowiednią, choć zachowywał się jak wielka ropucha rządząca małą sadzawką. Podobnie jak inni tego typu ludzie przeceniał swoją rolę. Z drugiej strony, rzeczywiście uosabiał prawo w swojej osadzie i wszelkie zbrodnie popełnione na jej terenie odbierał zapewne jako osobistą zniewagę. Przypomniałem sobie, jak się rozżłościł, gdy zasugerowałem, że Woody i Nona przebywają gdzieś w mieście. Takie rzeczy po prostu nie mogły się zdarzyć w La Viście!

Tego rodzaju paternalistyczne podejście zaowocowało koegzystencją osady z sektą Dotknięcie. Dla osób pozytywnie nastawionych taki stosunek oznaczał tolerancję, dla malkontentów – hermetyczny ciemnogród.

Nie, w żadnym razie nie mogłem się zwrócić do Houtena po pomoc. Sądziłem, że niezależnie od sytuacji niezbyt chętnie wysłucha pytań zadawanych przez kogoś z zewnątrz, a incydent z Raulem tylko potwierdził moje podejrzenia. Zresztą, ekscesy Melendeza-Lyncha wyzwoliły w szeryfie pragnienie obrony własnej pozycji. A ponieważ miasto było w jakimś sensie od niego uzależnione, nie mogłem tak po prostu wejść między mieszkańców i pogawędzić z nimi. Przez moment sytuacja wydawała mi się beznadziejna, a La Vista skojarzyła mi się z zamkniętym pudełkiem. Potem jednak przyszedł mi na myśl Ezra Maimon.

Według mojej opinii był człowiekiem uczciwym i niezależnym. Swoim zachowaniem zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Ledwie się pojawił, natychmiast wszystko uporządkował. Reprezentowanie interesów człowieka z zewnątrz przeciw interesom Houtena wymagało pewnej odwagi. Maimon potraktował swoje zadanie nadzwyczaj poważnie i bardzo dobrze je wykonał. Był śmiały, przebojowy i inteligentny.

Poza tym – co równie ważne – nikogo innego nie miałem.

Zdobyłem w informacji numer i zadzwoniłem do niego.

Odebrał telefon osobiście.

– Rzadkie owoce i nasiona. Uprawa i sprzedaż – odezwał się tym samym spokojnym głosem, który zapamiętałem.

- Dzień dobry, panie Maimon, mówi Alex Delaware. Spotkaliśmy się u szeryfa.
- Witam, doktorze Delaware. Jak się miewa doktor Melendez-Lynch?
- Nie widziałem go od tamtego dnia. Gdy się żegnaliśmy, był dość przygnębiony.
- No tak. Sprawy przybrały tragiczny obrót!
- Właśnie dlatego do pana dzwonię.
- Tak?

Opowiedziałem mu o śmierci Valcroix, o zamachu na moje życie i moim przekonaniu, że sytuacji nie da się rozwiązać bez przyjrzenia się rodzinie Swope'ów. Zakończyłem monolog, wprost błagając go o pomoc.

Przez chwilę po drugiej stronie panowało milczenie. Wiedziałem, że prawnik się zastanawia, podobnie długo rozmyślał bowiem po przedstawieniu sprawy Raoula przez Houtena. Niemal słyszałem, jak w jego głowie pracują trybiki.

- Jest pan osobiście zainteresowany rozwiązaniem tych zbrodni – ocenił w końcu.
- Rzeczywiście. Chodzi jednak o coś więcej. Woody'ego Swope'a można wyleczyć. Chłopiec nie musi umrzeć. Jeśli nadal żyje, chcę go odnaleźć i poddać kuracji.

Znowu zastanawiał się przez chwilę.

- Nie jestem pewny, czy wiem coś, co panu pomoże.
- Ani ja. Ale warto spróbować.
- Dobrze, zatem porozmawiajmy.

Serdecznie mu podziękowałem. Zgodziliśmy się, że spotkanie w La Viście jest wykluczone. Dla naszego dobra.

– Zwykle jadam kolacje przy Oceanside w restauracji U Anity – powiedział. – Jestem wegetarianinem, a tam mają świetne dania bezmięsne. Może mi pan potowarzyszyć dziś wieczorem? Zdaży pan dojechać do dwudziestej pierwszej?

Była teraz siedemnasta czterdzieści. Biorąc pod uwagę nawet najgorsze korki na drodze, powinienem dotrzeć przed czasem.

– Przyjadę.

– Dobrze, zatem wyjaśnię panu, jak znaleźć lokal. Udzielił mi wskazówek dokładnie takich, jakich oczekiwałem: prostych, jednoznacznych i precyzyjnych.

W recepcji Bel-Air zapłaciłem za następne dwie noce, wróciłem do swojego pokoju i zadzwoniłem do Mała Worthy'ego. Nie było go w biurze, ale sekretarka sama podała mi jego numer domowy.

Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku. Sądząc po głosie, był bardzo zmęczony.

- Alex, przez cały dzień próbowałem cię złapać.
- Ukrywam się.
- Ukrywasz? Dlaczego? Przecież Moody nie żyje.
- To długa historia. Posłuchaj, Mal, dzwonię z kilku powodów. Po pierwsze, jak dzieci

przyjęły informację o śmierci ojca?

– Właśnie w tej sprawie chciałem z tobą pomówić. Muszę się ciebie poradzić. To cholernie kłopotliwa sytuacja! Darlene w ogóle nie miała ochoty mówić dzieciom o śmierci ich ojca, ale przekonałem ją, że powinna. Podczas naszej późniejszej rozmowy powiedziała mi, że April bardzo płakała, ciągle zadawała pytania i nie puszczała jej spódnicy. Natomiast Ricky milczał i mimo pytań matki nie odezwał się. Zamknął się w sobie, poszedł do swojego pokoju i nie chciał z niego wyjść. Darlene miała wiele pytań, na które starałem się odpowiadać w miarę swoich możliwości, nie jestem wszakże psychologiem. Powiedz mi, czy dzieci zachowały się... normalnie?

– Nie chodzi o normalność bądź nienormalność ich zachowań. Zrozum, że te dzieci przeżywają wielki dramat. Większość ludzi nie ma takich problemów przez całe życie. Gdy rozmawiałem z nimi w twoim biurze, wyczułem, że potrzebują pomocy, i powiedziałem ci o tym. Teraz ta pomoc jest absolutnie konieczna. Dopilnuj, żeby ją dostały. Miej oko na Ricky'ego. Bardzo się identyfikował ze swoim ojcem. W przypadku chłopca nie można nawet wykluczyć próby samobójczej. Albo podpalenia. Jeśli w domu jest broń, niech Darlene natychmiast się jej pozbędzie. Każ jej bacznie obserwować syna. Niech go trzyma z dala od zapalek, noży, lin, pigułek. Przynajmniej do czasu, aż skieruje go na terapię. Potem musi wypełniać polecenia terapeuty. A jeśli Ricky zacznie wyrażać swój gniew, nie wolno jej go karać ani tłamsić w żaden sposób. Nawet jeśli zachowanie chłopca stanie się... niewłaściwe.

– Przekażę jej twoje zalecenia. Mam prośbę. Zobacz się z nim natychmiast, gdy wrócą do Los Angeles.

– Nie mogę, Mal. Za bardzo się zaangażowałem w tę sprawę. – Podałem mu nazwiska dwóch innych psychologów.

– W porządku – mruknął niechętnie. – Powiem jej, żeby zadzwoniła do jednego z nich – przerwał. – Wiesz, wyglądam przez okno. Teren wokół mnie wygląda jak palenisko gigantycznego grilla. Strażacy spryskali go czymś, co miało zlikwidować paskudny zapach, ale nadal śmierdzi. Ciągle się zastanawiam, czy cała historia mogła się skończyć inaczej.

– Nie wiem. Moody od początku był zdecydowany na przemoc. Tak został wychowany. Pamiętasz akta? Jego ojciec był człowiekiem wybuchowym, zmarł w wyniku bijatyki.

– Historia lubi się powtarzać.

– Załatwcie małemu terapię, a może tym razem historia się nie powtórzy.

Pobielone ściany lokaliku Anity były oświetlone przez żarówki koloru lawendy i przyozdobione sztucznie postarzoną cegłą. Wchodziło się pod łukiem z drewnianej kratownicy. Karłowate drzewka cytrynowe sięgały kraty, a owoce jarzyły się turkusowo w sztucznym świetle.

Restauracja była położona w środku dzielnicy przemysłowej. Z trzech stron otaczały ją biurowce o oknach z ciemnego szkła, z czwartej – olbrzymi parking. Trele nocnych ptaków mieszały się z odległym szumem autostrady.

Wewnątrz było chłodno i ponuro. Do moich uszu dobiegły ciche tony barokowej muzyki granej na klawesynie. Powietrze przepajał aromat ziół i przypraw: kminku, majeranku, szafranu, bazylii... Trzy czwarte stolików było zajęte. Większość gości stanowili młodzi, modnie ubrani, majątni ludzie. Mówili przyciszonymi głosami.

Korpulentna blondyna w ludowej bluzce i haftowanej spódnicy wskazała mi stolik Maimona. Wstał szarmancko i usiadł dopiero wtedy, kiedy ja zająłem miejsce.

– Dobry wieczór, doktorze.

Był ubrany tak jak ostatnio – w nieskazitelną białą koszulę i wyprasowane spodnie koloru khaki. Poprawił okulary, które zsunęły mu się na nos.

– Dobry wieczór. Bardzo dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

Uśmiechnął się.

– Przedstawił pan swoją sprawę niezwykle jasno.

W tym momencie do naszego stolika podeszła kelnerka – smukła dziewczyna o długich ciemnych włosach i twarzy modelek Modiglianiego.

– Przyrządzają tu znakomitego wellingtona z soczewicy – powiedział Maimon.

– Doskonale. – Przyznam, że zupełnie nie miałem apetytu.

Zamówił dla nas obu. Kelnerka wróciła z zimną wodą w kryształowych pucharach, kromkami miękkiego razowego chleba i dwoma małymi tubkami warzywnego pasztetu, który smakował jak mięso i był bardzo dobry. W każdym pucharze pływał cienki niczym papier plasterek cytryny.

Prawnik posmarował chleb pasztetem, ugryzł kęs i zaczął go żuć powoli, z rozmysłem. Gdy przełknął, spytał:

– Jak mogę panu pomóc, doktorze?

– Próbuję zrozumieć Swope'ów. Dowiedzieć się, jacy byli przed chorobą Woody'ego.

– Nie znałem ich zbyt dobrze. Wydawali się dość skryci.

– Stale to słyszę.

– Nie jestem zaskoczony. – Sącył wodę. – Przeprowadziłem się do La Visty dziesięć lat temu. Wraz z żoną. Byliśmy bezdzietni. Po jej śmierci przeszedłem na emeryturę, porzuciłem praktykę prawniczą i założyłem sad, bowiem ogrodnictwo było moją pierwszą miłością. Osiedliwszy się tutaj, zacząłem od nawiązywania kontaktów z innymi miejscowymi ogrodnikami. Przeważnie przyjmowali mnie serdecznie. Ogrodnicy i sadownicy to z reguły bardzo sympatyczni ludzie. Nasz rozwój zależy od dobrej współpracy. Często się zdarza, że ktoś, kto zdobył nasiona jakichś niezwykłych gatunków, rozdaje je innym. Taka szczodrość leży w interesie nas wszystkich. Owoce, których nikt nie kupuje, w końcu znikną, tak jak wiele starych amerykańskich odmian jabłek i gruszek. Natomiast owoce chętnie jadane na pewno przetrwają. Oczekiwałem – ciągnął – że Garland Swope powita mnie ciepło, ponieważ był moim sąsiadem. Ależ byłem naiwny. Odwiedziłem go pewnego dnia. Stał przy swojej bramie i nie zamierzał mnie zaprosić do środka. Odpowiadał na moje pytania niechętnie, niemal wrogo. Rzecz jasna,

wycofałem się. Nie tylko z powodu jego nieuprzejmego zachowania, lecz także dlatego, że wyraźnie nie chciał się chwalić swoimi osiągnięciami.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Okazało się zaskakująco dobre. Soczewica owinięta w ciasto miała niezwykły smak. Maimon zjadł trochę, potem odłożył widelec i kontynuował:

– Pospiesznie odszedłem i nigdy już nie próbowałem się do niego zbliżyć, chociaż nasze posiadłości dzieli odległość około kilometra. Inni tutejsi ogrodnicy byli znacznie bardziej zainteresowani współpracą i wkrótce zapomniałem o Swope'ach. Mniej więcej rok później brałem udział w zjeździe na Florydzie poświęconym uprawie subtropikalnych owoców malajskich. Spotkałem tam ludzi, którzy znali Garlanda Swope'a i wyjaśnili mi jego zachowanie. Podobno tylko nazywał siebie ogrodnikiem. To znaczy... był nawet dość znany w swoim czasie, lecz od lat nic nie zrobił. Za bramą jego posiadłości nie ma już sadu. Został tylko stary dom i hektary piachu.

– Z czego więc utrzymywała się jego rodzina?

– Ze spadku. Ojciec Garlanda był senatorem stanowym, posiadał wielkie ranczo i całe kilometry ziemi na wybrzeżu. Część sprzedał rządowi, część rozmaitym inwestorom. Wiele przepadło z powodu kiepskich inwestycji, lecz najwyraźniej pozostało dość, by zapewnić Garlandowi i jego rodzinie życie na odpowiednim poziomie.

Popatrzył na mnie z ciekawością.

– Czy coś z mojej opowieści może panu pomóc?

– Nie wiem. Dlaczego Swope porzucił ogrodnictwo?

– Źle zainwestował. Słyszał pan o czerymoyi?

– Jest ulica o takiej nazwie w Hollywood. To pewnie jakiś owoc.

Wytarł usta.

– Ma pan rację. To owoc. Mark Twain nazywał go „smakowitością nad smakowitościami”. Osoby, które go kosztowały, zazwyczaj zgadzają się z nim w całej rozciągłości. Jest subtropikalny w swej naturze, pochodzi z chilijskich Andów. Z wyglądu nieco przypomina karczoch lub wielką zieloną truskawkę. Skórkę ma niejadalną, miąższ biały i miękki jak krem, upstrzony szeregiem wielkich twardych nasion. Orodnicy żartują, że te nasiona umieścili w owocu bogowie, dzięki czemu ludzie nie jedzą ich zbyt pośpiesznie. Niektórzy jadają go łyżeczką. Smak ma fantastyczny, doktorze. Słodki, intensywny, z lekkim posmakiem zmieszanych ze sobą brzoskwini, gruszki, ananasa, banana i cytrusów... Jest jedyny w swoim rodzaju. To cudowny owoc. Według moich rozmówców z Florydy Garland Swope miał obsesję na jego punkcie. Uważał go za owoc przyszłości i był przekonany, że kiedy Amerykanie go skosztują, natychmiast go zapragną. Marzył, że zrobi dla czerymoyi to samo, co Sanford Dole zrobił dla ananasa. Sytuacja zaszła nawet tak daleko, że swojemu pierwszemu dziecku dał imię od łacińskiej nazwy owocu. Pełna nazwa botaniczna brzmi *Annona cherimola*.

– Czy to marzenie było realne?

– W teorii. Drzewko jest bowiem wybredne. Wymaga umiarkowanego klimatu i stałej

wilgotności, choć potrafi się przystosować do subtropikalnego pasa biegnącego wzdłuż wybrzeża Kalifornii od granicy meksykańskiej przez Ventura County na północ. Może rosnąć wszędzie tam, gdzie awokado. Niestety, istnieją komplikacje, do których dojdę... Tak czy owak, Garland kupił na kredyt ziemię. O ironio, duża część tego terenu pierwotnie należała do jego ojca. Potem wyprawił się do Ameryki Południowej i przywiózł kilka młodych drzewek. Rozkrzewił sadzonki i stworzył sad. Musi minąć dobrych kilka lat, zanim drzewka zaczną owocować. W końcu jednak Swope miał największy sad czerymojowy w całym stanie. W tym czasie podróżował na północ i południe, reklamował owoce, opowiadając producentom o cudach, które wkrótce wypełnią ich gaje. Kampania musiała być isticie tytaniczna, ponieważ Amerykanie nie jedzą zbyt dużo owoców i traktują je nieufnie. Pomidor uważaliśmy kiedyś za trujący, bakłażan obarczaliśmy winą za sprowadzanie na ludzi szaleństwa. To tylko dwa przykłady... Istnieją setki jadalnych roślin, które dobrze się rozwijają w naszym klimacie, lecz je ignorujemy. Garland jednakże był wytrwały, co mu się opłaciło. Otrzymał sporo zamówień i zaliczek na swoje plony. Gdyby czerymoja się przyjęła, zmonopolizowałyby rynek i zostałyby bogaczem. Po jakimś czasie zapewne musiałby podjąć współpracę z jakąś centralą ogrodniczą w celu dystrybucji na większą skalę. Po prawie dziesięciu latach zebrał pierwsze plony. Proszę mi wierzyć, że było to prawdziwe osiągnięcie. W rodzimym środowisku czerymoję zapylają tamtejsze pszczoły. Tutaj proces ten wymaga starannego zapylania ręcznego. Pyłek kwiatowy z pręcików jednego kwiatu trzeba przenieść na słupek innego. Pora dnia jest także istotna, ponieważ roślina podlega cyklom urodzajności. Garland zajmował się swoimi drzewkami prawie tak troskliwie jak własnymi dziećmi.

Maimon zdjął okulary i przetarł je. Oczy miał ciemne i dziwnie nieruchome.

– Dwa tygodnie przed terminem zbierania owoców lodowaty prąd powietrzny przyniósł z Meksyku zabójczy przymrozek. Karaiby przeżywały wówczas serię tropikalnych burz i przymrozek był tak zwanym efektem wtórnym. Większość drzewek wyginęła z dnia na dzień, te zaś, które przetrwały, straciły owoce. Garland starał się za wszelką cenę ratować ukochane rośliny. Sprowadził do pomocy wielu ludzi, których później spotkałem na Florydzie. Opisali mi tamte dni ze szczegółami: Garland i Emma biegali po gajach z dymiącymi rondelkami i kocami. Starali się otulać drzewa, ogrzewać glebę, robić wszystko, by ocalić sad. Ich córka, jeszcze mała dziewczynka, obserwowała ich i płakała. Walczyli przez trzy dni, ale sytuacja była naprawdę beznadziejna. Garland jako ostatni przyjął do wiadomości tę straszliwą prawdę. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Lata pracy zostały zmarnowane w ciągu siedemdziesięciu godzin. Później Swope zrezygnował z ogrodnictwa i zmienił się w kompletnego odludka.

Klasyczna tragedia – marzenia pokrzyżowane przez los. Katusze bezradności. Ostateczna rozpacz.

Zacząłem rozumieć, co oznaczała dla nich diagnoza Woody'ego.

Rak u dziecka zawsze jest potworny. Dla każdego rodzica oznacza ściskające serce poczucie bezradności. Ale Garland i Emma Swope'owie przeżyli wyjątkowy wstrząs. Niemożność uratowania dziecka przypominała im wcześniejszą tragedię. Pewnie nie mogli znieść tej myśli...



– Czy wszyscy o tym wiedzieli? – spytałem.

– Każdy, kto przez jakiś czas mieszkał w tamtej okolicy.

– A Matthias i sekta Dotknięcie?

– Na to pytanie nie jestem w stanie panu odpowiedzieć, bo po prostu nie wiem. Przyjechali tutaj kilka lat temu. Mogli, ale nie musieli się dowiedzieć o tragedii Garlanda. Ludzie już teraz o tym nie mówią.

Uśmiechnął się do kelnerki i zamówił dzbanek herbaty ziołowej. Przyniosła ją wraz z dwiema filiżankami, po czym je napełniła.

Wypił łyk, odstawił filiżankę i popatrzył na mnie przez unoszącą się parę.

– Pan ciągle podejrzewa członków sekty – zauważył.

– Sam nie wiem – przyznałem. – Nie mam ku temu żadnych konkretnych powodów, ale... w tych ludziach jest coś zatrważającego.

– Jakaś sztuczność?

– Właśnie. To wszystko jest takie zaprogramowane, wyreżyserowane. Istna idylla.

– Zgadza się z panem, doktorze. Kiedy usłyszałem, że Norman Matthews został duchowym przywódcą, parsknąłem śmiechem.

– Znał go pan?

– Tylko ze słyszenia. Każdy prawnik o nim słyszał. Matthias był dokładnie taki, jak ludzie wyobrażają sobie prawnika z Beverly Hills. Bystry, krzykliwy, agresywny, bezlitosny. Zupełnie nie przypominał człowieka, którym jest teraz.

– Wczoraj ktoś do mnie strzelał. Wyobraża pan sobie kogoś z sekty w roli snajpera?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

– Z tego, co wiadomo, przemoc jest im absolutnie obca. Jeśli mi pan powie, że Matthews jest oszustem, uwierzę. Ale morderstwo... Hm... – Popatrzył z powątpiewaniem.

Zmieniłem temat.

– Jakiego rodzaju stosunki panowały między sektą Dotknięcie i Swope'ami?

– Żadne. Tak sądzę. Garland był samotnikiem. Nigdy nie jeździł do miasta. Od czasu do czasu widywałem Emmę albo ich córkę na zakupach.

– Matthias powiedział mi, że Nona pracowała dla jego sekty któregoś lata.

– Rzeczywiście. Zapomniałem o tym. – Odwrócił się i sięgnął po słoiczek z miodem.

– Panie Maimon, proszę wybaczyć, ale nie wydaje mi się pan osobą, która cokolwiek łatwo zapomina. Kiedy Matthias wspomniał o Nonie, szeryf też wpadł w konsternację... dokładnie tak jak pan teraz. Powiedział tylko, że była niesfornym dzieckiem, najwyraźniej chcąc uciąć dyskusję na ten temat. Do tej pory bardzo mi pan pomógł, proszę się więc nie wycofywać.

Maimon ponownie włożył okulary, pogładził brodę, podniósł filiżankę z herbatą.

– Doktorze – oświadczył z powagą – widzę, że jest pan uczciwym człowiekiem, i naprawdę pragnę panu pomóc. Muszę wszakże wpierw wyjaśnić panu swoją sytuację. Mieszkam w La Viście od dziesięciu lat, ciągle jednak uważam się za przybysza. Jestem sefardyjskim Żydem,

pochodzę z rodu wielkiego uczonego Maimonidesa. Moich przodków wygnano z Hiszpanii w 1492 roku, wraz ze wszystkimi innymi Żydami. Osiedlili się w Holandii, a gdy i z tamtego kraju zostali wypędzeni, rozjechali się po świecie. Trafili do Anglii, Palestyny, Australii, Ameryki. Pięćset lat tułaczki sprawia, iż trudno uwierzyć, że istnieje cokolwiek trwałego. Dwa lata temu do stanowego senatu z tego rejonu wybrano jakiegoś członka Ku-Klux-Klanu. Oczywiście doszło do oszustwa, zataił on bowiem fakt przynależności do tego stowarzyszenia. Tyle że... nie można tego wyboru uważać za przypadkowy, gdyż znało go wiele osób. Ów człowiek nie utrzymał się długo na stołku, lecz krótko po jego odejściu doszło do incydentów z płonącymi krzyżami, pojawiły się broszurki o wymowie antysemickiej, rasistowskie napisy na ścianach. Wybuchaly też zamieszki na granicy z Meksykiem. Nie mówię panu tego, żeby podkreślić, iż uważam La Vistę za wylęgarnię rasizmu. Przeciwnie, odkryłem, że mieszkańcy osady są bardzo tolerancyjni. W końcu na własne oczy widziałem, jak łatwo zaakceptowali na swoim terenie sektę Dotknięcie. Wiem jednak, że ludzie szybko zmieniają swoje poglądy... Moi przodkowie w jednym tygodniu byli nadwornymi medykami hiszpańskiej rodziny królewskiej, by w następnym stać się uciekinierami.

– Zapewniam pana, że potrafię dotrzymać tajemnicy – oznajmiłem. – Zachowam dla siebie wszystko, co mi pan powie, chyba że ujawnienie tych informacji może ocalić czyjeś życie.

Ponownie pogrążył się w myślach. Jego twarz znieruchomiła. Na moment zamknął oczy.

– Hm, było z nią trochę kłopotów – odezwał się w końcu. – Dokładnie nie wiem, jakiego rodzaju, nie mówiło się o tym publicznie. Chociaż... znając tę dziewczynę, musiały być zapewne natury erotycznej.

– Dlaczego?

– Mówiono, że była rozwiązła. Nie zbieram plotek, ale w małym mieście człowiek słyszy różne rzeczy. Nona od dziecka miała w sobie coś prowokującego. Już w wieku dwunastu czy trzynastu lat, gdy przechodziła przez miasto, wszyscy mężczyźni odwracali za nią głowy. Jakby wydzielala... jakieś erotyczne fluidy. Często o niej rozmyślałem. Wychowała się przecież w rodzinie odludków, izolującej się od reszty mieszkańców. Odnosiłem wrażenie, że w jakiś sposób przejęła seksualną energię od pozostałych członków rodziny i miała jej w sobie tak wiele, że nie wiedziała, co z nią zrobić.

– Wie pan, co się zdarzyło w Ustroniu? – spytałem, chociaż po opowieści Douga Carmichaela miałem już pewną hipotezę.

– Nie, słyszałem tylko, że Matthias nagle ją zwolnił, a ludzie w mieście przez parę tygodni chichotali i szeptali o tym.

– Później sekta Dotknięcie już nigdy nie zatrudniała młodzieży z La Visty, prawda?

– Zgadza się.

Kelnerka przyniosła rachunek. Wyjąłem kartę kredytową. Maimon z kurtuazją podziękował mi i zamówił drugi dzbanek herbaty.

– Jaka była jako mała dziewczynka? – spytałem.

– Pamiętam, że była bardzo ładnym dzieckiem... Jej rude włosy zawsze przyciągały uwagę. Ilekroć przechodziła tędy, bardzo serdecznie się ze mną witała. Sądzę, że problemy zaczęły się dopiero wtedy, gdy skończyła dwanaście lat.

– Jakiego rodzaju problemy?

– Już panu mówiłem. Rozwiążłość. Zaczęła zadawać się ze starszymi od siebie chłopcami... Takimi, którzy jeździli szybkimi samochodami i motocyklami. Przypuszczam, że wymknęła się rodzicom spod kontroli, odesłali ją bowiem do szkoły z internatem. Doskonale pamiętam ów rano, kiedy wyjeżdżała, bo Garlandowi zepsuł się samochód. Odwoził córkę na stację kolejową i jego auto rozkraczyło się na środku drogi, zaledwie kilka metrów od mojego sadu. Zaproponowałem, że ich podwożę, ale oczywiście odmówił. Kazał jej usiąść na walizce i czekać, a sam poszedł po furgonetkę. Nona wyglądała jak smutne małe dziecko, chociaż miała już wtedy przynajmniej czternaście lat. Pomyślałem wówczas, że chyba odebrano jej wszelką radość życia.

– Jak długo przebywała poza La Vistą?

– Rok. Wróciła jako zupełnie inna osoba. Była spokojniejsza, przygaszona, jakby pokorniejsza. Nadal jednak nad wiek rozwinięta seksualnie. W taki prowokujący sposób.

– Co pan ma na myśli?

Zarumienił się i wypił letnią herbatę.

– Pewnego dnia zjawiała się w moim sadzie w szortach i króciutkim podkoszulku. Powiedziała, że słyszała o mojej nowej odmianie bananów i chciała je zobaczyć. Rzeczywiście przywiozłem z Florydy sporo donic z karłowatym cavendishem. Roślinki zrodziły cudowne owoce, które wystawiłem dumnie na miejskim rynku. Zastanawiałem się, dlaczego nagle zainteresowała się ogrodnictwem, i pokazałem jej owoce. Przyjrzała im się pobieżnie i uśmiechnęła się... bardzo zmysłowo. Potem pochyliła się, odsłaniając sporą część swoich piersi, wzięła banana i zaczęła go jeść, hm... w taki lubieżny sposób... – zająknął się. – Proszę mi wybaczyć, doktorze. Mam sześćdziesiąt trzy lata, jestem człowiekiem starej daty i nie potrafię traktować erotyki tak swobodnie, jak to się ostatnio dzieje.

– Wygląda pan znacznie młodziej.

– Dobre geny. – Uśmiechnął się. – Tak czy owak, ta sprawa należy już do historii. Nona dała niezły popis, jedząc banana, uśmiechnęła się do mnie i oświadczyła, że jest pyszny. Oblizała lubieżnie palce, po czym wybiegła na drogę. Spotkanie to wytrąciło mnie z równowagi, ponieważ niby ze mną flirtowała, a jednak w jej oczach dostrzegłem nienawiść. Dziwną mieszaninę seksu i wrogości. Trudno to wyjaśnić. – Przez chwilę pił herbatę, potem spytał: – Czy któraś z tych informacji przyda się panu?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wróciła kelnerka z rachunkiem. Maimon uparł się, że zostawi napiwek.

Wyszliśmy na parking. Noc była chłodna, pachnąca. Prawnik szedł sprężystym krokiem dwudziestolatka.

Jego pojazd był dużym pikapem marki Chevrolet. Na zwykłych oponach.

– Może ma pan ochotę – spytał Maimon, wyjmując kluczyki – obejrzeć mój sad? Pokażę panu, co udało mi się wyhodować.

Wyraźnie miał ochotę na towarzystwo. Prawdopodobnie od dawna nie rozmawiał z nikim tak szczerze.

– Bardzo chętnie. Ale... jeśli zobaczą pana ze mną, nie będzie pan miał kłopotów?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Doktorze, podobno żyjemy w wolnym kraju. Zresztą... mieszkam w odległości kilku kilometrów na południowy wschód od miasta, na podgórzu, gdzie znajduje się większość dużych sadów. Pojedzie pan za mną, a na wypadek, gdybyśmy się rozdzielili, podam panu dokładne wskazówki. Przejedziemy pod autostradą, skęcimy w równoległą do niej nieoznakowaną drogę... Zwolnię przedtem, żeby pan jej nie przeoczył. Przed górami zjedziemy na starą drogę publiczną. Jest zbyt wąska dla samochodów dostawczych i co jakiś czas zalewają ją deszcze, jednak o tej porze roku stanowi dogodny skrót.

Nagle zrozumiałem, że kieruje mnie na drogę, którą zauważyłem na mapie szeryfa. Zapamiętałem, że omija ona miasto. Kiedy spytałem o nią Houtena, mruknął, że została zamknięta przez przedsiębiorstwo naftowe. Czyżby kłamał?

Skręt okazał się całkiem niespodziewany. Ten w żaden sposób nieoznakowany szlak rzeczywiście trudno było uznać za drogę. Był raczej wąską, błotnistą ścieżką, jedną z wielu miedz, przecinających rozległą równinę pól uprawnych. Człowiek nieobeznany z terenem łatwo by go przegapił. Maimon jechał jednak powoli, ja zaś podążałem za jego tylnymi światłami przez oświetlone księżycem truskawkowe pola. Wkrótce odgłosy autostrady zostały daleko za nami. Cicha noc połyskiwała ćmami, które wzlatywały ku gwiazdom, pędząc szaleńczo i beznadziejnie ku ciepłu odległych galaktyk.

Nad nami wznosiły się góry – surowe, olbrzymie, ocienione masy. Pikap Maimona przechylił się niebezpiecznie podczas wjazdu na wzniesienie. Trzymałem się o parę długości samochodu za nim, pograżając się w ciemność tak gęstą, że niemal namacalną.

Wspinaliśmy się tak przez kilka kilometrów, aż w końcu dotarliśmy na płaskowyż. Droga skręciła ostro w prawo. Po lewej znajdował się szeroki kanion otoczony płotem. Nagle wyrosły obok nas wieże w kształcie piramid, szkieletowe, nieruchome. Opuszczone pola naftowe. Maimon wspinał się wyżej, oddalając się od nich.

Przez kilka kilometrów z obu stron nieprzerwanie ciągnęły się plantacje drzew o charakterystycznych, ząbkowanych liściach, które błyszczały na tle aksamitnego nieba. Sądząc po aromacie wypełniającym powietrze, były to cytrusy. Potem minęliśmy ciąg farm, niezbyt okazałych domostw usytuowanych na małych działkach ocienionych przez jawory i dęby. Świeciło się tylko w nielicznych oknach.

Maimon zasygnalizował skręt na sześćdziesiąt metrów przed zjazdem w lewo, wprost w otwartą bramę. Przeczytałem napis: „Rzadkie owoce i nasiona. Sp. z o. o.” Prawnik zatrzymał się przed dwupiętrowym drewnianym domem z szeroką werandą, na której obok dwóch krzeseł siedział labrador. Podbiegł do swojego pana, radośnie się z nim witając. Zupełnie nie był zainteresowany moją obecnością. Gdy Maimon go pogłaskał, labrador wrócił na legowisko na werandzie.

Na tylnej ścianie domu wisiała elektryczna skrzynka rozdzielcza. Maimon otworzył ją, przekręcił włącznik i światła zaczęły się zapalać seriami – niczym wyreżyserowana iluminacja.

Świat, który rozpostarł się przed moimi oczyma, był tak ozdobny i zielony jak malowidła Rousseau. Arcydzieło pod tytułem: „Wariacje na temat zieleni”.

Wszędzie wokół rosły drzewa i inne krzewy. Wiele z nich kwitło, wszystkie zaś ugiwały się pod listowiem. Większe rosły w kontenerach, kilka ukorzeniło się już w żyznej ciemnej glebie. Mniejsze rośliny i sadzonki stały w doniczkach z torfem na stołach osłoniętych kloszami z drucianej siatki. Poza tym w posiadłości Maimona znajdowały się trzy oranżerie pod szkłem.

Prawnik oprowadził mnie po terenie. Rozpoznawałem większość gatunków. Widziałem niezwykle szczepy brzoskwiń, nektarynek, moreli, śliwek, ciepłolubnych jabłek i gruszek. Pod płotem stały donice z drzewkami figowymi. Maimon zerwał dwie figi, podał mi jedną, drugą zaś

wsunął sobie do ust. Nigdy nie przepadałem za surowymi figami, ale ta naprawdę mi smakowała.

– Wspaniała – powiedziałem. – Smakuje jak suszona.

Wyraźnie się ucieszył.

– Odmiana Celeste. Według mnie najsmaczniejsza, chociaż niektórzy wolą Pasquale.

Wędrowaliśmy po sadzie i Maimon z nieukrywaną dumą pokazywał mi swoje najlepsze krzyżówki, czasami zatrzymując się, by zerwać jakiś owoc i dać mi do skosztowania. Jego owoce wcale nie przypominały tych, które znajdowałem na sklepowych półkach – były większe, bardziej soczyste i aromatyczne. Nawet kolor miały intensywniejszy.

W końcu dotarliśmy do okazów egzotycznych. Wiele z nich urzekało podobnymi do orchidei kwiatami, w pięknych odcieniach żółci, różu, szkarłatu i fioletowego różu. Przy każdej grupce roślin stał drewniany znak wbity w ziemię. Na tablicach umieszczono kolorowe fotografie owocu, kwiatu i liścia. Pod główną ilustracją widniały nazwy: botaniczna i pospolita, starannie wykaligrafowane, a poniżej związane z daną odmianą szczegóły geograficzne, ogrodnicze i kulinarne.

Niektóre gatunki kiedyś już spotkałem. Rozpoznałem liczi, niezwykle odmiany mango i papai, nieśpliki japońskie, guajawy i passiflory. Jednak o istnieniu wielu innych nawet nie miałem pojęcia. Były wśród nich sapoty, sączyńce, wiśnie acerola, jujuby, jabotyka, tamaryndy, pomidory drzewne.

Część sadu zajmowały pnącza winogron, kiwi, malin w kolorach od czarnego do złotego. W innym miejscu, porośniętym rzadkimi cytrusami, zobaczyłem pomelo z gatunku Chandler, trzy razy większe od grejpfruta i podobno słodkie jak cukier, krwistoczerwone pomarańcze moro, sanguinelli i tarocco o miąższu i soku barwy burgunda, olbrzymie mandarynki, limekwaty, słodkie limony i cytryny z gatunku Palec Buddy, przypominające ośmiopalczaste ludzkie dłonie.

Oranżerie zawierały szczepy najdelikatniejszych roślinek w kolekcji. Maimon otrzymywał je od młodych podróżników, którzy wyprawiali się w odległe regiony świata w poszukiwaniu nowych gatunków flory. Przez odpowiednią regulację światła, ciepła i wilgotności stworzył mikroklimat, który zapewniał mu sukces. Ożywił się, opisując swoją pracę, zarzucał mnie specjalistycznymi terminami, które cierpliwie tłumaczył.

Połowę ostatniej oranżerii zajmowały sterty starannie opisanych pudełek. Na stole leżała pieczętka, nożyczki, taśma i grube koperty.

– Nasiona – wyjaśnił. – Podstawa działalności mojej firmy. Rozsyłam je po całym świecie.

Przytrzymał otwarte drzwi, a później zaprowadził mnie do kępy małych drzewek.

– Rodzina flaszowcowatych, czyli *annonaceae*. – Rozsunął liście pierwszego drzewka i odsłonił przede mną wielki żółtozielony owoc pokryty kolcami. – *Annona muricata*, czyli kwaśny flaszowiec miękkociernisty, zwany również guanabaną. Te czerwone to *Annona reticulata*, odmiana Lindstroms. O, to drzewko zaowocuje dopiero w sierpniu, słodki flaszowiec łuskowaty, *Annona squamosa*, zwana też cukrowym jabłkiem. Tu mamy inny flaszowiec, odmianę brazylijską, bez nasion. A tamte – wskazał na drzewka ze zwisającymi ku ziemi

eliptycznymi liśćmi – noszą miano flaszowca peruwiańskiego, czyli właśnie czerymoi. Akurat teraz owocuje kilka odmian: Booth, Bonita, Pierce, Biała, Deliciosa.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem liścia. Spód miał meszkowaty. Poczuję zapach podobny do pomarańczy.

– Cudowny aromat, prawda? – Nadal odgarniał gałęzie. – O, tak wygląda ten owoc.

Nie przypominał obiektu marzeń. Był wielki, kulisty, w kształcie serca, bladozielony, usiany wypukłościami, które przywodziły na myśl zieloną szyszkę sosnową. Dotknąłem go ostrożnie.

– Wejźmy do środka. Rozetnę jeden z dojrzałych.

Kuchnia Maimona była duża, stara i wyjątkowo czysta. Lodówka, biały emaliowany zlew, a na podłodze linoleum wypastowane do połysku. Środek pomieszczenia zajmował stół i krzesła z drzewa klonowego. Usiadłem na jednym z nich. Wielki labrador zdążył już wcześniej wejść do środka i leżał, pochrapując, przy piecu.

Maimon otworzył lodówkę, wyjął owoc czerymoi i położył go na stole wraz z dwiema miskami, łyżeczkami i nożem. Dojrzały owoc był pokryty brązowymi cętkami i miękki w dotyku. Prawnik przekroił go na dwie równe części i włożył połówki do misek, skórką do dołu. Miąższ był koloru kremowego i miał konsystencję świeżo zastygniętego budyniu.

– Deser – oświadczył Maimon i nabrał go na łyżeczkę. Poszedłem za jego przykładem. Łyżeczka weszła w owoc, łatwo zatopiła się w nim. Wyjąłem porcję owocowego kremu i włożyłem do ust.

Smak był wprost niewiarygodny, przypominał wiele innych owoców, równocześnie jednak pozostawał niepowtarzalny: słodki, potem cierpki, znów słodki. Zmieniał się niepostrzeżenie na języku, a jednak – niczym najprzedniejsze bakalie – nie przestawał zaskakiwać łagodnością, wyrafinowaniem i aromatem. Ovoc naszpikowany był nasionami – fasolkowatymi i twardymi jak drewno – ale dostarczał takiej rozkoszy podniebieniu, że ta jego niedogodność wydawała się niemal zupełnie nieistotna.

Jedliśmy w milczeniu. Delektowałem się smakiem czerymoi i choć wiedziałem, że złamała serca Swope'om, myśl ta wcale nie psuła mi przyjemności jedzenia. W końcu z owocu pozostała jedynie pusta zielona skorupka.

Maimon jadł powoli i skończył chwilę po mnie.

– Wyborny – oceniłem, kiedy odłożył łyżeczkę. – Gdzie można je kupić?

– Ogólnie rzecz biorąc, w dwóch miejscach. Na latynoskich rynkach są stosunkowo tanie, lecz tam dostanie pan egzemplarze małe i w gorszym gatunku. Jeśli zaś uda się pan do delikatesów, zapłaci pan piętnaście dolarów za dwa spore owoce owinięte w fantazyjną bibułę.

– A zatem hoduje się je na większą skalę?

– Tak, ale tylko w Ameryce Południowej i Hiszpanii. U nas zajmuje się tym zaledwie parę osób, głównie na północy, w okolicy Carpenterii. Tamtejszego klimatu nie sposób nazwać tropikiem, gdyż jest na to zbyt chłodny... ale jednocześnie bardziej umiarkowany niż tutejszy.

– Żadnych przymrozków?

– Do tej pory się nie zdarzyły.

– Piętnaście dolarów... – powiedziałem głośno.

– Tak. Czerymoja nigdy nie będzie naprawdę popularna... Ma zbyt wiele nasion, jest za bardzo galaretowata. No i ludzie nie lubią jadać owoców łyżeczką. Poza tym na razie nie udało się wynaleźć sposobu mechanicznego zapylania, więc uzyskanie owoców jest drogie i bardzo pracochłonne. Niemniej jednak, ten rarytas ma swoich zwolenników. Tak czy owak, popyt przekracza podaż. Gdyby nie psikus losu, Garland zapewne zdobyłby dzięki niemu majątek.

Ręce miałem lepkie od owocu, więc wstałem i poszedłem je umyć w kuchni. Gdy wróciłem do stołu, pies łasił się u stóp Maimona, który gładził jego sierść. Labrador miał zamknięte oczy i mruczał cicho, wyrażając zadowolenie w typowo psi sposób.

Paradoksalnie, sielskość tej sceny zwiększyła mój niepokój. Miałem do siebie żal, że tak długo zabawiłem w sadowniczym raju prawnika, skoro powinienem zrobić tyle innych rzeczy.

– Chciałbym rzucić okiem na farmę Swope'ów. Czy mijaliśmy ją po drodze do pańskiej posiadłości?

– Nie. Swope'owie mieszkają... to znaczy mieszkali jeszcze wyżej. Właściwie nie ma tam już farmy, znajdzie pan tylko działkę ze starym domem. Jest zbyt mała, by można ją było korzystnie sprzedać. Niektórzy z pracujących w mieście ludzi wolą mieszkać tutaj. Mają trochę więcej przestrzeni i szansę dodatkowego zarobku na uprawach sezonowych. Hodują na przykład dynie na Halloween albo melony na rynek azjatycki.

Przypomniałem, jak Houten zdenerwował się, kiedy spytałem, czy pracował na farmie. Wspomniałem o tym Maimonowi.

– Ray miał kiedyś działkę w pobliżu. Uprawiał drzewka iglaste, które sprzedawał handlarzom przed świętami Bożego Narodzenia – powiedział niechętnie.

– Kiedyś?

– Po śmierci córki sprzedał posiadłość pewnej młodej parze i wprowadził się do wynajętego domu oddalonego zaledwie o przecznicę od ratusza.

Przyszła mi do głowy myśl, że może szeryf skłamał, ponieważ chciał mnie zniechęcić do węszenia w okolicy. Postanowiłem dowiedzieć się więcej o człowieku, który uosabiał prawo w La Viście.

– Powiedział, że jego żona umarła na raka. Co się przydarzyło córce?

Prawnik uniósł brwi i przestał głaskać labradora. Pies poruszył się i zaskomlał cicho.

– Popęłniła samobójstwo. Cztery czy pięć lat temu. Powiesiła się na starym dębie na terenie posiadłości.

Odniosłem wrażenie, że o śmierci dziewczyny mówi bez wielkich emocji. Podzieliłem się z nim swoim spostrzeżeniem.

– Hm... To była tragedia – odparł – lecz rzeczywiście mało kogo tak naprawdę zaskoczyła. Zawsze uważałem Marłę za trudne dziecko. Nieładna, ze sporą nadwagą, nieśmiała, bez przyjaciół. Stale tkwiła z nosem w książce. Ilekroć zająłem jej przez ramię, czytała jakąś bajkę.



Nigdy nie widziałem na jej twarzy uśmiechu.

– Ile miała lat, kiedy to się stało?

– Około piętnastu.

A zatem, gdyby żyła, miałaby mniej więcej tyle samo lat, co Nona Swope. Dwie dziewczyny, rówieśniczki... Mieszkały blisko siebie. Spytałem Maimona, czy się przyjaźniły.

– Nie sędzę. Wiem, że w dzieciństwie czasem się ze sobą bawiły, lecz gdy podrosły, wszystko się zmieniło. Marla była typem samotnika, Nona zaś zadawała się z rozwydrzonymi chłopakami. Trudno o bardziej różniące się od siebie istoty.

Przestał głaskać psa. Wstał, posprzątał ze stołu i zabrał się do mycia naczyń.

– Śmierć Marli całkowicie odmieniła Raya – powiedział. Zakręcił wodę i wziął ścierkę do naczyń. – A miasto zmieniło się wraz z nim. Przed jej śmiercią był człowiekiem niezwykle towarzyskim. Lubił wypić, posiłkować się w barze na rękę, opowiadać słone dowcipy. Od chwili, kiedy odcięto zwłoki córki od drzewa, zamknął się w sobie. Nie chciał, żeby go pocieszano. Początkowo ludzie sądzili, że to typowa po stracie bliskiej osoby depresja, z której się w końcu otrząśnie. Niestety, on jest w niej stale pogrążony. – Maimon wytarł miskę aż do połysku. – Od tej pory La Vista zrobiła się jakby posepniejsza. Mieszkańcy czekają, kiedy Ray pozwoli im się uśmiechnąć.

Ten opis doskonale pasował do znanego mi syndromu masowej anhedonii, czyli powszechnego odrzucenia przyjemności. Zastanowiłem się, czy aby nie tu należy szukać klucza do tolerancji Houtena wobec ostentacyjnej abnegacji, z jaką obnosili się członkowie sekty Dotknięcie.

Maimon skończył wycierać naczynia.

Wstałem.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem – że poświęcił mi pan tyle czasu. Stworzył pan tutaj istny raj.

Wyciągnąłem rękę. Uścisnął ją i się uśmiechnął.

– Rozmowa z panem, doktorze, sprawiła mi ogromną przyjemność. Jest pan doskonałym słuchaczem. Pojedzie pan teraz do posiadłości Garlanda?

– Tak. Chcę się trochę rozejrzeć. Wskaże mi pan trasę?

– Proszę pojechać dalej drogą, którą przyjechaliśmy. Minie pan sad awokadowy. Należy do konsorcjum lekarzy z La Jolla, którzy dzięki tej ziemi korzystają z ulg podatkowych. Potem przejedzie pan przez most nad wyschniętym korytem rzeki. Pół kilometra dalej posiadłość Swope'ów pojawi się po lewej stronie.

Powtórnie mu podziękowałem, kiedy odprowadził mnie do drzwi.

– Przejeżdżałem tamtędy kilka dni temu – dorzucił. – Na bramie wisiała kłódka.

– Żaden problem, wspinaczka to moje hobby.

– Nie wątpię. Pamięta pan, co mówiłem o niechęci Garlanda do obcych? Założył na szczycie płotu zwoje drutu kolczastego.

– No to jak się tam dostać?

– Z tyłu domu mam szopę z narzędziami – powiedział po chwili zastanowienia. – Znajdzie pan tam coś odpowiedniego.

Odwrócił się ode mnie. Bez pożegnania wyszedłem z domu.

Narzędzia Maimona były dobrze zakonserwowane, owinięte w pokrowce. Wybrałem ciężkie szczypce do przecinania drutu oraz łom i zaniósłem je do seville'a. Położyłem narzędzia i latarkę wyjętą ze schowka na podłodze samochodu, uruchomiłem silnik i ruszyłem przed siebie.

Zerknąłem do tyłu na jasno oświetlony sad. Ciągle czułem na języku smak czerymoi. Kiedy odjeżdżałem, światła na posiadłości zgasty.

Zebrałem już sporo informacji o Swope'ach, i to z różnych źródeł, jednak dopiero podczas jazdy zacząłem porządkować swoją wiedzę o tej nieszczęsnej rodzinie w jeden logiczny obraz.

Wszyscy tutaj uważali Garlanda za nieprzewidywalnego, podatnego na emocje, a równocześnie skrytego, wręcz wrogiego wobec innych. Beverly i Raoul określili go jednak jako człowieka zadufanego w sobie i do przesady gadatliwego. Nie wydał im się ani małomówny, ani nietowarzystki.

Emma – według powszechnej opinii – wyglądała na kobietę całkowicie zależną od męża, niemal pozbawioną własnej osobowości. Jedynie Augie Valcroix dostrzegł w niej osobę silną i nawet nie wykluczał możliwości, że właśnie ona była inicjatorką porwania.

Na temat Nony chyba wszyscy mieli identyczne zdanie. Była gwałtowna, prowokacyjnie kobieca i zbuntowana.

A Woody? Słodki mały chłopiec. Jakkolwiek na niego spojrzeć, był niewinną ofiarą. Czy tylko się łudziłem, wierząc, że nadal żyje? Czyżbym po prostu nie chciał zaakceptować oczywistej prawdy?

A Matthias i sekta Dotknięcie? Żywiłem wobec nich intuicyjną niechęć, lecz nie miałem żadnego dowodu na poparcie swoich podejrzeń. Odwiedził ich Valcroix. Czy złożył im rzeczywiście tylko jedną wizytę? Wiele razy widziałem, jak zachowywał się w sposób przywodzący na myśl medytacje sekty. Teraz nie żył. Co łączyło ze sobą te sprawy, jeśli w ogóle istniał jakiś związek?

Uderzył mnie też inny szczegół. Matthias twierdził, że sekta kilka razy nabyła nasiona od Swope'a. A przecież Ezra Maimon zaprzeczył, by Garland Swope je sprzedawał. Podobno za bramą jego posiadłości znajdował się jedynie stary dom i puste pole. Dlaczego więc guru Dotknięcia kłamał?

Wiele pytań, na które nie znałem odpowiedzi.

Miałem do czynienia z łamigłówką, której fragmenty były niewłaściwie poukładane. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałem, mój wysiłek nie przynosił efektu.

Przejechałem most nad wyschniętą rzeką i zwolniłem. Błotnista dróżka prowadziła do zardzewiałej żelaznej bramy posiadłości Swope'ów. Brama była niewiele wyższa ode mnie, ale rzeczywiście jej szczyt wieńczył zwój drutu kolczastego. Maimon się nie mylił: na bramie wisiał łańcuch z kłódką.

Podjechałem bardzo blisko do wielkiego eukaliptusa, zaparkowałem seville'a, wyjąłem z bagażnika narzędzia oraz latarkę.

Kłódka wyglądała na zupełnie nową. Prawdopodobnie założył ją Houten. Łańcuch wykonano z pokrytej plastikiem stali. Przez moment opierał się moim szcypcom, potem nagle pękł niczym zbyt długo gotowana kiełbasa. Otworzyłem bramę, prześliznąłem się przez nią, zamknąłem za sobą i jakoś połączyłem przecięte ogniwa, by zamaskować włamanie.

Podjazd był wysypany żwirem i pod moimi nogami wydawał odgłosy przypominające chrupanie płatków śniadaniowych. Latarka oświetliła dwupiętrowy drewniany dom. Na pierwszy rzut oka wydał mi się podobny do siedziby Maimona, z bliska zauważyłem jednak, że budynek osiadł z jednej strony, a drewno w wielu miejscach popękało lub rozszczępiło się. Papa na dachu w wielu miejscach świeciła łysiną i zzieleniała, okna zwisały z zawiasów. Postawiłem nogę na pierwszym stopniu schodów prowadzących na werandę i poczułem, że zmurszałe deski uginają się pod moim ciężarem.

Zahukała sowa. Usłyszałem szum skrzydeł, podniosłem łom i zamachnąłem się na nadlatującego ptaka. Sowa uciekła w panice. Rozległ się przejmujący pisk, potem zapadła cisza.

Frontowe drzwi były zamknięte na klucz. Rozważyłem różne sposoby sforsowania zamka, lecz natychmiast odsunąłem tego rodzaju myśli, poczułem się bowiem jak zwykły włamywacz. Patrząc na zniszczony, zagrzybiony dom, przypomniałem sobie los jego mieszkańców. Wyrządzanie dalszych szkód wydawało mi się niepotrzebnym aktem wandalizmu. Postanowiłem sprawdzić tylne drzwi.

Potknąłem się na luźnej desce, z trudem odzyskując równowagę. Zaledwie zrobiłem kilka kroków, kiedy usłyszałem jakiś dźwięk. Jakby rytmiczne kapanie wody.

Skrzynka rozdzielcza znajdowała się w identycznym punkcie ściany jak u Maimona. Była jednakże zardzewiała i musiałem użyć łomu, by ją podważyć i otworzyć. Wypróbowałem trzy przyciski – ale bez efektu. Dopiero czwarty włączył światła.

Dostrzegłem oranżerię. Wszedłem do niej.

Długie solidne drewniane stoły biegingy wzdłuż całej szklarni. Żarówki, które włączyłem, były przyćmione, błękitnawe. Rzuciły księżycową poświatę na wielkie donice. Pod sufitem dostrzegłem urządzenie służące do otwierania dachu.

Szybko znalazłem źródło kapania. Nad moją głową znajdował się system nawadniający ze staroświeckimi mechanicznymi regulatorami czasowymi.

Maimon mylił się, twierdząc, że za bramą Swope'ów nie znajduje się nic poza pustym polem. W oranżerii było mnóstwo roślin, tyle że nie kwiatów ani nie drzew.

Sad sefardyjskiego prawnika nazwałem rajem. Świątek, do którego trafiłem obecnie, jednoznacznie przywodził na myśl piekło.

Garland Swope wyhodował jakieś botaniczne potworności.

Wokół siebie dostrzegłem setki róż, które w żadnym razie nie nadawały się do bukietów. Ich kwiaty były pomarszczone, wyschnięte, śmiertelnie szare. Każdy miał poszarpane krawędzie, był nieregularny i pokryty warstwą czegoś, co wyglądało jak wilgotne futro. Inne chełpiły się kilkucentymetrowymi kolcami, które zmieniały łodygę w śmiertcionośną broń. Poczułem cierpki, ciepławy, zjełczały zapach.

Obok róż rosło wiele roślin mięsożernych. Muchołówki, dzbaneczniki i inne, których nie potrafiłem zidentyfikować. Nigdy nie widziałem tak wielkich roślin z tych gatunków. Miały otwarte zielone paszcze, z wici sączył się sok. Na stole leżał zardzewiały kuchenny nóż i kawał

wołowiny pociętej w maleńkie kosteczki. Każda cząsteczka upstrzona była setkami larw much. Jedna z mięsolubnych roślin pochylała paszczę tak nisko, że do jej śmiercionośnej słodkiej wydzieliny przylepiło się kilka białych larw. W pobliżu zauważyłem więcej przysmaków dla mięsożerców – puszkę po kawie pełną po brzegi zasuszonych chrząszczy i much. Nagle wydobył się spomiędzy nich żywy insekt ze szczypcami na głowie i nabrzmałym brzuchem. Popatrzył na mnie, zabrzączał i odfrunął. Kiedy wyleciał przez drzwi, podbiegłem do nich i zatrzasnąłem je. Szklana szyba aż zawibrowała.

Przez cały czas słyszałem równomierne odgłosy kapania z rurek nad głową. Aparatura działała bez zastrzeżeń, utrzymując piekielko Swope'ów przy... życiu.

Było mi słabo i kolana się pode mną ugiwały, szedłem jednak dalej. Odkryłem hodowlę oleandrów, których liście starto na proszek i zmagazynowano w słojach. Właściciel tej paskudnej krainy wyraźnie testował zabójczy granulat, bowiem wokół leżały wychudzone, martwe polne myszy. Prawdopodobnie bardzo cierpiały przed śmiercią, bo ich łapki zastygły w niemej prośbie o pomoc. Truchłami zwierzątek Garland nawoził muchomory. Każdy rząd trujących grzybów zaopatrzony był w etykietkę. *Amanita muscaria*. *Boletus miniato-olivaceus*. *Helvella esculenta*.

Rośliny w następnej części oranżerii wyglądały świeżo i ładnie, lecz były równie śmiercionośne: szczywół plamisty, czyli cykuta, naparstnica, lulek czarny, wilcza jagoda. Bluszczowata piękność nazywała się sumak jadowity.

Zauważyłem także drzewka owocowe. Kwaskowato pachnące pomarańcze i cytryny, zbyt mocno przycięte i powykrzywiane. Jabłonka obciążona groteskowo zdeformowanymi guzami udającymi owoce. Krzew granatu oślizgły i śluzowato galaretowaty. Śliwki w kolorze cielistym, stanowiące siedlisko całych kolonii kłębiących się robaków. Sterty owoców gnijące na ziemi.

Krażyłem po tej wstrętnej, odpychającej fabryce koszmarów. Potem nagle moje oko przyciągnęło coś innego.

Tuż przy zewnętrznej ścianie oranżerii w ręcznie malowanej glinianej donicy rośło pojedyncze drzewo. Dobrze ukształtowane, zdrowe i normalne. A ponieważ donica stała na podwyższeniu ponad zabłoconą podłogę oranżerii, wyglądało jak obiekt kultu.

Cudowne, piękne drzewo o eliptycznych liściach i owocach przypominających zielone szyszki sosnowe.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, odetchnąłem z ulgą świeżym powietrzem. Za oranżerią ciągnął się ugór, kończący się przy ciemnej ścianie lasu. Dobre miejsce na kryjówkę. Szedłem wśród sekwoi i jodeł, oświetlając sobie teren latarką. Leśne podłoże było miękkie jak gąbka. Przedemną czmychały małe zwierzęta. Po dwudziestu minutach poszukiwań nie odkryłem ani śladu ludzkiej obecności.

Wróciłem do domu i wyłączyłem oświetlenie oranżerii. Kłódka na tylnych drzwiach przymocowana była do lichej sztaby, która ustąpiła po jednym solidnym uderzeniu łomem.

Wszedłem do pogrążonego w ciemnościach domu przez pomieszczenie gospodarcze, które

prowadziło do wielkiej zimnej kuchni. Elektryczność na pewno już odcięto, a oranżeria musiała być zasilana z osobnego generatora. Widziałem cokolwiek wyłącznie dzięki światłu latarki.

Pokoje na dole były skąpo umeblowane, ściany w wielu miejscach straszły liszajami pleśni, nie zauważyłem też żadnych obrazów ani fotografii. Podłogę salonu pokrywał owalny dywanik, tuż za nim stała sofa i dwa aluminiowe składane krzesła. Jadalnię zamieniono w magazyn starych gazet i wiązek drewna opałowego. Za zasłony służyły kapy z łóżka.

Na górze znajdowały się trzy sypialnie z chybottliwymi szafkami i żelaznymi łózkami. Pokój Woody'ego wyglądał dość przytulnie: przy łóżku stało pudełko z zabawkami, na ścianach wisiały obrazki z bohaterami komiksów, a nad zagłówką wielki plakat klubu San Diego Padres.

Toaletka Nony była gęsto zastawiona perfumami w kryształowych flakonikach z rozpylaczami, buteleczkami odżywek i balsamów. Wśród ubrań w szafie najwięcej było dżinsów i kusych podkoszulków. Znajdowało się też tutaj krótkie królicze futerko w stylu dziwki z hollywoodzkich ulic i dwie falbaniaste suknie wyjściowe: czerwona i biała. Szuflady wypełniały stosy pończoch i bielizny pachnącej perfumowanymi saszetkami. Jednakże – podobnie jak pomieszczenia na dole – pokój Nony był kompletnie pozbawiony jakichkolwiek cech indywidualnych, zupełnie nijaki. Żadnych pamiątek, dzienników, listów miłosnych czy pamiątek. W dolnej szufladzie komody znalazłem zmięty kawałek liniowanej kartki z notesu. Była poślódką ze starości i pokryta – niczym wyznaczona przez nauczyciela kara – setkami wersji tego samego zdania: „Pieprzyć Madronas”.

Sypialnia Garlanda i Emmy wychodziła na oranżerię. Czy małżonkowie po przebudzeniu spoglądali w kierunku piekielnego światła zmutowanych roślin? Czy podniecała ich myśl o własnych „dokonaniach”?

W pokoju stały dwa pojedyncze łóżka oddzielone od siebie nocną szafką. Resztę podłogi zajmowały kartonowe pudła. Niektóre były wypełnione butami, inne ręcznikami i bielizną, w kilku natomiast znalazłem jedynie kolejne kartony. Otworzyłem szafę. Garderoba rodziców była skromniejsza niż ich córki, workowata, sprzed kilku dziesięcioleci, zazwyczaj w odcieniach szarych lub brązowych.

U góry szafy dostrzegłem drzwi na zawiasach. Za zbutwiałym długim płaszczem odkryłem stołek. Wszedłem nań i mocno pchnąłem drzwi. Otworzyły się z pneumatycznym sykiem, a z otworu automatycznie wysunęła się drabinka. Wypróbowałem ją, uznałem, że wytrzyma mój ciężar, i wspiąłem się.

Strych zajmował całą powierzchnię domu, co najmniej dwieście metrów kwadratowych. Zamieniono go w bibliotekę.

Sklejkowe półki na książki zajmowały wszystkie cztery ściany, z takich samych płyt zbito biurko, przed którym stało metalowe składane krzesło. Podłoga zasypała była trocinami. Szukałem innego wejścia na strych, ale niczego takiego nie było. Małe okna, wielkości lufcika, zabito listewkami. Pomyślałem więc, że wszystkie półki biblioteki zbudowano tutaj; wsuwano deski przez drzwi w suficie i zbijano na strychu.

Przesunąłem latarką po tomach, które zapełniały półki. Z wyjątkiem roczników „Reader’s Digest” sprzed trzydziestu lat i gablotki zapchanej egzemplarzami „National Geographic” znalazłem tu jedynie publikacje dotyczące biologii, ogrodnictwa i dziedzin pokrewnych. Setki broszurek Stacji Rolniczej Uniwersytetu Kalifornijskiego (filia w Riverside) oraz biuletynów informacyjnych rządu federalnego. Sterty katalogów wysyłkowych oferujących nasiona. Komplet tomów wielkiej, oprawionej w skórę *Encyklopedii owoców*, wydanej w Anglii w 1879 roku i ręcznie ilustrowanej kolorowymi litografiami. Dziesiątki rozpraw uniwersyteckich na temat patologii roślin, biologii gleby, leśnictwa, inżynierii genetycznej. Przewodnik turysty pieszego po parkach Kalifornii z indeksem drzew. Dzieła Johna Audubona, który opisał ptaki Ameryki Północnej. Kopie patentów przyznawanych wynalazcom narzędzi rolniczych.

Cztery półki stojącej najbliżej biurka biblioteczki były dokładnie zapełnione niebieskimi segregatorami oznaczonymi etykietkami z liczbami rzymskimi. Wyjąłem pierwszy.

Na okładce przeczytałem: „Rok 1965”. Wewnątrz znajdowały się osiemdziesiąt trzy kartki z odręcznie pisanym tekstem. Litery trudno było odszyfrować: ścieśnione, pochylone, o nierównej intensywności koloru. Trzymałem latarkę w jednej ręce, drugą zaś przewracałem strony i w końcu uświadomiłem sobie, co mam przed sobą.

Rozdział pierwszy stanowił streszczenie planu Garlanda Swope’a, jak zostać królem czerymoi. Dosłownie użył tego określenia, mało tego... nagryzmolił nawet miniaturowe korony na marginesach książki. Sporo miejsca poświęcił właściwościom owocu i jego wartości odżywczej. Fragment ten kończył się listą przymiotników, których zamierzał używać w rozmowach z potencjalnymi kupcami czerymoi. Soczysta. Pikantna. Smakowita. Odświeżająca. Niebiańska. Nadnaturalna. Owoc z innego świata.

Reszta pierwszego tomu i dziewięć następnych składało się na opisy w tym samym stylu. Przez dziesięć lat Swope napisał osiemset dwadzieścia siedem stron tekstu pochwalnego na temat czerymoi. Rejestrował w nim proces dojrzewania każdego drzewka ze swojego młodego gaju i planował, jak kontrolować rynek „Bogactwo? Sława? Co jest najważniejsze?”

W jedną z książek wszył projekt broszurki reklamowej, stanowiącej wielki pean ku czci czerymoi, zilustrowanej kolorowymi fotografiami. Na jednym ze zdjęć Swope stał z koszem egzotycznych owoców. Jako młody człowiek przypominał Clarka Gable’a, był wysoki, silny, miał ciemne falujące włosy i niewielki wąsik. Podpis głosił, że jest światowej sławy ogrodnikiem, odkrywcą rzadkich roślin, dążącym do rozwiązania problemu głodu na świecie.

Czytałem dalej. Przed moimi oczyma pojawiły się szczegółowe opisy eksperymentów związanych z krzyżowaniem odmian czerymoi i innych przedstawicieli gatunku *annonaccae*. Swope starannie rejestrował wszelkie ich właściwości klimatyczne i biochemiczne. W końcu zrezygnował z tych badań, pisząc: „Żadna hybryda nie zbliży się do doskonałości, którą jest *annona cherimoya*”.

Optymizm Swope’a znacznie osłabł w tomie dziesiątym, gdzie znalazłem między innymi wycinki prasowe informujące o niezwykłym przymrozku, który zdziesiątkował czerymojoy

sad. Przejrzałem wycięte z gazet San Diego opisy szkód, jakie rozmaitym uprawom poczyniły lodowate wiatry, a także przewidywania dotyczące zwyczajów cen żywności. W dzienniku La Visty „Clarion” wydrukowano żalobny w wymowie artykuł na temat tragedii Swope’ów. Następne dwadzieścia stron wypełniały chaotyczne, niecenzuralne bazgroły ołówkiem. Swope pisał z taką siłą, że miejscami poprzecinał papier.

Potem pojawiły się informacje związane z nowym eksperymentem.

Odwracając kolejne strony, odkryłem fascynację Garlanda Swope’a. Dotyczyła deformacji, poronień, śmiertelności. Pojawiły się notatki na temat mutacji i nie do końca przemyślane hipotezy dotyczące jej ekologicznej wartości. W połowie tomu jedenastego Swope znalazł odpowiedź na swoje pytania: „Mutacje przeciwnych sobie gatunków w pełni świadczą o nienawiści Stwórcy do całego świata”.

To, co Swope pisał, stawało się coraz mniej spójne. Czasami litery były tak ściśnięte, że aż nieczytelne, lecz większość tekstu zrozumiałem. Miałem przed sobą podsumowanie wyników eksperymentów z truciznami, przeprowadzonych na myszach, gołębiach i wróblach, dane na temat selekcji zdeformowanych owoców w celu podtrzymania genetycznej mutacji, opisy wybierania egzemplarzy wadliwych z normalnej hodowli i pielęgnowania ich. Garland Swope dokładnie opisał cały powolny, wymagający cierpliwości i metodyczności proces, który doprowadził do koszmaru, którego byłem świadkiem w oranżerii.

Nagle zauważyłem, że w zwichrowanym umyśle Swope’a dokonał się następny zwrot. W pierwszym rozdziale tomu dwunastego porzucił chorobliwe obsesje i wrócił do pracy nad *annonaceae*, skupiając się na gatunku, o którym Maimon nie wspomniał: *annona zingiber*. Przeprowadził serię eksperymentów związanych z zapyleniem i starannie je odnotował, wymieniając datę i dokładną porę każdego z nich. Wkrótce jednak prawdopodobnie przerwał owe badania, w segregatorze pojawiły się bowiem relacje z pracy nad trującymi muchomorami, naparstnicami i diffenbachiami. Swope położył nacisk na neurotoksyczne właściwości tych ostatnich i nawet dodał przypis z ich pospolitą nazwą „otępiająca trzcina”, która jakoby pochodzi od trującego soku roślin powodującego paraliż strun głosowych.

Te ciągle zmiany zainteresowań Swope’a z mutacji na nowe *annonaceae* i z powrotem zajmowały także środek trzynastego tomu i tom piętnasty.

W tomie czternastym notatki ponownie przybrały optymistyczny ton. Swope cieszył się, że stworzył „nową odmianę”. Później – równie nagle, jak się pojawiła – *annona zingiber* zniknęła. Swope odrzucił ją, ponieważ uznał, że „choć wykazuje niezły potencjał ogrodniczy, brakuje jej dalszej użyteczności”. Poczuję się zmęczony, więc tylko pobieżnie przejrzałem kolejne sto stron tego szaleństwa i odłożyłem segregatory.

Biblioteka zawierała oczywiście również wiele książek na temat rzadkich owoców. Wśród woluminów dostrzegłem wiele unikatowych, azjatyckich wydań. Przewertowałem wszystkie, lecz nie zdołałem znaleźć najmniejszej nawet wzmianki o *annonaceae zingiber*. Zaintrygowany, przez chwilę przeszukiwałem pozostałe półki, aż zdjąłem stosowne dzieło – grube, zniszczone



tomisko zatytułowane: *Taksonomia botaniczna*.

Odpowiedź znajdowała się na końcu książki. Minęło kilka minut, zanim pojąłem pełne znaczenie przeczytanych właśnie słów, aż odkryłem niewypowiedziany, lecz boleśnie logiczny wniosek.

Niemal zeszytniałem z napięcia, pot spływał mi po plecach, serce łomotało, oddech był coraz szybszy. To pomieszczenie to prawdziwe siedlisko zła. Musiałem z niego natychmiast wyjść!

Pospiesznie zebrałem niebieskie segregatory i umieściłem w kartonowym pudle, które wraz z moimi narzędziami zniosłem po drabinie do sypialni. Później szaleńczo, chwiejąc się na nogach, zbiegłem na oślep po schodach. Kilkoma krokami przemierzyłem lodowaty salon.

Trochę szamotałem się z zamkiem przy frontowych drzwiach, zanim wreszcie zdołałem je otworzyć. Stałem na zbutwiałym ganku, póki nie odzyskałem oddechu.

Powitała mnie cisza, potworna w swym milczeniu. Nigdy nie czułem się tak przeraźliwie samotny.

Uciekłem, nie odwracając się za siebie.

Wcześniej – podobnie jak większość osób – odrzuciłem podejrzenia Raoula, jakoby Woody’ego Swope’a uprowadzili członkowie sekty Dotknięcie. Teraz nie byłem już tego taki pewien.

W ogrodach Ustronia nie dostrzegłem żadnych odbiegających od normy roślin, zatem Matthias okłamał mnie, mówiąc, że kupował nasiona od Swope’ów. Z pozoru kłamstwo wydawało się mało znaczące i bezcelowe. Wiedziałem jednakże, że ludzie kłamią często po to, by odciągnąć czyjąś uwagę od innych spraw. Może guru wymyślił powód spotkań przedstawicieli jego sekty z małżeństwem Swope’ów, gdyż pragnął ukryć łączący ich głębszy związek?

Rozmyślałem nad tym oszustwem. Rozważałem też szczegóły swojej pierwszej wizyty w Ustroniu, która – z perspektywy czasu – wydała mi się podejrzenie dobrze wyreżyserowana. Uznałem, że Matthias zbyt łatwo przystał na moje odwiedziny w siedzibie sekty, a w trakcie rozmowy był za bardzo uległy i skłonny do współpracy. Jak na tak hermetyczną sektę, Dotknięcie i jego przywódca okazali się wyjątkowo chętni do współpracy, skoro zezwolili całkowicie obcej osobie, czyli mnie, szwendać się po całym terenie.

Czy oznaczało to, że sekta nie ma nic do ukrycia? A może raczej tak dobrze ukryli swój sekret, że jego odkrycie uważali za niemożliwe?

Pomyślałem o Woodym. Może mimo wszystko chłopiec nadal żył? Jednak... jak długo pożyje? Zżerała go choroba i w każdej chwili mogło stać się to najgorsze.

Tak czy owak, jeśli Matthias rzeczywiście ukrył chłopca gdzieś na swoim terenie, szansą na odnalezienie dziecka była tylko mniej oficjalna wizyta.

Pamiętałem drogę, którą Houten jechał do Ustronia. Skręcił w prawo na rozwidleniu tuż za rogatkami La Visty. Ponieważ nie chciałem, by ktokolwiek mnie zobaczył, musiałem wybrać inny szlak. Skupiłem się, przypominając sobie mapę hrabstwa. O ile się nie myliłem, jechałem teraz ścieżką prostopadłą do tamtej drogi. Przyspieszyłem, jadąc ze zgaszonymi światłami, i wkrótce znalazłem się nieopodal bramy dawnego klasztoru.

Ukryłem seville’a pod wysokimi drzewami i ruszyłem do wejścia. Nożyce do cięcia drutu miałem za pasem, latarkę w kieszeni kurtki, łom – w rękawie. Podczas burzy z piorunami nie miałbym szans.

Moja nadzieja na to, że uda mi się wejść ukradkiem, rozviała się na widok członka sekty patrolującego teren za bramą. Jego biała szata wyraźnie była widoczna w ciemnościach; luźny strój falował, gdy mężczyzna chodził w tę i z powrotem. U pasa miał zawieszoną skórzaną saszetkę.

Zrozumiałem, że zaszedłem już za daleko i nie mogę zawrócić. Nie miałem wyboru. Ostrożnie ruszyłem przed siebie. Po bliższych oględzinach stwierdziłem, że strażnikiem jest braciszek Baron, dawniejszy Barry Graffius. Bardzo mnie to ucieszyło. Nie mam gwałtownego

usposobienia i zaczynałem już odczuwać wyrzuty sumienia na myśl, że muszę użyć siły. Jednakże Graffius w pełni zasłużył sobie na lanie.

Podkradłem się. Przez gałęzie krzaków widziałem, jak Baron kontynuuje swoją wędrówkę. W pewnym momencie zatrzymał się, zmuszając mnie do działania. Wydałem z siebie cichy syk. Baron drgnął, odwrócił się, szukając źródła dźwięku. Później podszedł do bramy i wyrzwał za nią, wężąc niczym pies gończy.

Wstrzymałem oddech, a on podjął przerwany spacer. Po chwili zrobił kolejną przerwę, tym razem obliczoną na zidentyfikowanie niepokojącego dźwięku... Znowu syknąłem.

Baron sięgnął pod bluzę i wyjął pistolet. Zrobił krok do przodu i wycelował broń w moim kierunku.

Poczekalem, aż zastygł w miejscu, i ponownie syknąłem. Tym razem zaklął głośno i przycisnął brzuch do żelaznych sztab bramy. Dostrzegłem jego oczy – wytrzeszczone w nerwowej niepewności. Wciąż mierzył z pistoletu.

Kiedy lufa odsunęła się ode mnie, dopadłem bramy, wsunąłem rękę, złapałem za broń i szarpnąłem ku sobie. Pociągnąłem tak mocno, że Baron krzyknął z bólu i wypuścił pistolet. Uderzyłem go pięścią w splot słoneczny, a kiedy jęknął, zastosowałem sztuczkę, której nauczyłem się od Jaroslava. Złapałem przeciwnika za szyję, odszukałem właściwe miejsce i ucisnąłem aortę, odcinając na moment dopływ krwi.

Po chwili Baron zrobił się bezwładny i zemdłał. Ostrożnie opuściłem go na ziemię. Przetoczyłem go na bok i otworzyłem saszetkę. Wyłowiłem z niej torebkę odświeżających cukierków miętowych, woreczek pestek słonecznikowych i kółko z kluczami.

Zabrałem klucze i otworzyłem nimi bramę. Schowałem narzędzia i pistolet, wszedłem do środka, a następnie zamknąłem bramę na klucz.

Zdjęcie ubrania z Barona okazało się trudniejsze, niż sądziłem. Wykorzystałem części jego garderoby do związania mu rąk i nóg. Kiedy skończyłem, ciężko dyszałem z wysiłku. Upewniwszy się, że mój więzień może oddychać przez nos, zakneblowałem mu usta jego własną skarpetą.

Wiedziałem, że wkrótce odzyska przytomność. Ponieważ nie chciałem, by został odkryty, chwyciłem go pod ramiona, zaciągnąłem między sukulenty i położyłem między dwiema sekwojami.

Zebrawszy narzędzia i broń, rozpocząłem wędrówkę do Ustronia.

Błado-bursztynowe światło połyskiwało nad drzwiami świątyni, natomiast krucyfiks ponad dzwonnica wydawał się płonąć. Teren patrolowało dwóch mężczyzn z sekty. Przed wejściem pojawiali się co dziesięć minut.

Zmarnowałem trochę czasu, przechodząc przez wiadukt, ponieważ – żeby mnie nie zauważyli – często kucąłem lub kryłem się za jego kolumnami. W ścianie po prawej stronie głównego budynku znajdowała się półkolista brama. W odpowiedniej chwili podbiegłem do niej. Nie była zamknięta na klucz, więc szybko się przez nią przedostałem.

Znalazłem się na jednym z wielu dziedzińców, które zauważyłem podczas mojej pierwszej wizyty – trawiastym prostokącie obrzeżonym z trzech stron żywopłotem, z czwartej natomiast kościelnym murem. Na drugim końcu trawnika stał kamienny zegar słoneczny.

Okna kościoła zakryto zasłonami, ale z jednego padało trochę światła na trawę. Postanowiłem przez nie zajrzeć, lecz okno znajdowało się zbyt wysoko, a na otynkowanych ścianach nie dostrzegłem występow, na których mógłbym oprzeć stopy.

Szukałem jakiegoś podwyższenia, ale zauważyłem jedynie zegar słoneczny. Był z litego kamienia i wydał mi się zbyt ciężki do podniesienia. W dodatku jego podstawę obrośły korzenie. Kołysząc nim w tył i w przód, zdołałem go jednak jakoś oderwać od ziemi. Z wysiłkiem podtoczyłem go do okna, wspiąłem się na niego i zajrzałem przez szparę w brokatowej zasłonie.

Ogromne zwieńczone kopułą pomieszczenie było jasno oświetlone. Ściany zdobiły biblijne malowidła – tak jaskrawe, że aż trywialne. Pośrodku sali na grubym miękkim materacu siedział po turecku nagi Matthias. Miał białe ciało i był chudy jak fakir. Pod ścianami leżały inne materace. Siedzieli na nich w kucki członkowie sekty, całkowicie ubrani, mężczyźni po lewej, kobiety po prawej stronie.

Sosnowy stół, który widziałem w środku pomieszczenia podczas swojej pierwszej wizyty, znajdował się teraz za guru. Stał przy nim czarnobrody wielkolud, którego spotkałem w winnicy. Na stole dostrzegłem szereg czerwonych porcelanowych misek. Byłem ciekaw ich zawartości.

Matthias medytował.

Trzódka czekała cierpliwie w milczeniu, aż ich przywódca wróci ze swojego wewnętrznego świata. Na razie oczy miał zamknięte, dłonie mocno ściśnięte. W miarę jak się kołysał i mruczał, penis zaczął mu twardnieć i wznosić się. Pozostali patrzyli na nabrzmiewający organ niczym na świętość. Przy pełnym wzwodzie guru otworzył oczy i wstał.

Gładząc członek, władczo przyjrzał się swoim wyznawcom. Miał bardzo zadowoloną minę.

– Niech się zacznie Dotknięcie! – zagrzmiął niskim metalicznym głosem.

W tym momencie podniosła się jakaś kobieta. Była niską korpulentną blondynką po czterdziestce. Z wdziękiem podeszła do stołu. Czarnobrody wsunął złotą słomkę w jedną z mis. Kobieta schyliła się, włożyła słomkę do nosa i wciągnęła przez nią proszek.

Kokaina musiała być wysokiej jakości, szybko bowiem zadziałała. Kobieta uśmiechnęła się, zachichotała i wykonała kilka tanecznych obrotów.

– Magdalene! – przywołał ją do porządku Matthias. Podeszła do niego, zdjęła ubranie i stanęła naga przed swoim mistrzem. Ciało miała różowe i pulchne, pośladki jasne, upstrzone piegami. Uklękła i wzięła członek mężczyzny do ust. Lizała go i lekko gryzła. Jej piersi podskakiwały przy każdym ruchu. Matthiasowi zadrżały nogi, a z rozkoszy aż zacisnął zęby. Przez kilka minut kobieta kontynuowała „posługę” (podczas gdy inni to obserwowali), aż w końcu przywódca odsunął jej głowę i kazał odejść.

Wstała, przeszła na lewą stronę i stanęła przed mężczyznami z opuszczonymi wzdłuż bioder rękoma. Wyglądała na całkowicie spokojną.

Guru wymówił następne imię.

– Luther.

Niski mężczyzna, łysy i zgarbiony, z gęstą siwą brodą, wstał i się rozebrał. Po komendzie podszedł do stołu i przyjął od wielkoluda rytualny niuch kokainy. Kolejne polecenie przywódcy spowodowało brodacza i korpulentną blondynkę na środek sali. Kobieta opadła na kolana, przez chwilę intensywnie podniecała mężczyznę, później ułożyła się na plecach, natomiast jej partner legł na niej. Rozpoczęli szaleńczą kopulację.

Następna kobieta poszła po narkotyk, po czym uklękła przed guru. Była wysoka, chuda, o latynoskich rysach. Do pary trafił jej się mocno zbudowany rumiany okularnik, który wyglądał na dawnego księgowego. Miał niezwykle mały penis i kanciasta kobieta niemal pochłaniała go w całości, gdy energicznie starała się go pobudzić. Wkrótce tych dwoje przyłączyło się do pierwszej pary w horyzontalnym tańcu na podłodze kościoła.

Trzecią kobietą była Delilah. Jej ciało okazało się nadzwyczaj młodzieńcze, gibkie i jędrne. Matthias zatrzymał ją przy sobie dłużej niż jej dwie poprzedniczki i cztery następne kobiety razem wzięte. Wszystkie służyły mu niczym trutnie królowej pszczół. W końcu zwalniał je i przydzielał im partnerów.

W ciągu dwudziestu minut każda osoba w pomieszczeniu otrzymała porcję kokainy z wielkiej miski. Ludzie wracali po drugą i trzecią dawkę, zawsze na polecenie Matthiasa. Gdy zawartość pierwszej miski się wyczerpała, wielkolud po prostu wsunął słomkę w drugą.

Na miękkich matach wiła się masa ciał. Orgia była w pewnym sensie całkowicie aseksualna, zdecydowanie brakowało jej spontaniczności, wydawała się bezmyślnie rytualna, skodyfikowana, wyreżyserowana i zależna od kaprysów jednego megalomana. Na kiwnięcie głowy swojego guru członkowie sekty kładli się na ziemi i kopulowali. Na zmarszczenie jego brwi wszyscy podnosili się i jęczeli. Nie mogłem się powstrzymać przed natrętnym wspomnieniem – przypomniały mi się larwy myszkujące na ślepo w mięsie na stole oranżerii Garlanda Swope'a.

Wśród wyznawców podniósł się ryk. Matthias miał wytrysk. Kobiety natychmiast podbiegły i zaczęły zlizywać jego spernę. Przywódca leżał zaspokojony na plecach, lecz pod wpływem kobiecych zabiegów jego członek ponownie stwardniał. Pomyślałem, że teraz orgia rozpocznie się od nowa.

Widziałem wystarczająco dużo. Zeskoczyłem z zegara słonecznego i ruszyłem cicho do bramy. Z prawej strony zbliżało się dwóch wartowników. Obaj mieli rude brody, groźne miny i maszerowali równomiernym, defiladowym krokiem. Cofnąłem się w cień i poczekałem, aż przejdą. Gdy w końcu skręcili za rogiem, przebiegłem dziedziniec i popędziłem do wzmocnionych stalowymi sztabami drzwi. Pociągnąłem je, uchyliłem trochę i zajrzałem do środka. Wejście nie było strzeżone. Zza drzwi sanktuarium dotarły do mnie dźwięki stłumionych szeptów i rytmicznego uderzania ciała o ciało.

Po lewej stronie miałem ślepy korytarzyk z biurem Matthiasa, pobiegłem więc na prawo, z pośpiechu potykając się o doniczkę z palmą. Korytarz był pusty, jasny. Poczułem się bezbronny,

wystawiony na niebezpieczeństwo niczym ćma na lodówce. Jeśli mnie odkryją, zginę; widziałem przecież kokainową melinę. Nie miałem pojęcia, ile czasu jeszcze potrwa orgia ani kiedy wartownicy mają zmianę. Musiałem się śpieszyć.

Przetrzęsnałem pralnię, kuchnię, bibliotekę wspólnoty, poszukując ukrytych tuneli, fałszywych ścian, sekretnych schodów. Bez skutku.

Za pomocą uniwersalnego klucza, który znalazłem na kółku przy Graffiusie, przeprowadzałem rewizje wszystkich pomieszczeń. W pewnym momencie, gdy dostrzegłem ruch pod pościelą na jednym z łóżek, przez chwilę pomyślałem, że moje poszukiwania dobiegły końca. Niestety okazało się, że był to dorosły mężczyzna, owłosiony, tusty, o plamiastej twarzy, z czerwonym nosem i otwartymi ustami. Jeden z członków sekty był przeziębiony i został sobie pospać. Mężczyzna poruszył się pod wpływem światła mojej latarki, pierdnął i przewrócił się na drugi bok. Wyszedłem cicho.

Następny pokój należał do Delilah. Aktorka zatrzymała niektóre ze starych recenzji i wycinków prasowych na dnie szuflady wypełnionej gładką bawełnianą bielizną. Poza tym jej sypialnia była równie nijaka jak pomieszczenia innych przedstawicieli Dotknięcia.

Chodziłem od pokoju do pokoju. Sprawdziłem jeszcze wiele pomieszczeń, zanim doszedłem do tego, które zapamiętałem jako pokój Matthiasa.

Do zamka nie pasował żaden z wiszących na kółku kluczy. Użyłem łomu. Zasuwa nie poddawała się i musiałem wyłamać drzwi.

Pomyślałem, że ktoś przechodzący obok mógłby zauważyć poczynione przeze mnie szkody. Szybko wśliznąłem się do środka, spięty, zdenerwowany.

Pomieszczenie różniło się od innych jedynie małą biblioteczką.

Niski sufit. Ściany i podłoga z kamienia. Twarde wąskie łóżko przykryte zwykłym szarym kocem.

Skromne mieszkanie człowieka, który porzucił rozkosze cielesne dla przyjemności duchowych.

Ascetyczne... I przeraźliwie fałszywe.

Matthiasa z pewnością nie można było nazwać człowiekiem uduchowionym. To określenie zupełnie do niego nie pasowało. Zaledwie kilka minut temu obserwowałem, jak bezcześcił kościół, otumaniony koką, zimny niczym Lucyfer. Nagle wydało mi się, że książki z jego półek gapią się na mnie kpiąco. Mądre cenne książki poświęcone religii, filozofii, etyce, moralności.

Dzięki książkom już raz dziś odkryłem niezwykle sekrety. Być może powtórnie ułatwią mi odkrycie tajemnic.

Z wściekłością opróżniałem półki. Badałem każdy tom, otwierałem, potrząsałem, szukałem fałszywych grzbietów i notatek na marginesach, sprawdzałem grubość stronic.

Nie znalazłem niczego. Książki wyglądały jak nowe, okładki miały sztywne, stronicie świeże, niepoplamione.

Ani jedna nie została przeczytana.

Pusta biblioteczka zachwiała się i przesunęła na podstawie. Chwyciłem ją, zanim upadła. I wtedy coś zauważyłem.

Część podłogi pod nią była wyraźnie jaśniejsza od reszty. Ukłęknałem, oświetliłem latarką i obmacałem krawędzie. Wycięte w kamieniu. Pchnąłem. Prostokąt lekko się poruszył.

Musiałem nieco poeksperymentować, aby znaleźć właściwy punkt oparcia. Stałem na jednym rogu prostokąta i płyta uniosła się na tyle, że zdołałem wsunąć łom w szparę. Odsunąłem płytę na bok.

Otwór miał około pięćdziesięciu centymetrów długości, trzydzieści szerokości, metr dwadzieścia głębokości i był obetonowany. Zbyt mały, by zmieścić tam ciało. Jednakże... wystarczająco obszerny na tajny schowek.

Znalazłem w nim mnóstwo obciążających sekte dowodów. Podwójne plastikowe torebki wypełnione proszkami w odcieniach wanilii (śnieżna kokaina) i jasnej czekolady; tę drugą substancję rozpoznałem jako meksykańską heroinę. Metalowa kasa ogniotrwała pełna lepkiej, ciemnej substancji – czyste opium. Wiele kilogramów haszyszu w owiniętych folią kostkach.

A na samym dnie schowka leżała szara teczka.

Otworzyłem ją, przeczytałem to, co zawierała, i wsunąłem sobie pod koszulę. Wyłączyłem latarkę, otworzyłem drzwi, wyjrzałem na korytarz. Usłyszałem głosy. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi. Popędziłem do nich, najszybciej jak mogłem, i wybiegłem na zewnątrz. Od gwałtownego wysiłku czułem klucie w piersiach.

Członkowie sekty opuszczali sanktuarium. Większość nadal była naga. Niedostrzeżony przez nikogo pobiegłem do fontanny i ukryłem się pod dębami. Matthias wyszedł otoczony przez kobiety. Jedna wycierała mu czoło. Druga, Maria – starsza kobieta o dobrotliwej twarzy, którą spotkaliśmy przy wejściu w dzień mojej pierwszej wizyty – masowała mu szyję i pieściła jego penis. Guru, wyraźnie nie zwracając uwagi na te posługi, poprowadził ludzi na trawnik i kazał im tam usiąść. Dzielilo mnie od nich najwyżej dziesięć metrów.

Przywódca sekty spojrział na gwiazdy. Potem zamknął oczy i zaczął coś nucić. Pozostali szybko się do niego przyłączyli. Były to dźwięki bez żadnej melodii, istic pogańskie wycie. Kiedy osiągnęli crescendo, pędem ruszyłem do wiaduktu i przebiegłem go, kierując się wprost do bramy.

Graffius leżał kilka metrów od miejsca, gdzie go położyłem. Zapewne od długiego czasu wił się niczym robak, starając się uwolnić z więzów. Kiedy stwierdziłem, że oddycha swobodnie, opuściłem to miejsce.

Co prawda nie znalazłem tego, czego szukałem, ale dzięki dziennikowi Garlanda Swope'a i kopercie zabranej z pokoju Matthiasa miałem sporo dowodów i informacji. Bez wątpienia naruszyłem prawo, włamując się do ich domów, lecz zdobyte materiały mogły bardzo dopomóc w śledztwie.

Było tuż po drugiej w nocy, kiedy usiadłem za kierownicą seville'a. Nadmiar adrenaliny sprawił, że zmysły miałem nadmiernie wyostrzone. Uruchomiłem silnik i w myślach opracowałem plan działania. Zdecydowałem, że dojadę do Oceanside, znajdę telefon i porozmawiam z Milem albo, jeśli przebywa jeszcze w Waszyngtonie, z Delem Hardym. Któryś z nich zawiadomi odpowiedni wydział i policja jeszcze przed świtem przystąpi do akcji.

Uznałem, że teraz powinienem unikać ludzi z La Visty. Ruszyłem w ciemność, skręcając w kierunku drogi publicznej. Minałem posiadłość Swope'ów, sad Maimona, gospodarstwa i gaje cytrusowe. Gdy dotarłem do płaskowyżu, dostrzegłem jakiś samochód.

Właściwie najpierw go usłyszałem, bowiem reflektory, podobnie jak mój seville, miał wyłączone. Księżyc wszakże świecił tak jasno, że z daleka rozpoznałem markę. Późny model corvetty, ciemny lakier, możliwe, że całkowicie czarny. Podrasowany silnik. Tylny spoiler. Błyszczące felgi.

Zareagowałem jednak dopiero wtedy, gdy zauważyłem szerokie opony.

Corvetta skręciła w lewo. Ruszyłem za nią, pozostając dostatecznie daleko, by jej kierowca mnie nie usłyszał, lecz starając się nie stracić z oczu ciemnego nadwozia. Osoba siedząca za kółkiem musiała świetnie znać drogę, pędziła bowiem niczym nastoletni amator przejażdżek kradzionymi samochodami, prawie nie hamując na zakrętach i przyspieszając na prostej z rykiem, który sugerował dociśnięcie pedału gazu do dechy.

Droga skręciła w błoto. Corvetta radziła tu sobie tak dobrze jak samochód terenowy. Seville zaczął się ślizgać, lecz postanowiłem nie odpuścić. Samochód przede mną zwolnił nieco przy zamkniętym wjeździe na pola naftowe, później skręcił ostro i pojechał wzdłuż płaskiego kanionu. Tutaj jeszcze przyspieszył i pędził dalej, trzymając się blisko płotu, na który rzucał nikły cień.

Opuszczone pola naftowe ciągnęły się przez kilka kilometrów. Zdewastowany teren przypominał powierzchnię księżyca. Wypełnione breją kraterzy dziurawiły ziemię. W hałdach błotnistej ziemi tkwiły wraki traktorów i furgonetek. Nagle wystrzeliły w górę rzędy uspionych na zawsze szybów wiertniczych – ich kratowane wieże na tle nocnego nieba przypominały wieżowce.

Corvetta to pojawiała się, to znikwała mi z oczu. W płocie o rombowym wzorze dostrzegłem dziurę wielkości samochodu. Jak gdyby ogrodzenie zostało rozcięte gigantycznymi nożycami. Ślady opon złościły błoto.

Przejechałem, zatrzymałem się za pordezwiąłym dźwigiem, wysiadłem i rozejrzałem się dookoła.



Opony corvetty zostawiły szeroki ślad niczym czołg, znacząc trasę w korytarzu beczek na ropę, ustawionych jedna na drugiej. Śmierdziało smołą i spaloną gumą.

Korytarz kończył się na polanie. Na środku otwartej przestrzeni ujrzałem starą przyczepę ustawioną na klockach. W okienku zasłoniętym firankami widać było światło. Drzwi wykonano z ozdobnej sklejki. Kilka kroków dalej stało lśniące czarne auto.

Otworzyły się drzwiczki samochodu. Cofnąłem się i przycisnąłem płasko do beczek. Z corvetty wysiadł mężczyzna o muskularnych ramionach. Niósł bez wysiłku cztery wielkie torby z zakupami, Na kciuku zawiesił kluczyki od samochodu. Zbliżył się do przyczepy, zastukał raz, trzy razy, potem jeszcze raz i wszedł do środka.

Przebywał w przyczepie przez pół godziny, po czym opuścił ją z toporkiem w rękę. Położył go z przodu corvetty na fotelu pasażera, obszedł samochód i usiadł za kierownicą.

Po jego odjeździe odczekałem jeszcze dziesięć minut, później podszedłem do drzwi i zastukałem w podpatrzony sposób – raz, trzy razy, znowu raz. Cisza. Powtórzyłem więc serię stuknięć. Drzwi się otworzyły. Ujrzałem przed sobą szeroko rozstawione ciemne oczy.

– Wracasz tak prędko... – Zaskoczona próbowała zatrzasać mi drzwi przed nosem, lecz wsunąłem w szpary stopę i pchnąłem je mocno. Kiedy wszedłem do środka, dziewczyna się cofnęła. – To pan?! – Miała dzikie oczy i była naprawdę piękna. Włosy ognistego koloru związała i upięła w kok, ale kilka luźnych kosmyków opadło na długą, smukłą niczym u gazeli szyję. Dwie cienkie obręcze przebijały każde ucho. Była w szortach i białej bluzeczce, sięgającej jedynie do talii. Brzuch miała opalony i płaski, nogi gładkie i długie, stopy – gołe. Paznokcie rąk i nóg pokrywał zgniłozielony lakier.

Przyczepa była podzielona na pokoiki. Wraz z Noną staliśmy w małej, zalatującej pleśnią kuchni o żółtych ścianach. Jedna z toreb na zakupy została już opróżniona. Pozostałe trzy stały na kontuarze. Dziewczyna szybko odwrócił się do suszarki do naczyń, skąd wzięła nóż do chleba o plastikowej ręczce.

– Niech pan stąd wyjdzie albo pana dźgnę. Przysięgam!

– Odłóż nóż, Nono – powiedziałem łagodnie. – Nie zamierzam ci zrobić krzywdy.

– Cholera! To samo mówią wszyscy. – Trzymała nóż w obu rękach. Ząbkowane ostrze zatoczyło łuk. – Wynoś się pan!

– Wiem, co ci zrobili inni. Proszę, wysłuchaj mnie. Zastygła, zaintrygowana. Przez moment sądziłem nawet, że udało mi się ją uspokoić. Zbliżyłem się o krok. Nagle twarz dziewczyny wykrzywiła się wściekle.

Nona głęboko zaczerpnęła powietrza i natarła na mnie z wysoko podniesionym nożem.

Odskoczyłem. Nóż przeszył powietrze dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się moja klatka piersiowa. Nona zachwiała się na nogach. Chwyciłem ją za nadgarstek, ścisnąłem i potrząsałem.

Nóż upadł, uderzając głucho o brudne linoleum. Dziewczyna natarła ponownie, tym razem usiłując wydrapać mi oczy długimi zielonymi paznokciami. Złapałem ją za obie ręce. Była

delikatnie zbudowana, pod skórą wyczułem drobne kości, jednak gniew dodawał jej sił. Kopała, wykręcała się i pluła, a w pewnej chwili zdołała mi rozryć paznokciami policzek. Po tej stronie, gdzie miałem uszkodzoną szczękę. Poczułem łaskotanie ciepłej strużki krwi spływającej po twarzy, potem ostry ból. Podłogę upstrzyły burgundowe plamy.

Unieruchomiłem Nonie ręce przy pasie. Zesztywniała i popatrzyła na mnie z paniką zranionego zwierzęcia. Nagle szarpnęła się do przodu. Odskokczyłem w tył, chcąc uniknąć ugryzienia. Ku mojemu zdziwieniu wysunęła język i zlizwała kropelkę krwi. Przesunęła koniuszkiem po swoich wargach, barwiąc je na różowo. Uśmiechnęła się z przymusem.

– Zrobię wszystko – powiedziała chrapliwie, odsuwając się trochę. – Nieźle obciążam. Albo niech pan robi ze mną, co chce, pod warunkiem że wyjdzie pan natychmiast potem.

– Nie po to przyszedłem.

– Nie ma pan pojęcia, co pan traci. Potrafię sprawić, że poczuje się pan jak w raju. – Odniosłem wrażenie, że gram w tanim filmie erotycznym, dziewczyna jednak najwidoczniej potraktowała swoją rolę poważnie, gdyż zbliżała się do mnie, zachęcająco poruszając biodrami. Polizała mój policzek i ostentacyjnie połknęła krew.

– Przestań – warknąłem i odsunąłem się.

– Och, daj spokój. Chodź. – Kokietowała mnie i kusiła, ocierając się o mnie. – Kawał chłopa z ciebie. Masz ładne niebieskie oczy i piękne, gęste, ciemne loki. Założę się, że twój członek jest również piękny, co?

– Dość, Nono!

Wydeła usteczka i ciągle się do mnie tuliła. Jej skóra pachniała tanią wodą toaletową.

– Nie gniewaj się na mnie, błękitnooki. Nie jest źle być dużym, zdrowym facetem z wielkim twardym członkiem. Czuję go teraz. O tak, tutaj. Och, ależ jest duży! Bardzo chciałabym się nim pobawić. Włożyć go do ust. Połknąć go. Wyssać cię. – Zatrzepotała rękami. – Zdejmę ubranie i będziesz mógł się ze mną zabawić, a ja tymczasem będę cię pieścić.

Ponownie spróbowała mnie polizać po twarzy. Uwolniłem jedną rękę i wymierzyłem jej mocny policzek.

Oszołomiona zatoczyła się do tyłu i wpatrzyła we mnie z zaskoczeniem małej dziewczynki.

– Nono, jesteś istotą ludzką – powiedziałem jej – a nie ochłapem mięsa.

– Jestem dziwką! – wrzasnęła i zaczęła szarpać swoje długie rude włosy, rozpuszczając kok.

– Nona...

Uniosła ręce, jakby chciała wbić paznokcie we własną śliczną twarz.

Chwyciłem ją i mocno przytrzymałem. Walczyła ze mną i obrzucała mnie przekleństwami, potem wybuchnęła płaczem. Szlochając na moim ramieniu, osłabła i zwiotczała. Kiedy zabrakło jej łez, osunęła się na moją pierś, oniemiała, bezwładna.

Zaniosłem ją na krzesło, usadziłem, wytarłem jej twarz chusteczką, a drugą przycisnąłem do swojego policzka. Rana prawie już nie krwawiła. Znalazłem nóż i wrzuciłem go do zlewu.

Dziewczyna gapiała się w stolik. Uniosłem dłońią jej podbródek. Atramentowe oczy były

szkliste, rozedrgane.

– Gdzie jest Woody?

– Tam z tyłu – odparła głuchym głosem. – Śpi.

– Pokaż mi go.

Wstała niepewnie. Przyczepę przedzielała podarta plastikowa zasłona prysznicowa.

Tylne pomieszczenie było duszne i mroczne, umeblowane rupieciami z wyprzedaży. Ściany zostały obite tapetą imitującą deski brzoźowe. Kalendarz jakiejś stacji benzynowej zwisał krzywo z białego w sufit gwoźdź. Na radio-budziku stojącym na blacie plastikowego stolika świeciły się cyferki. Na podłodze leżał stos magazynów dla nastolatków. Błękitną pluszową sofę rozłożono, tworząc królewskich rozmiarów łóże.

Woody spał pod zmiętą kolorową bawełnianą pościelą, jego miedziane loki rozsypały się na poduszce. Na przyległej do łóżka nocnej szafce leżały komiksy, plastikowy samochodzik, nadgryzione jabłko i butelka pastylek. Witamin.

Oddech chłopca był regularny, lecz ciężki, wargi spuchnięte i suche. Dotknąłem jego policzka.

– Ma wysoką temperaturę – oświadczyłem Nonie.

– Minie mu – odrzekła obronnym tonem. – Daję mu na gorączkę witaminę C.

– Pomogła?

Odwróciła wzrok i pokręciła głową.

– Chłopak musi wrócić do szpitala, Nono.

– Nie! – Pochyliła się i pocałowała Woody'ego, który uśmiechnął się przez sen.

– Mam zamiar zadzwonić po ambulans.

– Tu nie ma telefonu – obwieściła z triumfem. – Wyjdź stąd i znajdź go sobie. Pojedziemy, gdy wrócisz.

– Chłopiec jest bardzo chory – wyjaśniałem cierpliwie. – Każda godzina zwłoki działa na jego niekorzyść. Pojedziemy razem moim samochodem. Przygotuj wasze rzeczy.

– Skrzywdzą go tam! – krzyknęła. – Tak samo jak przedtem. Wkłuwali mu przecież igły w kości! I wpakowali go do tego plastikowego więzienia!

– Posłuchaj mnie, Nono. Woody jest chory na raka! Bez leczenia umrze.

Odwróciła się.

– Nie wierzę w to.

– Lepiej uwierz. Bo tak właśnie wygląda prawda.

– Skąd ta pewność? Ponieważ ten latynoski doktor tak powiedział? W niczym nie różni się od innych. Nie można mu ufać. Czemu to ma być rak? Przecież Woody nigdy nie palił papierosów i nie grzeszył! Jest tylko małym dzieckiem.

– Dzieci również chorują na nowotwory. Każdego roku tysiące ich zapada na tę straszliwą chorobę. Nikt nie zna powodu, lecz tak już, niestety, jest. Prawie wszystkim tym dzieciom można przedłużyć życie, a niektóre nawet całkowicie wyleczyć. Woody do nich należy. Daj mu szansę.

Zmarszczyła brwi.

– Ale w tamtym szpitalu go trują.

– Aby wyleczyć tak straszliwą chorobę, lekarze muszą używać silnych leków. Nie twierdę, że kuracja nie jest bolesna, jednak tylko dzięki niej można uratować chłopcu życie.

– Właśnie to kazał ci powiedzieć tamten Latynos?

– Nie. Mówię ci prawdę. Zresztą nie musicie wracać do doktora Melendez-Lyncha. Znajdziemy innego specjalistę. W San Diego.

Chłopiec krzyknął przez sen. Nona podbiegła do niego, przez chwilę cicho nuciła kołysankę bez słów i gładziła go po włosach. Woody ucichł.

Nona kołysała go w ramionach. Jej piękna twarz drżała. Dziewczyna była najwyraźniej o krok od załamania nerwowego. Znowu zaczęła płakać.

– Jeśli pojedziemy do szpitala, zabiorą mi go. A tutaj mogę się nim opiekować.

– Nono – szepnąłem współczującym tonem – niektórych rzeczy nawet matka nie potrafi dać swojemu dziecku.

Dziewczyna na chwilę zamarła, potem znowu zaczęła go kołysać.

– Dziś wieczorem byłem w domu twoich rodziców. Obejrzałem oranżerię i przeczytałem notatki twojego ojca.

Zastygła, wyraźnie wstrząśnięta. Prawdopodobnie po raz pierwszy usłyszała o istnieniu dzienników.

– Wiem, przez co przeszłaś. Twoja tragedia zaczęła się po zagładzie czerymoi. Twój ojciec był z pewnością zawsze człowiekiem niezrównoważonym, lecz niepowodzenie i poczucie bezradności zmieniły go w potwora. Spróbował odzyskać kontrolę nad swoim życiem, udając Boga. Usiłował stworzyć własny świat.

Zesztywniała, odsunęła się od chłopca, położyła delikatnie jego główkę na poduszce i wyszła z pokoju. Podążyłem za nią do kuchni, nie spuszczać wzroku z noża w zlewie. Nona stanęła na palcach, zdjęła z górnej półki kredensu butelkę whisky Southern Comfort, nalała sobie połowę kubka od kawy, oparła się o ladę i wypijała. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do picia mocnych trunków, ponieważ skrzywiła się i rozkaszała.

Poklepałem ją po plecach i pomogłem usiąść na krześle. Wzięła ze sobą butelkę. Usiadłem naprzeciwko i poczekałem, aż Nona przestanie kasłać. Gdy się uspokoiła, kontynuowałem:

– Najpierw ojciec przeprowadził serię eksperymentów związanych ze skomplikowanym szczepieniem roślin. Robił dziwaczne rzeczy, lecz nie popełniał żadnych przestępstw. Póki nie zauważył, że dorosłaś.

Napełniła ponownie kubek, odrzuciła głowę w tył i wlała sobie płyn do gardła. Udawała twardą osobę, którą wcale nie była.

Kiedyś nie musiała być twarda. Maimon zapamiętał ją jako ładną, rudowłosą dziewczynkę, stale uśmiechniętą i przyjaźnie nastawioną do ludzi. Powiedział, że zmieniła się mniej więcej wtedy, kiedy ukończyła dwanaście lat. Nie wiedział dlaczego.

Ja jednak wiedziałem.

Nona osiągnęła dojrzałość płciową na trzy miesiące przed swoimi dwunastymi urodzinami. Garland Swope zarejestrował ten dzień jako własne odkrycie: „Eureka! – napisał – Annona zakwitła. Brakuje jej może intelektualnej głębi, ale jakąż fizyczna perfekcja! Towar pierwszej jakości...”

Był szczerze zafascynowany transformacjami jej ciała i opisywał je w terminach botanicznych. Obserwował rozwój córki i powoli w jego szalonym umyśle skryształizował się ohydny pomysł.

Swope miał umysł analityczny niczym doktor Mengele. Zaplanował uwiedzenie z precyzją eksperymentu naukowego.

Pierwszym krokiem miała być dehumanizacja ofiary. Aby usprawiedliwić gwałt, przeklasyfikował dziewczynę – najpierw przestał myśleć o niej jak o córce, potem jak o człowieku. Stała się po prostu egzemplarzem nowego egzotycznego gatunku. *Annona zingiber*. *Annona ruda*. Słupek do zapylenia.

Następnie szalony mózg Swope’a doprowadził do semantycznego wypaczenia samego gwałtu. Codziennych wycieczek do lasu za oranżerią mężczyzna nie nazywał kazirodztwem, ale tylko nowym, intrygującym projektem. Dopełnieniem badań nad chowem wsobnym.

Codziennie czekał podniecony na powrót Nony ze szkoły, potem brał ją za rękę i prowadził w ciemność. W odpowiednim miejscu rozkładał koc na ziemi zasypanej miękkimi sosnowymi igłami i wszelkimi sposobami usiłował przełamać niechęć dziewczynki. Przez całe pół roku zmuszał córkę do stymulacji oralnej swojego penisa, po tym okresie zgwałcił ją, wchodząc tylko częściowo w jej młode ciało, nasieniem zaś obdarzył ziemię.

Wieczory poświęcał na rejestrację danych. Wszedł na strych i – nie szczędząc szczegółów – opisywał w notesie każdy stosunek. Był równie dokładny jak podczas wcześniejszych eksperymentów.

Z dzienników wynikało, że drobiazgowo informował żonę o postępie badań. Początkowo słabo protestowała, potem przestała i biernie pozwalała mężowi na wszystko. Spełniała każdy jego rozkaz.

Zapłodnienie dziewczynki nie było przypadkowe. Przeciwnie, stanowiło ostateczny cel Swope’a, skalkulowany i przemyślany. Był cierpliwy i metodyczny, toteż poczekał, aż córka nieco podrośnie (czyli ukończy czternaście lat) i dopiero wówczas uczynił ją ciężarną. Chciał zoptymalizować zdrowie płodu. Wykreślał nawet cykl menstruacyjny córki, aby ustalić dzień owulacji. Powstrzymywał się od obcowania z nią przez wiele dni, dzięki czemu zamierzał zwiększyć ilość spermy.

Dokonał pierwszej próby. Przyjemność sprawiło mu przerwanie błony dziewiczej dziewczynki, później ucieszył się z jej rosnącego brzucha. W swoim mniemaniu stworzył nową odmianę!

Powiedziałem jej, co wiem, ubierając historię w łagodne słowa. Miałem nadzieję, że Nona

dostrzeże moje współczucie i osiągniemy porozumienie. Słuchała mnie jednak z obojętnym wyrazem twarzy i tak długo popijała southern comfort, aż opadły jej powieki.

– On pastwił się nad tobą, Nono. Wykorzystał cię, a gdy przestał potrzebować, odrzucił.

Ledwie dostrzegalnie kiwnęła głową.

– Musiałaś być bardzo przerażona. W tak młodym wieku w ciąży... A potem wysłał cię daleko stąd, byś urodziła w sekrecie dziecko.

– Banda lesbijek – wybełkotała.

– Zakon Madronas? Naląła sobie kolejny kubek.

– Tak, kurwa. Byłam u Las Pieprzonas Madronas. W domu dla pieprzonych złych małych dziewczynek. W pieprzonym Meksyku. – Na chwilę opadła jej głowa, lecz otrząsnęła się i sięgnęła po butelkę. – Wielkie, tłuste, pieprzone, oschłe lesby zarządzały tym miejscem. Wiecznie wrzeszczały, dokuczały nam i pomiatały nami. Nazywały nas zwykłymi śmieciami. Dziwkami.

Maimon dobrze zapamiętał poranek, kiedy opuszczała miasto. Opisał mi ją, jak czekała z walizką na środku drogi. Przestraszona mała dziewczynka, której odebrano wszelką radość życia. I wygnano z miasta, by odpokutowała za grzechy kogoś innego.

Maimon zauważył też, że wróciła odmieniona. Cichsza, przybita, jakby pokonana. I zepsuta.

Odezwała się, bełkocząc pijacko:

– Bardzo mnie bolało, gdy rodziłam mojego synka. Krzyczałam, a zakonnice zatykały mi usta. Wydawało mi się, że zaraz się rozpadnę. Kiedy poród się skończył, nawet nie pozwolili mi potrzymać Woody’ego. Natychmiast zabrali go ode mnie. To było moje dziecko, a oni mi je odebrali! Zebrałam siły, usiadłam i spojrzałam na niego. Myślałam, że serce mi pęknie. Chłopczyk miał rude włoski, dokładnie takie same jak ja. – Pokręciła głową, przybita wspomnieniem. – Sądziłam, że po powrocie do domu pozwolą mi go zatrzymać. Ale ojciec się nie zgodził. Powiedział, że jestem niczym, zerem... Tylko naczyniem. Naczynie! Eleganckie określenie dla cipy. Takiej, co to nadaje się jedynie do pieprzenia. Powiedział mi, że nie jestem prawdziwą mamą. Moja matka już sobie zagarnęła moje dziecko. Ja byłam wyłącznie naczyniem. Gówniarę wykorzystano i wyrzucono na śmietnik. Teraz dorośli mieli przejąć kontrolę.

Opuściła głowę na stół i zakwiliła niczym bezbronne kocię.

Pogłaskałam ją po karku i wygłosiłam kilka pocieszających formułek. Nawet w tym stanie zareagowała odruchowo na męski dotyk – podniosła ku mnie piękną twarz, błysnęła uwodzicielskim uśmiechem i pochyliła się do przodu, ukazując sporą część piersi w dekolcie koszulki.

Pokręciłam głową, a wtedy Nona odwróciła się zawstydzona.

Miałem dla niej tak wiele współczucia, że ta empatia wręcz sprawiała mi fizyczny ból. Znałem wiele słów o działaniu terapeutycznym, uznałem jednak, że nadeszła pora, by namówić dziewczynę do współpracy. Leżący w pokoiku obok chłopiec potrzebował natychmiastowej pomocy. Przygotowałem się na zabranie go z przyczepy wbrew woli młodej matki, nie chciałem

jednakże być sprawcą kolejnego porwania. Dla dobra ich obojga.

– To nie ty zabrałaś Woody’ego ze szpitala, prawda? Tak bardzo go kochasz, że na pewno nie naraziłabyś go na niebezpieczeństwo.

– Oczywiście, że nie ja – odparła ze łzami w oczach. – Oni to zrobili. Ponieważ nie chcieli, żebym była dla niego mamą. Przez tyle lat pozwalałam sobą pomiatać. Traktowali mnie jak śmiecia. Schodziłam im z drogi, podczas gdy oni wychowywali go po swojemu. Nie zdradziłam mu prawdy, bo bałam się, że zwariuje, że nie poradzi sobie z tym. Przez to milczenie każdego dnia umierałam od nowa. – Podniosła smukłą dłoń i przyłożyła do serca, drugą chwyciła kubek, który osuszyła jednym haustem. – Kiedy zachorował, poczułam się tak, jakby wypruwano ze mnie wnętrzności. Postanowiłam odzyskać prawo do swojego dziecka. Długo się nad tym zastanawiałam, gdy przesiadywałam z Woodym w plastikowym pomieszczeniu i obserwowałam, jak śpi. Moje maleństwo. W końcu się zdecydowałam. Pewnej nocy w motelu oświadczyłam, że mam dość ich kłamstw. Że od tej pory sama się będę opiekować moim dzieckiem... Oni, a zwłaszcza on... śmiał się ze mnie. Drwił ze mnie i mówił, że do niczego się nie nadaję. Że jestem tylko pieprzonym naczyniem! Że powinnam zniknąć, gdyż tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Tym razem jednak nie dałam się pokonać. Wygarnęłam im wszystko. Wołałam, że są źli. Że są grzesznikami. Że ten rak... ta choroba... jest karą za ich czyny. Powiedziałam, że to właśnie oni do niczego się nie nadają. I że zamierzam wszystkim powiedzieć prawdę. Lekarzom, pielęgniarkom. Kiedy ludzie się dowiedzą, wyrzucą ich ze szpitala i oddadzą dziecko mnie, prawowitej matce.

Jej dłonie otaczające kubek zadrżały gwałtownie. Podeszedłem, stanąłem za nią i przytrzymałem jej ręce w swoich.

– Miałam do tego prawo! – krzyknęła, gwałtownie odwróciwszy ku mnie głowę. Błagała mnie wzrokiem o potwierdzenie. Przytaknąłem, a wtedy osunęła się na moją pierś.

Podczas szpitalnej wizyty Barona i Delilah Emma Swope narzekwała, że kuracja przeciwnowotworowa podzieliła jej rodzinę. Członkowie sekty zinterpretowali jej słowa po swojemu. Myśleli, że kobieta niepokoi się z powodu fizycznej rozłuki wymuszonej przez moduł sterylny. Teraz wiedziałem, że matka Nony martwiła się o daleko poważniejszą sprawę – trapiła ją groźba całkowitego zerwania wszelkich rodzinnych więzi, równie nieodwracalnego jak odcięcie głowy przez gilotynę.

Być może Emma Swope uzmysłowiła sobie wówczas, że sytuacja nieuchronnie wymyka się spod kontroli. A jednak wraz z mężem zdecydowali się na desperackie posunięcie – aby opóźnić zdemaskowanie potwornego sekretu, zdecydowali się porwać dziecko i zniknąć...

– Wykradli go za moimi plecami – kontynuowała dziewczyna. Ścisnęła mi dłonie, wbijając w nie zielone paznokcie. Jej ciałem ponownie wstrząsał gniew. Cienka warstewka potu okalała piękne pełne usta. – Jak pieprzeni złodzieje!

Ona przebrała się za technika z pracowni rentgenowskiej. Włożyła maskę i kitel, które skradli z kosza w pralni. Zwieźli Woody’ego do piwnicy służbową windą i wyszli z nim

bocznym wyjściem. Złodzieje! Gdy wróciłam do motelu, zastałam tam całą trójkę. Mój synek leżał w łóżku... taki mały, bezradny. Starzy pakowali się i cieszyli, bo tak łatwo im poszło. Matki nikt nie rozpoznał za maską, ponieważ nikt nie spojrzał jej w oczy. Śmiali się, że udało im się oszukać szpital. A on stale gadał o smogu i brudzie Los Angeles. Próbował w ten sposób usprawiedliwić swój paskudny czyn.

Kiedy przerwała, uznałem, że powinienem przejść do działania. Nie mogłem już dłużej czekać. Musiałem umiejętnie przekonać Nonę, żeby wraz z synkiem dobrowolnie pojechała ze mną do szpitala.

Zanim jednakże zdążyłem cokolwiek powiedzieć, drzwi przyczepy otworzyły się z hukiem.



Doug Carmichael zgarbił się w progu niczym komandos w kiepskim filmie wojennym. Dostrzegłem, że w jednej ręce trzyma strzelbę, w drugiej zaś obosieczny toporek. Miał na sobie obcisłe białe kąpielówki i czarny siatkowy podkoszulek, który podkreślał muskulaturę. Jego nogi były silne i żylaste, porośnięte kręconymi jasnymi włosami, kolana – typowe dla surferów: zdeformowane i bryłowate. Gumowe plażowe sandały na stopach. Jasnoruda, starannie przycięta broda, cieniowane włosy precyzyjnie wymodelowane przy użyciu suszarki.

Owego popołudnia w Venice, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, jego oczy przypominały bezdenne czarne dziury.

To były oczy szaleńca, który badawczo rozejrzał się po przyczepie, przenosząc wzrok od butelki southern comfort na senną dziewczynę i na mnie.

– Powinienem cię od razu zabić, facet! Za to, że dajesz jej truciznę.

– Niczego jej nie dałem. Sama wzięła.

– Zamknij się, draniu!

Nona próbowała się wyprostować, lecz tylko zakołysała się pijacko.

Doug wycelował we mnie strzelbę.

– Siadaj na podłodze. Oprzyj plecy o ścianę, ręce wyciągnij przed siebie. Dobra! I nie ruszaj się, bo będę cię musiał skrzywdzić. – A potem rzekł do Nony: – Chodź tu, siostrzyczko.

Podeszła i oparła się o niego. Objął ją czule ręką, w której trzymał toporek.

– Nie zrobił ci krzywdy, malutka?

Wpatrzyła się we mnie. Wiedziała, że zależy od niej mój los, więc dobrze rozważyła swoją odpowiedź. A potem pokręciła przecząco głową.

– Nie, wszystko w porządku. Tylko rozmawialiśmy. Ten pan chce zabrać Woody'ego do szpitala.

– Akurat – zadrwił Carmichael. – To jedna wielka klika. Dają ludziom truciznę i tylko tłuką kasę.

Podniosła na niego wzrok.

– No, nie wiem, Doug, małemu nie spada gorączka.

– Dałaś mu witaminę C?

– Tak jak kazałeś.

– A jabłko?

– Nie zjadłby go. Przecież śpi.

– Spróbuj jeszcze raz. Jeśli nie lubi jabłek, może daj mu gruszki lub śliwki. I pomarańcze. – Pochylił głowę nad reklamówką na ladzie. – Te owoce są bardzo zdrowe. Świeżo zerwane, całkowicie naturalne, bez żadnych chemikaliów. Daj mu kilka razem z dodatkową dawką witaminy C. Temperatura na pewno w końcu spadnie.

– Życie chłopca jest zagrożone – wtrąciłem. – Mały potrzebuje czegoś więcej niż witamin.

- Kazałem ci zamknąć mordę! Chcesz, żebym cię wykończył?
- Nie sędzę, żeby ten pan chciał nas skrzywdzić – odparła Nona. Carmichael uśmiechnął się do niej z pewną protekcjonalnością.
- Wróć do małego, siostrzyczko. Postaraj się go nakarmić.

Zaczęła coś mówić, ale mężczyzna uciszył ją, uspokajająco kiwając głową. Posłusznie zniknęła za zasłoną.

Kiedy zostaliśmy sami, kopniakiem zamknął drzwi przyczepy, podszedł bliżej i stanął naprzeciwko mnie, plecami do lady. Spojrzałem w bliźniacze lufy strzelby – śmiercionośnej ósemki.

– Będę musiał cię zabić – oświadczył cicho, po czym wzruszył przepaszająco ramionami. – Nie mam nic do ciebie, ale jesteście rodziną, a ty stanowisz zagrożenie.

Wiedziałem, że w tym momencie najgłupszą reakcją byłoby kwestionowanie jego słów. Czułem jednakże, że zupełnie nie potrafię przewidzieć zachowania tego paranoika, który wycelował strzelbę między moje oczy.

– Jesteście rodziną! I nie potrzebujemy testu krwi, aby to udowodnić.

– Oczywiście, że nie – wybełkotałem niewyraźnie. Ze strachu zeszywniały mi wargi. – Liczy się więź emocjonalna.

Wpatrzył się we mnie twardo, sprawdzając, czy czasem sobie z niego nie kpię. Zmieniłem się w uosobienie szczerości i zastygłem z tą miną.

Carmichael zamachał lekko toporkiem. Ostrze otarło się o podłogę.

– Dokładnie tak. Najważniejsze są uczucia. A nasze uczucia zrodziły się w bólu. We troje musimy stawić czoło okrutnemu światu. Nasza rodzina jest tym, czym powinna być każda rodzina, sanktuarium chroniącym przed panującym na zewnątrz szaleństwem. Jest wspaniała, drogocenna. Dlatego muszę ją chronić.

Nie miałem planu ucieczki. Nie widziałem żadnej szansy na ratunek, chcąc jednak zyskać na czasie, zachęciłem go do dalszego mówienia.

– Rozumiem. Jesteś zatem głową rodziny. Błękitne oczy zapłonęły niczym acetylenowe palniki.

– Dopiero ja stworzyłem tę rodzinę. Tamci dwoje byli złymi ludźmi, rodzicami jedynie z nazwy. Nadużyli swoich praw. Próbowali zniszczyć rodzinę od środka.

– Wiem, Doug. Byłem w ich domu dziś wieczorem. Widziałem oranżerię i przeczytałem niektóre dzienniki Garlanda Swope'a.

Wyraz jego twarzy stał się nagle przerażający. Uniósł rękę i uderzył toporkiem w ladę, gruchocząc plastik. Przyczepa aż się zatrzęsła. Carmichael wykonał ten ruch bez najmniejszego wysiłku, a ręka ze strzelbą nawet mu nie drgnęła. Za zasłonką usłyszałem jakieś poruszenie, lecz Nona się nie pojawiła.

– Zamierzałem zdemolować tę przeklętą budę dzisiejszego wieczoru – szepnął, wymachując niedbale toporkiem. – Roztrzaskałbym każdą pieprzoną szybę. Rozwaliłbym cały dom deska po

desce. Potem spaliłbym go aż do fundamentów. Jednak... kiedy dotarłem do niego, zauważyłem, że ktoś majstrował przy zamku, więc wróciłem. Na szczęście!

Wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je głośno. Tak oddychają ciężarowcy i kulturyści przed decydującą próbą. Carmichael intensywnie się pocił i był ogromnie pobudzony. Zmusiłem się do tego, żeby zachować spokój. Musiałem mieć jasny umysł, aby znaleźć jakieś wyjście z tej matni. Uznałem, że najlepiej zająć jego uwagę zbrodnią popełnioną na Swope'ach. Byle zapomniał o mnie.

– Paskudne miejsce – zauważyłem. – Aż trudno uwierzyć, że ludzie potrafią być tacy źli.

– Mnie to nie dziwi. Miałem to na co dzień. Identycznie jak siostrzyczka. Mój stary całymi latami mnie oszukiwał, bił i powtarzał, że jestem zwykłym kawałkiem gówna. A ta suka, która mieniła się moją matką, tylko stała obok i obserwowała. Ja i Nona wychowywaliśmy się może w nieco innych salach kinowych, ale film był ten sam.

Słuchając, jak Carmichael opowiada o swoim przykrym dzieciństwie, zrozumiałem podłoże wszystkich jego problemów, ekshibicjonizmu, nienawiści i strachu. Emanowały z niego, gdy mówił o swoim ojcu.

– Nona i ja byliśmy sobie przeznaczeni – oświadczył bardzo z siebie zadowolony. – Żadne z nas samo nie zdołałoby się wydobyć z tego bagna, w jakim żyliśmy. Ale dzięki jakiemuś cudowi poznaliśmy się. I staliśmy się rodziną.

– Jak długo już nią jesteście? – spytałem.

– Od wielu lat. Kiedyś przyjeżdżałem tu na lato i tyrałem na tym polu. Praca fizyczna przy odwiertach. Stary drań miał ogromne plany wobec tego miejsca. Jego firma, Carmichael Oil, pragnęła rozryć tę ziemię, rozparcelować ją i wycisnąć z niej każdą tłustą kroplę. Niestety gleba okazała się sucha jak cycek martwej baby.

Roześmiał się i trzasnął toporkiem o podłogę.

– Nienawidziłem tej roboty. Była brudna, poniżająca i nudna jak flaki z olejem, lecz mój stary zmuszał mnie do niej. Co roku! Gdy zbliżało się lato, jechałem tu niczym skazaniec, który nie zna jeszcze wyroku, ale podejrzewa dożywocie. Korzystałem z każdej wolnej chwili i chodziłem na przechadzki po bocznych drózkach, gdzie oddychałem wreszcie czystym powietrzem. Rozmyślałem nad sposobem ucieczki od tego życia. Pewnego dnia podczas wędrowki spotkałem w lesie Nonę. Miała wtedy szesnaście lat i była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Siedziała na pniaku i płakała. Gdy mnie zobaczyła, przeraziła się ogromnie, ale udało mi się ją uspokoić. Zamiast uciekać lub rozmawiać... zaczęła... – Jego przystojna twarz pociemniała od gniewu i wykrzywiła się karykaturalnie. – Nie, nie myśl sobie za wiele. Nigdy jej nie tknąłem. A ta historia, którą opowiedziałem tobie i gliniarzowi o obciążaniu na autostradzie, to lipa. Kompletna bzdura! Próbowałem was zwieść.

Skinąłem głową. Kolejne usprawiedliwienie dla chorych fantazji. Myślenie życzeniowe. Pragnął Nony, choć nie chciał się do tego przyznać. Szczególnie teraz, gdy uważał ją za przybraną siostrę. Miałem nadzieję, że nadal będzie utrzymywał w ryzach swoje pożądanie.

– Dzięki temu, że potraktowałem ją inaczej niż pozostali mężczyźni, zrodziło się między nami szczególne uczucie. Zamiast ją wykorzystywać, słuchałem jej. Słuchałem o jej bólu i cierpieniu. Podzieliłem się z nią własnymi kłopotami. Całe lato spotykaliśmy się i gawędziliśmy. I całe następne lato. W kolejnych latach już wiosną zaczynałem się cieszyć na myśl o pracy przy odwiertach. Poznawaliśmy się krok po kroku i odkrywaliśmy, że przeszliśmy przez to samo. Szybko uprzytomniliśmy sobie, jacy jesteśmy do siebie podobni, niczym dwie połówki jednej osoby. Męski i żeński składnik, tworzące razem jedną całość. Brat i siostra, a nawet coś więcej. Rozumie pan?

Ponieważ nie chciałem, by przerwał opowieść, powiedziałem:

– Stworzyliście wspólną tożsamość. Bliźnięta czasem tak robią.

– Otóż to. Było cudownie. Niestety potem stary drań zamknął odwierty. Mimo to nadal przyjeżdżałem do La Visty.

Na weekendy. A podczas wakacji na dłużej. Przyzwyczaiałem się do tego miejsca i stałem się jego nocnym strażnikiem. Gotowałem dla Nony, ją też tego nauczyłem. Nauczyłem prowadzić auto. Toczyliśmy długie nocne rozmowy. Stale rozmawialiśmy. O marzeniach, oboje chcieliśmy pozabijać naszych rodziców. Odciać nasze korzenie. Zacząć wszystko od nowa, stworzyć nową rodzinę. Urządzaliśmy pikniki w lesie. Chciałem zabierać na spacer także Woody'ego, którego uważałem za członka naszej nowej rodziny. Niestety potwory nie spuszczały go z oczu. Nona wiele mówiła o chłopcu. Zamierzała zażądać praw do niego. Popierałem ją w tym, opowiadałem jej o wolności i prawach człowieka. Snuliśmy plany na następne lato. We troje zamierzaliśmy uciec na jakąś wyspę. Może do Australii. Zacząłem zbierać foldery, w których wyszukiwałem najlepsze miejsca do zamieszkania. Potem... mały zachorował. Nona zadzwoniła do mnie natychmiast po przyjeździe do Los Angeles. Prosiła, żebym pomógł jej zdobyć pracę hostessy w jakimś teleturnieju, nie miałem jednak aż takich znajomości. Ponieważ pracowałem wtedy przy skeczach dla agencji Adam i Ewa, skłoniłem Rambo, żeby zrobiła z nas parę. Wraz z Noną natychmiast okazaliśmy się idealnymi partnerami. Rozumieliśmy się bez słów. Czułem się tak, jakbym pracował ze swoim sobowtórem. Dostawaliśmy spore napiwki, a ja oddawałem jej swoje pieniądze. Chcieliśmy coś zaoszczędzić. Potem pewnej nocy Nona zatelefonowała do mnie spanikowana. Powiedziała, że postawiła się rodzicom, a wówczas oni zdecydowali się porwać chłopca. Od początku nie podobał mi się pomysł umieszczenia dzieciaka w tym szpitalu, teraz jednak przestraszyłem się, że Swope'owie zamierzają uciec przez południową granicę i zabrać Woody'ego w jakiejś miejsce, gdzie jego prawowita matka nigdy go nie znajdzie. Popędziłem do motelu. Akurat zbierali się do wyjazdu. Garland stał w drzwiach, gdy je otworzyłem. Nie spotkałem go wcześniej, lecz dobrze wiedziałem, jaki z niego gnojek. Zaczął na mnie wrzeszczeć, więc walnąłem go w twarz, a później skopałem. Kobieta przybiegła z krzykiem, więc ją również trzasnąłem. W bok głowy. Po chwili oboje leżeli bez przytomności. Chłopiec był trochę oszołomiony, mamrotał coś przez sen. Nona dostała nagle szału i zaczęła demolować pokój. Uspokoiłem ją i kazałem poczekać w środku, sam zaś w tym czasie załadowałem oboje do

corvetty. Kobiętę wpakowałem na tył, jego zaś usadziłem na przednim siedzeniu. Zawiozłem nieprzytomnych na plażę w Playa Del Rey, a kiedy przelatywał mi nad głową samolot, wykończyłem tę parę drani. Potem zaciągnąłem ciała do pewnego znanego miejsca w kanionie Benedict i tam porzuciłem. Zasłużyli sobie na śmierć.

Zakręcił w powietrzu toporkiem i przygryzł słomkowy wąs.

– Policja znalazła w kanionie szczątki jeszcze jednego ciała – powiedziałem. – Kobiecego. – Niezadane pytanie zawisło w powietrzu.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– Wiem, o czym pan myśli, ale myli się pan. Marzyło mi się wykończenie własnej matki, lecz niestety, parę lat temu przydarzył jej się wylew i umarła w łóżku. Wkurzyłem się, ponieważ od lat planowałem zemstę. Mam też plan dla mojego starego, który pewnego dnia zrealizuję. Mamuśce, niestety, udało się uciec, lecz i tak wyżyłem się po swojemu. Miałem szczęście. Podczas ostatniego występu w Lancelocie podeszło do mnie stare babsko z pierwszego rzędu, wepchnęło mi banknot dziesięciodolarowy za skarpetkę i polizało mnie po kostkach. Okazała się lekarką. Radiologiem. Rozwiodła się przed kilkoma miesiącami i wyszła z domu spędzić szaloną noc. Zjawiła się w mojej garderobie, napalona jak kotka w rui, i zaczęła mnie obłapiać. Była namolna, napawała mnie obrzydzeniem i chciałem ją wykopać. Kiedy jednak zapaliłem światło, zobaczyłem, że wygląda jak bliźniaczka tej starej suki, mojej matki. Miała identyczną pomarszczoną facjatę, zadarty nochal i maniery bogatej kurwy. Uśmiechnąłem się więc i powiedziałem: „Chodź, kochanie”. Pozwoliłem jej na wszystko od razu, w garderobie. Drzwi nie były zamknięte na klucz, każdy mógł wejść. Babsko nie dbało o to, po prostu podciągnęło kieckę i dosiadło mnie. Później pojechaliśmy do jej mieszkania, apartamentu na najwyższym piętrze w Marinie. Dosiadła mnie jeszcze raz, po czym zasnęła, a wtedy ją udusiłem. – Jego oczy rozszerzyły się niewinnie. – Sama się pchała. Ktoś musiał jej pomóc. W ten sposób zrealizowałem dawny plan.

Oparł toporek o piec, sięgnął do reklamówki z zakupami i wolną ręką wyjął z niej ogromną brzoskwinie.

– Chce pan?

– Nie, dziękuję.

– Zawierają wapno, potas. Sporo witaminy A i C. Świetne na ostatni posiłek.

Pokręciłem odmownie głową.

– Jak pan sobie chce. – Ugryzł brzoskwinie i zlizwał sok z końców wąsa.

– Nie stanowię dla was zagrożenia – stwierdziłem, starannie dobierając słowa. – Chcę tylko pomóc pańskiemu małemu braciszкови.

– Jak? Pompując w jego ciało te pieprzone trucizny? Poczytałem sobie o tym gównie, które chcieli mu podać. Właśnie to paskudztwo powoduje raka!

– Nie twierdzą, że leki są nieszkodliwe. To bardzo silne środki... trucizny, dokładnie tak jak mówisz. Ale nowotwór trzeba czymś zabić.

– Nie przekonasz mnie tymi bzdurami, człowieku. – Zacisnął szczęki, aż mu zadrgała bródka. – Nona opowiedziała mi o tamtejszych doktorach. Skąd mam wiedzieć, że pan jest inny?

Skończył brzoskwinię i wrzucił pestkę do zlewu. Wyciągnął z torby śliwkę i ją także spałaszował.

– Chodźmy – powiedział złowróźnie i podniósł toporek. – Niech pan się zbiera. Zakończmy tę sprawę. Mam nadzieję, że dla pańskiego dobra zabiję pana pierwszym strzałem. Nawet się pan nie zorientuje, że strzeliłem. Teraz pocierpi pan trochę, czekając na to, co nieuniknione...

Ruszyłem do drzwi. Lufa strzelby dźgała mnie w plecy.

– Otwórz je pan powoli – poinstruował mnie Carmichael. – Trzymaj ręce na głowie i patrz prosto przed siebie.

Posłuchałem go, choć całe moje ciało drżało. Usłyszałem szelest zasłony.

– Nie musisz go krzywdzić, Doug – powiedziała Nona.

– Wracaj do środka, siostrzo. Pozwól, że sam to załatwię.

– A jeśli on ma rację? Woody jest strasznie rozpalony...

– Mówiłem, że poradzę sobie z tą sprawą! – warknął, nagle tracąc cierpliwość.

Nie widziałem reakcji Nony, lecz Doug wyraźnie złagodniał.

– Przykro mi, siostrzyczko. Sytuacja jest paskudna i wszyscy jesteśmy zdenerwowani. Kiedy z nim skończę, usiądziemy sobie spokojnie i zażyjemy witaminę B12. Pokażę ci, jak uspokoić małego. Za dwa tygodnie nic mu nie będzie, a wtedy wyjedziemy. Za miesiąc o tej porze będę go uczył strzelać do fal.

– Doug, ja... – zaczęła. Miałem nadzieję, że dalej będzie mnie broniła. Gdyby skupił na Nonie swoją uwagę, mógłbym zaryzykować ucieczkę. Niestety dziewczyna przerwała w pół zdania. Usłyszałem ciche kroki, potem szelest zasuwanej zasłonki.

– Ruszaj – rzucił do mnie Carmichael. Rozgniewała go sama myśl o buncie i wyładował swoją wściekłość, wciskając mi zimną stal pod nerkę.

Pchnąłem drzwi i wyszedłem w ciemność. Wiszący w powietrzu chemiczny smród wydał mi się silniejszy, a niegościnna pośepność kanionu – wyraźniejsza. Gigantyczne porzuczone wraki nieużywanych od dawna maszyn stały na całym spustoszonej terenie – bierne i milczące. Nikt nie chciałby umierać w tak parszywym miejscu.

Carmichael dźgał mnie i popędział. Szliśmy stumetrowym korytarzem utworzonym przez stosy beczek. Popatrywałem na boki, szukając drogi ucieczki, lecz czarne cylindry tworzyły bezlitośnie jednolitą barykadę.

Kilkanaście metrów przed wyjściem na otwartą przestrzeń Carmichael zaczął proponować mi rozmaite rozwiązania:

– Mogę cię zabić, gdy będziesz stał, klęczał albo leżał na ziemi, czyli tak, jak to zrobiłem ze Swope'ami. Chyba że się boisz, to biegnij. Zastrzelę cię podczas próby ucieczki. Rozruszasz się trochę przy okazji i nawet nie zauważysz, że coś się stało. A ponieważ nie powiem, na ile kroków ci pozwolę, przez chwilę możesz myśleć, że uda ci się zwinąć. Albo że uprawiasz jogging. Kiedy biegam, poprawia mi się humor. Może i tobie się poprawi. Użyję ciężkiej amunicji, dzięki temu niczego nie poczujesz, jeden strzał i będzie po wszystkim.

Kolana ugięły się pode mną.

– No dalej, stary – mruknął. – Nie rozklejaj się. Odejdź z klasą.

– Nic nie zyskasz, zabijając mnie. Zresztą policja wie, że tu jestem. Jeśli nie wrócę o

określonej godzinie, zaroi się w tym miejscu od mundurowych.

– Nie martw się. Gdy tylko pozbędę się twojego ciała, natychmiast stąd wiejemy.

– W tym stanie chłopiec nie może podróżować. Zabijesz go.

Szturchnął mnie boleśnie lufą strzelby.

– Nie potrzebuję twoich rad. Sam potrafię o siebie zadbać.

Kroczyliśmy w milczeniu, aż dotarliśmy do wylotu korytarza z beczek.

– Więc jak chcesz umrzeć? – zapytał. – Na stojąco czy w biegu?

Miałem przed sobą sto metrów płaskiej pustej ziemi. Otaczała nas ciemność, ale i tak byłbym łatwym celem do ustrzelenia. Dalej znajdowały się hałdy złomu – szyny, blachy, zwoje drutu... A także dźwig, za którym ukryłem seville'a. Kiepskie kryjówki, lecz klucząc tam, zyskałbym czas na wymyślenie jakiegoś planu...

– Nie spiesz się – oświadczył wielkodusznie Carmichael, sycąc się poczuciem władzy absolutnej.

Przez cały czas grał okrutnego, zimnego mordercę, który całkowicie panuje nad sytuacją, zauważyłem jednak, że w gruncie rzeczy jest równie wrażliwy na wstrząsy jak flakon nitrogliceryny. Wystarczy jedno nieprzemyślane słowo, jeden ruch i natychmiast wybuchnie. Wiedziałem, co muszę zrobić – odwrócić jego uwagę, wprawić go w chwilową choćby konsternację, zmylić jego czujność... a następnie dać nogę. Albo zaatakować. Toczyłem grę na śmierć i życie, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli Carmichael dostanie szafu, może mimowolnie pociągnąć za spust. Tyle że... Nie miałem w obecnej sytuacji wiele do stracenia, a już na pewno nie zamierzałem dać się zabić jak bezwolne ciele prowadzone na rzeź.

– Na co się decydujesz? – spytał.

– Taki wybór to idiotyzm, Doug. Świetnie o tym wiesz.

– Co takiego?!

– Tak, a w dodatku zachowujesz się jak głupi gówniarz.

Ruszył ku mnie z rykiem. Odrzucił na bok strzelbę, chwycił mnie za przód koszuli i szarpnął. Uniósł toporek nad moją głową i zamarł w tej pozie.

– Rusz się, a posiekam cię na drobne kawałeczki. – Sapał z gniewu, jego twarz błyszczała od potu. Z wielkiego cielska emanował zapach dzikiego zwierzęcia.

Z całej siły kopnąłem go w kroczę. Zaskowyczał z bólu i puścił mnie. Wylądowałem na ziemi, raniąc sobie kolana i dłonie. Gdy starałem się podnieść, nadepnąłem stopą na coś okrągłego. Wielka metalowa sprężyna. Potoczyła się na bok, a ja upadłem płasko na plecy.

Carmichael zaszarżował, dysząc głośno. Ostrze wysoko podniesionego toporka błysnęło w poświacie księżycowej. Na tle czarnego nieba wydawało się ogromne, nierzeczywiste.

Szarpnąłem się w bok.

– Masz niewyparzoną gębę, facet – wykrztusił. – Żadnej klasy, żadnego stylu. Dałem ci okazję na piękną śmierć. Chciałem cię dobrze potraktować, ale ty nie wiesz, co to szacunek. Więc teraz będzie cię bolało. Mam zamiar zabić cię tym. – Dla podkreślenia swoich słów



zamachał toporkiem. – Powoli. Potnę cię jak sztukę mięsa, metodycznie i powoli. W końcu zaczniesz błagać o kulkę.

Jakaś postać wyszła zza beczek.

– Odlóż to, Doug.

Na polanie pojawił się szeryf Houten – spokojny, pewny siebie. Połyskujący kolt kaliber 45 wyglądał jak niklowana sztuczna ręka wyciągnięta do uścisku.

– Odlóż to – powtórzył i wycelował pistolet w pierś Carmichaela.

– Daj spokój, Ray – odparł tamten. – Skończmy, co zaczęliśmy.

– Nie w ten sposób.

– To jedyny sposób.

Szeryf pokręcił głową.

– Dopiero co odebrałem telefon od niejakiego Sturgisa z wydziału zabójstw w Los Angeles. Wypytywał o doktora. Podobno ktoś chciał go zabić ubiegłej nocy i przypadkiem zastrzelił niewłaściwego faceta. Następnego dnia doktor zniknął. Wszyscy go szukają. Pomyślałem, że może jest tutaj.

– Próbuje rozbić moją rodzinę, Ray. Sam mnie przed nim ostrzegłeś.

– Jesteś podenerwowany, chłopcze, i gadasz głupoty. Mówiłem ci tylko, że pytał o tę drogę, więc miałeś sobie znaleźć inną kryjówkę. Nie namawiałem cię do zabicia tego człowieka. No, rzuć toporek i porozmawiajmy spokojnie.

Szeryf, ciągle trzymając pistolet, spojrzał na mnie z góry.

– Nie rozumiem, po co pan tu węszył, doktorze.

– Uznałem, że lepiej działać, niż stanowić dla kogoś nieruchomy cel. A w przyczepie czeka mały chłopiec, który musi trafić do szpitala.

Niespodziewanie Houten z wściekłością pokręcił głową.

– Chłopiec i tak umrze.

– Nieprawda, szeryfie. Można go wyleczyć.

– To samo powiedzieli mi o mojej żonie, więc pozwoliłem im ją pociąć i nafaszerować truciznami. Na darmo. Gdyby niczego nie stosowali, rak zjadłby ją dokładnie w tym samym tempie. – Spojrzał na Carmichaela. – Aż do tej pory wspierałem cię, Doug, niestety sprawy zaszły za daleko. Odlóż toporek.

Obaj przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Skorzystałem z okazji i odtoczyłem się na bok. Carmichael dostrzegł mój ruch i zamachnął się toporkiem.

W tym momencie wypaliła czterdziestkapiątka. Carmichael odskoczył w tył, krzycząc z bólu. Przycisnął rękę do boku, przez jego palce przesączała się krew. W drugiej jednak nadal ścisnął toporek. Cóż za niewiarygodna determinacja!

– Ray... zraniłeś mnie – wymamrotał z niedowierzaniem.

– Tylko cię drasnąłem – odparł szeryf. – Przeżyjesz. A teraz rzuć to cholerne narzędzie.

Wstałem i ruszyłem powoli ku porzuconej strzelbie. Trzymałem się poza zasięgiem ręki

wymachującego toporkiem Carmichaela.

Drzwi do przyczepy otworzyły się nagle, zimne białe światło padło na ścieżkę. Ze środka wybiegła Nona.

– Weź strzelbę, siostrzyczko! – krzyknął do niej Carmichael. Rzucił to polecenie spomiędzy zaciśniętych aż do bólu szczęk. Ręka z toporkiem się trzęsła. Druga, przyciśnięta do boku dłoni połykiwała czerwienią od nadgarstka do czubków palców. Lepka krew ściekała na ziemię.

Nona zatrzymała się i szeroko otwartymi oczyma patrzyła na błoto przy stopach Carmichaela, które powoli zmieniało się w karmazynowy kwiat.

– Zabiłeś go! – wrzasnęła, podbiegła do Houtena i zaczęła go okładać na oślep pięściami. Szeryf odpychał ją jedną ręką, w drugiej nadal trzymając pistolet wymierzony w rannego mężczyznę. W końcu pchnął ją tak, że się zatoczyła, straciła równowagę i upadła.

Zbliżyłem się o krok do strzelby. Nona się podniosła.

– Sprośny stary skurwielu! – krzyknęła do Houtena. – Miałeś nam pomóc, a ty go zastrzeleś! – Szeryf patrzył na nią obojętnie. Nagle rzuciła się do stóp Carmichaela. – Nie umieraj, Doug. Proszę, tak bardzo cię potrzebuję.

– Weź strzelbę! – zawołał Carmichael.

Pokiwała głową i poszła w stronę broni. Była bliżej niż ja, toteż pomyślałem, że nie mam już na co czekać. Rzuciłem się naprzód i pierwszy dopadłem strzelby.

Carmichael dostrzegł mnie kątem oka, odwrócił się gwałtownie i ciachnął toporkiem, celując w moją rękę. W ostatniej chwili szarpnąłem ją w tył. Jęknął z bólu, z jego rany obficie pociekła krew. Mimo to znowu się na mnie zamachnął, chybiając zaledwie o centymetry.

Houten przykucnął, chwycił w obie ręce czterdziestkępiątkę i strzelił mu z góry w tył głowy. Kula wyszła przez gardło. Carmichael złapał się kurczowo za szyję, usiłował zaczerpnąć powietrza, zagulgotał i upadł.

Nona porwała strzelbę i z wprawą oparła ją na biodrze. Później przyjrzała się leżącemu na ziemi ciału. Kończyny Carmichaela dygotały w agonii. Nona obserwowała je w milczeniu, aż znieruchomiały. Jej luźne włosy poruszały się na nocnym wietrze, oczy miała przerażone i wilgotne.

Przystojna twarz surfiingowca zastygła w *rigor mortis*. Nona przesunęła wzrok na mnie, wycelowała we mnie broń, potem pokręciła głową i zgarbiła się, celując w szeryfa.

– Jesteś taki sam jak wszyscy. – Splunęła na niego. Zanim zdołał się odezwać, zaczęła śpiewnym głosem przemawiać do zwłok.

– Jest taki sam jak reszta, Doug. Pomagał nam nie dlatego, że jest dobrym człowiekiem. Wcale nie był po naszej stronie, tak jak sądziłeś. Pomagał nam ze strachu. Jest pieprzonym tchórzem i bał się, że wydam jego plugawe sekrety.

– Zamknij się, dziewczyno – ostrzegł ją szeryf.

Zignorowała go.

– Pieprzył mnie, Doug, tak samo jak wszyscy inni obleśni, źli starzy ludzie ze swoimi

obrzydliwymi kutasami i obwisłymi jajami. Zaczęli, gdy byłem jeszcze małą dziewczynką. I ten potwór też mnie ujeżdżał. Prawowite ramię sprawiedliwości zadrwiła. – Ofiarowałam mu próbkę rozkoszy, a on przyjął moją uprzejmość za dobrą monetę. Ciągłe mu było mało. Musiał mieć mnie codziennie. U niego w domu. W służbowym pikapie. Zabierał mnie, gdy wracałam do domu ze szkoły, i zawoził na wzgórza. Tam to robiliśmy. Co teraz myślisz, Doug, o swoim starym przyjacielu?

Houten krzychał do Nony, żeby się zamknęła, jednak jego głosowi brakowało dawnej pewności siebie. Szeryf wyglądał na załamane, wypalonego i, choć trzymał w dłoniach broń, bezradnego.

Nona nadal przemawiała do zwłok, łkając.

– Byłeś taki dobry i ufny, Doug... Myślałeś, że Ray jest twoim przyjacielem, że pomaga nam się ukryć, ponieważ nie lubi lekarzy... Ponieważ nas rozumie... Niestety, wcale tak nie było. Wydałby nas bez namysłu, lecz zagroziłam, że wówczas rozpowiem wszystkim, jak mnie pieprzył. Jak mnie uczynił ciężarną.

Houten zerknął na swojego kolta. Przez głowę przemknęła mu straszliwa myśl, którą na szczęście szybko odrzucił.

– Nono, nie chcesz chyba...

– Nie, nie. Ray sądzi, że jest ojcem Woody'ego, bo tak mu mówiłam przez te wszystkie lata.

– Pogłaskała strzelbę i zachichotała. – Zresztą, może jednak nim jest... A może nie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się tego, gdyż nigdy nie wykonaliśmy żadnych testów krwi, prawda, Ray?

– Jesteś szalona – warknął. – Za takie gadanie zamknę cię w zakładzie dla psychicznych. To wariatka – rzucił w moją stronę. – Rozumie pan to chyba, prawda?

– Doprawdy? – Położyła palec na cynglu i uśmiechnęła się. – Pewnie wiesz wszystko o szaleństwie. Wiesz wszystko o szalonych, małych dziewczynkach. Na przykład była taka mała, gruba, szalona Marla. Stale siedziała sama, kołysała się idiotycznie i pisała durne, zwariowane wiersze. Mówiła do siebie, sikała w gacie i zachowywała się jak dziecko. Twoja córka naprawdę była walnięta, co, Ray? Gruba, brzydka i brakowało jej piątej klepki.

– Zamknij gębę...

– Sam się zamknij, stary capie! – wrzasnęła. – Kim, do diabła, jesteś, by mi rozkazywać? Pieprzyłeś mnie codziennie, a ja bez skargi znosiłam twoje wstrętne cielsko. Wlewałeś we mnie litry swojej ohydnej spermy i zapłodniłeś mnie. – Uśmiechnęła się niesamowitym uśmiechem. – Może tak, a może nie. W każdym razie powiedziałam o tym twojej szalonej Marli. Szkoda, że nie widziałeś spojrzenia tych świńskich małych ślepków. Opowiedziałam jej całą historię ze szczegółami. Powtarzałam, że ogromnie ci się ze mną podobało i stale żebrałeś o więcej. Tak, tak, szeryfie! Chyba wytrąciłam z równowagi tę nieszczęsną istotę, gdyż następnego dnia wzięła linę i...

Houten krzyknął i rzucił się na nią.

Roześmiała się i strzeliła mu w głowę.

Opadł na ziemię niczym przekłuty balon. Nona stanęła nad nim i jeszcze raz pociągnęła za spust. Przeładowała broń i posłała mu jeszcze jedną kulkę.

Nie stawiała najmniejszego oporu, gdy odebrałem jej broń. Położyła mi głowę na ramieniu i posłała cudowny uśmiech.

Zabrałem ją ze sobą i ruszyłem na poszukiwanie samochodu szeryfa. Znalazłem go bez trudu. Houten zaparkował auto tuż za dziurą w płocie. Nie spuszczać oka z Nony, włączyłem radio i wezwałem policję.

W późne, spokojne niedzielne popołudnie stałem na trawniku naprzeciwko wejścia do Ustronia i czekałem na Matthiasa. Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin wiał bez przerwy piekielnie gorący wiatr i mimo zbliżającego się zachodu słońca upał nie słabł. Wszystko mnie swędziało. Spocony, zmęczony, zbyt ciepło ubrany w dżinsy, bawełnianą koszulę i skórzaną kurtkę, szukałem cienia pod starymi dębami otaczającymi fontannę.

Guru wyszedł z głównego budynku otoczony orszakiem swoich wyznawców, zerknął w moim kierunku i kazał im się rozejść. Skierowali się na pobliski wzgórek, usiedli i zaczęli medytować. Matthias szedł do mnie powoli, w zadumie. Patrzył w dół, jakby szukał czegoś w trawie.

Wreszcie stanęliśmy twarzą w twarz. Bez słowa powitania usiadł na ziemi w pozycji kwiatu lotosu i pogładził brodę.

– Nie widzę kieszeni w pana stroju – zauważyłem. – Ani niczego innego, gdzie mógłby pan schować plik banknotów. Mam nadzieję, że fakt ten nie oznacza, iż zamierza pan zlekceważyć moją najzupełniej poważną ofertę.

Patrzył przed siebie, ignorując mnie. Tolerowałem ten stan rzeczy przez chwilę, poczym dałem mu do zrozumienia, że tracę cierpliwość.

– Niech pan skończy z tą błazenadą, Matthias, i przestanie udawać świętego człowieka. Pora pogawędzić o interesach.

Na czole guru usiadła mucha, potem przeszła zwinnie wzdłuż krawędzi głębokiej blizny. Najwyraźniej obecność owada wcale mu nie przeszkadzała.

– Proszę przedstawić swoją sprawę – powiedział w końcu cicho.

– Sądziłem, że wyraziłem się dość jasno przez telefon. Zerwał koniczynę i pokręcił nią w smukłych palcach.

– Rzeczywiście, co nieco mi pan wyjawiał. Przyznał się pan do wkroczenia na nasz teren, do napaści na brata Barona i do włamania. Niejasne dla mnie pozostają powody, dla których pan... dla których mielibyśmy prowadzić wspólne interesy.

– A jednak jest pan tutaj.

Uśmiechnął się.

– Szczęść się posiadaniem otwartego umysłu.

– Proszę posłuchać. Mam za sobą kilka męczących, paskudnych dni i straciłem cierpliwość. Powiedziałem już swoje. Chce pan dokładniej rozważyć moją propozycję, proszę bardzo. Poczekam na pańską decyzję. Tylko proszę codziennie dodać do wyznaczonej przeze mnie kwoty odsetki w postaci drobnego tysiączka.

– Niech pan siada – polecił.

Usiadłem naprzeciwko niego po turecku. Ziemia była gorąca niczym gofrownica. Swędzenie na mojej piersi i brzuchu się wzmogło. W oddali kiwali się członkowie sekty.

Matthias zdjął rękę z brody i z roztargnieniem pogładził trawę.

– Przez telefon mówił pan o znacznej kwocie – zauważył.

– Tak. Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Trzy raty po pięćdziesiąt tysięcy. Pierwsza dziś, następne co pół roku.

Bardzo się starał wyglądać na rozbawionego.

– Dlaczegoż, u diabła, miałbym panu zapłacić tyle pieniędzy?

– Ponieważ dla pana taka sumka prawie nic nie znaczy, jeśli nocne orgie, których byłem świadkiem kilka dni temu, należą do waszych typowych rozrywek, a tak właśnie myślę, pan i pańskie zombie zużywacie tygodniowo sporo niezłego towaru.

– Sugeruje pan, że w naszych rytuałach używamy niedozwolonych środków, jak na przykład narkotyki? – spytał szyderczo.

– Bez wątpienia usuwacie wszelkie ślady, towar magazynujecie w przemysłnych kryjówkach i nie lękacie się policyjnej rewizji. Jak miało to miejsce podczas mojej pierwszej wizyty w klasztorze. Posiadam jednakże polaroidy z przyjęcia, które zrobiłyby furorę jako geriatryczne porno. Wszystkie te zwiotczałe ciała kotłujące się na matach.. Misy koki i słomki do nosa. Że nawet nie wspomnę o kilku wyraźnych zdjęciach przedstawiających skrytkę pod pańską biblioteczką.

– Fotografie pełnoletnich osób dobrowolnie uprawiających seks – wyrecytował, przybierając nagle prawniczy ton. – Na stole misy wypełnione jakąś substancją. Plastikowe torebki. Nie ma pan za wiele. Pańskie rewelacje raczej nie są warte stu pięćdziesięciu tysięcy.

– A ile pan zapłaci, by uniknąć kary za morderstwo? Jego oczy zwężyły się, twarz stała się drapieżna, wilcza.

Matthias próbował traktować mnie z góry, lecz nie bardzo mu się to udawało. Swędzenie stało się prawie nie do zniesienia, lecz zapomniałem o nim w tym momencie.

– Proszę kontynuować – rzucił lodowato.

– Zrobiłem trzy kopie znalezionej u pana tekstu, dodałem do każdej stronę interpretacji i złożyłem dokumenty w trzech bezpiecznych miejscach. Wraz ze zdjęciami i instrukcjami dla prawników, na wypadek mojej przedwczesnej śmierci. Zanim skopiowałem informacje, bardzo uważnie je przeczytałem. Doprawdy fascynująca sprawa!

Wyglądał na całkowicie opanowanego, lecz wiedziałem, że jest zdenerwowany. Zdradziła go prawa ręka: kościste białe palce wbiły się nagle w ziemię i wydarły z niej kępę trawy.

– Aluzje do niczego nas nie doprowadzą – wyszeptał ochryple. – Jeśli ma pan coś do powiedzenia, proszę mówić otwarcie.

– W porządku – odparłem. – Cofnijmy się nieco w czasie. Jakies dwadzieścia lat z okładem. Na długo, zanim postanowił pan zostać guru. Siedzi pan sobie w biurze na Camden Drive w Beverly Hills, gdy zjawia się szara myszka, drobna kobietka o imieniu Emma. Przyjechała do pana z prowincjonalnego miasteczka La Vista. Płaci panu sto dolarów za poradę prawniczą. Sporo pieniędzy w tamtych czasach. W zamian prosi o dyskrecję. Historia Emmy jest

przerażliwie smutna, chociaż bez wątpienia pan uważa ją za coś w rodzaju trzeciorzędnego melodramatu. Kobieta żyjąca w małżeństwie bez miłości szukała pocieszenia w ramionach innego mężczyzny. Mężczyzny, który pokazał jej inny świat i dostarczył doznań, o istnieniu których wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy. Romans był cudowny i stanowił dla Emmy prawdziwą ucieczkę przed przygnębiającą rzeczywistością. Wszystko układało się wspaniale, póki kobieta nie zaszła z kochankiem w ciążę. Przerażona ukrywała ten fakt tak długo, jak się dało, a kiedy brzuch stał się widoczny, oświadczyła mężowi, że dziecko jest jego. Zdradzony małżonek ogromnie się ucieszył, niemal nosił ją na rękach, a kiedy uroczyście otworzył szampana, jego żona niemal umarła z poczucia winy. Zastanawiała się nad aborcją, lecz za bardzo się bała. Modliła się o poronienie, ale płód rozwijał się prawidłowo. Gdy ją pan spytał, czy powiedziała kochankowi o ich wspólnym problemie, Emma zaprzeczyła, wyraźnie przestraszona samą myślą. Jej wybranek był filarem miejscowej społeczności, zastępcą szeryfa, człowiekiem odpowiedzialnym za przestrzeganie prawa... W dodatku był żonaty i jego żona również spodziewała się dziecka. Pańska klientka nie chciała niszczyć szczęścia dwóch rodzin. Poza tym kochanek od jakiegoś czasu zaczął jej unikać, utwierdzając ją w podejrzeniach, że w ich związku od początku szukał jedynie rozkoszy cielesnych. Czy Emma poczuła się opuszczona? Nie. Uważała, że zgrzeszyła i że teraz płaci za swój błąd. Z każdym miesiącem ciąży coraz bardziej też doskwierało jej brzemie sekretu. Żyła w kłamstwie przez osiem i pół miesiąca, aż w końcu nie mogła już dłużej go znieść. Pewnego dnia, gdy mąż wyjechał z miasta, wsiadła w autobus i pojechała na północ, do Beverly Hills. Do pana. Trafiła do pańskiego lśniącego biura zaledwie kilka dni przed porodem. Była zagubiona, spanikowana. Przez wiele bezsennych nocy rozważała swoją sytuację i w końcu podjęła decyzję. Chciała odejść od Garlanda. Pragnęła rozwodu. Miał być szybki, bez żadnych wyjaśnień. Potem zamierzała opuścić miasto, urodzić dziecko w samotności, może w Meksyku... Oddałaby je do adopcji i zaczęła nowe życie z dala od miejsca, w którym grzeszyła. Przeczytała o panu w jakimś kolorowym magazynie, na stronach plotek z Hollywood, i uznała pana za najwłaściwszego człowieka do tej roboty. Wysłuchał jej pan z uwagą i natychmiast pojął, że szybki rozwód jest wykluczony. Sprawa śmierdziała, choć oczywiście panu akurat ten jej aspekt absolutnie nie przeszkadzał. Im paskudniejsze sekrety, tym lepiej można na nich zarobić. Tyle że... Emma Swope nie pasowała do typu klientek, w których pan gustował. Nijaka, bezbarwna i straszliwie małomiasteczkowa. A co najważniejsze, nie pachniała pieniędzmi. Przyjął pan od niej sto dolarów i spławił ją, mówiąc, że lepiej zrobi, kontaktując się z lokalnym prawnikiem. Wyszła od pana z zaczerwienionymi od płaczu oczyma i ciężkim sercem, pan zaś zapisał jej dane, schował raport do szuflady na akta i zapomniał o całej sprawie. Wiele lat później dostał pan postrzał w głowę i postanowił zakończyć karierę prawniczą. Przez lata pracy poznał pan mnóstwo prawdziwych bogaczy, a wśród nich, co normalne w Los Angeles, narkotykowych bossów. Nie wiem, kto pierwszy wpadł na pomysł wysłania pana jako rezydenta megadolarowego interesu kokainowo-heroinowego, ktoś z nich czy pan sam, tak czy owak, zdecydował się pan na tę wyprawę. Nielegalność owej fuchy bardzo pana

podnieciła, ponieważ postrzegał pan siebie jako ofiarę, osobę zdradzoną przez system, któremu wiernie pan dotąd służył. Pieniądze i władza również były nie do pogardzenia. Aby przedsięwzięcie się udało, potrzebował pan kryjówki w pobliżu meksykańskiej granicy. Solidnej kryjówki i legalnej przykrywką. Pańscy nowi partnerzy zaproponowali jedną z małych rolniczych osad położonych na południe od San Diego. La Vista. Słyszeli o starym klasztorze na sprzedaż. Teren znajdował się tuż za rogatkami miasta, był odludny i bezpiecznie położony. Przez jakiś czas sami rozważali jego zakup, potrzebowali jednak jakiegoś pretekstu, by powstrzymać tubylców przed węszeniem. Pan spojrział na mapę i nagle doznał olśnienia. Kulka nie zniszczyła pańskiej doskonałej prawniczej pamięci. Przejrzał pan stare akta... Jak mi idzie do tej pory?

– Proszę kontynuować. – Dłoń miał mokrą i zieloną od miętoszenia trawy.

– Zrobił pan mały wywiad środowiskowy i odkrył, że Emma Swope nigdy nie wynajęła innego prawnika. Jej wizyta u pana okazała się jedyną próbą pokierowania własnym losem, po której kobieta wróciła do swojej codziennej egzystencji. Ponownie podjęła pracę maszynistki i żyła ze swoim sekretem. Urodziła piękną rudowłosą dziewczynkę, która wyrosła na zbuntowaną nastolatkę. Kochanek Emmy również nadal mieszkał w okolicy. Ciągle był stróżem prawa. Został szeryfem. Teraz on rządził w La Viście. Był człowiekiem powszechnie szanowanym i tak wpływowym, że jego zdanie mieszkańcy miasteczka traktowali jak słowa wyroczni. Wiedział pan, że ze swoimi informacjami ma go pan w kieszeni i szeryf na pewno nie odmówi panu pomocy.

Ostatnie pozory spokoju zniknęły z pociągłej zarośniętej twarzy. Guru dotknął brody i usmarował ją na zielono, potem polizał trawę pod dolną wargą i splunął.

– Banalni ludzie ze swoimi śmierdzącymi, małymi intrygami – odburknął. – Łudzą się przez całe życie, że ich egzystencja ma jakikolwiek sens.

– Wysłał mu pan kopię listu, który u pana znalazłem, po czym zaprosił szeryfa na rozmowę do Beverly Hills. Bez wątpienia obawiał się pan, że Houten pana zignoruje albo każe iść do diabła. Co takiego mogłoby mu grozić? Niewielki, jak na standardy naszego miasta, skandal? Wczesna emerytura?

A jednak facet zjawił się w pańskim biurze już następnego dnia, prawda?

Matthias roześmiał się głośno. Nie był to przyjemny dźwięk.

– Jasne, już o świcie – odrzekł, kiwając głową. – Przyjechał w tym swoim śmiesznym stroju kowboja. Starał się wyglądać jak macho, ale trząsł się jak osika. Kretyn.

Guru sekty Dotknięcie rozkoszował się wspomnieniem z okrutnym błyskiem w oku.

– Natychmiast pan sobie uświadomił – kontynuowałem – że trafił pan w czuły punkt. Szczegółów domyślił się pan wprawdzie dopiero następnego lata, gdy Nona Swope zaczęła dla was pracować, ale nie musiał pan znać do końca powodów czyjegoś strachu, by na nim zarobić.

– Houten to kmiotek. – Matthias wyduł pogardliwie wargi. – Frajer, na którego wystarczył byle blef.

– Tamto lato – przerwałem mu – było zapewne bardzo interesujące. Świeżo stworzona przez



pana wspólnota społeczna o mało się nie rozpadła. I to przez kogo? Przez szesnastolatkę.

– To była mała nimfomanka – powiedział drwiąco. – Lubowała się w starszych facetach. Ciągnęła za nimi jak pies gończy. Odkąd się pojawiła, stale słyszałem plotki, a pewnego dnia nakryłem ją w spizami z pewnym sześćdziesięciolatkiem. Wyciągnąłem ją za uszy i zadzwoniłem do Houtena. Przyjechał. Patrzyli na siebie w taki sposób, że od razu odkryłem, dlaczego moje intencje go zdenerwowały. Facet nieświadomie pieprzył własną córkę. Tamtego dnia zrozumiałem, że mam go w kieszeni. Na zawsze! Od tamtej pory był całkowicie na moje usługi.

– Bez wątpienia bardzo się przydawał.

– Nadzwyczaj. – Uśmiechnął się. – Przed wyborami, kiedy bardziej kontrolowano granicę, szeryf Houten pojechał z nami do Meksyku i pomógł przewieźć ładunek. Nie ma to jak policyjna eskorta.

– Tak, to cholernie dobry układ – przyznałem. – Z pewnością warto go pielęgnować.

Zmieniłem pozycję. Stopa mi zdrętwiała i przez chwilę potrząsałem nią, aby przywrócić krążenie krwi.

– Wszystko, co do tej pory od pana usłyszałem, to czyste domysły – stwierdził chłodno. – Żadnych konkretów, za które warto zapłacić choć dolara.

– Spokojnie, to tylko preludeum. Porozmawiajmy teraz o doktorze Auguście Valcroix. Niedopasowany do współczesności hipis z lat sześćdziesiątych. Nie jestem pewny, jak się spotkaliście, ale prawdopodobnie nasz drogi lekarz handlował prochami w Kanadzie i już tam poznał niektórych spośród pańskich wspólników. Tak czy owak, został jednym z waszych dilerów i rozprawdzał narkotyki między innymi w szpitalu. Czy istnieje lepsza przykrywka niż prawdziwy tytuł doktora medycyny? Podejrzewam, że otrzymywał od was towar na dwa sposoby. Czasami przyjeżdżał tutaj pod pozorem uczestnictwa w seminarium i zabierał paczuski osobiście. Innym razem pan mu je wysyłał. Właśnie z nim spotkali się Graffius i Delilah podczas swojej wizyty w Los Angeles owego dnia, gdy odwiedzili Swope'ów. Kontrolna wizyta po narkotykowym transferze. I oczywiście, wbrew podejrzonom Raoula Melendez-Lyncha, wcale nie zachęcali Swope'ów do zakończenia leczenia Woody'ego, a tym bardziej nie mieli nic wspólnego z uprowadzeniem dziecka. Następna sprawa. Valcroix, choć narkoman i flejtuch, potrafił swoich pacjentów i ich rodziny skłonić do zwierzeń. Wykorzystywał ten talent do uwodzenia kobiet, a czasem takie informacje przydawały się podczas kuracji. Nawiązał dobre stosunki z Emmą Swope... Jako jedyny nie nazwał jej nijaką, bezwolną. Mało tego, wydała mu się wręcz silną osobowością. Ponieważ wiedział o niej coś, czego nikt inny nawet się nie domyślał. Wykrycie raka u dziecka często staje się przyczyną rozbitcia rodziny. Niekiedy zachowanie rodziców zmienia się wprost nie do poznania... Widziałem takie transformacje wiele razy. W przypadku Swope'ów stres był znacznie silniejszy. Z Garlanda uczynił pompatycznego błazna, Emma natomiast z każdym dniem coraz głębiej pograżała się w myślach o przeszłości. Bez wątpienia Valcroix namówił ją na szczerą rozmowę w chwili szczególnej słabości. Choroba synka zwielokrotniła jej poczucie winy, a lekarz wydał jej się miły i przepełniony współczuciem,

więc otworzyła się przed nim i wylała swoje żale. Ktoś inny uznałby opowieść Emmy za podobną do wielu innych smutnych historii i zachowałby ją dla siebie, jednak dla Valcroix zdobyte informacje miały daleko idące implikacje. Prawdopodobnie od dawna przyglądał się Houtenowi i zastanawiał, dlaczego szeryf tak chętnie wykonuje pańskie polecenia. Teraz już wiedział. Miał w nosie moralność, a tajemnica lekarska nic dla niego nie znaczyła. Kiedy jego zawodowa przyszłość stanęła pod znakiem zapytania, przyjechał tu, na południe, podzielił się z panem swoją wiedzą i zażądał większego procentu od zysków. Udał pan zgodę na nowy układ, po czym podał mu narkotyki. Kiedy Valcroix zasnął, kazał pan jednemu ze swoich wyznawców wywieźć go w kierunku Los Angeles. Drugi człowiek jechał za nimi. W dokach Wilmington wspólnie upozorowali śmiertelny wypadek. Upewnili się, że Kanadyjczyk nie żyje, i odjechali. Technika jest dość prosta, trzeba tylko deską zablokować pedał gazu...

– Coś w tym rodzaju. – Matthias się uśmiechnął. – Użyliśmy gałęzi drzewa. Jabłunki. Materiału całkowicie naturalnego. Valcroix uderzył w ścianę przy prędkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Barry powiedział, że facet przypominał omlet pomidorowy. – Polizał wąż i posłał mi twarde znaczące spojrzenie. – To była zachłanna chciwa świnią.

– Nie dam się zastraszyć – zapewnilem go. – Sto pięćdziesiąt tysięcy. Ani centa mniej.

Guru westchnął.

– Sto pięćdziesiąt tysięcy to spora sumka, ale jakoś bym ją przeboleał – oświadczył. – Kto mnie jednakże zapewni, że nie wróci pan po więcej? Sprawdziłem pana, Delaware. Był pan kiedyś niezłym specjalistą w swojej dziedzinie i świetnie pan zarabiał. Teraz pracuje pan jedynie dorywczo, lecz lubi pan wystawne życie. Ten fakt mocno mnie martwi. Nie ma nic gorszego niż wielka przepaść między „chcieć” i „mieć”. Nowy samochód, kilka luksusowych wypadów wakacyjnych, drogie mieszkanie w Mammoth i nagle pieniądze się kończą. Minie trochę czasu, a pojawi się pan ponownie z kolejnymi żądaniami. Jestem co do tego przekonany.

– Nie jestem zachłanny, Matthias. Gdyby mnie pan dokładniej sprawdził, dowiedziałby się pan, że poczyniłem kilka korzystnych inwestycji, które nadal przynoszą mi niezły dochód. Mam trzydzieści pięć lat i nie narzekam na brak funduszy, niech mi pan wierzy. Żyję sobie wygodnie bez pańskiej forsy i mogłoby to trwać w nieskończoność. Podoba mi się wszakże pomysł oskubania takiego jak pan specja od pomnażania gotówki. Traktuję ten interes jako jednorazowy fuks. Gdy ostatnia pięćdziesiątka znajdzie się w moich rękach, nigdy więcej już mnie pan nie zobaczy.

Zamyślił się.

– Może dwie setki w kokainie?

– Nie ma mowy. Nigdy nie tykam tego paskudztwa. Musi być gotówka.

Wydał wargi i zmarszczył brwi.

– Ależ z pana nieustępliwy drań, doktorku. Ma pan instynkt zabójcy. Podziwiam ludzi z takim charakterem. Przyznam, że Barry mylił się co do pana. Mówił, że jest pan uczciwy, szczerzy i chorobliwie zadufany w sobie. W rzeczywistości niezły z pana szakał.

– Graffius zawsze był kiepskim psychologiem. Nigdy nie rozumiał ludzi.

– Tak jak i pan. – Wstał nagle i dał znak zgromadzonym na wzgórzu członkom sekty. Podnieśli się powoli i majestatycznie ruszyli ku nam. Tyraliera odzianych w biel żołnierzy.

Zerwałem się na równe nogi.

– Popełnia pan błąd, Matthews. Przedsięwzięciem środków ostrożności na taką ewentualność. Jeśli nie wrócę do Los Angeles przed ósmą, akta zostaną ujawnione.

– Dupek z pana – warknął. – Kiedy byłem prawnikiem, zjadałem takich frajerów na śniadanie. Przeżuwałem ich i wypluwałem. Najłatwiej było sterroryzować wszelkiej maści psychiatrów i psychologów. Podczas pewnego procesu jeden z nich w trakcie zeznań posikał się przeze mnie w gacie ze strachu. A miał tytuł profesora. Pańska dziecinna próba szantażu jest żałosna. W kilka minut poznam miejsca złożenia kopii dokumentów. Barry ma ochotę osobiście pokierować przesłuchaniem. Uważam ten pomysł za wspianiały, jego pragnienie zemsty wydaje mi się niezwykle silne. To paskudny, mały gnojek, który świetnie się nadaje do tej roboty. Rozmowa z nim może się okazać dla pana bardzo, bardzo przykra, Delaware. A kiedy już wyciągniemy z pana odpowiednie informacje, załatwimy pana. Następny nieszczęśliwy wypadek.

Członkowie sekty zbliżyli się do nas. Wyglądali jak bezlitosne automaty.

– Niech pan ich odwoła, Matthews. W ten sposób jeszcze bardziej się pan pograża.

Mężczyźni i kobiety otoczyli nas kręgiem. Mieli obojętne twarze. Zaciśnięte drapieżnie usta. Puste oczy. Puste umysły...

Ich przywódca odwrócił się do mnie plecami.

– A jeśli istnieją inne kopie? Takie, o których panu nie powiedziałem?

– Żegnaj, doktoru – rzucił mi pogardliwie.

Jego wyznawcy rozstąpili się, aby go przepuścić, a potem natychmiast zwarli szeregi. Dostrzegłem Graffiusa. Drżał z niecierpliwości. Strumyczek śliny ściekał na jego dolną wargę. Kiedy nasze oczy się spotkały, uśmiechnął się nienawistnie.

– Bierzcie go – rozkazał.

Czarnobrody wielkolud zrobił krok do przodu i złapał mnie za ramię. Inny osilek o szeroko rozstawionych zębach chwycił za drugie. Na dany przez Barona znak pociągnęli mnie ku głównemu budynkowi. Za nimi podążyli inni, zawodzący pieśń pogrzebową bez słów.

Graffius podbiegł i uderzył mnie z pogardą w twarz. Rechocząc radośnie, opowiedział mi o przyjęciu, które zaplanowali na moją cześć.

– Mam nowy, dopiero testowany halucynogen, przy którym LSD wydaje się aspiryną dla dzieci. Wstrzelę ci go prosto w żyłę z dodatkiem metedryny. Poczujesz się jak w piekle i z każdą kolejną minutą będziesz się zapadał w nie głębiej.

Zamierzał ciągnąć dalej tę przemowę rodem z tandetnego kryminału, gdy nagle rozległ się terkot pistoletów maszynowych, wdzierający się w ciszę niczym symfonia gigantycznych ropuch, a po chwili pojedyncze głośne eksplozje.

– Co za cholera?! – zawołał Graffius.

Procesja się zatrzymała.

Od tego momentu wszystkie zdarzenia rozegrały się tak szybko jak na przyspieszonym filmie.

Na niebie pojawiły się wirujące oślepiające światła przeszywające mrok. Nad naszymi głowami krążyły dwa helikoptery. Z jednego z nich zahuczał wzmocniony przez megafon głos:

– Mówi agent Siegel z Federalnego Urzędu do Walki z Handlem Narkotykami. Macie uwolnić doktora Delaware'a i położyć się twarzą do ziemi.

Powtórzono to trzykrotnie.

Graffius zaczął coś krzyczeć, natomiast inni członkowie sekty stali niczym wryci w ziemię. Gapili się w niebo zaskoczeni. Przypominali ludzi pierwotnych, którym objawił się nowy bóg.

Helikoptery zaczęły opadać coraz niżej. Drzewa gięły się od podmuchu wirników.

Agent Siegel raz za razem powtarzał polecenie, jednak ludzie z sekty nie zastosowali się do niego – raczej z powodu szoku niż świadomego nieposłuszeństwa.

Jeden z helikopterów wycelował intensywny snop oślepiającego światła w grupę. Kiedy mężczyźni i kobiety osłaniali oczy, komandosi rozpoczęli natarcie.

Dziesiątki uzbrojonych mężczyzn w kuloodpornych kamizelkach i hełmach wyrosło jak spod ziemi.

Jedna grupa wyłoniła się niespodziewanie spod wiaduktu. Kilka sekund później zza głównego budynku wynurzyła się druga – komandosi prowadzili stadko zakutych w kajdanki wyznawców Matthiasa. Trzecia grupa przybyła od strony pól i rozpoczęła szturm na kościół.

Usiłowałem się uwolnić, lecz czarnobrody i ten drugi trzymali mnie w katatonicznym uścisku. Graffius wskazywał na mnie i mamrotał coś bez sensu niczym małpa na amfetaminie. Podbiegł, wygrażając mi pięścią. Kopnąłem go i trafiłem w kolano. Wrzasnął i przez chwilę skakał przede mną na jednej nodze w tańcu błagającego o deszcz Indianina. Ci, którzy mnie trzymali, popatrzyli po sobie, niepewni, jak zareagować. Kilka sekund później decyzja i tak nie należała już do nich.

Byliśmy otoczeni. Komandosi z wiaduktu uformowali koncentryczny pierścień wokół kręgu członków sekty. Zauważyłem teraz, że są wśród nich funkcjonariusze Urzędu do Walki z Handlem Narkotykami, agenci FBI, przedstawiciele policji stanowej, szeryfowie hrabstwa i przynajmniej jeden detektyw z policji Los Angeles, którego rozpoznałem.

Latynoski oficer z wąsikami à la Zapata beznamiętnie rozkazał wszystkim położyć się na ziemi. Tym razem posłuchali natychmiast. Dwa wielkoludy uwolniły moje ręce, jakby ktoś odłączył ich od zasilania. Odsunąłem się i obserwowałem akcję.

Komandosi kazali członkom sekty rozłożyć nogi i zrewidowali ich; po dwóch żołnierzy na każdego pojmanego. Po obszukaniu zakładali im kajdanki, wyprowadzali z grupy jednego po drugim, niczym paciorki zdejmowane ze sznurka, odczytywali im ich prawa i pod bronią odstawiali do czekających nieopodal furgonetek.

Poza Graffiusem, który kopał i krzyczał, mężczyźni i kobiety z sekty Dotknięcie nie stawiali oporu. Odrętwiali ze strachu i kompletnie zdezorientowani, biernie poddawali się policyjnej procedurze i, powłócząc nogami, szli w beznadziejnej procesji oświetlanej reflektorami przez krążące w górze helikoptery.

Ciężkie drzwi głównego budynku otworzyły się i wyszła z nich kolejna grupka w towarzystwie komandosów. Ostatni pojawił się Matthias w otoczeniu agentów. Guru kroczył na sztywnych nogach i coś perorował. Patrząc z oddali, odnosiłem wrażenie, że wygłasza końcową mowę obrońcą, lecz jego słowa całkowicie zagłuszał hałas helikopterów. I tak zresztą nikt go zapewne nie słuchał.

Gdy wokół mnie trochę się uspokoiło, znowu uświadomiłem sobie, jak mi gorąco. Zdjąłem kurtkę, odrzuciłem ją na bok i zacząłem rozpinąć koszulę. Podeszli do mnie Milo wraz z mężczyzną, którego szczupła twarz o wyostrzonych rysach nosiła ślady kilkugodzinnego ciemnego zarostu. Towarzysz mojego przyjaciela miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i ciemny krawat pod operacyjną kurtką z odblaskowym nadrukiem i maszerował wojskowym krokiem. Nazywał się Severing Fleming i kierował całą akcją z ramienia Urzędu do Walki z Handlem Narkotykami.

– Doskonała robota, Alex. – Milo poklepał mnie po plecach.

– Pomogę panu, doktorze – powiedział agent Fleming i zabrał się do odrywania od mojej piersi taśmy z mikrofonem marki Nagra. – Mam nadzieję, że nie cierpiał pan zbyt mocno.

– Swędziało jak cholera.

– Pewnie ma pan wrażliwą skórę.

– Tak, to w ogóle bardzo wrażliwy facet, Sev.

Fleming się uśmiechnął.

– No to wszystko w porządku – powiedział Fleming, chowając mikrofon do pokrowca. – Odsłuch w furgonetce był doskonały, mamy nagranie. Przysłuchiwała mu się wraz z nami prawniczka z Departamentu Sprawiedliwości. Jest zdania, że zdobyte informacje zupełnie wystarczą. Jeszcze raz dzięki, doktorze. Do zobaczenia, Milo.

Uściskał nam dłonie, niedbale zasałutował i odszedł, tuląc mikrofon niczym noworodka.

– No cóż – zauważył Milo. – Nieustannie ujawniasz nowe talenty. Hollywood niedługo zacznie walić do twoich drzwi.

– Zgadza się – odparłem, pocierając pierś. – Zadzwoń do mojego agenta i zorganizuj spotkanie w Polo Lounge.

Roześmiał się i zdjął policyjną kurtkę.

– Czuję się w niej jak facet z reklamy opon Michelin.

– Chciałbyś być taki ładny.

Ruszyliśmy razem ku wiaduktowi. Niebo zdążyło już ściemnieć i ucichnąć. Za bramą z warkotem ruszały radiowozy. Weszliśmy na most i przeszliśmy po zimnych kamieniach. Milo sięgnął w górę, zerwał winogrono z pnącza porastającego kamienną altankę.

– Odwaliłeś kawał doskonałej roboty, Alex – stwierdził. – W końcu capnęli go za narkotyki. Najważniejsze jednak, żeby beknął za morderstwo. Gdy dodam do tego rozwiązanie sprawy pana Lepkie Gacie, muszę stwierdzić, że mamy za sobą niezły tydzień.

– Świetnie – oświadczyłem znużonym tonem.

– Wszystko w porządku, stary?

– Nic mi nie będzie, nie martw się.

– Wciąż myślisz o chłopcu, prawda?

Zatrzymałem się i spojrzałem mu w oczy.

– Musisz od razu wracać do Los Angeles? – spytałem.

Objął mnie, uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

– Powrót oznacza zanurzenie się w papierkowej robocie. A raporty nie zając, nie uciekną.

Z pewnej odległości zaglądałem przez plastikową ścianę.

Woody leżał na łóżku nieruchomy, lecz był przytomny. Jego młoda mama siedziała obok. W skafandrze, rękawiczkach i masce była trudna do rozpoznania. Jej ciemne oczy wędrowały po pomieszczeniu, zatrzymały się przez moment na twarzy synka, później na własnych dłoniach, w których trzymała książkę. Dziecko usiłowało się podnieść, powiedziało coś do Nony, ta zaś pokiwała głową, wzięła kubek i przystawiła mu do ust. Picie szybko wyczerpało chłopca i opadł na poduszkę.

– Miły dzieciak – zauważył Milo. – Jakie ma szanse według lekarzy?

– Jest poważnie przeziębiony. W kroplówce dostaje jednak antybiotyki, które powinny zwalczyć infekcję. Jeśli chodzi o nowotwór... Niestety powiększył się i zaczyna uciskać przeponę. To niedobrze, bardzo niedobrze, ale na szczęście nie znaleziono przerzutów i nie ma nowych zmian patologicznych. Jutro rozpocznie się chemioterapia. Ogólnie rzecz biorąc, prognozy są nadal dobre.

Milo pokiwał głową i poszedł do pokoju pielęgniarek.

Woody zasnął. Matka pocałowała go w czoło, okryła kołdrą i ponownie wzięła do ręki książkę. Przekartkowała kilka stron, po czym odłożyła ją i zaczęła sprzątać w pokoiku. Gdy skończyła, wróciła do łóżka i usiadła. Położyła ręce na udach i zastygła w bezruchu. Czekwała.

Z pokoju pielęgniarek wyszło dwoje funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości, zajmujących się egzekucją wyroków sądowych. Mężczyzna był brzuchaczem w średnim wieku, kobieta zaś drobną farbowaną blondynką. Mężczyzna rzucił okiem na zegarek i oznajmił: „Już czas”. Jego partnerka podeszła do modułu i zastukała w ścianę.

Nona natychmiast ją dostrzegła.

– Pora iść – powiedziała kobieta.

Dziewczyna zawahała się, pochyliła nad śpiącym chłopcem i pocałowała go mocno. Woody zamruczał coś cicho przez sen i przewrócił się na brzuch. Ten ruch sprawił, że zakołysała się butelka od kroplówki. Nona przytrzymała ją, a potem pogładziła synka po włosach.

– Chodź, kochanie – ponagliła ją kobieta.

Nona niezdarnie wyszła z modułu. Zdjęła maskę i rękawiczki, rozpięła sterylny skafander. Gdy kosmiczny strój opadł jej aż do kostek, pojawił się pod nim kombinezon z numerem na plecach i napisem „Więzienie hrabstwa San Diego”. Miedziane włosy Nony były ściągnięte w koński ogon, z jej uszu zniknęły złote koła, twarz wydawała się szczuplejsza i starsza, kości policzkowe wydatniejsze, oczy bardziej zapadnięte. Więzienna bladeść zmatowiła jej skórę. Dziewczyna nadal była piękna, lecz jakby przygasła. Skojarzyła mi się ze zwiędniętą różą.

Skuli ją i poprowadzili do drzwi. Spojrzała na mnie. Odniosłem wrażenie, że jej oczy zwilgotniały. Jednakże chwilę później przybrała twardą minę, podniosła dumnie głowę i wyszła.

Znalazłem Raoula w jego laboratorium. Gapił się na ekran komputera, na którym widniały kolumny wielomianów w wielobarwnej tabelce. Później mruknął coś po hiszpańsku, przejrzał wydrukowaną stronę i zaczął szybko pisać nowy ciąg liczb. Duszne laboratorium wypełniały cierpkie wyziewy. W tle brzęczała jakaś aparatura.

Przysunąłem sobie stołek do biurka, usiadłem obok Raoula i przywitałem się.

W odpowiedzi skrzywił jedynie twarz w nieokreślonym grymasie i nadal pracował przy komputerze. Sińce na jego twarzy rozjaśniły się już w purpurowo-zielone smugi.

– Więc wiesz wszystko – odezwał się.

– Tak. Powiedziała mi.

Pisał dalej, uderzając mocno w klawiaturę.

– Okazałem się człowiekiem równie niemoralnym jak Valcroix. Udowodniła mi to Nona, gdy pojawiła się tutaj, kręcąc tyłkiem w obcisłej sukience.

Przyszedłem do laboratorium z zamiarem pocieszenia go. Przygotowałem w tym celu całą przemowę. Zamierzałem powiedzieć, że życie zmieniło Nonę w erotyczną broń, w instrument zemsty... że mężczyźni tak długo ją wykorzystywali i demoralizowali, aż seks i nienawiść stały się dla niej czymś nierozdzielnie ze sobą związanym... że używała swoich wdzięków przeciwko facetom, tak jak używa się termolokacyjnych pocisków samonaprowadzających się na cel. Pragnąłem zapewnić Raoula, że niewłaściwie ocenił całą sprawę, co jednakże nie neguje jak najbardziej słusznych intencji, jakimi się potem kierował. Że ma do wykonania jeszcze mnóstwo roboty. Że czas uleczy rany...

Uprzytomniłem sobie jednak, iż wszelkie tego typu argumenty zabrzmiałyby banalnie. Melendez-Lynch był dumnym mężczyzną, który na moich oczach sam się poniżył. Widziałem go brudnego, obszarpanego, na wpół oszalałego w śmierzdzącej celi, obsesyjnie pochłoniętego pragnieniem odnalezienia pacjenta. Zmusiło go do tego poczucie winy, fałszywe przekonanie, że jego grzech – dziesięć zaślepionych przez żądzę minut z klęczącą przed nim Noną Swope – przyczynił się do porwania chłopca ze szpitala i tym samym przerwania niezbędnej do uratowania jego życia kuracji.

Zrozumiałem, że przychodząc do niego, popełniłem błąd. Łącząca nas wcześniej przyjaźń bezpowrotnie zniknęła, a wraz z tym utraciłem możliwość pocieszenia go, uspokojenia.

Jeśli istniało dla niego ocalenie, musiał je znaleźć sam.

Położyłem więc tylko rękę na jego ramieniu, życząc mu wszystkiego dobrego. Wzruszył ramionami i zagapił się w ekran.

Zostawiłem go ze wzrokiem wbitym w stos danych. Gdy wychodziłem, przeklinał głośno, bo coś nie zgadzało mu się w obliczeniach.

Jechałem powoli Bulwarem Zachodzącego Słońca na wschód i rozmyślałem o sekretach



rodzinych relacji. Miło powiedział mi kiedyś, że rodzinne sprzeczki to najtrudniejsze sprawy dla gliniarza, bo łatwo dochodzi w nich do przemocy. Spory szmat życia strawiłem na rekonstruowaniu rozpadających się rodzin, zdeformowanych związków, zaleczaniu ropiejących wrogości i wydobywaniu na światło dzienne uczuć zapomnianych z powodu codziennych konfliktów.

Najprościej było machnąć ręką i uwierzyć, że nie da się naprawić zła. Że więzy krwi zadusiły duszę.

Wiedziałem, że policjanci widzą zniekształconą rzeczywistość, wykoślawia im ją codzienna walka ze złem, natomiast rzeczywistość psychoterapeuty wypacza zbyt częsty kontakt z szaleństwem.

Chociaż... Istnieją przecież rodziny, którym udało się wspólne życie, które się kochają i wspierają. Istnieją miejsca, gdzie dusza może znaleźć schronienie. Trzeba mieć nadzieję.

Wkrótce polecę na tropikalną wyspę, by spędzić kilka dni z pewną piękną kobietą. Muszę z nią o tym porozmawiać. Otwarcie.